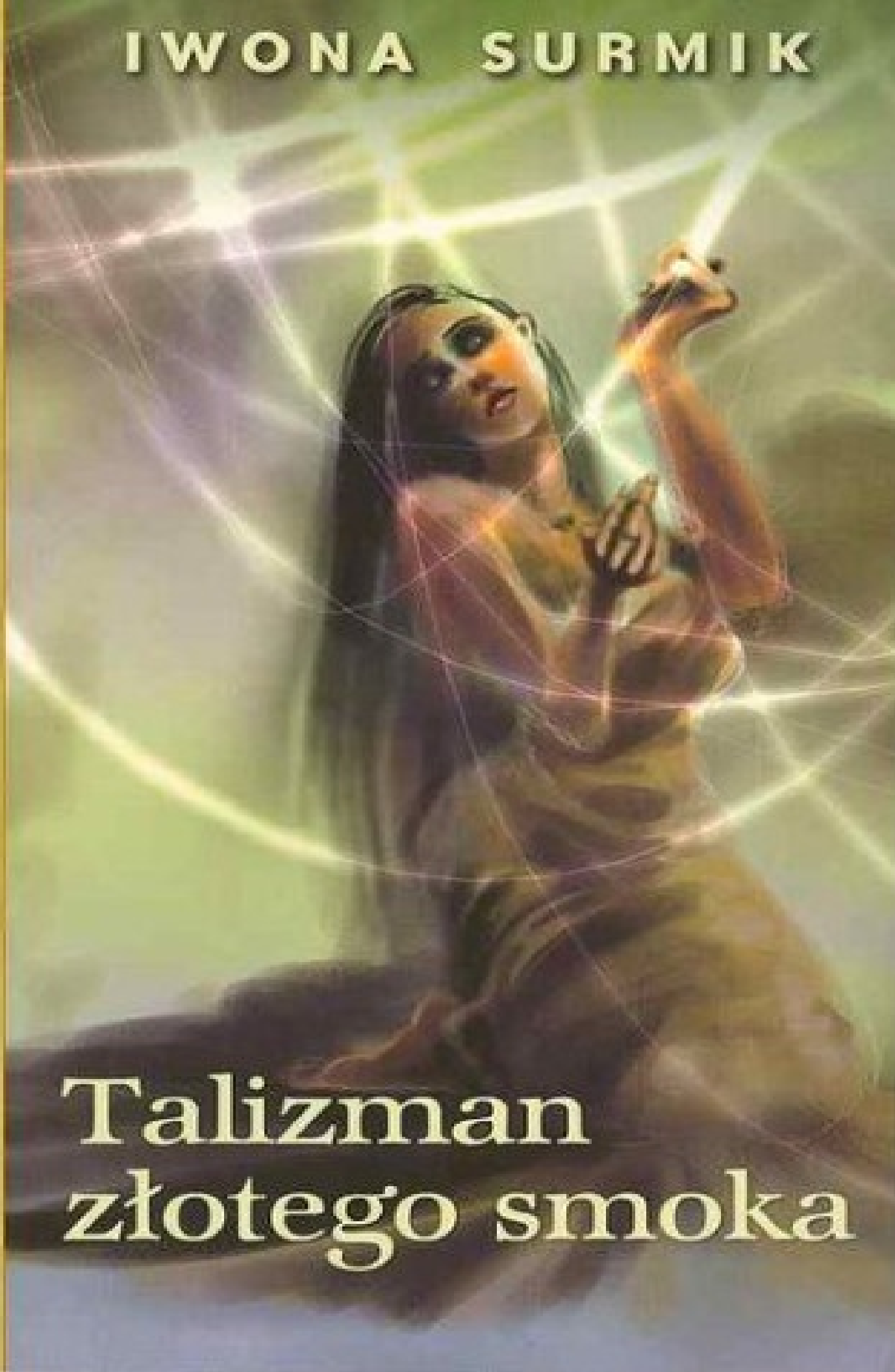


IWONA SURMIK



Talizman  
złotego smoka

Iwona Surmik

**TALIZMAN ZŁOTEGO SMOKA**

*Serdeczne podziękowania  
dla Eli Gepfert za życzliwość i pomoc,  
którą mi okazała przy pisaniu tej książki.*

# Część pierwsza:

## Ucieczka

Drzewa o wysokich, strzelistych pniach zdawały się sięgać nieba, a leśne poszycie, splecione i bujne, rozrosło się tak obficie, że koń z trudem torował sobie drogę. Choć dopiero minęło południe, było mroczno. Nikłe promienie słońca ledwie przedzierały się przez liściasty baldachim, tworząc jaśniejsze plamy na zieleni. Ciężkie, duszne powietrze zdawało się trwać nieruchome, nie mączone najlżejszym powiewem wiatru. Jeździec rozejrzał się niepewnie. Zamierzał jechać wzdłuż ciągnącej się aż po horyzont linii drzew, tymczasem znalazł się w głębi puszczy. Zrazu ścieżka wydawała się prostą wskazówką – wystarczyło nią podążać, by z jednej strony widzieć trawę Równin, a z drugiej ciemną ścianę lasu. Wkrótce jednak dróżka zaczęła kluczyć, omijając liczne przeszkody: strumyk, olbrzymi zwalony pień, kępę kłujących krzewów. Stawała się coraz mniej widoczna i podróżny skupił na niej całą uwagę. Kiedy rozejrzał się ponownie, wokół zobaczył tylko drzewa. Na zawrócenie mocno objuczonego konia nie było miejsca, bo po obydwu stronach wąskiej przecinki rosły krzewy akacji o długich, ostrych kolcach, jechał więc dalej, coraz bardziej zagłębiając się w gąszcz, aż wreszcie ścieżka całkiem zniknęła wśród krzaków.

Jeździec zatrzymał się i odrzucił obszerne poły płaszcza. Przytulone do jego piersi spało dziecko – dziewczynka o zaróżowionej od snu buzi, którą okalały niesforne kędziory. Potrząsnął nią łagodnie, a potem patrzył, jak przeciera oczy i z ciekawością rozgląda się wokół.

– Gdzie jesteście, mamó? – spytała zdziwiona.

– Nie wiem, Albano – zabrzmiała ponura odpowiedź. – Zsiądę z konia i poprowadzę go, a ty trzymaj się mocno.

Dziewczynka skinęła główką. Patrzyła, jak matka ostrożnie zsuwa się z siodła i szarpie płaszc, który zaczepił o akacjowe kolce, a potem chwyta uzdę i, odchylając gałęzie, prowadzi konia między krzewami.

Wreszcie znużone długą jazdą dziecko zaczęło marudzić.

– Jestem głodna – narzekało. – Mogę zsiąść, mamó? Mogę, mogę?

Matka ponownie rozejrzała się wokół. Miejsce, w którym się zatrzymała, było zaledwie prześwitem pomiędzy otaczającą je zieloną gęstwiną, ale zmęczenie i jej dało się we znaki. Zsadziła córkę, która natychmiast zanurkowała pomiędzy gałęziami, ginąc jej z oczu.

Kobieta zrzucili kaptur i otarła pot, odgarnęła włosy. W jej twarzy trudno byłoby dopatrzeć się urody, a w sylwetce wdzięku. Miała kościste i chude ciało, ręce spracowane, a surową twarz spaloną słońcem i pooraną zmarszczkami. Z daleka przypominała mężczyznę, tym bardziej że nosiła męski strój podróżny, wysokie buty i długi płaszc. Córka wydawała się jej przeciwieństwem. Pulchna, o pełnych czerwonych usteczkach, jasnych oczach i buzi ozdobionej złotawymi piegami wyglądała, jakby cieszyła się każdą chwilą. Podobieństwo do matki dawało się dostrzec tylko w szopie gęstych, wijących się włosów, ale warkocz kobiety miał barwę czerni przetykanej srebrnymi nitkami, a czerwone kędziorki dziewczynki lśniły niczym futro wiewiórki.

Oszukały głód kilkoma pokruszonymi sucharami, popiły letnią wodą z bukłaka i na nowo podjęły mozolną wędrówkę.

Zmrok zapadał prawie niezauważalnie. Las, nawet w słoneczne południe pełen czających się cieni, w wieczornym zmierzchu stał się jeszcze bardziej ponury i groźny. Przedzierały się

przez krzewy w milczeniu, spoglądając z lękiem na potężne pnie porośnięte mchem, owinięte pnączami. Trzask złamanej pod końskim kopytem gałązki sprawił, że kobieta wzdrygnęła się z lękiem i czujnie rozejrzała. Nie miała już sił iść dalej. Kiedy wypatrzyła kolejny prześwit, zatrzymała wierzchowca i pomogła córce zsunąć się na ziemię.

– Zatrzymamy się tu na nocleg, malutka. – Pogłaskała rozczochrane włosy dziecka.

Prawie po omacku zebrała kilka patyków i ostrożnie roznieciła ognisko. Płomyki rzucały nikłe światło, sprawiając, że ciemność wokół pogłębiła się. Nie patrząc w mrok, matka szybko przyrządziła posiłek z sucharów wymieszanych z resztką wody, okraszonych kawałkami suszonego mięsa. Skończyły jeść i przysiadły na postrzępionym płaszczu. Kobieta wyjęła z sakwy) kościany grzebyk i zaczęła starannie czesać niesforne loki córki, wybierając z nich gałązki i liście.

– Mamo, opowiedz o zaczarowanej księżniczce – szepnęła Albana wpatrzona w żarzące się ognisko.

Matka wyjęła grzebień z potarganych włosów i uśmiechnęła się. Co wieczór snuła tę opowieść, lecz mała domagała się jej wciąż od nowa. Podjęła czesanie.

– Dawno, dawno temu, na Wyspie Mgieł żyła zaczarowana księżniczka...

Splatała połyskujące w świetle ogniska kędziory i opowiadała o dziewczynce, którą uwięziono w zamku wznoszącym się na skałach, o wyspie otoczonej przez wieczne mgły i smoku pokonanym przez dzielnego rycerza..

Wreszcie Albana zasnęła wtulona w opiekuńcze ramiona matki. Kobieta z czułością pogładziła pucułowaty policzek. Delikatny uśmiech złagodził surowe rysy, czyniąc jej twarz niemal piękną. Po chwili jednak zniknął stłumiony zgrzytotami.

Następny dzień nie różnił się niczym od poprzedniego – skąpe śniadanie, monotonna, nużąca jazda., strzeliste pnie drzew dookoła. Znudzone i nieświadome niepokoju matki dziecko marudziło nieznośnie. Napotkawszy sporą polankę, pierwszą od chwili, kiedy wjechały do lasu, kobieta zdecydowała się zatrzymać, choć do wieczora pozostawało jeszcze wiele czasu. Rozsiodła konia dźwigającego ich cały dobytek, zdjęła z pleców bezużyteczny dotąd łuk i postanowiła zapolować. Spojrzała na córkę. Mała znalazła w trawie wielkie, ciasno zwinięte szyszki pinii i pracowicie je układała w dla siebie tylko zrozumiały, skomplikowany wzór.

Kobieta niepokoiła się trochę, pozostawiając dziecko bez opieki, ale musiała uzupełnić zapasy. Ruszyła w las, znacząc drogę nacięciami na pniach. Wypatrzyła drzewnego szczura o brązowym futerku, który przysiadł na gałęzi i cmokał przyzywająco. Wstrzymując oddech, napięła łuk. Wystrzelona z bliska strzała rozorała lśniąca sierść i zwierzę spadło niemal u jej stóp. Zadowolona wepchnęła zdobycz do sakwy, prawie czując w ustach smak tłustej zupy. Zawróciła na polanę.

Strach chwycił ją za gardło, pozbawił tchu. Na ziemi leżał wzór ułożony z szyszek. Dziecko i koń zniknęli.

– Albana – szepnęła, choć miała ochotę krzyczeć. Rozglądała się bezradnie, podświadomie oczekując, że zza krzaków wyłoni się roześmiana, psotna buzia. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i odwróciła się.

– Albana! Albana, niee...

Krzyk urwał się nagle, kiedy w jej gardle utkwiała pierzasta brzechwa. Osunęła się na ziemię, burząc szyszkowy wzór.

Polana wręcz zapraszała do odpoczynku. Na jej skraju biło niewielkie źródło, ukryte

pomiędzy krzaczkami jagód i dojrzewających borówek. Słońce łagodnie prześwitywało przez korony drzew. Gęste poszycie usłane było drobnymi kwiatami niezapominajek i stokrotek, a między wysokimi źdźbłami, niczym ukryte skarby, leżały szyszki. Albana zgromadziła je pracowicie w mały stosik i zaczęła układać.

Matka często zostawiała ją samą. Służąc w pańskich dworach, była zwykle zajęta przez cały dzień. Rzadko pozwalała córce bawić się z innymi dziećmi, jakby uważała, że towarzystwo rozwrzeszczanej gromady wiejskich bachorów nie jest dla niej odpowiednie, więc wiele czasu dziewczynka spędzała sama. Nie lubiła niezgrabnej lalki zrobionej z gałganów i słomy, wolała swój worek ze skarbami. Były w nim różnobarwne kamyki, muszelki zebrane nad morzem i kilka kawałków grubego szkła. W samotności cierpliwie układała je w kolorowe wzory. Kilka dni wcześniej, nim odjechały, młody syn gospodarzy ze złośliwą miną podeptał ułożone na ziemi fantastyczne obrazy. Albana bezradnie patrzyła, jak ciężkie buciory zgniatają delikatne muszle i kruszą barwne szkło. Rozpłakała się żałośnie, rozmazując piąstkami łzy, a chłopak śmiał się zadowolony, pewny, że może bezkarnie dokuczyć dziecku służącej. Dziewczynka słuchając tego śmiechu, przestała na chwilę płakać, a jej żałość zmieniła się w gniew.

– Nienawidzę cię, ty wstrętny chłopaku. Jesteś obrzydliwy, gorszy od szczura, od... od robaka, od glisty! – wrzasnęła i uciekła, nie przestając szlochać.

Długo potem łkała w ramionach matki, nieszczęśliwa i zaciętrzewiona. Rano rozeszła się wiadomość, że gospodarski syn leży w domu złożony chorobą. Albana cieszyła się. Zaciskała piąstki i mruzczała: dobrze ci tak, dobrze ci tak. Tego samego dnia matka wymówiła służbę i ruszyły w drogę. Teraz, układając suche szyszki na leśnej polanie, dziewczynka znów była szczęśliwa. Co prawda wszystkie miały ten sam kształt i kolor, ale co tam.

Wzór był już prawie gotów. Jeszcze tylko parę szyszek u góry, że też nie zauważyła tego wcześniej. Wstała, czując mrowienie w małych nóżkach i zrobiła kilka niepewnych kroków...

Zarzucona na głowę szmata była cuchnąca i szorstka. Próbowwała się wyrwać, ale boleśnie wykręcono jej ręce do tyłu. Zaczęła się dusić, kiedy śmierdząca tkanina zakryła jej usta. Podniesiona do góry wymachiwała bezradnie nogami, aż poczuła, że w coś trafiła. Usłyszała jęk bólu i nieprzyjemny skrzekliwy śmiech. Krztusiła się coraz bardziej i szarpała ze wszystkich sił, starając się zderzyć z twarzy odbierające dech paskudztwo. Nagle gwałtowny ból niemal rozsadził jej głowę. Straciła przytomność. Obudziła ją kłótnia.

– Nie trza było jeji zabijać! – wrzeszczał ktoś chrapliwie.

– Skądżem miał wiedzieć, że to baba... – bronił się agresywnie inny, nie mniej ochryply głos.

– Trza było poczekać! Dać w łeb, a nie od razu strzałę w gardło pakować.

– ...szczęściem tyn dzieciak to tyż dziewczucha. Za parę lat będzie z niej pociecha – rozległ się obrzydliwy rechot.

– Jak przeżyje – do dwóch kłójących się głosów dołączył się trzeci. – Mocnoś jeji przyłożył.

– Bo mię kopnął, wstrętny bachor. Widziołżeś, jakie mo włosy? Czerwune jak ogień...

– Dziewucha to dziewczucha. Idź, sprawdź, czy się ockła i wracajmy do dom.

– Tylko uważej, bo jak cię znowuż kopnie, to nigdy nie będziesz miał z niej pożytku...

Bełkotliwy śmiech rozniósł się po polanie.

Słoneczne światło oślepiło Albanę, kiedy ktoś brutalnie zdarł jej szmatę z głowy. Odruchowo zacisnęła oczy. Poczowała odór niemytego ciała, cuchnący oddech i smród alkoholu.

Pisnęła cienko, bo brutalna ręka pomacała guz na głowie. Próbowwała się wyrwać, ale ktoś złapał ją za włosy i unieruchomił. Rozdzierający ból i szarpnięcie sprawiły, że otworzyła wreszcie oczy. Krzyk panicznego dziecięcego strachu rozległ się pośród majestatycznych drzew, zakłócając leśną ciszę. Skuliła się, małe dłonie kurczowo ścisnęły skraj sukienki, krzyk przeszedł w rżenie. Nie mogła oderwać wzroku od pochylającej się nad nią zarośniętej twarzy i pary najbardziej złych oczu, jakie widziała w ciągu swego krótkiego życia. Wreszcie zabrakło jej tchu. Zapadła przytłaczająca cisza. Wydawało się, że nawet ptaki wstrzymały na chwilę oddech, ucinając gwałtownie swoje trele.

Trudno było wypatrzeć leśną osadę Keranów. Żołnierze nieraz zapuszczali się w ostępy, by ukarać grabieżców i pomścić pomordowanych na gościńcu podróżnych, ale wracali z niczym. Nie domyślali się, że porośnięte bluszczem zielone olbrzymy to kerańskie chaty zbudowane wokół drzew soos. Ich wysmukłe, mocne pnie były osią, wokół której stawiano prymitywną stożkową konstrukcję z gałęzi, otuloną rozrastającymi się szybko pnączami.

Trzech Keranów wkroczyło do wioski, złorzecząc sobie wzajemnie. Dwóch niesło hamak zrobiony z derki, trzeci prowadził konia. Zatrzymali się na małej polanie, porośniętej gęstą, ledwo tylko zdeptaną trawą. Nie przerywając kłótni, rzucili koc na ziemię. Koń, zbyt mocno pociągnięty za uzdę, zarżał głośno. Z najbliższej chaty wychyliła się kudłata głowa. Wkrótce polana zapełniła się mężczyznami. Schodzili się pojedynczo, czujnie nasłuchując, gotowi do natychmiastowej ucieczki.

Mieszkańcy wsi zdawali się podobni do siebie – niscy, krępi, z silnymi nogami i mocno umięśnionymi ramionami. Długie, skołtunione włosy opadały im na czoła, zasłaniając oczy, a potargane brody maskowały resztę twarzy. Większość odziana była w ubrania szyte z nie wyprawionych jelenich skór, brudne i cuchnące rozkładem. Gdzieniegdzie błyskały żywszymi kolorami kaftany i koszule, które nijak nie pasowały do prymitywnych postaci. Bardziej podobni byli do zwierząt niż ludzi: pierwotni i groźni jak otaczający ich las.

Spłoszony tyloma obcymi, nieznanymi zapachami koń stanął dęba i próbował zerwać się z uwięzi, ale Keran trzymał go mocno. Pociągnął zwierzę za sobą i przywiązał do rosnącego opodal drzewa.

– Poszczyściło ci się, Kagan – burknął ktoś zawistnie. – Dostaniesz od handlarzy spory grosz.

Keran, który przyprowadził konia, wzruszył ramionami.

– Woramowi poszczyściło się lepi – sarknął.

Krąg ciekawych zacieśnił się. Wskazany popatrzył na otaczających ich gapiów spode łba. Ubrany był lepiej niż inni, w sukienki kaftan, którego jaskrawozielona barwa ledwie przebijała spod grubej warstwy brudu. Pozrywane pętlce zwieszały się smętnie, ukazując zarośnięty tors. Na nogach miał zdarte z zamordowanej kobiety buty do konnej jazdy z oberżniętymi noskami, z których wystawały brudne paluchy.

– Łapy precz – warknął, obnażając dziurawe zęby. – Una je moja! W gromadzie rozległy się szepty.

– Tak, una!

Powiódł tryumfalnym wzrokiem po otaczających go ludziach, a potem wyszarpnął w górę leżącą na ziemi derkę. Mała, żałosna figurka potoczyła się po trawie. Keran jednym ruchem postawił ją na nogi.

– Una je moja! – obwieścił, wodząc po zebranych złym wzrokiem. Dziewczynka patrzyła oczami zaszczutego zwierzątka. Drżałaniczym liść na wietrze, niezdolna ustać o własnych

siłach. Mężczyzna złapał ją za kark i podniósł do góry.

– Przecie to dziecko, nie ma chyba pięciu lat!

– Dziecko nie dziecko. Baba.

Właściciel konia rzucił się na niego z pięściami.

– Zabił jeji matkę, a tera chce dorwać to dziecko! Potężny cios Worama powalił go na ziemię.

– To nie twoja rzecz. Ani wasza – zwrócił się do zebranych.

– Ciągli my losy. Wygrałeś kunia, Tobel wszystkie rzeczy, a ja – ją.

– Potrzęsnał dzieckiem.

– Woram! Puść ją zara! – rozległ się nagle ostry głos. Mężczyzna wypuścił małą z uchwytu tak szybko, jakby się oparzyli przerażony patrzył na niską, pokraczną kobietę. Skórę miała żółtawą, pomarszczoną i tak cienką, że niemal widać było kości. Oczy, małe jak paciorki, otoczone siecią zmarszczek, tkwiły ukryte głęboko w oczodołach. Rzadkie, siwe kosmyki włosów wymykały się spod zamotanej na głowie szmaty.

– Nie waż się jeji dotknąć, gnojku. Jak zrobisz jeji krzywdę, zabije cię. Świdrowała go wzrokiem, a palec ze szponiastym paznokciem wycelowała prosto w pierś.

– Ale una je moja – jęknął Woram, patrząc na staruchę. – Wygrałem ją... wygrałem. Kagan ma kunia, Tobel wszystkie graty, a ja...

– Dostaniesz ją, jak do rodzenia będzie zdatna – dokończyła stara. Odwróciła się i odeszła, wymachując grubym kosturem. Niespojrzała na dziecko, które leżało na ziemi niczym porzucona lalka.

Życie w wiosce toczyło się leniwym, odwiecznym rytmem. Słońce wschodziło i zachodziło, wyznaczając mroczne dni i noce w pełnym cieniu lasie. Pory roku przemykały prawie niezauważalnie. Jedne drzewa traciły liście, kiedy inne puszczały świeże pędy, a las trwał niewzruszony, nieczuły na skwar słońca, smagania chłodnych wiatrów czy krople dżdżu. Jednak od jakiegoś czasu rytm ten został zakłócony. We wsi, w otaczających ją dźwiękach brakowało wysokich kobiecych głosów gwarzących na placu, zaokrąglonych sylwetek uginających się pod ciężarem cebrzyków z wodą, noszonych z pobliskiego źródła... i dzieci. Osada ginęła. Umierała powoli, lecz nieodwracalnie. Początek dała panująca przed laty zaraza. Choroba powaliła wielu. Ciała zarażonych pokrywały się wrzodami, z których sączyła się ropa. Chorzy bezustannie domagali się wody, bo paliła ich gorączka, ale tak byli słabi, że nie potrafili nawet zaspokoić pragnienia. Leżeli całymi dniami, unurzani we własnych odchodach, aż wreszcie marli. Nikt ich nie żegnał, nikt nie chował, nikt po nich nie płakał. Nieliczni, których choroba oszczędziła, porzucili gnijące szczątki i próbowali na nowo odbudować swoje życie. Wśród ocalonych pozostały tylko trzy kobiety i dwoje dzieci, chłopcy. Keranowie próbowali sprowadzić do wioski niewiasty ze wsi w pobliżu lasu, ale ci, którzy odważyli się tam osiedlić, dobrze strzegli domostw i dobytku, i prędzej zadaliby śmierć swoim kobietom niż skazali na poniewierkę wśród leśnych bandytów. Dlatego nierozważny strzał Worama wywołał taką wrogość, choć nikt nie odważył się otwarcie odmówić mu praw do dziewczynki.

Tak więc mała Albana została czwartą kobietą w wiosce. Dwie były niemłode, wyczerpane ciągłymi porodami i nieustającą harówką, a trzecia, Mei – uzdrowicielką, wiekową, złośliwą i mściwą. Keranowie bali się jej i unikali, jak mogli. Tylko Woram, choć zestrachany, krążył wokół jej chaty niczym dziki zwierz.

Starucha bystro wpatrywała się w siedzącego przed nią w kucki Worama, starając się



ukryć przebiegły uśmiezek. Keran zadrzał, bo nie potrafił znieść świdrującego wzroku. Żeby ukryć strach, rozglądął się po wnętrzu chaty. Ogień tłący się na niewielkim, wykopanym w ziemi i obłożonym kamieniami palenisku rzucał nikły blask, oświetlając nędzne posłanie, parę obtuczonych garnków i pęki ziół zatkniętych na splecionej z gałęzi powale. Za legowiskiem staruchy wisiała szmata skrywająca dalszą część pomieszczenia. Woram opuścił kudłaty łeb i zmełł w ustach przekleństwo. Mei odwróciła się w stronę zawieszono nad ogniem kociołka i nalała do kubka parującej cieczy.

– Mosz. Pij póki gorące.

Woram z ociąganiem przyjął naczynie z jej kościstych, drżących dłoni.

– Pij. Piołun najlepi poradzi na twoje boleści – ponagliła stara. W czarnych, wąskich szpareczkach oczu błysnęła złośliwość.

Keran jednym haustem wlał sobie do gardła zawartość glinianego kubka. Oczy wyszły mu z orbit, a gęba skrzywiła niemiłosiernie.

– Tfu! – Charknął i natychmiast poczuł na plecach twardy kostur. Mei zaśmiała się skrzekliwie, z oczu popłynęły jej łzy.

– Ty głupi – rechotała, śliniąc się przy tym obficie. – Myślisz, że nie wim, po co tu przyłazisz? Pilnujesz, czy twoja gołabeczka jest na miejscu, co? Ale nie dostaniesz ty jej, póki do lat nie dojdzie. Nie dostaniesz, powiadom ci! A jak się będziesz tu ciągiem kręcił, to ci gnaty poprzetrącom albo takiego blekotu nawarzę, że z leża nie wstaniesz i chuć ci odejdzie.

Woram zakrztusił się i splunął, wpatrzony podejrzliwie w kubek, który ciągle trzymał w dłoniach. Stara roześmiała się jeszcze głośniejsze i wyciągnęła w jego kierunku zakrzywiony szpon.

– Wynocha!

Keran zerwał się i wybiegł z chaty.

– Poszed se i prędko nie wróci – oznajmiła zadowolona z siebie Mei, ciągle trzęsąc się od wesołości.

Skrzekliwy chichot urwał się niespodziewanie, kiedy zza zasłony wysunęła się dziewczęca postać.

– Czego tak stoisz, leniwa dziewucho – burknęła. – Trza nazbierać wiency ziół tamujących krew i zgotować dekokty. Niezadługo znowuż pójda na gościniec.

Dziewczyna skinęła głową i wyszła z okrągłej chaty. Postukując laską, starucha podeszła do derki i sapiąc, ułożyła się na niewygodnym posłaniu. Męczyła się szybciej niż kiedyś, a potyczka z Woramem tylko na krótko pobudziła jej krew. Ból w stawach też dokuczał jej coraz dotkliwiej.

Obudził ją hałas. Otworzyła oczy i w półmroku zobaczyła dziewczynę pospiesznie łapiącą turlający się po ubitej ziemi kubek. Meiz trudem podniosła się z legowiska, bez słowa podeszła do kociołka i wsadziła do środka palec. Oblizwała go, mlasnęła głośno i podsunęła miskę. Dziewczyna cofnęła się w kąt, czekając, aż stara się posili. Potem zjadła resztki, wylizwała miskę do czysta i wsunęła się za zasłonę. Mei słyszała, jak układa się na swoim posłaniu. Podsyciła ostrożnie ogień i podeszła jeszcze bliżej, bo chłód dawał się jej we znaki. Siedziała z rękoma opartymi na kosturze i patrzyła w wątle płomyki.

Wizyta Worama zaniepokoiła ją. Przychodził za często. Skarzył się na różne bolączki i wodził wzrokiem po ciemnym wnętrzu, starając się wypatrzeć jej podopieczną. Parę razy spotkała go też w pobliżu domu, czającego się w krzakach.

Westchnęła i odwróciła wzrok od wygasającego ognia. Poprzez szum oplatającego dom bluszczu słyhać było odgłosy szykującego się do nocnego snu lasu. Spoza zasłony dochodził spokojny oddech śpiącej.

A co tu dziwnego, wróciła do swoich rozmyślań Mei. Woram ma do niej prawo, ona jego jest, dwa, trzy roki i do lat dojdzie. Tera jeszcze do rodzenia niezdatna, choć wysoka jest i silna. Gdyby Woram ją wziął, zamęczyłby tylko, a pożytku by z tego nijakiego dla wsi nie było.

– Przeklęty odmieniec – sarknęła i trudno było zgadnąć, czy ma na myśli Kerana czy swoją wychowankę.

Przymknęła załzawione oczy, przypominając sobie obrazy sprzed lat. Znów zobaczyła małą, cztero-, pięcioletnią dziewczynkę, która leżała na trawie przerażona i drżąca, pod okrutnym, pożądlwym wzrokiem Worama. A także Kagana, którego nie przestraszył Woram i jego przekleństwa. To on właśnie zabrał małą i przyniósł ją do Mei, zapewniając dziecku bezpieczeństwo i opiekę, najlepszą, jaką mogła mieć w tej zapomnianej wiosce. Z chaty uzdrowicielki nikt nie ośmieliłby się wykraść dziecka, co to to nie. Złośliwy uśmiech wykrzywił twarz Mei. Skóra na jej policzkach rozciągnęła się, sprawiając wrażenie gołej czaszki. Tak, kilka dziwnych wypadków przytrafiło się tu niektórym, tak, tak...

Zrazu dziewczynka wydawała się niedorozwinięta. Mijały dni, a ona nie wypowiedziała jednego słowa. Chowwała się po kątach, zasłaniała twarz, a z jej oczu nie znikał wyraz lęku. Prowadzona – szła, pozostawiona sama natychmiast siadała, kołysząc się monotownie. Niepomagały prośby, połajanki ani poszturchiwanie kosturem. A przecież stara słyszała czasem jej głos, kiedy mówiła przez sen, wzywając matkę. Mei – wściekła, ale bezradna – nieraz myślała, że najprościej byłoby ją oddać Woramowi i pozbyć się kłopotu. Jednak coś ją powstrzymywało. Może iskierka współczucia dla bezbronnej istoty, może ambicja, a może samo dziecko? Mei nie bardzo wierzyła, że mała jest nienormalna. Nazbyt wiele takich istot widywała ostatnio.

W wiosce źle się działo. Od paru lat nie przeżyła żadna, nowo narodzona dziewczynka, a dwie dorosłe kobiety nie mogły zaspokoić chuci gromady mężczyzn. Niby nie były zamężne i dawno już ustalono, że nie powinny odmawiać nikomu, ale tak naprawdę stały się niewolnicami tych, którzy przyjęli je pod swój dach. Na nieszczęście jedna ciągle mieszkała ze swoim ojcem, a ten za nic nie chciał pozwolić na przeprowadzkę. I rodziła dzieci – chłopców ze zbyt wielką głową, o wątłym ciele i oczach wytrzeszczonych w wiecznym zadziwieniu. Mei czasem ogarniał gniew tak straszny, że miała ochotę spalić tę plugawą chatę i jej mieszkańców. Hamowała ją myśl, że niedługo stary Ulf wreszcie umrze i dziewczyna odetchnie. Nic dziwnego, że Woramowi tak bardzo zależało na małej.

Ciekawe, co przywiodło matkę i córkę do tego straszego lasu. Kobieta musiała być nietutejsza, skoro nie wiedziała o jego złej sławie albo może uciekała przed kimś. Jakielwiek były przyczyny, trafiła tu z tym dziwnym dzieckiem i znalazła śmierć. Ale dziecko...

Było coś w tej małej. Choćby wygląd. Wśród ogorzałych Keranów wydawała się nienaturalnie blada, a jej czerwone włosy lśniły jak płomień. I do tego oczy. Wielkie, ocienione długimi rzęsami, w kolorze leśnego mchu. Widział kto kiedy takie? Stara wiedziała, jak małej na imię, wszak matka wołała ją w chwili śmierci, ale wołała myśleć o niej PO prostu „dziecko”, a teraz, kiedy podrosła – „dziewczyna”. Tamto imię było obce, pochodziło ze świata leżącego poza granicami lasu. Nie wymawiała go nawet w myślach. Budziło jej

sprzeciw tak samo jak słowa o nieznanym rytmie i melodii wypowiedziane przez dziewczynkę we śnie.

Dobra baba dla Worama. Będzie z nią mógł robić co chce, a ona nawet się nie poskarży, pomyślała stara, rozciągając wargi w imitacji uśmiechu. Ale przecie Mei zaplanowała dla niej inną przyszłość.

Dziewczyna miała zająć miejsce uzdrowicielki i starucha uczyła ją wszystkiego, co sarna wiedziała o ziołach i leczeniu, o odczynianiu uroków i zaklęciach wzmacniających dekokty.

Głowa opadła jej na ramiona. Zapadła w płytki, starczy sen. Z drzemki wyrwał ją żaloszny, dziecięcy głosik.

– Mamo, ja byłam grzeczna...

Mei drgnęła przestraszona. Laska wymknęła jej się z rąk i z łoskotem upadła na klepisko. Cichy szepc przeszedł w jęśliwe zawodzenie bez słów.

– Cicho być – warknęła stara. Po omacku znalazła laskę i odsunęła nią zasłonę. Powiesiła przed laty tę brudną szmatę, żeby odgrodzić swoje miejsce do spania, nie patrzeć w przerażone zielone oczy. Teraz była dodatkową ochroną przed nieustannie kręcącym się w pobliżu Woramem. Szturchnęła końcem kija rzucającą się na posłaniu dziewczynę.

– Zamknij się, głupia dziewucho – sarknęła bez złościwości. Dziewczyna zamarła na moment, a po chwili zawodzenie przeszło w krzyk.

– Nie dotykaj mnie, nieeee... Duszę się... Mamo, gdzie jesteś!? On chce mi zrobić krzywdę, ja się boję! Nie dotykaj mnie... nie dotykaj... Starucha dźwignęła się nie bez trudu i podeszła do posłania.

– To ja, Mei – zaskrzeczała prawie łagodnie. – Nie drzyj się tak. Worama tu ni ma. I nie przyjdzie...

W ciemności błysnęły białka oczu, kiedy leżąca, podniosła głowę.

– Boję się, Mei – szepnęła ledwie słyszalnie. – Tak bardzo boję się Worama. – A potem rozsłochała się na nowo.

Mei osłupiała. To były pierwsze rozumne zdania, jakie dziewczyna wypowiedziała od początku swego pobytu w wiosce. Ponownie szturchnęła ją laską.

– Dobra, dobra... Pókim żywa, Woram cię nie dostanie. A tera śpij. Opuściła zasłonę i cofnęła się do swojej części izby. Długo jeschekręciła się pod derką, nie mogąc zasnąć.

Na gościńcu bujnie rozpleniła się trawa i trudno było uwierzyć, że to najkrótsza droga prowadząca z nadmorskiej prowincji Bresania do Loenu, stolicy królestwa. A przecie nie zawsze tak się działo. Kiedyś wyrąbanego przez gęsty las traktu strzegli królewscy żołnierze, a podróżni bezpiecznie podążali nim z zachodu na wschód. Karawany kupieckie i zwykli wędrowcy po opłaceniu myta mogli liczyć na ochronę, zajazdy usytuowane na polanach zapraszały do odpoczynku, a podróż, choć długa, była wygodna. Zdarzały się łupieżcze napady, ale wojsko skutecznie zniechęcało bandytów. Teraz gospody były porastającymi trawą ruinami, a żołnierze unikali Starego Traktu tak samo jak inni. Kupcy woleli nadłożyć drogi i jechać przez Dardall, korzystając z ochrony tamtejszego gubernatora, bo na leśnej drodze panowali Keranowie. Dlatego, jeśli pośpiech zmusił kogoś do przemierzenia lasu, ciągnął w większej gromadzie lub pod ochroną wynajętej eskorty.

Ta grupa była inna. Dwa wozy jechały powoli, żłobiąc głębokie koleiny, wokół nich zaś zamiast zbieraniny podróżnych, karnie ciągnęli królewscy gwardziści. Mimo ryzyka, jakie niosła ze sobą bitwa z dobrze wyszkolonymi żołnierzami, Keranowie podjęli decyzję o napści.

Bandyeci umyślili zacząć się w pobliżu wschodniego krańca lasu i zaatakować na ostatnim popasie. Polana, na której winni zatrzymać się podróżni, była spora, tuż obok płynął strumień, wydawała się więc idealnym miejscem na odpoczynek. Zawczasu przygotowano stos suchych gałęzi do rozpalenia ognia, które Mei nasączyła usypiającym narkotykiem. Gdyby jednak karawana zdecydowała się jechać dalej, zwalono opodal kilka drzew, tarasując drogę. Łupieżcy, niewidoczni, zalegli w chaszczach, w każdej chwili gotowi do napadu. Musieli jednak długo czekać. Oddział posuwał się powoli i była już ciemna noc, kiedy przejechał obok. Rozczarowani Keranowie gotowali się już do opuszczenia swoich stanowisk i przejścia do zapory na trakcie, kiedy nagle jeźdźcy zatrzymali się, a wozy zawróciły. Widać całodzienna podróż wystarczająco zmęczyła i ludzi, i zwierzęta. Żołnierze wyprzęgli konie, spętali je luźno i pozwolili paść się swobodnie. Wystawiono warty, zapłonęły ogniska, a z garnków zaczął unosić się smakowity zapach. Kiedy znużonych podróżnych zmorzył sen, nastąpił atak. Grabieżcy wypełzli z krzaków bezszelestni jak cienie, poderżnęli gardła drzemiącym wartownikom, wygasili ogień i rzucili się na śpiących. Rozgorzała walka. Otepiali od narkotyku ludzie ginęli niczym bydło pod bandyckimi nożami. Mało kto miał świadomość tego, co się dzieje. Polana spłynęła krwią, a mordercy przystąpili do obdzierania trupów.

To Kagan odkrył, że z masakry ocalało dwoje ludzi. Ukryci w wozie pod grubą warstwą kosztownego płaszcza, patrzyli przerażonym oczyma na umarzanego we krwi pół zwierza, pół człowieka. Upojon mordem Keran wstrzymał sztych, kiedy dostrzegł dziecięcą twarzyczkę. Zamrugał nerwowo, schował broń i zrzucił ich brutalnie z wozu. Wyciągniętym skądś sznurem skrępował ciasno, a potem wrócił do furgonu. Środek drewnianej platformy zajmowało posłanie wyściełane miękkimi, dobrze wyprawionymi skórami. Pod ścianami ułożono ciężkie, obite żelazem kufry. Niektóre pełne były ksiąg, inne zawierały kosztowne stroje. Kagan zasapał się mocno, nim udało mu się roztrzaskać wieka dwóch mniejszych skrzynek, lecz jego trud nie poszedł na marne. Mniejsza kaseta po brzegi wypełniona była złoto i srebrem. Zanurzył w nich dłonie i większą część przesypał do sakwy zwisającej mu z ramienia. Drugi kuferek zawierał sam papiery. Niektóre karty leżały luźno, inne zwinięte zostały w rulony i opatrzone pieczęciami. Chwilę marszczył czoło, oceniając przydatność znaleziska i wreszcie całą zawartość skrzynki upchnął w swojej torbie, potrząsając nią energicznie. Z zadowoleniem skinął głową, kiedy stwierdził, że warstwa pergaminów stłumiła metaliczny dźwięk. Wreszcie wziął pod pachę skrzynkę z resztką monet i zeskoczył z wozu. Na ziemi piętrzyły się jego łupy. Związał je byle jak w dwa duże toboły i zarzucił na konia, którego zabrał wcześniej. Kiedy skończył, odwrócił się i spojrzał na polanę. Słońce już rozpoczęło swoją codzienną wędrówkę, oświetlając pobojowisko. Wszędzie wały się trupy zamordowanych żołnierzy. Mdlący odór krwi mieszał się z wonią ziołowej mieszanki Mei. Keranowie rabowali zwłoki, nie zważając na zapach ani na walające się porąbane ludzkie szczątki. Najcenniejszą zdobyczą była broń. Miecze, tarcze, sztylety i zdarte z trupów kolcze zbroje ładowano na końskie grzbiety, nie gardzono także zawartością sakiewek. Jeńcy Kagana patrzyli na to z obrzydzeniem. Dziecko raz po raz zamykało oczy. Jego towarzysz, odziany w długą kapłańską szatę, przyjmował wszystko spokojnie, ale i on nie mógł pohamować odrazy.

Kiedy nie zostało już nic do zabrania, szybko uprzątnięto polanę i rozebrano na części wozy. Tylko zgniecioną, zabarwioną krwią traw świadczyła o niedawnej tragedii.

Wioskowy plac wypełniał się powoli. Kobiety, dwójka usmarkanych odmieńców i stary, śliniący się Ulf pochylali się nad tobołami, szacowali wartość łupów, oglądając zdobycz. Kagan, który prowadził swoich jeńców na długim powrozie, przepchnął się pomiędzy

podeksycytowanymi ludźmi i przywiązał więźniów do drzewa, a dwa jajogłowe debilki zainteresowane nowym widowiskiem podeszły bliżej. Gapiły się bezmyślnie wytrzeszczonymi oczami, jak niewiele większe od nich dziecko szamoce się w ciasnych więzach, dotykały aksamitnego ubrania, szarpały za koronki mankietów i kołnierza. Z rozkołysanej wiatrem gałęzi spadła szyszka i uderzyła wprost w czubek głowy dorosłego. To rozbawiło braci. Każdy podniósł po ościstym pocisku i cisnął w jeńców. Rzucali tak i rzucali, póki nie zabrakło szyszek, potem któryś znalazł spory kamień. Trafił prosto w twarz dziecka. Z rozciętego czoła pociekł strumyczek krwi. Przyglądający się zabawie dorośli zarechotali z uciechą.

Wieczór w osadzie był radosny i hałaśliwy. Wśród łupów nie brakowało jadła i napitków. Delikatne suchary, suszone mięso, solone ryby i owoce o egzotycznym smaku rozłożono na trawie obok bukłaków pełnych mocnej wódki i piwa. Keranowie rozsiedli się dookoła, jedząc i pijąc bez umiaru. Kobiety grzebały w stosie ubrań, głaskały, kosztowne futra i mięły w rękach delikatną materię koszul.

O Mei i jej wychowance pamiętał tylko Kagan. Zjawił się w odosobnionej chacie tuż przed zmrokiem z ciepłym płaszczem, parą wojskowych racji i gorzałką. Mei wysłuchała opowiadania, łyknęła wódki i opatulili się nakryciem. Dała Kaganowi zawiniątko leczniczych ziół i prawie wypchnęła z chaty. Po chwili wysłała też dziewczynę, żeby narwała świeżych roślin. Kiedy została sama, łapczywie sięgnęła po jedzenie. Moczyła suchary w wódce i jadła jednego po drugim, odcięła też pasek twardego jak łyko mięsa, wsadziła do ust i mielila zawzięcie dwoma spróchniałymi zębami. Swojej towarzysze nie zostawiła prawie nic. Wreszcie położyła się, ciągle mamlając mięso.

Dziewczyna krążyła po lesie, zbierając zioła, choć na myśl o jedzeniu w chacie ścisnęło ją w dołku. Rzadko jadły mięso, bo nie była wprawnym myśliwym, a ludzie z wioski nie martwili się o ich posiłki – Choć Kagan podrzucał im coś czasem, to uczucie głodu nie opuszczało jej nigdy.

Łachman, który kiedyś był spódnicą, zaczepił o ciernie. Schyliła się i wtedy usłyszała trzask. Zamarła w bezruchu, czując ogarniającą ją przerażenie. Takie trzaski prześladowały ją często, tak samo jak natarczywe spojrzenia, które czuła na plecach. Domyślała się, że te Woram i drżała ze strachu. Teraz jednak było inaczej. Ten, kto szedł leśną ścieżką, nie dbał o zachowanie ciszy. Zaciekawiona ostrożnie wyjrzała zza cierniowego krzaka. Zadzierając głowę do góry i uważnie przypatrując się wierzchołkom drzew, Keran zmierzał w kierunku kolczastych zarośli. Wreszcie przystanął parę kroków od jej mizernej kryjówki, podrapał się po kudłatej głowie, splunął na ręce i zaczął sit wspinać na drzewo. Wykorzystując, że był odwrócony do niej tyłem dziewczyna cofnęła się i wpełzła pod bujnie rozkrzewione paprocie. Jej brudny strój zlał się w jedno z gęstym poszyciem.

Keran zatrzymał się w połowie pnia, znalazł oparcie na gałęzi. Wsadził rękę do wypatrzonej z dołu dziupli, wygarniając próchnicę i drobne gałązki. Widocznie była wystarczająco głęboka, bo ostrożna balansując, zdjął z ramienia torbę i wrzucił ją do środka. Potem ześliznął się zręcznie i ruszył ku wiosce.

Minęło dużo czasu, nim dziewczyna odważyła się wychylić ze swojej kryjówki. Kiedy upewniła się, że żaden obcy dźwięk nie zakłóca zwykłej melodii lasu, wpełzła spod paproci i wyprostowała zdrętwiałe, napięte członki. W ręku ciągle ścisnęła zebrane rośliny. Niepewnie podeszła do drzewa, na które wcześniej wspinał się Kagan i popatrzyła w górę. Odłożyła zioła, podkasała spódnicę i mocno obejmując pień, zaczęła piąć się w górę. Trochę się zadyszała, nim stanęła na właściwej gałęzi. Bez namysłu sięgnęła w głąb dziupli i wyjęła

sakwę. Ostrożnie usiadła na grubym konarze i zaczęła grzebać w torbie. Miała nadzieję, że Keran ukrył tam zapasy jedzenia. Szeleszczący zwój ozdobiony dwiema łąkowymi pieczęciami na sznureczku nie przedstawiał dla niej żadnej wartości, podobnie jak i połyskujące w zachodzącym słońcu krążki metalu, które pobrzękiwały cicho na dnie sakwy. Wsadziła jeden do ust i ugryzła, tak jak podpatrzyła u handlarzy. Skrzywiła się, kiedy poczuła jego twardość i metaliczny smak. Splunęła, odłożyła pieniądz i zwój do torby i upchnęła wszystko z powrotem w dziupli. Zdzierając sobie skórę na rękach, zeszła szybko na dół, odszukała zwiędnięte zioła i pobiegła do chaty. W brzuchu burczało jej z głodu.

Starucha spała, chrapiąc głośno. Kawałek mięsa wyleciał jej z ust plamiąc płaszcz. Dziewczyna dołożyła do ognia, starannie zebrała okruchy sucharów i resztki suszonych owoców. Trzymała je w ustach, by jak najdłużej cieszyć się ich lepką słodyczą, wysączyła z bukłaka ostatek wódki. Pasek suszonego mięsa schowała do misy i przykryła kamieniem. Jakiś czas siedziała skulona, obejmując dłońmi kolana, wsłuchana w chrapanie Mei. Wreszcie wstała i cicho wyszła z chaty.

Las nawet za dnia wydawał się mroczny, bo wysokie drzewa rzadko przepuszczały promienie słońca. Nocą był samą ciemnością, ale dziewczyna bez trudu odnajdywała drogę. Dochodzący z polany gwar sprawił, że odczuła swoją samotność bardziej niż kiedykolwiek. Obrazy z poprzedniego życia wracały do niej czasem w snach, dręczyły, nie pozwalały pogodzić się z otaczającym ją światem. Lęk przed Keranami nie ustępował. Bała się okrucieństwa i pożądlivosti wyzierających z ich spojrzeń, dlatego też rzadko pokazywała się we wsi. Dziś ciekawość i pragnienie przebywania wśród innych wyгнаło ją z chaty. Było tak silne, że pokonało strach. Podkraśniała się do linii drzew okalających plac, ułożyła na ziemi i patrzyła.

Płomienie strzelały wysoko. Mieszkańcy wioski rozsiedli się wokół ogniska. Chociaż rozlokowali się blisko siebie, krzyczeli tak głośno, że dziewczyna słyszała każde słowo. Mieli czerwone twarze i rozbiegane oczy. Z rąk do rąk podawali sobie bukłaki. Po odorze poznała, że to ta sama gorzałka, którą popijała Mei. Z ziemi podniósł się Woram. Wymachiwał beładnie rękami i wrzeszczał.

– Po co nam uni! Własnych gąb do wyżywienia mamy za dużo. Zabić ich!

– Zabić! Zabić ich!!! – poparli go niektórzy. Przysypiający Kagan ocknął się gwałtownie.

– Gównu wom... – czknał głośno. – Gównu wom do tego – wybełkotał. – Są moi, a jak zbraknie jedzenia, to ich zeżre. – Głowa kiwała mu się na wszystkie strony. – Som, nikomu nie dom. Som ich zjem – mamrotał niewyraźnie.

Keranowie gruchnęli ochryplym, pijackim śmiechem. Tylko Woram się nie śmiał. Chwiejnym krokiem podszedł do jeńców i chwycił jednego z nich za włosy. Kiedy wrócił do ognia, na twarzy majaczył mu obleśny grymas. Ktoś dorzucił dREW do ognia i dziewczynazobaczyła wyraz jego oczu. Skuliła się jeszcze bardziej, a ciało przeszył dreszcz. Ten wzrok prześladował ją nawet w snach.

Długo jeszcze leżała ukryta na skraju polany, obserwując ogniska i zasypiających mężczyzn. W końcu jedynym dźwiękiem, który słyszała, było chrapanie. Potem na placu zjawily się kobiety i zasmarkane dzieciaki, a ona znów przycupnęła w krzakach. Nowi przybysze cicho weszli pomiędzy śpiących, zebrali resztki jedzenia i jak cię nie zniknęli w chatach. Teraz mogła się już bezpiecznie wycofać, alt zamiast tego, kryjąc się ciągle między drzewami, przemknęła w kierunku jeńców.

Ogień wygaszał powoli, ale nawet w tym słabym świetle dostrzegła przywiązaną do pnia

sylwetkę. Nagle zabrakło jej tchu. Dziecko! Te było dziecko! Zacisnęła powieki, a brudne dłonie zwinęła w pięści Dziecko! Powoli otworzyła oczy i na powrót zaczęła oddychać. Patrzyła na delikatną twarz poznaczoną smugami zaskorupiałej krwi, wielkie przerażone oczy, długie loki, potargane i pełne gałązek. I na dłonie, które spływały krwią z przeciętych grubymi sznurami nadgarstków. Spojrzała na własne ręce o skórze zgrubiałej od ciężkiej pracy, pełne odcisków i blizn. Dotknęła włosów, które dawno straciły niezwykły kolor i poszarzały od brudu. Przypomniała sobie okrutny błysk w oczach Worama... Nie dbając, że jest widoczna na tle ognia, podeszła do drzewa. Dziecko przestraszone jej nieoczekiwanym pojawieniem szarpnęło się w więzach, otwarło usta do krzyku. Dziewczyna bezceremonialnie zatkała je ręką.

– Nie drzyj się – szepnęła. – Nic ci nie zrobię.

– Zostaw go.

Głos był tak nieoczekiwany, że aż podskoczyła. Zapomniała o drugim więźniu przywiązany po przeciwnej stronie pnia. Obeszła drzewo, spojrzała na jeńca i otworzyła usta ze zdumienia. W mroku majaczyła naga czaszka i blada twarz pozbawiona brwi. Mężczyzna odziany w długą, ciemną szatę był tak nierzeczywisty, że wyciągnęła dłoń i dotknęła łysej głowy. Wzdrygnął się, oczy zalśniły mu niebezpiecznie a na twarzy odmalował się wyraz obrzydzenia. Szybko cofnęła rękę.

– Czego chcesz, dzikusie? – wysyczał.

Dziecko znów targnęło się w więzach i to przywróciło ją do rzeczywistości. Pomacała ręką wzdłuż sznura, którym obydwójce byli przywiązani i natrafiła na supły. Pochyliła się i pomagając sobie zębami, rozwiązała węzły.

– Chodźta, zanim się obudzom – rzuciła ochryple.

Dziecko oparte o drzewo rozcierało ręce. Łysy mężczyzna chwycił ją kościstą dłonią za ramię ze zdumiewającą siłą.

– Dokąd mamy iść? – spytał.

– Wyprowadzę was na trakt, durniu – warknęła.

Jakby cień uśmiechu przewinął się po ubrudzonej twarzy dziecka.

– To kapłan, dostojny Zebon. Nie można do niego w mówić taki sposób – pouczyło ją.

– Idzieta, czy ni? – zdenerwowała się.

Marsz przez pogrążony w ciemnościach las był dla uciekinierów udręką. Bez ustanku potykali się o wystające korzenie, kaleczyli o gałęzie, wpadali na drzewa. W końcu dziewczyna wzięła dziecko, posadziła sobie na plecach i podjęła mozolną wędrówkę. W pewnej chwili zatrzymała się tak gwałtownie, że podążający z tyłu kapłan zatoczył się wprost na nią. Nie zwróciła na to uwagi.

– Chłopok – mruknęła z goryczą.

– Co mówisz? – Mały przysunął twarz do jej głowy, ale natychmiast się cofnął. – Fuj, ale cuchniesz.

– Cuchnę? – Zdziwiła się burkliwie. – Nie twój interes, gówniarzu! Trza cię było zostawić Woramowi, wiesz?

– Wdzięczni jesteśmy za pomoc – zmitygował się chłopiec. – Ale powinieneś się umyć.

– Zamknijże się wreszcie – sarknęła rozzłoszczona, ściskając kolana małego tak mocno, że pisnął z bólu.

Kapłan podążał za nimi bez słowa, dziewczyna słyszała tylko jego ciężki oddech za plecami. Kiedy wreszcie wyszli na trakt, była tak zmęczona, że z ulgą rzuciła chłopca z

pleców i opadła na trawę, kuląc ramiona. Mężczyzna stał obok, ciężko dysząc. Kiedy odpoczęła, Machnęła ręką w kierunku wschodu słońca.

– Trza wam iść tamoj. Kerany gadają, że do wyjścia z lasu ino dzień drogi.

Mnich skinął głową i wziął chłopca za rękę, ale mały wyrwał mu się i podszedł do niej.

– Dziękuję – powiedział i wyciągnął rękę. Spojrzał na kapłana i dodał: – Zebon też ci dziękuje. Jak masz na imię?

Spojrzała niepewnie na drobną dziecięcą dłoń i z wahaniem podała swoją. Chłopiec uściskał ją lekko, a ona cofnęła się, jakby ją to zabolalo.

– Idźta już, zara się rozwidni – szepnęła szorstko.

Mały odszedł i stanął przy mężczyźnie. Zrobili kilka kroków, kiedy znów zawrócił. Zdjął coś z szyi i wcisnął jej do rąk.

– Masz, na pamiątkę.

Wstała niezgrabnie i patrzyła, jak odchodzą, teraz już naprawdę. Oczy jej zwilgotniały, więc otarła je niecierpliwie.

– Mię na imię Albana – powiedziała zbyt cicho, aby ktoś mógł ją usłyszeć. Poczekała, aż zginą w mroku, a potem zawróciła do lasu.

Było już widno, kiedy dotarła do chaty. Stara Mei jeszcze spała. Starając się nie robić hałasu, dziewczyna rozpałiła ogień i przyniosła wody. Kiedy starucha wstała, w kociołku bulgotała zupa.

Mei obudziła się w złym humorze. Bolała ją głowa, a w gardle paliło. Wypiła kilka łyków wody i pochyliła się nad kociołkiem. Zapach jedzenia przyprawił ją o mdłości, wyszła więc na zewnątrz. Dzień był nieprzyjemny, parny. Liści nie poruszał najśłabszy nawet powiew wiatru, a między drzewami było ciemniej niż zwykle. Cofnęła się do chaty i szturchnęła zasłone laską.

– Idę do wioski – zaskrzeczała.

To Woram pierwszy zauważył brak jeńców. Wyszczерzył zęby i kopnął śpiącego jeszcze Kagana.

– Twoje zapasy znikły – zarechotał. – A może jużes ich zjod, co?! Ci, którzy pamiętali ich wieczorną kłótnię, ryknęli śmiechem.

Kagan, trzymając się za głowę, podniósł się powoli.

– Pić mi się chce – wymamrotał.

Znalazł w trawie bukłak, przytknął do ust i pociągnął parę solidnych łyków. Oczy wyszły mu z orbit i gwałtownie zwymiotował. Keranowie pokładali się ze śmiechu. Woram patrzył na niego ze złośliwym błyskiem w oczach.

– Pewnie ten łysy mu zaszkodził. Żylasty był! – ryknął.

Kagan trochę oprzytomniał. Blady, na trzęsących się nogach zwrócił się w stronę Worama.

– O czym ty godosz? Ni cholery nie rozumiem.

– O twoich jeńcach, durniu. Ni ma ich.

Kagan spojrzał na drzewo, do którego przywiązani byli więźniowie.

– Ni ma ich? Coś z nimi zrobił, gadzie? – wrzasnął. Woram groźnie błysnął zębami.

– Nic, kurdupłu. Znikli, ot tak – pstryknął palcami – byli i ni ma.

Kagan rzucił mu się do gardła. Po chwili obaj tarzali się po trawie, okładając się pięściami. Keranowie otoczyli ich kołem uradowani z widowiska. Woram szybko zdobył przewagę. Siadł okrakiem na przeciwniku, w rękę błysnął mu nóż.

– No, gnoju, co tera? Wydlubiemy oko czy odetniemy ucho? A może to? – przyłożył ostrze



do krocza leżącego. – I tak nie mosz z tego żodnego pożytku! – ryknął.

Niespodziewanie na jego plecy spadł grad ciosów.

– Ostaw go – skrzeczała Mei, okładając Worama kosturem. – Puść go zara, ty głupku!

Kagan, wykorzystując zaskoczenie Worama, wysliznął się spod niego i stanął, patrząc spode łba. Woram odsunął się od starej, ale choć uderzenia jej kija nie były już tak mocne jak ongiś, nie odważył się podnieść na nią ręki.

– Czego ty? – warknął, rzucając Mei złe spojrzenie. – Un zaczął... Ja mu jeszcze kulasy poprzetrącom.

– Dałbyś pokój – wtrącił się ktoś. – Wygrołeś. My wszyscy widzieli, nie? Keranowie przytaknęli. Mei tak długo świdrowała Worama wzrokiem, aż ten schował nóż. Potem odwróciła się do Kagana.

– Gdzie ci jeńcy? Obejrzyć ich chciałam.

– Tam byli, ale znikli – burknął Keran.

– Uciekli, znaczy?

Kagan wzruszył ramionami i podszedł do drzewa. Podniósł sznur, który ciągle tam leżał i obejrzał go dokładnie.

– Musi byli za słabo związani.

– Szukał ich będziesz?

Kagan znów wzruszył ramionami.

– Iii, nie warto. Albo zblądzili, albo coś ich zeżre. Stara kiwnęła głową.

– Kłopot z głowy. – Pogroziła laską Woramowi i odeszła.

Albana siedziała na kamieniu przed chatą i oglądała swój podarek, wisior na długim łańcuchu. Łańcuszek z drobnych kółek kolorem przypominał pieniądze, które Kagan ukrył w dziupli. Zawieszony kamień połyskiwał zielenią. Wyrzeźbiono na nim jakiś kształt, ale pochmurny dzień nie pozwalał dokładnie przyjrzeć się reliefowi, wodziła więc tylko palcami jak ślepiec po wypukłościach kamienia. To była najpiękniejsza rzecz, jaką miała. Jedyna rzecz, jaką miała, bo nawet łachmany na grzbiecie stanowiły własność Mei. Włożyła łańcuch na szyję i schowała pod bluzkę, czując chłód kamienia na piersiach.

Weszła do chaty, zjadła dwie miski zupy, a do kociołka dołała wody. Zadowolona przykucnęła obok legowiska staruchy i nieśmiało dotknęła płaszcza, a potem założyła na siebie. Był piękny: od spodu podbity delikatnym w dotyku, grubym futrem, z wierzchu pokryty materia w kolorze dojrzałych malin. Zdjęta okrycie i ułożyła starannie na łóżku. Na kosztownym materiale wyraźnie odznaczał się ślad po wyplutym kawałku mięsa, tworząc brunatną smugę. Dziewczyna z żalem pomyślała, że soczysta barwa wkrótce zszarzeje, a piękne okrycie zrobi się takie samo jak reszta ich odzieży. To przywiodło jej na myśl słowa dziecka. Obwąchała się nieufnie, ale nic nie poczuła. Wzruszyła ramionami i wróciła do codziennych zajęć.

Wieczorem rozpętała się burza. Światło błyskawic docierało do chat poprzez zarośnięte bluszczem ściany. Grzmoty dudniły niesamowitym echem, deszcz ściekał po pniach wprost do domostw, gasząc paleniska. Ludzie kulili się w prymitywnym strachu. Burza krążyła nad lasem przyciągana przez strzeliste drzewa. Słyszać było trzaski walących się pni. Przewracające się olbrzymy pociągały za sobą następne. Nad ranem nawałnica ucichła, a ulewa zamieniła się w mżący leniwie deszcz. Przestraszeni Keranowie wyglądali na świat niepewni, co zobaczą.

Chata Mei była w opłakanym stanie. Nie naprawiana od dawna trzymała się wokół drzewa tylko dzięki porastającym ją pnączom. Resztki darni, którą obłożona została część

przylegająca do pnia, wypłukał deszcz. Poszarpany przez wiatr bluszcz odkrywał pokaźne dziury.

Starucha i dziewczyna przetrwały przycupnięte na zalanym wodą, rozmiętym klepisku. Kiedy minęła noc, Mei wypchnęła swoją towarzyszkę, by oceniła szkody. Albana wypełzła na zewnątrz i rozejrzała się z trwogą, ale i ciekawością. Na ziemi leżały połamane gałęzie, a stracone liście tworzyły przedziwny kobierzec. Piorun, który słyssały tak blisko, zwałił drzewo rosnące tuż obok domostwa. Na szczęście upadło tak, że nie zagroziło ich schronieniu.

Siąpiący ciągle deszcz sprawił, że odzienie dziewczyny przykleiło się do ciała, z włosów kapała woda, a drobne kropelki drżały na rzęsach. Zniecierpliwiona Mei też zdecydowała się wyrzeć na świat, ciągnąc za sobą długie poły płaszcza. Albana zawróciła w stronę chaty. Stara pokiwała na nią skręconym od reumatyzmu brudnym paluchem, a potem gwałtownym ruchem wydobyła widoczny pod mokrą koszulą naszyjnik.

– Skąd to mosz, hę? Od kogo dostałaś, od Kagana? – Nieodłączna laska szturchała boleśnie. – No godej!

Dziewczyna spuściła głowę i nawet się nie usunęła przed razami kija. Rozwścieczona Mei szarpnęła za wisior. Metalowe kółka zraniły boleśnie skórę, odsłaniając jednocześnie lewą pierś Albany. Starucha syknęła i wypuściła medalion. Wpatrzyła się w widoczne na piersi znamię. Wiedziała, że jej wychowanka je ma, ale wcześniej było tylko niekształtną, ciemniejszą plamą na delikatnej skórze dziecka. Przez lata zmieniło kształt i barwę, tworząc obraz złotego smoka o długiej szyi i rozłożonych skrzydłach. Wydawało się, że porusza nimi w rytm oddechu.

– Smocze nasienie, tfu! – Splunęła z odrazą za lewe ramię, splatając palce w znak odczyniający urok. – Ty żeś uwolniła jeńców Kagana, ni?

Dziewczyna skinęła głową, zasłaniając jednocześnie drżącymi rękami pierś i chowając naszyjnik pod ubranie.

– Wyprowadziłam ich na trakt – szepnęła. – Chłopok mi to dół.

– Chłopok?

– Tak, Mei, chłopok. Całkiem mały, jeszcze dziecko. Ja musiała... Musiałam mu pomóc, Mei.

Starucha kiwnęła głową, nagle zobojętniała.

– Gąb do wykarmienia u nos dosyc. Dobrze, żeś się ich pozbyła. Tera bier się wreszcie do roboty, leniu. Trza to wszystko do porządku doprowadzić. Ruszaj się, niezdaro! – pogoniła. – A tego nie pokazuj nikomu.

Albana ruszyła do chaty, zastanawiając się, czy stara miała na myśli naszyjnik czy smocze znamię.

Monety ze skrzynki znalezionej przez Kagana, broń i zbytkowna odzież wystarczyły, by Keranowie mogli uzupełnić zapasy, kupić odzienia, derki i najpotrzebniejsze sprzęty. W domostwie Mei również przybyło parę nowych rzeczy, a Kagan połatał zniszczoną w czasie burzy chatę. Życie stało się trochę łatwiejsze.

Ze zdobytych łupów Keranowie pozostawili sobie tym razem kilka koni. Nie potrafili ocenić ich wartości ani urody, nie umieli się z ni mi obchodzić, ale uznali, że przydadzą się do ścigania podróżnych. Przyzwyczajone do ludzi zwierzęta, pały się swobodnie wokół wioski. Mieszkańcy nie poświęcali im wiele uwagi, jedynie Kagan podsuwał czasem pod miękkie chrapy porcję owsa i poklepywał grzbiety.

Konie zauroczyły Albanę. Podziwiała łagodne, ocienione długimi rzęsami oczy, gładką

sierść, harmonijne sylwetki. Podglądała z ukrycia, jak pasły się, strzygąc czujnie uszami, a z czasem ośmieliła się na tyle, by podejść i dotknąć aksamitnych pysków. Przemawiała do nich łagodnie i cichutko, a one kładły jej na ramieniu wielkie głowy, łaskocząc grzywami. W jednej z takich chwili naszedł ją Kagan i słuchał zdumiony chrapliwego głosu. Ukryty w krzakach obserwował dziewczynę z ciekawością, która tłumiła nawet żądzą. Wychowanka Mei nie była piękna. Miała wysoką, kanciastą sylwetkę, wąską twarz okoloną szopą włosów, z połyskującymi gdzieniegdzie rudymi pasmami, i jasne zielone oczy, które raziły nienaturalną barwą na tle ogorzałej, spalonej słońcem i wiatrem skóry. Odszedł, nim go zauważyła, ale odtąd jej wizerunek prześladował go w snach.

W ciągu upalnego lata i oszłamiającej kolorami jesieni widywał ją czasami, a kiedy nastawała zima, coraz częściej zachodził do domostwa Mei. Zostawiał upolowanego królika, uszczelniał chatę mchem albo strugał strzały. Dziewczyna nie pokazywała się nigdy, ale z poruszeń zasłony czy stłumionego oddechu wiedział, że jest blisko. To podsycało jego żądzę i umacniało w przekonaniu, że powinna należeć do niego, nie do Worama.

Starucha szczerzyła w domyślnym uśmiechu dwa spróchniałe zęby, przyjmowała podarki i nie odmawiała gorzałki. Kagan był pewny jej przychylności. Czuł też narastającą nienawiść Worama i dreszcz strachu przelatywał mu po krzyżu, kiedy dostrzegał jego złe spojrzenie.

Mei za długo zajmowała się leczeniem, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że umiera. Wyczerpała ją ciężka zima i głodowy przednówek. Schorowane ciało odmawiało posłuszeństwa, a krążenia nie pobudzała nawet mocna gorzałka Kagana. Dziewczyna poila ją ziołami, ale obydwie wiedziały, że stara nie dożyje lata.

Teraz, kiedy nadchodził kres jej życia., główną troską Mei była przyszłość Albany. Stara była pewna, że dziewczyna nie powinna wpaść w łapy Worama, dlatego wezwała tego, który potrafił zasłużyć sobie na odrobinę jej wdzięczności.

Kiedy Kagan zjawiał się w chacie, znachorka nie wstawiała już od wielu dni. Siły opuszczały ją szybko, przestała jeść. W ciemnościach, ledwie rozjaśnionych żarem z paleniska, zdawało się, że na posłaniu leży kupka trzęsących się gałąnów. Pochylona nad kociołkiem dziewczyna warzyła wzmacniającą miksturę, której duszący aromat unosił się w powietrzu i wypełniał całe pomieszczenie. Po raz pierwszy nie uciekła na widok Kagana. Odwróciła tylko twarz, ale Keran i tak dostrzegł łzy na policzkach.

– Bardzo z nią źle? – zapytał.

– Nie pożyje już długo – rozległ się starczy, drżący szept. – Podejdźże tu, chłopcze...

Zbliżył się do legowiska, z trudem odnajdując wzrokiem twarz Mei wśród okrywających ją szmat. Przyklęknął.

– Ty też, dziewczyno.

Albana zdjęła z ognia kociołek z wywarem, przelała go do kubka i przycupnęła obok Kagana. Ostrożnie napoiła starą, odstawiła naczynie i delikatnie otarła bezkrwiste wargi. Mei przymknęła powieki i oddychała ciężko, zbierając siły, czekając, aż gorący napój ożywi choć trochę schorowane ciało i umysł.

– Ty jeden z całej wsi troszczył się o mnie i o nią – wyszeptwała wreszcie. – Dlatego ty ją dostaniesz, nie Woram. Będiesz dla niej dobry, nie tak jak to bydle... Ale uważaj, on łatwo nie ustąpi. Musicie uciekać...

Oddech przeszedł w rżenie, a ciało zaczęło drgać. Z ust popłynęła ślina. Dziewczyna sięgnęła po kubek i ponownie przytknęła go do ust starej.

– ...mus wam uciekać, inaczej was zabije – mamrotała Mei ledwie słyszalnie. – Un nie

podaruje swojego, a wioska i tak wymrze, ni ma kobit, ni ma ratunku... obiecej mi...

– Zajmę się nią, Mei – wyjąkał Kagan. – Ale uciekać?

– Głupiś – syknęła słabo stara. – Woram cię zabije, a ją zamęczy na śmierć. Póki ja żyje, nie odważy się tu przyjść, ale niech tylko zamknę oczy... Mus wam wyjechać jeszcze dzisiaj w nocy...

Ten wybuch tak ją osłabił, że straciła przytomność. Dziewczyna rozplakała się głośno, a Kagan zawzięcie drapał się po głowie.

– Może jako wioska nas przygarnie... i trochę grosza tyż się znajdzie.

– Nie zostawię jej.

– Una nie dożyje do rana, może kipnąć już zara.

– Nie zostawię jej – powtórzyła uparcie dziewczyna.

– Ty głupia, jej wszystko jedno, czy umrze sama, czy nie. A Woram tylko czeko, aż Mei zdechnie. Łazi tu bez przestanku, nawet jak tu szłem, tom go widzioł. Jak mamy uciekać, to tylko dzisiaj w nocy.

Dziewczyna spuściła oczy. W rękę mięła kawałek koca z posłania starej. Wreszcie bezradnie skinęła głową.

– Gotuj się do drogi, kobito. Przyjdę tu z wieczora – mruknął Kagan. Podniósł się z klęczek i wyszedł.

Resztę dnia Albana spędziła na pakowaniu dobytku. Nie było tego dużo: kociołek, dwie miski, śmierdzący wódką bukłak, zmiana ubrania, derka stara i dziurawa, bo ta lepsza leżała na posłaniu Mei, woreczek z krzesiwem i drobno roztartą korą i cały zestaw ziół. Kiedy związała wszystko w skromny tobołek, w chacie nie pozostało nic. Była już gotowa, a do wieczora pozostawało jeszcze sporo czasu, usiadła więc przy starej i wzięła w dłonie wychudłą, kościstą rękę.

Zapadł zmrok. Mei nie odzyskiwała przytomności, ale ciągle słychać było jej coraz słabszy, świszczący oddech. Albana wyszła przed chatę, wyprostowała zgarbione plecy i rozejrzała się czujnie. Po zaduchu panującym wewnątrz chłodne wieczorne powietrze ostudziło rozpalone policzki, pozwoliło odetchnąć głębiej i pozbyć się z płucobrzydliwego fetoru. Zdawało jej się, że usłyszała gdzieś niedaleko stłumiony krzyk. Zerknęła na starą, ale ta leżała nieruchomo. Oczekiwanie dłużyło się niezmiernie.

Nie wytrzymom tu, pomyślała wreszcie. Wyjdę mu naprzeciw.

Zagłębiła się w las. Szła w stronę wioski, ale widać pobłądziła ze zdenerwowania, bo nieoczekiwanie znalazła się w pobliżu drzewa, w którym Kagan ukrył kiedyś swoje łupy. Usiadła pod nim oparta plecami o pień. Serce waliło jej jak oszalałe. Las wydawał się wyjątkowo mroczny, cichy i groźny. Żeby choć na chwilę uwolnić się od strachu, który ją opanował, zaczęła myśleć o Kaganie i czekającej ich podróży. Przyszło jej do głowy, by sprawdzić, czy zabrał monety ukryte w dziupli, wspięła się więc na drzewo i wetknęła dłoń do ukrytego pod korą otworu. Sakwa ciągle tam była. Próchno sypnęło się jej w oczy, kiedy ją wyjmowała, a po ręce przebiegło kilka spłoszonych, kosmatych pajaków. Zachybotła się i na oślep chwyciła najbliższą gałąź. Ręce miała śliskie od potu i drżące. Niewygodna sakwa wysliznęła się i upadła na ziemię. Odzyskawszy równowagę, schodziła powoli, zastanawiając się, czy schować pieniądze na powrót do dziupli, czy poczekać na Kagana. Zeskoczyła wreszcie na trawę i w gęstniejących ciemnościach wypatrzyła leżącą w krzakach torbę. Zrobiła parę kroków i nagle runęła jak długa. Wstała niezgrabnie, otrzepała ubranie, wyplątując zwłósov liście. Ze złością kopnęła przeszkodę i zamarła. To była noga, ludzka

noga wykręcona w nienaturalny sposób. Przygryzła palce, żeby nie krzyknąć i odgarnęła liście. Na trawie leżał Kagan z wytrzeszczonymi martwymi oczyma, z ustami otwartymi do krzyku, uwalany krwią z poderżniętego gardła. Odwróciła się i gwałtownie zwymiotowała. Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka. Albana, przerażona niemal do utraty zmysłów, wyszarpnęła z krzaków sakwę i na oślepię, potykając się, pobiegła przez las. Chata stała pogrążona w ciemnościach. Wczołgała się przez zarośnięte wejście i dopadła legowiska starej, przywierając do niej całym ciałem.

– Och, Mei – zawodziła. – Un nie żyje, nie żyje! Woram go zabił, poderżnął mu gardło! Mei, Mei, słyszysz?!

Stara nie poruszyła się pod jej ciężarem. Dziewczyna odłożyła zawadzką jej torbę, gorączkowo odrzuciła koc i płaszcz, którym tamta była przykryta. W ciemności błysnęły wytrzeszczone białka oczu. Wstrzymując oddech, poszukała pulsu na szyi, a potem łagodnie przesuwając dłoń, zamknęła Mei oczy. Natrafiła ręką na ciepłą wilgoć i podniosła ją do oczu, z niedowierzaniem wpatrując się w ciemne plamy.

– Mei? – wyszeptała, jakby trup staruchy mógł rozwiązać tę zagadkę. Usłyszawszy szelest bluszczy przy wejściu, odwróciła się powoli.

Woram stał na środku izby, szczerząc dziurawe zęby. Żar z paleniska odbijał się w jego oczach.

– Skróciłem jej męki. To stare truchło żyło za długo. I przyjemności przed śmiercią zaznała – zarechotał i posunął się w jej kierunku.

Dziewczyna poczuła, jak robi jej się bardzo zimno. Konwulsyjnie złapała Mei za rękę, jakby wierzyła, że ta ochroni ją nawet po śmierci.

– Chcieliście mnie okpić, wyjechać, a una was do tego namawiała. Ale ja potrafię zadbać o to, co moje. A tyś moja. Żeby nie ta poczwara, dawno bym cię wziął. Tera zapłaciłem jej za opiekę. Jeji i Kaganowi.

Kopnął zwłoki, a te stoczyły się bezwładnie z pościeli, odsłaniając wyschnięte pośladki.

Albanę nagle opuścił lęk, który czuła od dzieciństwa. Wyparła go wszechogarniająca furia i nienawiść.

Woram wyciągnął rękę i złapał w garść kosmyk jej zmierzwionych włosów.

– Nie rusz mię – powiedziała niemal spokojnie.

Obrzydliwy, gardłowy śmiech wstrząsnął chatą. Albana szarpnęła głową i uwolniła się od dotyku.

– Jezdeś najbardziej plugawym i ohydny bydlęciem, co chodzi po lesie – wysyczała, nie tłumiąc obrzydzenia.

W ciemności zielone oczy rozbłysły nienaturalnym blaskiem. Keran tylko się oblizał obleśnie i ponownie sięgnął w jej stronę.

– Nie zrobisz krzywdy ani mi, ani nikomu wiency. Zdechniesz w najgorszych mękach przed progiem własnego domu, skóra odejdzie ci od kości, a oczy wypłyną. Twoje gnaty zwierza rozwłóczom po lesie. A tera precz stąd. Już!

Jej głos miał nienaturalny ton i barwę bardziej chrapliwą niż zazwyczaj, oczy jarzyły się niczym kocie ślepie. Zdawało się, że całe ciało Albany spowija niesamowita aura, przy której nawet żar stracił swoją poświatę. Woram wpatrywał się w nią jak zaklęty. Kiedy umilkła, potrząsnął głową i rozejrzał się po chacie, jakby zastanawiając się, co tu robi. Bezmyślnie obciągnął koszulę, odwrócił się i wyszedł.

Zobojętniała po wybuchu dziewczyna nie sprawdziła nawet, czy Keran wrócił do wioski,

nie zamierzała też grzebać Kagana. Ich los się dopełnił, tak jak los Mei. Jeszcze raz spojrzała na wychudzone ciało opiekunki. Ułożyła ją na posłaniu i owinęła płaszczem. Podsyciła ogień, wzięła płonące polano, przytknęła do kosztownej, brudnej materii i chwilę patrzyła, jak płomień trawia okrycie. Potem wyszła, zabierając ze sobą przygotowany tobolek i sakwę Kagana. Jedyne ocalały po surowej zimie koń przybiegł zwabiony znajomym głosem i odrobiną cukru. Załadowała mu na grzbiet toboły i ruszyła w stronę traktu. Świtało już, kiedy wreszcie tam dotarła. Dopiero wtedy obejrzała się w stronę, skąd przyszła. Pomiędzy drzewami widać było migotliwe płomienie – stos pogrzebowy Mei.

Falkalas, starszy klanu Fen, obrzucił uważnym spojrzeniem zebranych przy wielkim ognisku Jeźdźców. Siedzieli tu wszyscy członkowie klanu: mężczyźni, kobiety i dzieci, czekając na jego słowa. Niektórzy wydawali się obojętni, inni – choć z ich twarzy trudno było coś wyczytać – patrzyli w napięciu.

Starszy wreszcie odchrząknął i zaczął mówić uroczystym głosem:

– Samelel z klanu Dań, Wódz Jeźdźców z Równin Marth, nakazał wybrać swego następcę. Obyczaj każe najgodniejszemu z klanu do zawodów stanąć i przed starszyzną umiejętności swe wykazać. Ten, który wodzeni zostanie, mądry być musi, rozważny i sprawiedliwy, by bezpiecznie wieść Jeźdźców po Równinach. Winien dobrze władać orężem, lecz nie zabijać bezmyślnie, targować się twardo, ale nie bogacić na krzywdzie innych. Każdy Jeździec z klanu Fen godny jest tego zaszczytu.

Zgromadzone przy ogniu kobiety krzyknęły głośno, modulując głos. Mężczyźni milczeli, unikając swego wzroku. Starszy podniósł dłoń i okrzyki umilkły.

– Postanowiłem. Z klanu Fen do zawodów stanie... – zawiesił głos, potęgując napięcie i poszukał wzrokiem sylwetki siedzącej poza pierwszym kręgiem ludzi – ...Calmin syn Dalali.

Oczy zebranych zwróciły się w stronę wstającego, oceniając jego młodzieńczą, niezbyt jeszcze proporcjonalną sylwetkę, twarz pokrytą miękkim zarostem, splecione w warkocz włosy i harmonijne rysy. Niektórzy patrzyli z aprobatą, inni z zadziwieniem, jeszcze inni niechętnie, ukrywając zawód.

Calmin wszedł w krąg światła i skłonił się przed starszym. Falkalas powstał i z namaszczeniem zawiązał mu na głowie opaskę zdobioną paciorkami i haftowaną w klanowe wzory.

– Noś ją godnie, póki wybór nie zostanie dokonany. Niechaj doda ci sił i chroni przed złą przygodą.

– Nie zawiodę, starszy – odrzekł załamującym się nieco głosem młodzian.

Skłonił się jeszcze raz przed Falkalasem, a potem zwrócił w stronę współplemieńców i powtórzył ukłon.

– Ajaalalala...

Ktoś wznosił okrzyk podobny do ptasiego trelu. Inni podchwycili go i powtórzyli ochoczo. Do śpiewnych dźwięków dołączył się pisk fujarki i łoskot bębnow, nadając melodii skoczny rytm. Zaczęła się zabawa. Calmin wydostał się z tłumu, skrył w cieniu namiotów i drżącymi rękoma poprawił opadającą na oczy opaskę.

Będę wodzem, najświetniejszym, jakiego miały Równiny Marth, grało mu w duszy. Będę bohaterem!

– Cal, tu się schowałeś – roześmiała się dźwięcznie jego mała siostrzyczka Gaalla i wyciągnęła ręce. Kiedy ją podniósł, uściskała go mocno, wyśpiewując wprost do ucha. – Wiedziałam, że to będziesz ty, wiedziałam, wiedziałam.

Zaraz za nią zjawiła się pozostała trójka rodzeństwa i matka, Dalala. Bracia i siostra obejmowali go i klepali po plecach trochę skrępowani nagłą ważnością najstarszego brata. Każdy gest, każdy uśmiech wyrażał radość i podziw.

Dalala stała z boku i patrzyła na Cala z dumą. Od kiedy Falkalas, w zastępstwie nieżyjącego męża, przejął opiekę nad jej pierworodnym, w skrytości ducha liczyła, że Calmin zostanie jego następcą. Starszy wziął rozbrykanego chłopca w karby, uczył go posługiwania się bronią, zastawiania sideł, ujeżdżania koni, a także trudnej sztuki pisania, czytania i rachowania. W miarę, jak chłopiec dorastał i stawał się mężczyzną, narzucał mu nowe obowiązki i wyznaczał coraz trudniejsze zadania, jakby badając jego możliwości. Dalala wiedziała, że Calmin nigdy nie zawiódł Falkalasa. Świetnie strzelał z łuku, dobrze radził sobie z mieczem i nożem, w jego pułapki zawsze coś się złapało, a zdolności do oswojania i ujeżdżania dzikich koni stały się powszechnie znane. Z mniejszym zapałem kreślił litery lub sylabizował z Księgi Klanu, ale w końcu i ta sztuka nie była mu obca. Tak, Dalala miała powody do dumy. Poglaskała z czułością swego prawie dorosłego syna po policzku, a on ujął jej spracowaną dłoń i przycisnął z szacunkiem do ust.

Rodzeństwo namówiło go do powrotu w krąg roześmianych ludzi. Prześcigając się, przynosili mu najlepsze kaski smażącego się mięsiwa, poili kumysem. Dookoła zebrał się tłumek podchmielonych i rozgrzanych zabawą członków klanu. Pośród nich nie brakło młodych dziewcząt, rozchichotanych, strzelających oczami i Cal z zakłopotaniem stwierdził, że znów ogarnia go to niepokojące napięcie, którego tak się wstydził. Umknął do bezpiecznego schronienia namiotu matki ścigany zaciekawionymi i zalotnymi spojrzeniami.

Jeźdźcy niespiesznie podążali na wyznaczone miejsce spotkania. Cal, przemierzając rozkołysane trawy Równiny, oddawał się marzeniom o przyszłej chwale. Widział siebie jako niezwyciężonego bohatera wiodącego Jeźdźców z Marth do boju naprzeciw wyimaginowanym wrogom, wodza, o którym śpiewa się ballady przy wieczornych ogniskach. W takich chwilach nie pamiętał, że w królestwie Imeskarii od wieków panuje pokój, a Jeźdźcy spokojnie prowadzą swe stada.

Zgodnie z obyczajem zawody miały wykazać zręczność i siłę walczących o przywództwo. Cal, choć najmłodszy, poczynił sobie dzielnie: był pierwszy w strzelaniu z łuku i w ujeżdżaniu dzikich równinnych koni. Gorzej sprawił się w zapasach, bo zaraz w pierwszym starciu krew puściła mu się z rozbitego nosa, ale wytrzymał do końca.

– Młody jest, ale dzielny i rozważny – szeptał Falkalas do obserwującego zmagania wodza. – Trudno znaleźć godniejszego pośród Jeźdźców.

Samelel z klanu Dań przypatrywał się Calminowi, mrużąc oczy, bo wzrok miał już słaby, i milczał. Nie tylko Starszy klanu Fen potrafił zręcznie przemawiać za swym kandydatem. Jednak młody Cal musiał przyciągnąć jego uwagę, bo gdy przyszło do podziału zadań, które wykazać miały roztropność i umiejętność radzenia, sobie w nieznannej sytuacji, jemu właśnie przeznaczył nie tylko najtrudniejsze, ale i najbardziej niezwykle zadanie.

– Twoja droga, Calminie z klanu Fen, powiedzie cię do prowincji Cryston – oznajmił drżącym ze starości głosem. – Przywieź stamtąd sadzonki drzewa broz. Nasz gaj umiera, czas już wielki, by stare drzewa zastąpić młodymi i zdrowymi. Niech Valasal i Valse prowadzą cię bezpiecznie i strzegą od złego.

Falkalas chrząknął z ukontentowaniem, a Calmin mało nie krzyknął z radości. Ta podróż jawiła mu się jako spełnienie marzeń. Wszak droga do Crystonu wiodła nie tylko bezpiecznym Traktem Zgody, ale również przez lasy i tereny prawie całkiem niezamieszkałe, gdzie pewnie

aż roilo się od bandytów. Będzie też okazja, żeby zobaczyć opasane murami grody i poznać nowych ludzi. Miał ochotę dosiąść konia i ruszyć już w tej chwili, zamiast czekać do rana. Mimo to opanował się i powiedział uroczyście, jakby składał przysięgę:

– Przywiozę drzewka broz, by gaj mógł odżyć na nowo.

Dalala, przygotowując syna do podróży, nie mogła pozbyć się niepokoju. Ten niejasny lęk przytłumił nawet dumę. Krzątała się po namiocie, usiłując znaleźć sobie jakąś zajadę, ale nic jej nie szło. Rozlała wodę, zbeształa Gaallę i przypaliła zupę. Po raz kolejny przejrzała podróżne sakwy i dołożyła następne zawiniątko.

Wczesnym rankiem, nim słońce wyjrzało zza horyzontu, Calmin z klanu Fen wyruszył naprzeciw wymarzonej przygodzie.

Przez pierwsze dni po opuszczeniu Równin chłonał obcy mu świat wszystkimi zmysłami. Dziwiła go utwardzona droga zapchana kupieckimi wozami i orszakami znaczniejszych podróżnych, ciekawiły wsie z drewnianymi domami i krytymi strzechą dachami, uprawne pola złote od dojrzewającego zboża i lasy pełne tajemniczych cieni. Kiedy jednak minął pierwszy zachwyty, poczuł się zagubiony w świecie, który okazał się o wiele większy, niż mu się to przedtem zdawało. Przyzwyczajony był do rozgardiaszu rodzinnego namiotu, do cichego rżenia koni o poranku, szumiących łagodnie w powiewach wiatru traw i do bezkresnych przestrzeni Równin. Dlatego coraz częściej ogarniało go dojmujące uczucie samotności.

Wkrótce przygoda zamieniła się w rutynę. Szybka jazda w dzień, polowanie, samotne obozowisko w nocy. Parę razy zatrzymywał się w zajazdach lub przyłączał do innych podróżnych, ofiarowując zwierzynę, ale chwile spędzane w towarzystwie tych ludzi nie przyniosły mu satysfakcji. Brakowało w nich bliskości, poczucia przynależności do grupy, wzajemnego zrozumienia, a i towarzysze wędrówki nie byli tak interesujący, jak myślał. Nie żadni herosi walczący z potworami, lecz zwykli ludzie zajęci codziennymi kłopotami. Żołnierze patrolujący okolice również go rozczarowali. Ubrani w brudne kaftany, klęli grubymi słowami i pili na umór. Zresztą Imeskaria jawiła się jako świat spokojny i bezpieczny i nie było na nim miejsca dla bohaterów.

Jedenaście dni trwało, nim młody Jeździec dotarł do Crystonu. Ciepły klimat południowej prowincji sprawiał, że wszystko, co rosło, wydawało się tu bujniejsze i bardziej zielone. Powietrze, ciężkie i wilgotne, niosło w sobie nieznane zapachy, od których chłopakowi kręciło się w głowie. Koszula lepiała mu się do pleców, a ciało oblewał pot, lecz ta kraina, tak różna od Równin, zauroczyła Cala. Sady pełne były kwitnących drzew, ukryte pomiędzy nimi budynki obrastały pnącza obsypane kolorowymi kwiatami, w powietrzu unosiły się roje barwnych motyli, ptaki głośno wyśpiewywały swoje trele. Dróżki wiodące pomiędzy drzewami kusily tajemniczością, a mijani ludzie pozdrawiali przyjaźnie.

Z zawstydzeniem, ale i ciekawością popatrywał na kobiety ubrane w lekkie suknie, z odsłoniętymi ramionami i dekoltami, z kwiatami wplecionymi we włosy. I one ściagały go wzrokiem, oceniając zgrabną sylwetkę, długi przykurzony warkocz, jaskrawo kolorowy strój. Choć wiedział, że czas go nagli, przestał się spieszyć. Egzotyczne krajobrazy i aromaty pobudzały jego zmysły, smakował je więc i rozkoszował się nimi. Nowo odkryty świat wynagrodził mu trudy monotonnej podróży, chciał się więc nim nacieszyć. Spędził noc pod gołym niebem i dopiero rankiem ruszył na poszukiwanie kogoś, kto mógł coś wiedzieć o sadzonkach broz.

Stary ogrodnik Diaz w nieuchwytny sposób przypominał Calowi dziadka – powiernika jego dziecięcych tajemnic. Miał wyblakłe niebieskie oczy i strzechę białych jak śnieg włosów



ukrytych pod ogromnym słomianym kapeluszem. Spalona na ciemny brąz skóra pokryta była siecią zmarszczek. Życzliwie uśmiechnięty oprowadzał młodego Jeźdźca, po swoim sadzie, chwalił się ogrodem, który otaczał jego mały domek.

– Dawno już ja nie widział w tych okolicach Jeźdźca z Równin Marth – mówił. – Bywało dawniej, że zaglądali tu, szukając broz, jak ty, albo konie na targ prowadząc. Ale teraz życie nie takie jest jak dawniej. Teraz nie drzewa są w cenie, a winogrona. Rozsmakowali się panowie w naszych winach. Nie pamiętają już o broz, a puchary zaślubin z żelaza leżą albo ze złota. Zmienia się wszystko, ale czy na lepsze? – Zamyślił się i uśmiech na chwilę zniknął z jego twarzy. Rozpogodził się jednak szybko. – No, nie przyjechałeś słuchać narzekań staruszka. A tu i masz swoje drzewka. Te najmłodsze są, ja posadził je dopiero parę miesięcy temu, a już rozrosły się pięknie. Ale chyba za słabe jeszcze, żeby taką długą drogę przetrzymać. Te tutaj – wskazał z dumą większe sadzonki – już od roku rosą. Posadzone były, kiedy wiatr północny chmury nawiewał. Silne są i wytrzymałe. A te tam, najniżej, trzeci rok mają. Chyba nie dałbyś rady takich zabrać, co? – roześmiał się pogodnie.

– Są piękne – szepnął Cal, dotykając wiotkich gałązek. – Te na Równinach wyglądają jak chore. Nie puszczają nowych pędów, a stare brązowieją i umierają.

Ogrodnik pokiwał głową schowaną w cieniu wielkiego kapelusza.

– Wiem ja chyba, co im dolega, ale nie frasuj się tym teraz, jutro tłumaczyć ci będę. Zostaniesz chyba do jutra? Ostatnio rzadko okazja jest pogwarzyć z kimś ze stron dalekich. Umyjesz się, odpoczniesz i rankiem wyruszysz. Co na to powiesz?

Cal nie śmiał odmówić, poszli więc do domu ogrodnika. Mała izba była czysta i schludna. Na oknach stały donice i skrzynki pełne sadzonek i rozkwitłych purpurowych pelargonii. Poczerniałe ze starości ściany ozdabiała haftowane makaty, na podłodze leżały plecionki z morskiej trawy. Sprzętów było niewiele: zbity z gładkich desek stół, proste zydle z wyslizganymi siedziskami, łóżko przykryte barwną narzutą. Diaz ugościł Calmina, wypytywał o podróż, nowiny z dalekich stron, życie na Równinach. Chłopak opowiadał chętnie. Wreszcie po tylu dniach samotności znalazł przyjaznego człowieka, zwierzył się więc ze swoich nadziei i opowiedział o próbach, które przeszedł. Ogrodnik potraktował go poważnie i szczerze życzył powodzenia.

– Zostać wodzem Równin Marth to nie byle co – mówił. – Przecie to nikt inny jak gubernator prowincji. Czy wiesz, że przedstawiony na dworze będziesz? Dostojników poznasz i króla zobaczysz.

– Chciałbym wygrać – rozmarzył się chłopak. – Byłbym równie dzielny i sprawiedliwy jak Yaladej...

– Aaa, ten z czasów Smoczej Wojny, prawda? No, ale smoków już dawno nie ma, a wojownicy mogą co najwyżej w turniejach się pokazać. Choć nawet i tego ostatnio się nie praktykuje, bo z Księgą Objawień się to nie zgadza. Ale podług mnie Oblicza Boże nic o turniejach nie mówią... No, ale nie nasza to sprawa, tylko kapłanów.

– Tak, teraz trudno zostać bohaterem... – westchnął Calmin nie bez żalu w głosie.

– Ano może i trudno, ale chyba z tego powodu smucić się nie warto. Zmęczonyś bardzo?

– Nie. Może wam pomóc w czymś? – zerwał się Cal.

– Nie, nie trzeba. Jenó na spacer chciałem cię zaprosić. Pójdziesz? – spytał Diaz, sięgając po kapelusz.

– Chętnie – uśmiechnął się chłopak. – Podoba mi się tutaj. Wszystko jest takie inne niż na Równinach.

– Tak i chodźmy.

Wyszli z chaty i ruszyli wolno drogą. Diaz pokazywał mu gaje, ogrody i winnice, opowiadając o sadzonkach, czasie kwitnienia i sposobach zbierania owoców. Cal słuchał, kiwał głową i starał się stawiać mniejsze kroki, aby nie wyprzedzić drepającego gospodarza. Zrozumiał, na czym polegało podobieństwo crystońskiego ogrodnika do starego Jeźdźca z Równin. Obaj byli tak samo samotni i żyli na uboczu, zapomniani przez większość ludzi.

Pogrążony w myślach nie zauważył, że opuścili już sady, a ścieżka, biegnąca dotąd prosto, zakręca i schodzi coraz niżej. Dopiero kiedy urwała się nagle, spojrzął przed siebie i aż zachłusnął się ze zdumienia. U swoich stóp ujrzał morze. Wyzłoczone przez słońce grzbiety fal marszczyły błękitną powierzchnię, z łagodnym poszumem wody mieszały się krzyki szybujących w powietrzu mew. Fale rozbryzgiwały się podnóża skały, na której przystanęli. W powietrzu unosił się wodny pył. Cal oblizał usta i na języku poczuł smak soli.

– Co to jest? – spytał z lękiem, wskazując bezmiar wody.

– Minę masz, jakbyś chrabąszcza połknął – zachichotał Diaz. – To morze, synku. Ogromne, prawda?

Cal cofnął się znad przepaści.

– Od patrzenia kręci mi się w głowie – wybąkał.

– Ano tak, nie tobie pierwszemu. Ale ja przychodzić tu lubię i na zachód słońca popatrzeć. Widzisz te kolory? Wróżą, że ładną pogodę będziesz miał jutro w drodze.

Chłopak, mrużąc oczy, spojrzął we wskazanym kierunku. Olbrzymia kula słoneczna powoli zapadała się w wodę, barwiąc ją na pomarańczowo.

– Czy morze łyka słońce? – spytał wystraszony. Staruszek roześmiał się głośno.

– Może i tak być. Ale nie smakuje mu chyba, bo co rano z powrotem je wypluwa.

– A tam dalej coś jest?

– Kto to wie, chłopcze, kto wie. Powiadają, że tam Smocza Wyspa była. A czy co jeszcze, nie wiem.

– Smocza Wyspa? Opowiedz mi – poprosił żarliwie.

– Powiadają, że w dni pogodne widać ją było z cypla, co go zwą Pazurem, i że śmiałkowie różni się tam wyprawiali, ale żaden pono nie wrócił. A potem wyspa palić się zaczęła. Dym wielki widzieli ludzie i popiół, ziemia się trzęsła, a fale sady zalały. Potem smoki przyleciały i wojna się zaczęła. Tyle i wiem.

– Ciekawe, czy ślady jakieś zostały po tej Smocznej Wyspie – zastanawiał się głośno Cal.

– Ano może i zostały. Nikt tam już płynąć nie chciał...

Słońce było już ledwie widocznym skrawkiem czerwieni. Krzyki morskich ptaków odbijały się echem od urwiska, a szum fal stał się głośniejszy.

– Przypływ się zaczyna i ciemno zaraz będzie, tak i iść nam wypada. W drodze powrotnej milczeli obydwaj. W sadzie minęły ich dwiemłode dziewczyny z włosami ozdobionymi czerwonymi kwiatami hibiskusa. Chłopak zapatrzył się na odsłonięte ramiona, na piersiwychylające się ze śmiałych dekoltów, na opaloną skórę błyszczącą od olejku, bosa stopy. Dziewczęta niosły pomiędzy sobą wielki dzban i rozmawiały głośno. Na widok Cala zachichotały i wdzięcznie zakołysały biodrami, wychlapując przy tym wodę. Twarz młodego Jeźdźca pokryła się krwistym rumieńcem. Diaz poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Wstydzić się nie ma czego. Spodobał ty się im. A może ty z nimi pogwarzyć by wolał, a ja, stary, głowę ci zawracam?

– Nie – mruknął Cal, a spocone nagle dłonie wytarł ukradkiem w koszulę.

– A ty co, chłopców może wolisz, jak z dziewczynami gadać niechcesz?  
– No co też wy? – zgorszył się chłopak. – Ale dziewczyny takie są, takie... Nie umiem z nimi rozmawiać.

– Ano młodyś jeszcze i one młode. Ale wiesz ty co? U mnie w domu ziół ci dam. Na śmiałość. Żartów sobie nie robię, nie. U mnie niedawno znachorka jedna drzewka brała. Ja pieniędzy nie chciał, to ona ziołami mnie obdarowała. Na łamanie w kościach i... no, na śmiałość właśnie. Ale ja stary, zioła mi nie pomogą i lat nie wrócą. Weź ty je sobie, a jak będzie okazja, dziewczynie zadaj i sam popróbuj. Żałować nie będziesz – zaśmiał się starzec.

Kiedy weszli do chaty, z półki zdjął jakieś zawiniątka i zaczął w nich grzebać.

– Tak i masz – podał mu jedno. – Najlepiej z naszym crystońskim smakują, choć i woda zwykła być może. Butelkę wina ci też dołożę. Bierz, synku, nie krępuj się. Ja z życzliwości ci daję.

Bladoniebieskie oczy lśniły łagodnie, a pomarszczoną twarz rozjaśniał uśmiech. Cal nie potrafił odmówić, wziął więc zawiniątka i butelkę, starając się wepchnąć je do sakwy tak szybko, jak mógł, ale ręce drżały mu z zakłopotania, a zawartość torby rozsypała po drewnianej podłodze. Cal pochylił się i zaczął zbierać swój dobytek.

– Tam jeszcze coś potoczyło się – wskazał Diaz pod łóżko. – Ja za stary, żeby tak grzbiet zgiąć.

Chłopak sięgnął w kąt i wydobył owinięty w gałgany przedmiot. Podeszedł do koślawego stołu i ostrożnie rozwinął szmatę.

– A toż co? – zdziwił się ogrodnik, kiedy coś błysnęło w świetle świecy.

Zmieszany Cal podał Diazowi rzeźbiony w drewnie przedmiot.

– Aaa, jakież piękny – zachwycił się staruszek. – Toż to prawdziwy puchar zaślubin. I z drewna broz zrobiony. A kamienie prawdziwe?

Chłopak przytaknął.

– A na cóż tobie w takiej podróży puchar zaślubin? Żenić się chcesz?

Zaczerwieniony niczym rak Calmin pokręcił przecząco głową.

– Matka mi zapakowała. Nawet nie wiedziałem... Dopiero na postoju znalazłem. Za późno było, żeby wracać.

Diaz roześmiał się.

– Takie i kobiety są, przejmować się nie trzeba. Ale pilnuj go dobrze, to skarb prawdziwy. No, późno już. Spać pora.

Oddał Calowi puchar, a ten zapakował go i upchnął z resztą rzeczy do sakwy.

Rankiem, kiedy Calmin gotował się do drogi, stary Diaz przyniósł z ogrodu starannie opakowane sadzonki.

– Dwie ci daję, żeby pewność mieć, że dowiesz. Korzenie żywicą zalałem i w mech wsadziłem. Pamiętać tylko musisz, żeby wilgotny zawsze był. Nawet jak gałązkę jakąś złamiesz, spokojny bądź, nic się nie stanie, tylko tym posmaruj. – Podał mu małe naczynie. – Ale mech mokry musi być. Posadź go potem razem z drzewkami, a rosnać będą zdrowo.

Chłopak po raz ostatni sprawdził, czy sadzonki są dobrze przygotowane do podróży, a potem sięgnął do noszonej na szyi sakiewki i wydobył parę monet.

– To za dużo chłopcze, za dużo – zaprotestował Diaz.

– Z życzliwości daję – uśmiechnął się przekornie Cal.

– Jak z życzliwości, tak i wzbraniać się nie będę – roześmiał się ogrodnik. – Szczęście niech ci sprzyja i Oblicza Boże mają w opiece swojej. Bywaj, synu, a gdybyś kiedy zawitał w

te strony, odwiedzić mnie nie zapomnij.

Calmin pocałował starego w pomarszczoną, zbrązowiałą dłoń i lekko wskoczył na konia.

– Bywajcie zdrowi i dziękuję za wszystko.

Spotkanie z Diazem, jego życzliwość i poczucie humoru sprawiły, że Cal podróżował w dobrym nastroju. Pogoda była piękna, łowy udane, pastwiska obfite, gnał więc co koń wyskoczy, zatrzymując się tylko na krótkie popasy i co jakiś czas sprawdzając, czy sadzonki mają się dobrze. Nie żałował czasu spędzonego u ogrodnika, bo sekret współżycia drzew broz z mchem był z pewnością tego wart, a słowa o znaczeniu wodza na królewskim dworze pobudziły jeszcze mocniej jego wyobraźnię. Przypominał sobie, co słyszał od Falkalasio historii Równin Marth i o tym, jak sam król Forsyth nadał je Jeźdźcom w wieczne użytkowanie w zamian za usługi oddane w Smoczej Wojnie. Te wtedy koczownicy włóczący się po całej Imeskarii osiedli na olbrzymiej połaci równinnych pastwisk i zajęli hodowlą koni. Zamiłowanie do wędrowności pozostało, ale rzadko wypuszczali się poza swoją prowincję.

Nieczęsto spotkać można było Jeźdźca uprawiającego rolę lub mieszkającego w pańskim dworze, źle znosili też miasta – zamknięte murami, ograniczone ulicami i dachami zasłaniającymi niebo. Dlatego, choć słynęli jako dzielni wojownicy, nie służyli w armii, a swoją część daniny spłacali końmi.

Te rozmyślenia nie wpływały na tempo podróży, ale Calmin cały czas bał się, że nie zdąży na wyznaczony przez Samelela czas. Umyślił więc sobie wracać krótszą drogą, porzucając Trakt Zgody. Z pewnością był on bezpieczniejszy, ale wiódł zygzakami od miasta do miasta. Cal, chcąc skrócić podróż, jechał – kierując się wprost na Równiny – po mniej uczęszczanych szlakach lub bezdrożach.

Po kilku dniach takiej podróży szczęście jakby się od niego odwróciło. Pogoda zmieniła się gwałtownie. Niebo zasnuły chmury, a deszcz – raz ulewny, raz mżący – nie ustawał ani na chwilę. Wertepy stały się grząskie i zdradliwe. Błoto oblepiało końskie kopyta, zwalniając chód, ogromne kałuże przykryły wszystkie nierówności, kamienie czy wystające korzenie drzew. Przemoczony, zziębnięty i głodny włókł się noga za nogą, przeklinając nieprzyjazną aurę i swoją głupotę. Gdyby pojechał gościńcem, posuwałby się znacznie szybciej, bo trakt był dobrze utwardzony, a wzdłuż niego wybudowano wiele karczm i zajazdów, w których można było zjeść i przenocować. Na bezdrożach musiał spać pod gołym niebem, mokry i zmarznięty. Obawiał się również o sadzonki, które narażone na wilgoć i ział smętnie zwisały z końskiego grzbietu. O jedno tylko mógł być spokojny: wielowiekowy instynkt koczownika, umiejętność obserwacji gwiazd i słońca sprawiały, że Jeźdźcy nigdy nie błędzili. Umieeli trafnie obrać drogę nocą i w najgłębszym lesie, tak więc i Cal na grzbiecie człapiącego w strugach deszczu konia podążał we właściwym kierunku.

Po czterech dniach takiej podróży ulewa wreszcie ustała, ale chmury wisiały ciężko nad horyzontem, szara mgła zasnuwała widok, a rzeki i strumienie wystąpiły z koryt i rozlały się szeroko. Cal był u kresu sił. Miał dreszcze, ręce mu się trzęsły, a ostatnia kolacja ciążyła w żołądku jak kamień. Przez cały dzień próbował coś upolować, ale tylko zmarnował kilka strzał. Marzył o gorącym posiłku, ciepłe ogniska i suchym ubraniu. Zapomniał o bohaterskich czynach, chciał się wreszcie wyspać.

Było wczesne popołudnie, kiedy z mijanej kępy drzew wyskoczył zając. Szare futerko wyraźnie odbijało się od rosnącej bujnie trawy. Zwierzątko pędziło przed siebie długimi susami, nie zwracając uwagi najeźdźca. Cal zdjął łuk, rozdygotanymi rękami nałożył strzałę, wymierzył i strzelił. Przez chwilę z tryumfem patrzył, jak trafiony w kark szarak koziołkuje w

trawie. Zsiadł z konia, nie odkładając łuku, i podniósł drgające jeszcze zwierzę. Nagle wierzchowiec parsknął i wrywając wodze z rak chłopaka, pognął przed siebie. Otumaniony głodem i gorączką Cal patrzył za nim bezmyślnie i wtedy usłyszał szelest.

Z krzaków wyłonił się ryś. Żółte ślepie jarzyły się niczym latarnie, z gardła wydobywał mu się niski warkot, cętkowane futro było zjeżone, a uszy zakończone pędzelkami przylegały ściśle do czaszki. Calmin zadziałał instynktownie. Rzucił martwego zająca wprost na gotowego do ataku drapieżnika, a potem, błyskawicznie nałożywszy strzałę na cięciwę swego łuku, strzelił. Rozwścieczony kot rzucił się na chłopca i powalił na ziemię. Pazury rozorały mu ramię, szczęki uzbrojone w ostre kły znalazły się tuż przy jego gardle.

Cal bronił się zażarcie. Udało mu się odciągnąć na moment kosmaty łeb i wtedy zobaczył swoją strzałę tkwiącą w karku zwierzęcia. Przesunął nieco uchwyt, ryzykując, że ryś przegryzie mu gardło i sięgnął do bełtu. Chciał wbić go głębiej, ale nie miał tyle siły. Zamiast tego przekreślił grot, sprawiając, że zwierzę na moment zwinęło się w paroksyzmie bólu. Ta chwila wystarczyła. Cal odtoczył się na bok, z przyczepionej do pasa pochwy wyciągnął nóż i kiedy kot ponownie zaatakował, z całej siły wbił go w bok zwierzęcia. Musiał trafić w komorę, bo ciało upadło bezładnie, a z rany pociekła krew.

Chłopak stał, ciężko dysząc. Wyrwał nóż, wytarł ostrze o trawę i mozolnie zaczął wycinać pazury. Dopiero kiedy skończył, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Rana na ramieniu bolała i krwawiła obficie, pomniejsze zadrapania i otarcia piekły nieznośnie, całe ciało drżało niczym w febrze. Długo siedział na mokrej murawie, nim przyszedł do siebie na tyle, że odszukał martwego zająca i sprawdził, czy łuk jest cały. Z trawy podniósł zgubioną podczas walki klanową opaskę, wetknął ją do kieszeni, obwiązał sobie ranę oddartym kawałkiem koszuli i rozejrzał się za swym wierzchowcem. Na szczęście koń pasł się spokojnie kilkadziesiąt kroków dalej i zareagował na gwizd. Dosiadł go nie bez trudu i ruszył, szukając miejsca na nocleg. Nie mogło być zbyt blisko ubitego kota. Ścierwojady nie pozwoliłyby na spokojny odpoczynek.

Zapadł już wczesny zmierzch, kiedy trafił nad rzekę. Przecinała szlak, tworząc w tym miejscu bród, ale deszcz sprawił, że prąd był rwący, a poziom wody wysoki. Rozlała się szeroko, topiąc okoliczne łąki. Przyglądał się chwilę, oceniając szansę przeprawy i doszedł do wniosku, że nie da rady. Skręcił i pojechał wzdłuż głównego nurtu.

Czuł się coraz gorzej. Rana bolała, prowizoryczny opatrunek przesiąknięty był krwią, coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Bał się, że jeśli prędko nie znajdzie miejsca na obóz, wreszcie spadnie z wierzchowca. Niestety, w szybko gęstniejących ciemnościach nie mógł niczego wypatrzeć, a pod końskimi kopytami ciągle słychać było chlupot wody. Przymknął oczy, żeby opanować kolejny zawrót głowy. Kiedy je otworzył, zdawało mu się, że w oddali widzi słaby blask ognia. Odruchowo skierował tam konia i natrafił na twardszy grunt. Zmęczony wierzchowiec potknął się i osłabiony Jeździec wyleciał z siodła, waląc się na rozmiękłą ziemię. Kiedy uniósł ciężkie powieki, pochylała się nad nim jakaś postać, szorstkie ręce obmacały mu najpierw głowę, a potem ciało. Szarpnął się i poczuł, jak spada w czarną Przepaść głową w dół.

Obudził się, czując nieznośny nacisk na pęcherz. Chwiejnie wstał, odrzucił okrywające go szmaty, i odszedł kilka kroków. Załatwił potrzebę i powiódł otumanionym wzrokiem dookoła.

Znajdował się na polance otoczonej niewysokimi krzakami. Pośrodku płonęło ognisko, nad nim zawieszony był garnek, z którego dolatywał smakowity zapach. Obok leżał obdarty ze skóry i nadziany na patyk zajac. Na skraju polany pasły się spokojnie dwa spętane konie. W

jednym z nich Cal rozpoznał swojego wierzchowca, drugi był straszliwie wychudzoną chabetą ze sterczącymi żebrami. Juki i jego bezcenne sadzonki leżały zrzucone obok na bezładny stos.

Przewyciężając zawroty głowy, na uginających się nogach, podszedł do bagaży, wydobyl ostrożnie drzewka i sprawdził, czy mech otulający korzenie jest dostatecznie wilgotny. Potem wyciągnął ze swojej sakwy miskę i łyżkę. Po zjedzeniu drugiej porcji zupy poczuł ogarniającą go błogość. Ciepło i miłe uczucie sytości sprawiły, że znów zapadł w sen. Ani przez chwilę nawet nie zastanowił się, kto przyjął go tak gościnnie.

Zmęczenie i gorączka dawały o sobie znać. Cal budził się kilkakrotnie, ale ciągle był za słaby, by wstać. Śniły mu się koszmary, w których atakował go leśny kot o rozjarzonych, zielonych ślepiach. Czuł cuchnący oddech, dotyk szorstkiego futra na skórze i ból, jakby stwór ciągle na nowo rozrywał mu ramię, zalewały go potoki wody. Bronił się, wymachiwał rękami, charczał i pluł, ale nic nie pomagało. Sen powtarzał się regularnie.

Choć umysł nie mógł zaznać odpoczynku, to ciało powoli wracało do zdrowia. Jeździec był młody i miał silny organizm. Po dwóch dniach gorączka ustąpiła i Cal ocknął się przytomny. Ledwie otworzył oczy, zamknął je z powrotem. Tak jak we śnie, tuż nad sobą, ujrzał połyskującą zielonkawo parę wpatrzonych w niego oczu.

– Obudziłeś się wreszcie – usłyszał przy uchu chropawy głos. – Zdrów będziesz. Na, zjdz to...

Calmin ledwie uchylił powieki, mając nadzieję, że tajemniczy opiekun tego nie zauważy i przed nosem zobaczył parę najbrudniejszych w świecie rąk trzymających miskę. Zaburczało mu w brzuchu tak głośno, że aż się zawstydził. Rozwarł szerzej oczy i cofnął się na posłaniu. Tuż obok siedziała odrażająca postać. Oprócz jasnozielonych oczuuwagę zwracała strzecha włosów tak spleatanych, że ptaki mogłyby w niej wic gniazda. Ubrana była w bure, pełne dziur łachmany.

Nieznajomy cuchnął okropnie i był tak brudny, że chłopak nie był w stanie rozpoznać rysów twarzy ani wieku. Chrypliwy głos i pełne blizn dłonie kazały się jednak domyślać kogoś starszego, a Cal szanował starszych ludzi. Opanował odruch wstrętu, przyjął naczynie, wypił posłusznie jej całkiem smaczną zawartość i ocierając usta, przedstawił się:

– Jestem Calmin z klanu Fen, Jeździec z Równin Marth. Dzięki ci za posiłek i opiekę.

Nieznajomy popatrzył na niego, ale nie odezwał się. Chłopak poczuł się zakłopotany.

– Jak długo byłem... he... chory?

– Wczora i dziś – zabrzmiała odpowiedź.

– Aha... Moje drzewka... – przypomniał sobie nagle. Próbował wstać, ale zakręciło mu się w głowie i byłby upadł, gdyby nie podparła go silna dłoń.

– Nic im. Tam som.

Cal odtrącił podtrzymujące go ramię i chwiejnie podszedł do sadzonek. Trzęsącymi się rękami chwycił drzewka i obejrzał je uważnie, sprawdził wilgotność mchu. Na szczęście wszystko było w porządku: mech był mokry, nie złamała się nawet jedna gałązka. Odetchnął z ulgą, a potem, korzystając z okazji, zniknął pomiędzy krzakami. Kiedy wrócił, jego towarzysz siedział przy ognisku i mieszał w misce brudnym paluchem, co jakiś czas spluwając do niej.

Calmin nie mógł pohamować obrzydzenia. Ułożył się na posłaniu, starając się nie patrzeć na obcego i na to, co robił przy ogniu. Próbował obliczyć, czy mimo tego postoju zdąży w wyznaczonym czasie na Równiny, kiedy usłyszał, że nieznajomy zbliża się do niego.

– Trza ci ranę opatrzyć – usłyszał. – Obróć się.

Usiadł ostrożnie, tak by uniknąć zawrotów głowy i napotkał czujne spojrzenie zielonych

oczku.

– Dawaj rękę.

Wyciągnął ramię i łzy zakręciły mu się w oczach, kiedy brutalne palce szarpnęły nasiąknięty krwią gałgan. Zaciśnął zęby i spojrzał. Kocie pazury rozorały ciało niemal do kości. Rana była rozległa, ale widać goiła się dobrze, bo popłynęła z niej krew, nie ropa, a płytsze zadrapania pokryły się różową błoną. Wolał nie patrzeć, jak jego towarzysz najpierw nakłada na zranienie maż z miski, a potem na powrót obwiązuje ramię tym samym, brudnym strzępem materii. Nie mógł też znieść fetoru bijącego od niemytego ciała i nigdy nie pranych szmat. Odwrócił głowę i zagaił.

– Poranił mnie ryś. Cisza.

– Zabiłem go i wyciąłem pazury. Zrobię z nich naszyjnik, niewielu Jeźdźców ma taki. Pokażę ci...

– Dobra z nich była zupa.

– ...gdzieś tu były... Co?!

– Ano, zupa. A pazury leżom kajsiś w trawie.

– Aha... Później ich poszukam. – Cal starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie. – A jutro pora mi ruszać dalej, nie mogę się spóźnić na Równiny... Nie pamiętam, jak się tu znalazłem – rozejrzał się. – Jechałem wzdłuż rzeki...

– Z kunia żeś zlecioł.

– Że co? – nie zrozumiał chłopak.

– Z kunia żeś zlecioł – powtórzył nieznajomy obojętnie. – Na łeb. Tam, o... – Machnął ręką, wskazując kierunek. – A jak znowuż zlecieć nie chcesz, to jechać jutro nie możesz. Za słabyś.

– Pojadę. I nie spadłem, Jeźdźcy nie wałają się z konia na łeb. Musiałem przytomność stracić – zaperzył się.

Obcy wzruszył ramionami.

– Pojadę – powtórzył uparcie Cal.

– Woda nie opadła. Chłopak zasepił się.

– Może do jutra opadnie. Żeby tak choć umyć się dało, pewnie śmierdzą...

Urwał i spojrzał z ukosa na nieznajomego. Zawstydział się, że wyrządził przykrość swemu opiekunowi. Ale ten potraktował jego słowa z całą powagą. Pochylił się i obwąchał go dokładnie.

– Nie śmierdzisz – stwierdził.

Calowi zachciało się śmiać. Pewnie, pomyślał. Twój smród zabija wszystko.

– I tak bym się umył. Pomógłbyś mi i na rzekę moglibyśmy spojrzeć. Ja muszę jechać... – powiedział głośno.

Wziął z juków mydło, czystą koszulę i ruszył nad rozlewisko. Za nim niechętnie podążył nieznajomy. Woda, wciąż wysoka i mętna, płynęła teraz leniwie, a na jej powierzchni unosiły się gałęzie i liście. Tu i ówdzie pojawiały się wiry, lecz widać było, że zaczyna, opadać. Ubłoczone i przygięte do ziemi trawy pokazywały, jak wysoko wcześniej sięgała. Uważając, by się nie ześliznąć, Cal ruszył wzdłuż brzegu. Gdy ledwie parę kroków dalej wypatrzył małą zatoczkę, rozebrał się szybko i z przyjemnością zanurzył w chłodnej toni. Kąpiel nie była łatwa, bo musiał uważać na opatrunek, a jego towarzysz, zamiast pomóc, przykucnął na brzegu i gapił się z nieskrywaną ciekawością na niezdarne ablucje.

Wieczorem Jeździec położył się wcześniej. Ciągłe był słaby. Przed snem dostał kubek

mocno gorzkiego naparu, ale wypił, nie krzywiąc się, bo najwyraźniej jego opiekun znał się na leczeniu. Obudził go trzask pękającej gałązki. Otworzył oczy i zobaczył wysoką sylwetkę pośpiesznie oddalającą się od jego juków. Wstał cicho i podążył za nią.

Noc była pogodna. Deszcz i chmury przestały nękać ziemię, na niebie świecił księżycowy rogalik. Śledzona postać, przemykająca niczym duch po ścieżce, przystanęła nad sadzawką. Zrzuciła łachmany i zanurzyła się w jezioru, wydając chrapliwy okrzyk, kiedy zimna woda obmyła nagie ciało.

Calmin schował się w wysokiej trawie i uśmiechając się, patrzył, jak nieznajomy ogląda kawałek mydła zabrany z jego sakwy, obwąchuje go, a potem próbuje ugryźć. Splunął z obrzydzeniem i zaczął się energicznie mydlić, a ze stawu dochodziły prychnania, parskania i kichnięcia. Zakończywszy kąpiel, wyszedł na brzeg, ociekając wodą.

Drzemiący w trawie chłopak oprzytomniał, spojrzął i nie potrafił powstrzymać głośnego okrzyku zaskoczenia.

Na brzegu, skąpana w srebrnym księżycowym świetle, stała kobieta. Długie, mokre włosy otulały jej ciało do pasa. Odrzuciła je do tyłu, odsłaniając piersi i zamarła tak, słysząc poruszenie, a potem krzyk. Cal nie zauważył momentu, kiedy ruszyła w jego kierunku. Zaatakowała bez ostrzeżenia jak dziki zwierz, zębami i paznokciami. Złapał ją za ręce i zaczęli się szamotać w zroszonej trawie. Jeździec, mimo że ranny, był silniejszy. Przygniótł ją całym ciałem i spojrzął prosto w rozwścieczone zielone oczy.

– Przestań – wysapał. – Nie chciałem cię podglądać. Nawet nie wiedziałem, że jesteś kobietą. Poszedłem za tobą, bo grzebałaś w moich rzeczach.

– Puść mię – warknęła nieznajoma.

Cal zerwał się i pociągnął ją za sobą. Stali tak naprzeciwko, zadyszani, mierząc się nieprzyjaznymi spojrzeniami. Wreszcie chłopak odwrócił się i odszedł. Im dalej odchodził, tym bardziej przyspieszał kroku. Do obozowiska wpadł niemal biegiem i z impetem usiadł na posłaniu. W rękach trzasnęła mu złamana gałązka. Cisnął ją do ognia, a potem następną i jeszcze jedną. Położył się wreszcie i okrył kocem, odwracając tyłem do ogniska, ale nie spał.

Słyszał, jak po długim czasie kobieta wraca do obozu, jak siada przy ogniu, a potem szarpie się z czymś, jęcząc przy tym głośno. Nie wytrzymał i odwrócił się, żeby spojrzeć. Znow ubrana w te swoje cuchnące szmaty, usiłowała palcami przeczesać mokre włosy. Bezskutecznie, bo tworzyły płataninę, jakiej Cal nigdy dotąd nie widział. Wstał, wyciągnął swój kościany grzebień i podał jej bez słowa. Wzięła, wetknęła we włosy i pociągnęła mocno.

– Auu – wrzasnęła. Grzebień utknął w splątanych lokach, a ona popatrzyła na niego z wyrzutem.

Chłopak westchnął, stanął za nią i, ostrożnie rozdzielając poszczególne kosmyki, wyciągnął grzebyk, a potem, pasmo po pasmie, zaczął czesać. Kobieta siedziała sztywna jak kołek, od czasu do czasu pojękując z bólu, ale kiedy grzebień przestał wreszcie szarpać, rozluźniła się.

Rozplatanе włosy schły w ciepłe ogniska, nabierając miękkości, połyskując i mieniąc się czerwono na skrętach. Wydawało się, że chłopak czesze płomienie. Gniewne pomruki kobiety zamieniły się w ciche nucenie bez słów.

Grzebień już dawno luźno przesuwiał się po pasmach, ale Cal nie przestawał czesać. Nie potrafił przestać. Dłonie mu zwilgotniały i poczuł, że znow ogarnia go napięcie, którego tak się wstydził. Grzebyk wyleciał mu z drżących rąk. Kobieta podniosła go i podała mu, ich



palce zetknęły się na chwilę. Cał odskoczył jak oparzony.

– Gotowe – wychrypiał nieswoim głosem.

Spojrzała na niego, unosząc głowę. Dopiero teraz Cał zorientował się, że to nie dorosła kobieta, ale dziewczyna, młodsza od niego. Naelektryzowane podczas czesania włosy uniosły się, tworząc aureolę wokół owalnej twarzy. Wielkie zielone oczy lśniły niepokojąco. Wyglądała jak jeden z egzotycznych motyli, które syn Dalali widział w Crystone.

Poruszyła się, potrząsając głową i magia chwili przeminęła. Przed nim stała zwykła dziewczyna w cuchnącym, wieśniaczym ubraniu, o skórze ciągle poznaczonej smugami brudu. Niezwykle pozostały tylko włosy o barwie płomieni.

To przez ten ogień, pomyślał Jeździec. Przecież nikt nie ma czerwonych włosów.

– Zrób mi takie coś – wskazała na jego warkocz. Znow więc do niej podszedł i niezgrabnie płacząc kosmyki, zaplótł warkocz.

– Potrzyмай – mruknął, podając jej końcówkę.

Podszedł do rozrzuconych bagaży i sięgnął do sakwy, szukając czegoś do związania. Jego ręce natrafiły na zasupłany sznurkiem woreczek, wyciągnął go więc i nagle przypomniał sobie ogrodnika Diaza. Namyslał się chwilę, a potem sięgnął jeszcze po butelkę z winem. Wziął to wszystko ze sobą i przyniósł do ogniska. Związał warkocz, potem odkorkował flaszkę.

– Napijemy się? – spytał. – To prawdziwe crystońskie wino. Dostałem je od... nieważne. Chcesz?

– No. Pić mi się chce.

Cał spojrzał na miskę, która brudna leżała przy ogniu, a potem drżącą ręką wsypał trochę ziół wprost do butelki.

– To dla... lepszego smaku – wyjaśnił zmieszany. – Masz, pij. Podał jej naczynie, a ona pociągnęła łyk.

– Dobre – mruknęła. – Na, tera ty...

Cał spróbował trochę. Wino smakowało wybornie. Podawali sobie butelkę, popijając powoli. Wzrok mieli coraz bardziej zamglony, zrobiło im się cieplej. Cał poczuł się wreszcie swobodniej. Ręce przestały mu drżeć, zniknęło skrępowanie. Gdzieś trzasnęła gałąź, konie zarżały. Chciał się podnieść i sprawdzić, czy w pobliżu nie przycailo się Jakieś zwierzę, ale zachwiał się i opadł ciężko wprost na dziewczynę.

Nie odsunęła się. Calmin nieoczekiwanie stwierdził, że jedną ręką obejmuje ją w talii, a drugą błądzi po wypukłości rysującej się pod chłopską bluzą. Zachichotała, ale się nie odsunęła. Jej ciało przylgnęło do niego zapraszająco. Chłopak niezgrabnie pocałował ją w usta.

Nagle wszystko było jasne i proste. Niecierpliwie zrzucali z siebie ubranie. W świetle dogasającego ogniska Cał dostrzegł na jej piersi połyskujące złoto znamię, ale nie pozostawił sobie wiele czasu na podziwianie nagiego ciała. Posiadł ją niezdarnie, szybko. Sprawił jej ból, lecz żądza, była silniejsza od współczucia. Może sprawiły to zioła, a może pragnienie dojrzewającego ciała, ale i łzy dziewczyny szybko obeschły. Był już świt, kiedy zmęczenie wzięło wreszcie górę nad uniesieniem wzmocnionym ziołową mieszanką. Zasnęli objęci, nadzy na mokrej trawie.

Cał budził się powoli. Pierwszym, co dotarło do jego świadomości był ogłuszający ból głowy, a potem uczucie wielkiej niewygodności. Stopniowo zdawał sobie sprawę, że nie czuje na sobie ciężaru ubrania, ręce ma skrępowane, że okropnie chce mu się pić, a z rozbitej głowy sączy się krew, która zlepia powieki. Poprzez szum w uszach zaczął też rejestrować dźwięki:

zgrzyt żwiru tuż przy uchu, trochę dalej gruby męski śmiech, parskanie zaniepokojonych koni i wreszcie stłumiony jęk. Mocno mrugając, udało mu się w końcu otworzyć jedno oko. Pierwsze, co zobaczył, to olbrzymi bucior, którego prawie dotykał nosem, depczący jego opaskę. Próbował unieść głowę i spojrzeć w górę, na właściciela owego buta, ale omal nie zemdlał. Zamknął znów oczy i czekał, aż świat zatrzyma się w miejscu. Kiedy otworzył je ponownie, but zmienił pozycję, a Cal patrzył wprost w kępę krzaków. Coś w niej zamigotało, wyteżył więc wzrok.

Puchar Zaślubin, pomyślał zdziwiony. Dlaczego leży w krzakach?

Wtedy sobie przypomniał. Wino, zioła, a potem... Fala krwi uderzyła mu do głowy.

Pamiętam... Piliśmy z Pucharu... Co matka na to powie...

Nagły jęk przywrócił go do rzeczywistości.

Dziewczyna, pomyślał gorączkowo. Co z nią? Spróbował przekręcić głowę.

Tam. Widzę ją...

Jego nowo poślubiona żona leżała naga i związana, w odległości kilku kroków. Na szarej od brudu, gładkiej skórze odcisnęły się żdzbla trawy. Nie poruszała się w więzach, ale Cal przysiągłby, że to ona jęczała. Chłopak, wykręcając sobie niemal kark, odnalazł wzrokiem napastników. Byli utyłani błotem i zarośnięci, ubrani w chłopskie siermięgi, z narzuconymi na wierzch kamizelami z owczych skór. Przeszukiwali ich juki, kłócąc się zawzięcie.

– Mówiłem, że nie warto – dowodził najwyższy. Pod opadającą na czoło krzywo przyciętą grzywką widać było zrosnięte brwi, co nadawało mu groźny, ale i trochę groteskowy wygląd. – To gówniarze, gołodupcy. Tylko ten medalion może być coś wart.

Drugi, w znanych już Calowi butach, przetrząsał właśnie jego sakwę.

– Nic, kurde, tu nie ma. Parę brudnych szmat i tyła. Ale za konia powinni dobrze zapłacić. To równańczyk...

– To biermy go i uciekajmy. Jeszcze się kto przypląta – odezwał się ktoś trzeci, kogo Calmin ze swego miejsca nie widział. – A tym dać w łeb i do rzeki. Śladów nie będzie...

– Zara, zara. Nie tak prędko... Z dziewczyny, póki żywa, pożytek może być, nie? – zarechotał pierwszy obleśnie. – Tyle naszego...

Ten, który grzebał w ich jukach, odrzucił sakwę Jeźdźca i Cal usłyszał złowieszczy trzask.

Moje drzewka, pomyślał. Złamał moje sadzonki. Wszystko przepadło... Co on gadał? Coś o dziewczynie...

Bandyta przeszukiwał teraz jej bagaż. Widać lubił dokładność i nie chciał niczego przeoczyć. Wziął torbę i odwróciwszy ją do góry dnem, wytrząsał, wysypując zawartość na trawę. Z sakwy z brzękiem posypały się złote monety. Utworzyły w trawie niemały stosik, połyskujący wesoło w porannym słońcu.

– O, kurde... – wystękał zaskoczony bandzior. – Toż to majątek. Patrz, Wilek...

W polu widzenia Cala pojawił się trzeci napastnik. Ukłąkł i zanurzył ręce w kupce monet. Włożył jedną do ust i wypróbował zębami.

– Prawdziwe – sapnął. – Niech mnie Bengh sierpem ogoli, prawdziwe złoto. Będzie ze sto sztuk. A ty mówiłeś, że to gołodupcy...

Sprawdził jeszcze parę krażków, mamrocząc coś pod nosem, a potem szybko zaczął zgarniać monety z powrotem do sakwy.

– Dobra, kończmy i wynośmy się stąd – zarządził.

– Mówię, zara. A jak wy nie macie chęci, to bierta chłopaka i do rzeki z nim. Dziewucha poczeka... – sprzeciwił się pierwszy.

Cal już od dobrej chwili szarpał się w więzach, starając się uwolnić, ale bandyci mocno zadzierzgnęli supły. Jego gwałtowne ruchy przyciągnęły tylko ich uwagę.

– Co, popatrzeć chcesz, jak się z nią zabawiamy? – mlasnął któryś i zaczął ściągać portki. Cal wrzasnął z wściekłości i bezsilności.

– Nie dotykaj mnie!

Gardłowo wypowiedziane słowa leżącej dotąd nieruchomo kobiety zaskoczyły wszystkich. Napastnik zamarł w bezruchu.

– Rozwiążcie go!

Zimna furia w jej głosie docierała wprost do umysłu Cala, mroząc mu krew w żyłach, wywołując gęsią skórę na ciele. Nie słyszał dotąd, żeby ktoś mówił w taki sposób. Bezmyślnie patrzył, jak dwóch zbirów posłusznie podchodzi do niego i przecina więzy. Chciał się podnieść, ale zmartwiałe członki sprawiły, że kolana się pod nim ugięły i miękko osunął się z powrotem na ziemię. Zaczął się więc czołgać do dziewczyny, a potem niezdarnie rozsypał jej pęta zdrętwiałymi palcami.

Trzej bandyci trwali nieruchomo niczym głązy. Dziewczyna wstała niezgrabnie, opierając się o Cala. Wyglądała żałośnie. Przeraźliwie chuda, ze sterczącymi żebrami, potarganym warkoczem. Na ciele znać było czerwone pręgi po więzach, a na piersi, odbijając promienie słońca, lśniło znamię. Miało kształt smoka o rozłożonych skrzydłach. Cal patrzył, jak porusza się w rytm oddechu. Drżała i gdyby nie podtrzymujący ją chłopak przewróciłaby się, ale zielone oczy jarzyły się niczym płomienie, a głos brzmiał pewnie.

– Ostawcie to wszystko!

Wypełniona monetami sakwa zabrzęczała przy upadku. Obok spadł medalion.

– Ściągać portki, już!

Trzech zbirów rozdziła się szybko, błyskając nagimi pośladkami.

– Żadyn już kobity nie tknie, póki żyw będzie – powiedziała dobitnie dziewczyna. – A tera won w las!

Bandyci, bez słowa protestu, nie oglądając się, popędzili w stronę widocznych za rzeką drzew.

Utopią się, pomyślał Cal, patrząc w osłupieniu za nimi. Dziewczyna osunęła się na niego bezwładnie, na ciele lśniły kropelki potu, a zielone oczy zamgliły się jak przy olbrzymim zmęczeniu. Oddychała krótko, urywanie i dygotała niczym w gorączce. Oprzytomniał. Ułożył ją delikatnie na trawie i okrył leżącym opodal kocem, ubrał się szybko i znalazł bukłak z wodą. Przytknął go do bladych warg leżącej, a potem sam się napił.

– Mosz krew na łbie – usłyszał cichy szept.

Dotknął czoła i natrafił na spory guz. Na rękach poczuł ciepłą wilgoć.

– To nic – mruknął, patrząc na pokrwawione palce. – Leż tu. Sprawdzę, czy naprawdę odeszli.

Ruszył w stronę rzeki przez pobojuwisko, którym stał się ich obóz. Ogień wygasł, przewrócony na bok kociołek był pusty. Powyciągane z juków rzeczy i derki z ich pośłań walały się dookoła.

Sadzonki... Mój łuk, nóż, pomyślał w panice, rozglądając się dookoła.

Drzewka leżały przygniecione drobiazgami wywalonymi z toreb, odrzucone na bok. Trzęsącymi się rękami Cal wyciągnął je spod stosu ubrań. Jedno złamało się w pół, a gałązki zaczęły już usychać. Łzy zakreśliły mu się w oczach. Druga sadzonka ocalała, ułamała się tylko jedna gałązka, ale mech opatulający korzenie był nienaruszony, choć całkiem suchy. Wziął łuk

i ruszył nad rzekę. Woda opadła, a w mule wyraźnie odcisnęły się ślady stóp. Kiedy wyteżył wzrok, na drugim brzegu dostrzegł niewyraźne sylwetki.

– I dobrze – mruknął do siebie. – Kłopot z głowy...

Napełnił bukłak i przyklęknął nad płynącą teraz leniwie wodą, patrząc na swoje falujące odbicie. Jego twarz przypominała upiorną maskę. Obmył się ostrożnie i zrobił sobie opatrunek z zamoczonego w wodzie kawałka koszuli. Potem wrócił do obozu. Zwilżył drzewko i podszedł do dziewczyny. Wciąż leżała opatulona kocem. Potrząsnął ją za ramię.

– Dobrze się czujesz? Nic ci nie zrobili? – spytał. Pokręciła głową bez słowa.

– Wezmę łuk i pójdę w stronę tamtych drzew, może uda mi się coś upolować. Nie mamy nic do jedzenia – burknął. – Dasz sobie radę?

– Mhm.

Odwrócił się więc i odszedł.

Słońce stało już wysoko na niebie, a Cal ciągle krążył pośród drzew. Nie udało mu się niczego upolować. Głowa bolała go coraz bardziej, odezwało się także zranione ramię – nie posłużyły mu mocne więzy nałożone przez bandytów. Kiedy wreszcie wypatrzył okazałego dropa, zawiodła go zręczność i zmarnował strzałę, która utkwiała wysoko pomiędzy gałęziami. Powłócząc nogami, zawrócił do obozu. Pobojuwisko było już uprzątnięte, ogień płonął rażno, sypiąc iskrami, pachniało przypalone mięso. Zza krzaków wyłoniła się dziewczyna prowadząca konie. Calmin ze wstydem uprzytomnił sobie, że zapomniał o zwierzętach.

– Ryb nałowiłam – mruknęła, nie patrząc na niego. – Zjisz?

Skinał głową, czując, jak narasta w nim złość. Nie tak miała wyglądać jego przygoda. To on miał być obrońcą, bohaterem ratującym bezbronne kobiety z rąk bandziorów, on miał zdobywać pożywienie, zapewniać bezpieczeństwo. Tymczasem najpierw spadł z konia jak małe dziecko, potem się rozchorował, spił siebie i przygodnie poznaną dziewczynę, uwiódł ją, poślubił w pijanym widzie, a potem omal nie zginął, nagi i związany niczym prosię. Nie zdołał nawet trafić w powolnego, tłustego ptaka, który zdawał się naigrywać z jego niezdarności. Na dodatek ciągle czuł mdłości i zawroty głowy, a w brzuchu burczało mu z głodu. Nie umiał odmówić, kiedy jego tylko co poślubiona żona podała mu zawiniętą w liść przypaloną rybę. Zjadł ją szybko, parząc usta i wypluwając ości, ale gorąca woda z dodatkiem ziół podana w pucharze wzbudziła jego nieufność.

– To na wzmocnienie – sarknęła dziewczyna, widząc, jak przygląda się miksturze. – Nie takie jak twoje... – dodała złośliwie.

– Nie powinnaś tego podawać w Pucharze Zaślubin – mruknął. – On służy tylko do ceremonii ślubnych.

– Przecie wczora sam mi go wetkłeś w ręce – zdziwiła się. – Nie pamiętasz?

– Pamiętam. Nie będę się wypierać tego, że wzięliśmy ślub – odpowiedział ostro.

– Jaki ślub? Coś ty mi zrobił?! – wrzasnęła dziewczyna, a jej zielone oczy załśniły niebezpiecznie. Dopiero teraz Cal zauważył, że naprawdę jej włosy płoną jaskrawą czerwień. Nagle przestraszył się tej dziwacznej osoby.

– Czego się tak gapisz? – warknął. – Mnie też każesz biegać goło? Dziewczyna syknęła jak rozłoszczona kotka. Cal nagle poczuł zimne ciarki wzdłuż kręgosłupa.

– Kim ty jesteś? – wydusił przestraszony. – Każesz trzem osiłkom ganiać po polu bez portek, a oni słuchają cię jak psy... Co im zrobiłaś? Co chcesz zrobić mnie? Przestań, słyszysz, przestań!!! – Cofnął się.

Dziewczyna opanowała się trochę. Odetchnęła głęboko, a jej oczy straciły swój niezwykle

blask.

– Odczep się – mruknęła. – Jużem cię widziała bez portek. Ale jak chcesz trocha goło polotać...

– Nie – odetchnął chłopak. – Tylko chciałbym wiedzieć, co się stało.

Wzruszyła ramionami.

– Posłuchali i już. Nie twój interes – powtórzyła ulubione powiedzonko Worama i nagle znów się zdenerwowała. – Co to za ślub, o którym żeś godoł?

– Nie wiesz, co to ślub? Kobieta i mężczyzna przysięgają sobie miłość i do śmierci już są razem. Mają dom, dzieci – tłumaczył. – Byliśmy trochę, eee... kiedy piliśmy z Pucharu, ale to nieważne. Poślubiłem cię, jesteśmy małżeństwem i nic tego nie zmieni.

– Godej zdrów! – krzyknęła. – Ja żadnego ślubu z tobą nie brała i żadnym małżeństwem nie będę...

– Ale wypiałś ze mną z Pucharu, tak? – wrzasnął Cal wytrącony z równowagi. – Wedle prawa jesteśmy teraz mężem i żoną do końca życia...

– Gównu mię obchodzi, czy będziesz miał żonę czy ni... A mnie chłop nie potrzebny, dopiero co uciłam od takiej gnidy... Zdech jak pies, a ty, jak mię jeszcze raz obłapisz, tyż tak skończysz!

Wyrwała mu Puchar z ręki i ze złością cisnęła w krzaki. Cal rzucił się za nim. Gwałtowny ruch sprawił, że zakręciło mu się w głowie i runął jak długi wprost u stóp rozgniewanej dziewczyny.

– Wstawej, czego leżysz jak glista – warknęła.

Jeździec poruszył się i niezgrabnie próbował wstać, upokorzony do ostatecznych granic. Zamiast tego poczuł, jak osuwa się w ciemność. Stracił przytomność.

Ocknął się, czując na czole wilgotny dotyk, a na policzku nieprzyjemne łaskotanie. Poruszył ręką, chcąc odgonić tę natrętą muchę i palce zaplątały mu się w gęstwinę skręconych, rozczochranych włosów.

– Leż spokojnie – usłyszał znajome chrypliwe burknięcie – bo się na śmierć wykrwawisz. Na, pij...

Tym razem bez protestów przełknął cierpki płyn.

– Dziękuję – wymruczał niechętnie.

Związała mu mocno opatrunek na głowie i przysiadła obok na piętach, wpatrując się w niego uważnie. Najwyraźniej złość jej przeszła. Cal również usiadł. Stojące w zenicie słońce sprawiło, że włosy dziewczyny lśniły niczym ogień. Nie mógł się powstrzymać. Wyciągnął dłoń i dotknął rudego kosmyka.

– Jakie piękne – szepnął mimo woli. – Wyglądają jak płomienie... Nigdy nie widziałem takiego koloru włosów.

Dziewczyna wzdrygnęła się, ale nie odsunęła.

– Mei tyż tak gadała – mruknęła. – I Kagan... Po jej twarzy przemknął cień.

– Mei to twoja matka? – spytał ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć. Potrząsnęła głową.

– Matkę mi Kerany ubiły, jak dzieckiem byłam. Mei mnie od maleńkości w swojej chacie hodowała. Była znachorką, na ziołach się rozumiała jak nikt. Tyn parszywiec ją zabił, a przedtem... tfu, niech go zaraza. A przecie umierająca była i stara już... I Kagana tyż zamordował. Ja go w lesie naszła... Gardło miał poderżnięte i zimny był. – Rozpłakała się nagle, a Cal odruchowo przytulił ją do siebie.

– Cii – szeptał, kołyszając ją w ramionach i gładząc po zmierzwionych włosach. – Już

dobrze...

– Mieli my razem wyjechać, Kagan i ja. Mei tak chciała. A on ją zamordował... Ale odpłaciłam mu za to. A potem sama uciekłam z lasu. Ino kunia zabrałam i te pieniądze żem z dziupli wyjęła.

– Kochałaś go?

– Kogo? – Nie rozumiała.

– Tego Kagana. Skoro mieliście razem uciec?

– Dobry był z niego chłop. Żarcie nam przynosił i chatę naprawił. O kunie dbał... Ino poważania we wsi ni miał, przez Worama – chlipnęła.

– A dokąd jechałaś? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– A bo ja wim? Pierw traktem, ale ludzi się wystraszyłam... Wyglądali, jakby mię ubić chcieli...

Cal wziął jej twarz w swoje ręce i palcami otarł łzy.

– Słuchaj – szepnął. – To nie tak miało być... Ale wypiliśmy z Pucharu i przepadło. Pojedziemy razem na Równiny. Jak uda mi się dowieźć drzewko, może wybiorą mnie wodzem. A jak nie, to i tak zostaniesz ze mną. Nie będzie ci źle, obiecuję. Potwierdzę to małżeństwo przed klanem. Odtąd będziesz się zwać... A niech to, nie wiem nawet jak ci na imię!

Dziewczyna spojrzała na niego swymi zielonymi jak leśny mech oczyma.

– Albana. Mię na imię Albana.

– Więc będziesz Albana da Fen, żoną Calmina z klanu Fen, Jeźdźca, z Równin Marth.

Albana namyślała się chwilę.

– A bić tnie będziesz? – spytała wreszcie.

Calmin odsunął ją od siebie tak, żeby móc jej spojrzeć prosto w oczy.

– Nie – powiedział poważnie. – Nigdy cię nie uderzę. Słowo honoru.

– To i zostanę z tobą. Mię tam wszystko jedno... Cal zdusił ogarniający go histeryczny śmiech.

Wszystko jej jedno, z kim będzie do końca życia, żeby tylko nie bił, pomyślał. Ja to mam szczęście. Wypuścił ją z objęć i spróbował wstać. Udało mu się to przy pomocy dziewczyny.

– Ciągle jeszcze za słaby jestem, żeby jechać – westchnął. – Ale jeśli ruszymy jutro o świtaniu i pojedziemy przez Loen, to może jeszcze zdążę na czas.

– Loen?

– To stolica Imeskarii. Tam mieszka król i stamtąd zarządza wszystkimi prowincjami...

– Aha – mruknęła bez zrozumienia.

– Wyjaśnię ci, tylko... Strasznie głodny jestem. Można by nałapać jeszcze trochę ryb? Nie były złe.

Całe popołudnie i wieczór Cal spędził na opowiadaniu swej dzikiej żonie o kraju, w którym żyli, o morzu, które ledwo co widział i o ukochanych Równinach. Mówił jak najprościej, tak by Albana zrozumiała jego słowa, ale nie oczekiwał wiele. Jednak dziewczyna miała dobrą pamięć i była bystrzejsza, niż sądził.

Do snu ułożyli się razem. Cal starał się nie myśleć o przytulonym do niego dziewczęcym ciele i nie potrafił. Leżał w ciemnościach wpatrzony w gwiazdy, czując ciężar jej głowy na ramieniu, łaskotanie kosmyków na policzku, bicie serca, ciepło szczupłego ciała. Wreszcie drżącą ręką dotknął włosów, pogładził po twarzy. Skórę miała szorstką, pełną zadrapań, ale jemu wydawała się delikatna jak aksamit. Dziewczyna zamruczała cicho i przywarła do niego

mocniej, jej ręka zaczęła błędzić po nagim ramieniu, ominęła opatrunek i rozpoczęła wędrówkę po torsie.

Cal jęknął. Poszukał rozcięcia bluzy, którą miała na sobie i wsunął dłoń, natrafiając na drobne piersi. Palcami wyczuł znamię. Nie potrafił powiedzieć, skąd wie, że jest właśnie w tym miejscu.

– Skąd to masz? – spytał ochryple.

– Mei godała, że to smocze nasienie... – szepnęła mu wprost do ucha. – Zawszeć je miałam, ino nie było takie wyraźne. A bo co?

– Nic, nieważne... – mruknął. – To wszystko nieważne.

Dotykał niezgrabnie delikatnej, jasnej skóry, całował usta, wreszcie zanurzył się w niej, znajdując spełnienie. Czuł, jak smukłe ciało pręży się pod nim, jak dziewczyna jęczy, a jej źrenice rozszerzają się – nie wiedział, czy z bólu, czy pod wpływem emocji. Objął ją więc i przytulił, pogładził po policzku.

– Nie płacz – szeptał. – Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Jeśli mnie nie chcesz, to będziemy spać osobno...

– Głupiś – odburknęła po swojemu, ale w jej głosie nie było złości.

– Tyś nie taki jak Woram i inne Kerany. A tera śpij, bo świtem mamy ruszyć, nie?

Ułożyła się wygodnie, opłotła go nogami i po chwili Cal usłyszał jej równy, spokojny oddech.

Zasypiał, mając przed oczami jej postać tego pierwszego wieczoru, kiedy stała przy ognisku. Egzotycznie piękna i dumna, a jednak dziwnie bezbronna. Bezbronna? Był zbyt zmęczony, żeby rozważyć tę myśl.

Następne dni spędzili w podróży. Cal spieszył się. Wierzył, że przy odrobinie szczęścia zdąży na Równiny. Pogoda znów była sprzyjająca, ziemia obeschła, a najgorsze bezdroża pozostały za nimi. Gnali więc przed siebie i z każdą chwilą zbliżali się do Loenu, stolicy Królestwa Imeskarii.

Cal odwiedził już Loen w drodze na południe, trudno zresztą było go ominąć, bo tu krzyżowały się wszystkie główne drogi. Choć pierwszy raz oglądał wtedy prawdziwe miasto, był szczęśliwy, kiedy je wreszcie opuścił. Tłumy ludzi nieustannie przemieszczające się wąskimi uliczkami, hałas i smród ścieków były nie do zniesienia dla kochającego otwarte przestrzenie Jeźdźca. Ogrom kamiennego królewskiego zamku i przepych świątyń, mimo których przejeżdżał, budziły bardziej zdumienie niż zachwyt. Nie palił się, aby ponownie je ujrzeć, ale ominięcie miasta zajęło by zbyt dużo czasu. Miał zresztą nadzieję, że w Loenie uda mu się kupić trochę żywności, tak by nie tracić czasu na polowanie, i bardziej odpowiednie stroje dla Albany. Nie chciał, żeby stanęła u jego boku na Równinach ubrana w śmierdzące łąchmany. Pieniądzy mieli przecież dosyć.

Ludzka rzeka zatarasowała miejskie bramy. Wieśniacy, mieszczanie i wojownicy kłębili się, popychając, przeklinając i gadając jeden przez drugiego. Piękny poranek zamienił się w upalny dzień. Calmin i Albana zmęczeni po całym dniu jazdy wmieszali się w ciżbę, starając nie stracić się z oczu. Długo trwało, nim wreszcie przekroczyli rogatki.

Dziewczyna, znużona i spocona pod grubym płaszczem, którego kaptur ciągle okrywał jej rude włosy, opierała się o Cala bliska omdlenia. Była oszołomiona i przestraszona widokiem tyłu ludzi. Gapiła się bez słowa na piętrowe kamienice, na rażące jaskrawymi kolorami stroje, na kramy. W głowie jej się kręciło od odoru rynsztoków, resztek gnijących na ulicach i pomieszanych z nim zapachów jadła, nieznanych przypraw i pachnideł.

Ulice były zatłoczone do ostatecznych granic. Przepychali się uporczywie od gospody do gospody, żeby znaleźć miejsce, gdzie mogliby zatrzymać się choć na chwilę i wzmocnić nadwątlone siły.

Dopiero w leżącej blisko głównego placu karczynie „Smoczy Ogon” znalazło się trochę miejsca. Cal usadził żonę w najciemniejszym kącie, zamówił posiłek i piwo, a sam, zabrawszy parę sztuk złota, poszedł rozejrzeć się po mieście.

Albana siedziała w rogu, wciśnięta pomiędzy zachlapany stół a twardą wąską ławę. Pod nogami plątały się jej sakwy, drzewko stało oparte o ścianę. Wyglądało żałośnie: gałązki opadły smętnie, zielone pąki były niewidoczne w mrocznym wnętrzu. Albana patrzyła na nie z troską, ale nic nie mogła poradzić. Westchnęła głęboko, opatuliła się ciasniej płaszczem i zaczęła rozglądać po izbie.

Sala była zapełniona gośćmi, przepychali się przy stołach i kontuarze. W powietrzu unosił się zapach przypalonych mięs i kwaśnego piwa. Szare, kmiece ubiory mieszały się z krzykliwie kolorowymi, mieszczzańskimi sukniami. Te pstrokate barwy wzbudziły zachwyt Albany. Feeria kolorów przyciągała jej wzrok i wabiła, pobudzała wyobraźnię, tak samo jak wstążki wplecione we włosy dziewcząt i paciorki na szyi. Pojęła, że Cal miał rację, nalegając, by nie zdejmowała płaszcza. Nagle zrobiło jej się smutno.

Z trudem odwróciła oczy od pięknie odzianych kobiet i wróciła do lustrowania wnętrza karczmy. Jej uwagę przyciągnęły z kolei malowidła wiszące na ścianach. Farby dawno wyblakły, ale zdawało się jej, że dostrzega rozłożone skrzydła i gadzie ogony podobne kształtem do znamienia, które nosiła na piersi. Pomiędzy obrazami kołysał się na łańcuchu owalny przedmiot o nieokreślonej barwie. Była ciekawa, co to takiego, ale nie śmiała pytać.

Wypiła resztę piwa i zaczęła wsłuchiwać się w gwar rozmów. Skupiła uwagę na dwóch mężczyznach siedzących przy tym samym stole co ona.

– ...i powieszają, a potem poćwiartują!

– Łgarstwo! Czarownice pali się na stosie, a popioły rozsypuje na gościńcu! Zawždy tak bywało!

– Gadaj zdrów! Wiesza i ćwiartuje!

Zaintrygowana dziewczyna wysunęła się nieco ze swego kąta i zaczęła bacznie obserwować rozmówców. Mieli mocno w czubie i wrzeszczeli, jakby stali na przeciwnych brzegach szerokiej rzeki. Jeden z nich, niemłody i okrągły jak dynia, z czerwonym nosem i przekrwionymi oczyma rąbnął kuflem w stół, aż piana rozprysnęła się dookoła.

– Umie latać! – wrzasnął. – Wlatuje kominem, kradnie odeski i pije ich krew.

Drugi rozmówca, spokojniejszy, choć równie pijany, roześmiał się głośno.

– Jakby latała, to by jej złapać nie umieli. Oni ją tak, a ona fiuuu... – pstryknął palcami. – Głupiś i tyle, Garfasie!

– A ja ci powiadam, że lata! Dobrze mówię?

Albana, do której skierowane było to pytanie, cofnęła się do swego kąta i naciągnęła kaptur, zasłaniając niemal całą twarz. Burknęła coś niewyraźnie i zajrzała do pustego kufła po piwie. I pomruk, i gest Gafras zrozumiał jednoznacznie.

– Piwa! – ryknął gromko, przekrzykując hałas. – A nie mówiłem, że lata?! – zwrócił się do swojego kompana.

Znów zaczęli się spierać, co jakiś czas zwracając się do Albany o potwierdzenie swoich słów. Dziewczyna kiwała głową i popijała ciemne, mocne piwo, nie mając pojęcia o przedmiocie dyskusji. Czas płynął. Przywykła do hałasu i podrzemywała w kącie, kiedy nagle



grubas rzuciwszy garść miedziaków na stół, niezdarnie zaczął gramolić się z ławy.

– Idziemy! – wrzeszczał przy tym. – Idziemy na egzekucję! Trza nam zająć dobre miejsca!

Potknął się, zamachał rękami i chroniąc przed upadkiem, złapał Albana za ramię. Ta wstała siłą rozpędu, a on nie wypuszczając jej z uścisku, pociągnął za sobą. Jego kompan podniósł się również i pochwycił grubasa z drugiej strony. Zaczęli energicznie przepychać się do wyjścia, wlokąc za sobą oszołomioną dziewczynę, a za nimi z gospody wyszli prawie wszyscy goście. W ciasnym zaułku włączyli się w tłum ludzi podążających w tym samym kierunku.

Trafiwszy w środek ludzkiej rzeki, nie sposób już było zawrócić, nie narażając się na stratowanie. Upał zelżał nieco, ale w ciasnych ulicach panowała niezdolna duchota. Gdzieś z tyłu dał się słyszeć żałosny skowyt deptanego psa. Popychana i miażdżona przez napierający tłum Albana kurczowo trzymała się dyniowatego Garfasa. Posuwali się powoli, krok za krokiem, ale coraz to nowi ludzie dołączali do pochodu i usiłowali ich rozdzielić, aby samym nie zostać z tyłu. Dziewczynie tylko dzięki temu, że wzrostem przewyższała innych niemal o głowę, nie zrzucano dotąd kaptura, choć poły jej płaszcza co chwila zaczepiały o czyjeś nogi. Pociła się obficie, w głowie jej szumiało od nadmiernej ilości piwa, zapomniała o Calu i pozostawionych w gospodzie bagażach. Ale nad niewygodą brało górę podniecenie. Pierwszy raz była częścią większej całości, nie stała z boku.

Nie zważała na ulice, którymi szli. Dopiero kiedy znaleźli się na olbrzymim placu i zrobiło się luźniej, odchyliła kaptur i rozejrzała się dookoła. Przed sobą ujrzała mury ogromnej budowli. Wznosiły się potężne, zbudowane z szarego kamienia, połyskujące szybami. Ponad nimi, tak wysoko, że musiała zadrzeć głowę, wystrzelały w górę dwie wieże. Z prawej strony widniał zdobiony rzeźbami portal, do którego wiodły granitowe stopnie. Na ich szczycie ustawiono rząd ozdobnych krzesel. Wejście na schody zastawiali królewscy gwardziści. Ich wypolerowane hełmy lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Szereg uzbrojonych w pałki i tarcze pachołków bronił dostępu w pobliże miejsca egzekucji.

Plac był zaledwie w połowie wypełniony, więc Albana wraz ze swymi towarzyszami zajęła miejsca tuż przy stopniach.

– Powiadałem ci, że stos! Będzie widowisko! – wykrzyknął radośnie chudy, patrząc na stertę gałęzi ułożoną wokół wysokiego pala. Ale Garfas nie miał już ochoty na kłótnie. Zatarł pulchne ręce i wdał się w dyskusję ze stojącymi obok gapiami.

Calmin, zadowolony z siebie, objuczony tobołkami, dotarł wreszcie do gospody. Jeden toboł zawierał żywność: suchary, suszone mięso, kawał słodkiego placka i butelkę wina, w drugim mieściły się dwie suknie, przeraźliwie jaskrawe i bardzo drogie, oraz sznur paciorków. Kupił też kościany grzebyk i męski strój do konnej jazdy. Miał nadzieję, że jego żona da się namówić na wyrzucenie łachmanów. Wydał prawie wszystkie pieniądze, które ze sobą zabrał, ale nie martwił się o to. Mieli opuścić miasto nazajutrz, a z zapasów Albany wziął ledwie kilka monet. To co pozostało, winno z nawiązką wystarczyć na spłacenie noclegu i solidnego posiłku.

Po skąpanych w zachodzącym słońcu ulicach panujący w karczmie mrok wydawał się jeszcze głębszy. Cal stanął w progu, mrużąc oczy wypatrując wysokiej sylwetki ukrytej w cieniu.

Gospoda była pusta, jedynie za ladą stał karczmarz, wycierając ścierką mokry blat. Przysiadł w kącie, w którym miała czekać na niego Albana. Przez parę chwil myślał, że wyszła na stronę, ale kiedy wypił kwaterkę piwa, a jej ciągle nie było poczuł niepokój.

Karczmarz podszedł i przejechał brudną szmatą po stole.

– Zara zamykam – powiedział. – Spieszcie się, panie.

– Jakże to, zamykacie? – zdziwił się Jeździec. – Myślałem, że gospoda czynna jest cały wieczór?

– Ano tak, ale dzisiaj zamykam, co by egzekucje obejrzeć. Jak chceta coś zjeść, przyjdźta po wszystkim.

– Egzekucja? Jaka egzekucja?

– Ano czarownicę na zamku ułapili i palić ją będą na zamkowym placu. A wy, panie, nie idzieta?

– Nie – mruknął Cal, zdjęty dziwnym niepokojem. – Była tu... Był tu ze mną taki w płaszczu. Nie widziałeś gdzie poszła, eee, poszedł?

– Ano kupa luda dzisiaj tu była – zamyślił się karczmarz. – Ale zdaje się, że widział takiego wysokiego w płaszczu, co w tym kącie siedział. Poszed chyba z tymi dwoma, co razem pili, egzekucje oglądać.

– Co? – wrzasnął chłopak i zerwał się z ławy. – Gdzie to ma być?

– Na placu zamkowym, gadałem przecie... Hej, a kto zapłaci?!

Ale Cal nie słyszał. Ruszył biegiem po opustoszałych już ulicach w stronę wznoszących się nad miastem zamkowych wież.

Entuzjazm Albany parował wraz z resztkami piwa. Gęstniejący tłum coraz silniej napierał na stojących z przodu i trzeba było nie lada sztuki, żeby utrzymać swe miejsce i nie dać się zepchnąć gdzieś do tyłu. Rozdzielono ją z Garfasem i jego towarzyszem, choć w narastającym hałasie ciągle słyszała ich głosy biadolące nad pozostawionym w karczmie dzbankiem. I ona czuła pragnienie, ale zamiast piwa Wolałaby łyk zimnej wody. Ciągle ktoś ją potrącał i deptał po nogach. Chciała się cofnąć, ale zwarty tłum nie pozwalał na zrobienie żadnego kroku. A kiedy uświadomiła sobie, że i tak nie pamięta drogi do gospody, zaczęła ogarniać ją panika.

Wreszcie, kiedy słońce zniknęło niemal za zamkowymi wieżami, z bramy zaczęli wysypywać się kolejni żołnierze. Tłum zafalował niby łąn zboża poruszony powiewem wiatru.

– Jedzie, jedzie – zakrzyczał w podnieceniu.

Albana wyciągnęła szyję i pomiędzy zagradzającymi drogę gwardzistami dostrzegła kroczący powoli orszak. Przy wejściu na schody eskorta rozstała się, tworząc szpaler i zasłoniła jej widok. Dopiero kiedy nowoprzybyli zajęli miejsca, zobaczyła więcej. Na najbardziej ozdobnym krześle zasiadł młody chłopak o długich, skręconych w loki włosach i wielkich oczach, wystrojony w purpurowy płaszcz z błyszczącą w słońcu zaponą. Z uśmiechem skinął ręką zebranym ludziom i wskazał miejsce obok siebie wygolonemu na łyso mężczyźnie ubranemu w czarny mnisi habit. Ustawione z tyłu krzesła zajęli po chwili pozostali towarzyszący im dostojnicy. Na widok pozdrawiającego swych poddanych króla tłum oszalał.

– Niech żyje Emaus! – wrzeszczano co sił w gardłach. – Wiwat król! Niech żyje!

Albana zmarszczyła brwi, popatrując na chłopca i towarzyszącego mu mężczyznę. Jej ręka machinalnie powędrowała w stronę medalionu ukrytego pod bluzą.

To je król, pomyślała ze zdziwieniem. Tyn smark?

Na plac z turkotem wtoczył się ciągnięty przez woły wóz, podskakując na nierównym bruku. Na nim ze związanymi rękoma i kneblem wciśniętym do ust stała niewiarygodnie drobna kobieta. Włosy ścięto jej tuż przy skórze i ubrano w siermiężny worek przepasany sznurem. Stopy miała bose. Wyglądała jak dziecko dla zabawy przebierające się w stroje dorosłych. Tłum przycichł na chwilę, by zaraz rozwrzeszczeć się jeszcze głośniejszym. Rzucane w

stronę wozu odpadki poplamiały szarą suknię. Skazana stała spokojnie, strach widać było tylko w przerażonych, rozbieganych oczach. Dwóch strażników ściągnęło ją brutalnie i popychając, wprowadziło na stos i przywiązało do pala.

Z ozdobnego krzesła na podwyższeniu wstał łysy mężczyzna. Tłum przycichł. Ktoś ze świty podał mu rulon pergaminu. Duchowny rozwinął go i zaczął czytać głosem wypranym z wszelkich emocji.

„Z mocy danej mi przez Kolegium Kapłańskie ja, Zebon, Najwyższy Kapłan Kościoła Boga o Wielu Obliczach, Pierwszy Inkwizytor królestwa Imeskarii, skazuję na śmierć kobietę zwaną Lavallą. Udowodniono jej w Obliczu Boga uprawianie czarów. Na mocy edyktu króla Forsytha z roku pierwszego po smoczey wojnie paranie się czarostwem jest zakazane pod karą śmierci. Czarownica spłonie na stosie, a popioły jej rozrzucone będą na rozstajnych drogach. Niech śmierć ta będzie przestrogą i nauką dla tych, którzy pójść w jej ślady by chcieli.”

Kiedy umilkł obojętny głos i kapłan ponownie zajął swoje miejsce, na placu znów podniósł się rwetes.

Drobna kobieta na stosie bezsilnie szarpała się w więzach. Przez króciutki moment rozbiegane oczy skazanej spojrzały wprost na Albana.

Dziewczyna aż ugięła się od krzyku, który nagle rozbrzmiał w jej głowie. W tej jednej chwili odczuła paniczny strach, wściekłość na tłum domagający się jej śmierci, nienawiść wobec łysego duchownego i przeraźliwą, dojmującą samotność. Albana zachwiała się i przytknęła dłonie do skroni, jakby się bała, że czaszka za chwilę eksploduje od obcych doznań.

– Pomóż mi! – zawodziła w bólu i rozpacz. – Pomóżcie mi, błagam! – Nie wiedziała, czy to jej słowa, czy tylko wykrzykuje myśli czarownicy.

Ale nikt jej nie słyszał, nikt nie zważał na błagania. Tłum łaknął krwi, chciał widowiska.

Zebon dał znak. Do stosu zbliżył się zakapturzony człowiek z pochodnią w rękę. Napawając się widocznym teraz przerażeniem skazanej, powoli zbliżał łuczywo do podstawy stosu. Zebrani ze wstrzymanym oddechem śledzili jego ruchy...

– Neeee!!!

W tej pełnej napięcia i oczekiwania ciszy okrzyk Albany słyhać było nawet na krańcach placu. Zdumiony kat zamarł w połowie ruchu, z pochodnią niemal dotykającą gałęzi. Rozstawieni wokół schodów żołnierze nie drgnęli, kiedy pomiędzy nimi przecisnęła się odziana w łachmany postać i stanęła przed grupą dostojników.

– Tyżes król? – spytała chropawym głosem, patrząc na szczupłego chłopca w purpurowych szatach.

– Brać go! – wychrypiał Zebon, ale nikt nie zareagował.

– Tyś je król? – ponowiła pytanie Albana i zrzuciła kaptur. Rude włosy zalśniły niczym ogień w ostatnich promieniach słońca. Chłopak wpatrzony w zielone oczy skinął powoli głową.

– Puść ją – ni to rozkazała., ni to poprosiła dziewczyna. – Una niczego nie zrobiła, boi się ino, nic wiency. Tyn głupek łże! – Wskazała na czerwonego ze złości kapłana.

Król Emaus spojrział na swego głównego doradcę, Najwyższego Kapłana Zebona. Mnich wyglądał, jakby się dusił. Oczy wyszły mu na wierzch, łysina pokryła potem, a usta ledwie łapały powietrze.

– Nie wierz jej – wydusił, z trudem artykułując słowa. – Ona też... Albana skupiła swój przeszywający wzrok na małych, osłoniętych ciężkimi powiekami oczach kapłana.

– Zamknij się – powiedziała złowrogo. – Nie z tobą godom. Królu – zwróciła się znów do Emausa. – Ja ci życie uratowałam, z niewoli u Keranów wyrwałam. Zabierz se swój medalik, ale puść ja, te Lavalette.

Spod bluzy wyciągnęła wisior, pospiesznie zdjęła go z szyi i podała chłopcu. Ten wziął go w dłonie i obejrzawszy, spojrzał bezradnie na Zebona.

– To mój medalion – szepnął. – Pamiętam, dałem go mojemu wybawcy. To ty?

– Ja – potaknęła.

– Nie... – wycharczał kapłan.

– Pamiętam... – powtórzył Emaus. – Dlaczego mnie... Nas uratowałaś? Wiedziałaś, kim jestem?

Albana potrząsnęła głową.

– Ni, alem patrzeć nie mogła, jak Kerany dziecko niewolą. I mię tak pojmały i matkę mi ubiły. Stara Mei mię chowała, kerańska znachorka. I ją czarownicą zwali... Puść te kobietę, królu... – urwała, nie znajdując słów.

Emaus popatrzył na szarpiącą się w więzach skazaną, której z poranionych nadgarstków spływała krew. Mimowolnie potarł szczupłe dłonie, jakby rozcierając ślady po dawnych pętach. Wstał.

– Uwolnijcie ją – rozkazał trochę drżącym głosem. – I przyprowadźcie tutaj.

Stojący najbliżej żołnierze, jak we śnie, odwiązali kobietę od pala i przywiedli przed królewskie oblicze. Na jej twarzyczce widać było ślady łez zmieszanych z krwią, która sączyła się z rany na policzku. Drżała pod swoją zgrzebną suknią.

– Słuchajcie mnie, mieszkańcy Imeskarii... – Chłopięcy głos rozbrzmiał zadziwiająco dorośle i zdecydowanie pośród milczeniactwu. – ...moją wolą jest, aby ta kobieta, zwana Lavallą, odeszła wolno. Ona – wskazał na Albanę – uratowała kiedyś życie mnie i Najwyższemu Kapłanowi. To królewski dług.. Nie mogę odmówić jej prośbie. Ponieważ jednak owej Lavalli udowodniono uprawianie czarów, ma natychmiast opuścić miasto i nigdy nie może przestąpić jego murów. Jeśli zostanie ujęta ponownie, zginie.

Lavalla zgięła się w ukłonie. Albana, popatrując kątem oka na małą kobietę, również wykonała niezgrabny pokłon. Król zwrócił się w jej stronę i zniżył głos do szeptu.

– Ty również odejdz. Zebon nie daruje ci tej zniewagi. I weź go – podał jej medalion, – nie zwykłem odbierać prezentów. Kto tu dowodzi? – spytał głośniejszym głosem.

Z szeregu żołnierzy wyłonił się oficer.

– Masz eskortować te kobiety do bram miasta. Za ich życie ręczysz głową.

Żołnierz wyprężył się i wskazał na wóz, którym przywieziono czarownicę. Kobiety wsiadły, podtrzymując się nawzajem. Albana wyjęła knebel z ust Lavalli, a potem stanęły wyprostowane, ramię przy ramieniu, otoczone przez pięciu gwardzistów. Dziwaczny orszak ruszył w stronę najbliższej bramy. Atmosfera zmieniła się niedostrzegalnie. Ludzie spoglądali na siebie, jakby budzili się ze snu. Zebon wstał ze swego miejsca i podszedł do króla.

– Wasza Wysokość, popełniasz błąd – powiedział, z trudem hamując złość. – Nie pojmujesz, że te niewiasty to czarownice? Wydaj rozkaz, a spłoną jeszcze tej nocy!

– To był długi dzień, Zebonie. Czuję się zmęczony. Odprowadź mnie na zamek – polecił Emaus, z całej siły wspierając się na kapłanie.

Ruszyli szpalerem żołnierzy, a za nimi poszli pozostali notable. Milczący tłum podążył za wozem.

Cal, stojący na odległym krańcu placu, obserwował to wszystko z bardzo daleka. Kiedy

dotarł wreszcie na miejsce egzekucji, ledwie udało mu się wcisnąć pomiędzy stojących, ale nie mógł przesunąć się ani kroku do przodu. Usłyszał krzyk, potem chropawy głos swojej żony. Skóra mu ścierpła na grzbiecie, a ręka sama poszukała noża zatkniętego za pas, ale był zbyt daleko, żeby zrobić cokolwiek.

Patrzył potem bezradnie, jak skrzypiący wóz, kolebiąc się na kocich łbach, posuwa się pośród rozstępującej się ciżby i niknie mu z oczu, za łukowato sklepioną bramą po przeciwnej stronie placu. Dopiero wtedy oprzytomniał. Rzucił się pomiędzy ludzi, popychając, kopiąc i wrzeszcząc, ale zdołał się przesunąć ledwie parę kroków. Kiedy wreszcie późną nocą dotarł do rogatek, było już po wszystkim. Bramy zamknięto, a eskortujący obie kobiety gwardziści i gapie wracali na kwatery i do domów.

Skołowany i zmęczony dotarł do „Smoczego Ogona” dobrze po północy. Większość gości spała już na ławach i stołach albo i pod nimi. Tylko dwóch mężczyzn siedziało przy ladzie i rozmawiało z karczmarzem. Wnętrze śmierdziało piwem i moczem.

Cał dobrnął do swego kąta, zapalił stojącą na stole świeczkę i zamarł osłupiały. Drzewko broz leżało połamane, a puste juki walały się dookoła. Zniknęły zapasy, ubrania, pieniądze i cenny puchar zaślubin. Wśród tego pobojuwiska połyskiwał migotliwą czerwienią mały klejnot, który był częścią oprawy naczynia. Cał podniósł go, a potem cisnął z rozmachem o ścianę.

Usiadł ciężko na ławie, jakby ten bezsensowny gest wyczerpał wszystkie jego siły i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy pod palcami poczuł wypukłości koralików zdobiących jego klanową opaskę, zerwał ją i miętosząc w dłoniach, rozplakał się jak dziecko.

Albana stała obok Lavalli oszołomiona, dumna i upojona sukcesem. Nie zauważyła nienawistnych spojrzeń ani milczenia eskorty. Dopiero kiedy tuż przed bramą zsiadły z wozu i otoczone kręgiem gwardzistów wyszły za mury, a wrota zamknęły się za ich plecami z głuchym łoskotem, pojęła, co oznaczał wyrok Emausa. Zatrzymała się i chciała zawrócić, walić pięściami w okute dzwierza, krzyczeć co sił w płucach. Wtedy poczuła zdecydowane szarpnięcie małej dłoni na ramieniu.

– Zabiją cię, jak tylko przekroczysz bramę.

Albana zagryzła wargi tak mocno, że poczuła w ustach słodkawy smak krwi.

– Chodźmy stąd – nalegała czarownica. – Rankiem Zebon nakaże pościg, dlatego musimy odejść jak najdalej. Proszę, chodź.

Lavalla ruszyła, ciągnąc ją za sobą, a ona szła sztywno, ledwo przebierając nogami. Wyglądała jak drewniana kukielka, którą steruje niewidoczny zza kotary animator. Niebo usłane było gwiazdami, lśniąca srebrnym blaskiem tarcza księżyca oświetlała drogę. Przed nimi rozciągały się pola ciemne i ciche.

– Za trzy dni będzie pełnia – powiedziała szeptem Lavalla. – To dobra pora na nocną wędrówkę.

Albana wysunęła ramię z uścisku czarownicy i ponuro powlokła się w mrok.

Świt barwił już niebo na różowo, kiedy dotarły do lasu. Początkowo szły szybkim, równym krokiem kogoś, kto przywykł do podróży na własnych nogach, ale w miarę upływu czasu ich ruchy straciły sprężystość, a oddech stał się krótszy.

Albana w głowie miała zamęt. Wpierw myśli przemykały jedna po drugiej z taką szybkością, że nie mogła pochwycić żadnej z nich. Potem, kiedy poczuła zmęczenie, myślała tylko o odpoczynku, jeszcze później potrafiła skupić się wyłącznie na postawieniu następnego kroku. Nie widziała drzew, póki na któreś z nich nie wpadła. Oparła się o rostry pień, obok na

wilgotnym od rosy mchu przysiadła Lavalla. W bladym świetle poranka wydawała się jeszcze drobniejsza niż wieczorem. Jej twarz była nienaturalnie blada, a oczy wyglądały jak wąskie szpareczki. Kiedy poczuła na sobie spojrzenie zielonych oczu swej towarzyszki, wyszeptała:

– Musimy iść dalej, znaleźć kryjówkę. Tu każdy nas zauważy. Albana skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca. Dopiero rykbydła wyganianego na pobliskie pastwiska zmusił je do podjęcia wędrówki. Zagłębiły się w lesie. Płytką rozpadlina porośnięta paprociami wydała im się wystarczającym schronieniem. Wpełzły pod liście i niemal natychmiast zasnęły.

Dziewczyna obudziła się skostniała od chłodu. Tuż nad sobą ujrzała pajęczynę, na której perliły się kropelki rosy. Mały, czerwony pajęczek zawieszony na niewidocznej nitce czyhał na zdobycz. Paprocie szumiały kojąco, zachęcając do dalszego snu. Poruszyła się, chcąc żeby było jej wygodniej i poczuła na twarzy lepkość zerwanej pajęczyny i krople wody ściekające ze strzępiastych liści. Ręka natrafiła na skulony, ciepły kształt tuż obok. Odwróciła głowę i spojrzała wprost w oczy Lavalli. Przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego dnia i nocy.

Cał, pomyślała. Cał tam został.

Myśli, raz ukierunkowanych, nie można było zatrzymać. Zatęskniła za ciepłem jego ramion, za spokojem i ukojeniem, które obiecywały.

„Potwierdzę nasze małżeństwo przed klanem”, brzmiało jej w uszach. „Będę się tobą opiekował... nie chcę innej...” Zakryła twarz rękoma. Ciało zdrząło od tłumionego szlochu.

Zmierzchało już, kiedy odważyły się wypełznąć z rozpadliny. Pożywiły się kilkoma garściami czerwonych jagód, zebranych przez Albanę. Były jeszcze niedojrzałe i cierpkie w smaku, nie napełniły nimi żołądków, ale choć trochę oszukały głód. Znow powędrowały w blasku księżyca, tym razem skrajem lasu, bo Lavalla bała się zapuszczać głębiej.

Dopiero po upiornej, trzeciej nocy wędrówki, czarownica zdecydowała, że oddaliły się od Loenu na tyle, by zaryzykować spotkanie z ludźmi za dnia. Albana, ledwo żywa ze zmęczenia, została w lesie, a Lavalla poszła się rozejrzeć.

Polanka, którą wybrały na postój, obfitowała w jagody. Albana rzuciła się na nie i ogołociła najbliższe krzaki. Nie zastanawiała się, czy owoce nadają się do zjedzenia, pusty brzuch zagłuszył głos rozsądku. Siedziała potem skulona, skręcając się z bólu i wymiotując żółcią. Kiedy mdłości trochę jej przeszły, ruszyła niemrawo na poszukiwanie wody. Tryskające rażno spomiędzy kamieni źródło było niedaleko. Zaspokoila pragnienie i rozejrzała się wokół.

Las był tu inny niż ten, który знаła, bardziej przyjazny. Drzewa rosły rzadziej, przepuszczając promienie słoneczne, a kiedy odgarnęła poszycie, znalazła całą kolonię rdzawobrazowych grzybów. Nauczona doświadczeniem spróbowała ostrożnie śliskiego kapelusza i ukontentowana zebrała je do zawiniętego w róg płaszcza. Tuż nad jej głową przeleciał ptak, ale nim sięgnęła po kamień, zniknął pomiędzy gałęziami.

Żebym chociaż miała swój łuk, pomyślała z żalem. I jakiś garnek. Chrustu tu wszendy pełno...

Myśl o jedzeniu spowodowała gwałtowny skurcz żołądka, a na wspomnienie ekwipunku pozostawionego w gospodzie zachciało jej się płakać. Wróciła na polanę, wysypała grzyby na wielkie liście łopianu i usiadła, grzejąc się w słonecznej plamie. Machinalnie wzięła do ręki sporą szyszkę, obróciła ją w dłoniach i wreszcie ułożyła na trawie. Potem dopasowała następną i jeszcze jedną. Po chwili, zajęta układaniem, zapomniała o całym świecie.

Niespodziewany dotyk ręki na ramieniu sprawił, że znieruchomiała jak wystraszony żuk. W jednym przerażającym momencie zdawało jej się, że znow jest dzieckiem, a Worani zaraz

zarzuci jej szmatę na głowę. Niezdolna do żadnego ruchu, oczekiwała na rozpaczliwy krzyk matki. Dotykająca ją dłoń cofnęła się szybko.

– To ja, Lavalla – głos był cichy i uspokajający. – Wszystko w porządku.

Chwilę trwało, nim napięte mięśnie rozluźniły się i Albana ciężko usiadła na ziemi, wprost na układane z mozołem szyszki. Kobieta pomogła jej wstać i nie zwracając uwagi na rozbiegany wzrok dziewczyny, pokazała przytaszczony łup.

– Znalazłam go na kartoflisku. Jest dziurawy, ale można by zatkać dziurę mchem albo gliną. A kartofle upieczemy w popiele. Gdybyśmy tylko miały ogień... – paplała bez ustanku.

Albana wolno sięgnęła do woreczka przyczepionego do paska, wyjęła coś z niego i podała Lavalli. Na widok krzesiwa mała czarownica klasnęła w ręce z radości i szybko rozpała ogień, a potem zaczęła czyścić grzyby. Albana – ciągle roztrzęsiona przywołanymi z dzieciństwa obrazami – wzięła garnek i powłócząc nogami, poszła do źródła. Wypłukała naczynie z piasku, wepchnęła do dziury parę kamyków owiniętych liśćmi, napełniła wodą i wróciła na polanę.

Gorące, prawie ugotowane grzyby smakowały wspaniale po tylu dniach postu. Ziemiaki piekły się powoli w żarze ogniska. Popołudnie mijało leniwie na odpoczynku i drzemce. Las był cichy i wydawał się bezpieczny, postanowiły więc tutaj przenocować i dopiero rankiem wyruszyć dalej.

Albana siedziała wsparta o pień drzewa. Wcześniej opatrzyła trochę poranione stopy swej towarzyszki, a teraz robiła dla niej prymitywne łapcie z brzozowego, giętkiego łyka. W ciągu poprzednich dni prawie wcale się nie odzywała, zbywając słowa Lavalli burkliwymi mruknięciami. Ni stąd, ni zowąd naszła ją chęć, żeby dowiedzieć się czegoś o kobiecie, której uratowała życie.

– Naprowdy jeździe czarownicą? – spytała, nie podnosząc wzroku. Jej głos zabrzmiał jak zgrzyt żwiru na ścieżce.

– Tak.

Przerwała swoją pracę i zaskoczona spojrzała na siedzącą naprzeciwko drobną postać.

– Lotosz na mietle i pijesz dziecka krew?

Śmiech Lavalli zabrzmiał równie chropawo, jak głos jej towarzyszki, może dlatego, że w oczach błysnęły jej łzy.

– Pomyśl, głupia. Po co miałabym zdierać sobie nogi, wędrując po lasach, gdyby wystarczyła mi miotła i krew jako posiłek, a nie te wpeł surowe grzyby – powiedziała z goryczą. – Nie, nie potrafię latać i nie piję krwi, ale jestem czarownicą.

Albana pomyślała o Mei, o jej znajomości ziół...

– Taką czarownicą też nie jestem – oznajmiła Lavalla.

– To czemu...? – Urwała, nagle zorientowawszy się, że kobieta odpowiedziała na pytanie, którego nie zdążyła jej zadać.

– To właśnie potrafię. Znam myśli innych ludzi.

– I to wszystko? Za to ten kapłon chcioł cię spolic? – spytała niedowierzająco Albana.

– Niektórzy uważają, że to wielokroć gorsze niż latanie – mruknęła Lav.

Albana rzuciła w trawę łapcie, podeszła do ogniska i zaczęła wygrzebywać gorące, szerniałe kartofle. Ułożyła je na liściach, wzięta jeden i zaczęła gryźć razem ze skórą. Sparzył jej wargi i przypomniała sobie, jak ledwie parę dni wcześniej, razem z Calem siedziała przy ogniu, a on wyciągał z niego ziemniaki, obierał dla niej i wkładał wprost do ust gorący miąższ. Łzy stanęły jej w oczach. Otarła je niecierpliwie i spojrzała na Lavallę.

Świadomość, że czarownica wie, o czym pomyślała, sprawiła, że aż pobladła ze złości. Nagle pojęła, na czym polega siła jej towarzyski, siła i problem zarazem. Ale Lavalla spokojnie obierała kartofle, dmuchając na palce.

– Cięgiem słyszysz, co inni myślą? – spytała wrogo.

– Kiedy byłam młodsza, myślałam, że stracę rozum... Uczucia innych, ich myśli otaczały mnie bez ustanku, nie potrafiłam nie słyszeć, nie czuć. Nie umiałam nad tym panować. Teraz jest inaczej. Nie odsłuchuję cię, po co miałabym to robić?

Albana wzruszyła ramionami i wetknęła sobie do ust kolejną bulwę. Na wszelki wypadek postarała się odsunąć od siebie myśli o Calminie, ukryć je głęboko. Nie była gotowa dzielić się tymi wspomnieniami z kimkolwiek.

– Jakżeś się tego wyuczyła? – burknęła, byle coś powiedzieć.

– Wyuczyła? – zdziwiła się czarownica. – Tego się nie można nauczyć. Podobni mnie uważają, że to coś z czym człowiek się rodzi. Dlatego nazywamy siebie Obdarowanymi.

– To jes was wiency?

– Pewnie. Zdziwiona byłabyś jak wielu.

– I wszyscy potrafią zgadywać, co się myśli? – spytała podejrzliwie. – Nie, nasze Dary są różne. Są tacy, co przedmiotami ruszają, nie dotykając ich, inni znowu mogą z nich czytać, no... odgadnąć ich pochodzenie i dzieje, tylko trzymając je w rękę, a niektórzy tworzą iluzje – obrazy, których naprawdę nie ma. Albo tak słowa potrafią wypowiedzieć, że ludzie słuchają ich, wcale nie chcąc...

Albana zadrzała. Przypomniała sobie zbirów nad rzeką, leśną chatę, chłopaka miazdzącego kolorowe szkiełka...

– A zabić?

– Noo... tak, to też – przyznała niechętnie Lavalla. – Ale ja tego nie potrafię – zastrzegła się szybko.

– A chorobę sprowadzić?

– Tak, chyba tak.

Albana odrzuciła na wpół zjedzonego kartofla i wstała. Była blada, a na jej twarzy wyraźniej niż kiedykolwiek odbijały się ciemniejsze plamki piegów.

– Coś ci się stało? Dokąd idziesz?

Ale dziewczyna zniknęła już w lesie. Tylko przez chwilę jeszcze Lavalla widziała połyskujące w słońcu rozczochrane, czerwone włosy.

Było już całkiem ciemno, kiedy skulona przy malutkim ogieńku czarownica usłyszała trzask gałązek i spośród drzew wyłoniła się wysoka postać Albany. Odetchnęła.

– Ogień rozpalłam na nowo, żebyś nie zbłądziła. I bałam się trochę siedzieć tu sama... Myślałam, że nie wrócisz – dokończyła szeptem.

Dziewczyna usiadła przy ogniu i wyciągnęła dłonie ponad płomieniami.

– Ni ma tu zbójów ani nijakich stworzeń – powiedziała cicho. Potem odwróciła się i spojrzała wprost w oczy Lavalli. – Ja tyż mom tyn Dar, jakieś godała. Jezdem czarownica.

Wprost nad nimi lśniła wielka tarcza księżycy w pełni. Las dookoła żył własnym życiem. Na skraju polany, na granicy światła przemykały bezszelestne cienie. Skrzypiały gałęzie, liście szumiały w łagodnych powiewach wiatru. Kobiety przysunęły się bliżej siebie.

– Przedtem byłam taka zmęczona, że nie myślałam o tym, co czai się w mroku – szepnęła Lavalla. – Ja wiem, że masz Dar... To czasem ciężko znieść, najbardziej z początku. Ale Sajron nauczy cię, jak sobie radzić.



– Sajron?

– To nauczyciel i opiekun Obdarowanych. Idziemy do niego, tylko z nim będziemy bezpieczne.

– A on się nie będzie dziwował, że przysłała z tobą? – upewniła się Albana.

Lavalla uśmiechnęła się.

– Będzie dobrze, wierz mi.

Albana bez słowa otuliła się płaszczem. Zanim zasnęła, długo jeszcze wpatrywała się w księżycową tarczę.

Następne dni upływały już bez tego nieznośnego napięcia, które im towarzyszyło na początku. Albana powoli oswajała się z obecnością Lavalli i jej niezwykłą umiejętnością. Nie zaufała jej całkowicie. Nie potrafiła otworzyć się przed nią, jak zrobiła to przed Calem i nie opowiedziała jej wiele o sobie. Kiedy nie rozmawiały, rzucała jej czujne spojrzenia, jakby bezustannie miała się na baczności. Jednak Dar Lavalli miał zaletę, którą rychło nauczyła się cenić, strzegł ich bowiem przed niespodziewanym spotkaniem. Nieraz długo siedziały w krzakach czy rowach, kryjąc się przed ludźmi, których obecność czarownica wyczuwała z daleka.

Kiedy przekroczyły linię lasu i rzekę oddzielającą prowincję Ibern od Rubieży na północy i Równin Marth na zachodzie, poczuły się pewniej. Tereny były tu rzadziej zaludnione niż w centralnych prowincjach, a grody ze strzegącymi ich warowniami leżały daleko od siebie. Ciągle bały się wędrować traktem, ale na ostatnich drogach ruch był mniejszy, a ludzie wydawali się przyjaźni. Z kupieckiego wozu, który je podwiózł Albana ukradkiem zabrała kilka rzeczy, miały więc teraz nóż i obszerny płaszcz, który płatał się Obdarowanej wokół nóg, ale ogrzewał i ukrywał zgrzebną suknię.

Wiele dni i nocy upłynęło, od kiedy opuściły Loen, a według Lavalli cel ich podróży był ciągle bardzo odległy. Dlatego, kiedy na oddzielnym od drogi jedynie pasmem krzewów pastwisku dostrzegły pozostawionego bez opieki konia, nie wahały się ani chwili. Ukradziony wierzchowiec był nędzną, wychudłą chabetą, a one jechały na oklep, ale i tak znacznie przyspieszyły podróż.

Kierowały się wciąż na północ, dopóki od napotkanych ludzi nie dowiedziały się, że są już w pobliżu Mulacium, największego miasta Rubieży. Wtedy znów zmieniły kierunek, nieznacznie skręcając ku zachodowi. Kiedy las się przerzedził, na horyzoncie można było dostrzec szary masyw gór.

Pozbawione ochrony drzew zostały wydane na pastwę przenikliwego chłodu i wiatru. Dziurawe płaszcze nie ogrzewały dostatecznie, bosa stopy były białe i zeszywniały od mrozu. Potem zaczął padać śnieg. Zimny i mokry przykrył białym dywanem całą okolicę, lepił się do odzienia. Brakowało jedzenia, paszy dla zwierzęcia i drewna na podpałkę. Ale dla obu czarownic nie było powrotu, mogły tylko brnąć naprzód lub zginąć, więc szły. Uparcie i wytrwale posuwały się w stronę coraz lepiej widocznych gór.

Z bliska widać było, jak są potężne i groźne. Skały sterczały niczym postawione na sztorc ostrza, szare i bezlitosne. Wiatr zwiewał śnieg, odsłaniając rozpadliny, zatrzymując się na wątych, przemarzniętych mchach. Przedgórze za to wydawało się płaskie jak stół, póki na nie nie wyszły. Brodziły w głębokich zaspach lub stąpały po oblodzonych głazach. Musiały zsiąść z wierzchowca i iść obok, więc parły teraz przed siebie, kurczowo czepiając się jego uzdy, do której przywiązały kawałek powroza.

Albana straciła poczucie czasu i kierunku, nie czuła już głodu ani zimna. Brnęła przez

śnieg, kurczowo zaciskając dłonie na postronku, idąc tropem Lavalli. Mała i lekka kobieta szła naprzód drobnymi kroczkami, nie pozostawiając prawie śladów. Kiedy Albana po raz kolejny wpadła w zaspę, oszroniony i śliski sznur wysliznął się z jej zgrabiących rąk. Padając, uderzyła się boleśnie o ukryty pod śniegiem skalny odłamek. Nie próbowała wstać, nie miała sił, żeby wołać.

Ogarnął ją lodowaty chłód. Śnieg zabarwił się na czerwono, kiedy ze zranionej nogi zaczęła płynąć krew. Jak przez mgłę słyszała przyzywający głos Lavalli, czuła ciepły oddech trącającego ją pyskiem konia. Straciła świadomość.

Ocknęła się, kiedy czyjeś brutalne ręce rozcierały jej skostniałe członki, szczypały w policzki. Nie potrafiła się obronić, nawet kiedy świat zaczął się nagle kołysać. Znowu zapadła w ciemność. Do ponownego otwarcia oczu zmusił ją dziwny blask pod powiekami. To było słońce. Wydawało się przyblakłe i mniejsze niż zazwyczaj, ale ogrzewało zmarznięte ciało.

– Jesteśmy w domu – usłyszała stłumiony głos Lavalli.

Na Równinach Marth Dalala z klanu Fen wpatrywała się w księżyc w pełni.

Tak niewiele czasu już pozostało, myślała. Gdzie jesteś, Cal? Brzask już blisko...

Na placu, pośród umierającego gaju broz, stał wbity w ziemię drewniany pal. Na nim poprzecznymi nacięciami znaczone kolejne lata, ryto imiona wodzów. Tu, przed świtem po pełni księżyca, mieli stawić się kandydaci na wodza, by zdać sprawę z wypełnionych zadań. Kiedy promienie słońca rozświetlą górski kryształ na czubku kolumny, czas próby minie.

Dalala ukryta w cieniu namiotu patrzyła na plac. Zebrało się na nim sześciu Jeźdźców, czekając, aż noc ustąpi. Ostatni z nich przybył na miejsce ledwie chwilę wcześniej, niemal półżywy z wyczerpania. Dalala wraz z innymi patrzyła, jak zsuwa się konia i chwiejnym krokiem dołącza do pozostałych, ale szybko odeszła rozczarowana.

– Ty, który wiesz bezpiecznie stada, miej w opiece mego syna. Sprowadź go do domu, chroń od złej przygody... – modliła się bezgłośnie niewidoczna w mroku. Oczy miała pełne łez. – Wróć Calminie, masz jeszcze czas.

Słońce powoli wynurzało się zza horyzontu. Można już było odróżnić rysy twarzy siedzących. Na placu pojawili się starsi klanów i zajęli miejsca, stając za plecami swoich kandydatów. Prowadzony przez najstarszego syna w środek kręgu wszedł wódz Jeźdźców i stanął obok pala. Promień słońca dotknął wierzchołka kolumny i rozświetlił skrzącym blaskiem kryształ. Setki małych tęczy zalśniły w trawie i na twarzach zebranych. Dalala z klanu Fen zaszlochała i ukryła się w namiocie. Miejsce przed Falkalasem, starszym klanu Fen, pozostało puste.

Jego Dostojność Zebon szalał z wściekłości. Przemierzał komnatę, palcami szarpał rękawy swej obszernej, czarnej szaty. Na twarz wystąpiły mu ceglaste rumieńce, a łysina lśniła od potu. Potknął się nagle o zawinięty róg kobierca i upadając, uderzył boleśnie w goleń. To tylko spotęgowało złość. Podniósł się i jego wzrok padł na wypełnioną owocami misę wykonaną z kosztownego różowego kryształu. Zmiotł ją ze stołu, a potem z satysfakcją patrzył, jak naczynie, wydawszy wpierw jękliwy ton, rozpryskuje się na tysiące drobniutkich okruchów. Dopiero to dzieło zniszczenia przyniosło mu ulgę. Strzepnął połyskujące kryształki z szaty, oczyścił krzesło i usiadł przy zawalonym zwojami pergaminów stole.

– Znajdę cię na końcu świata, parszywa dziwko – powiedział głośno. – Pożałujesz wtedy każdej chwili swego życia!

Pociągnął za dzwonek. W drzwiach pojawił się gapowaty chłopak. Osłupiałym wzrokiem patrzył na roztrzaskany kryształ, na resztki owoców walające się po podłodze.

– Wezwij Polosa – polecił Zebon. – I sprzątnij ten bałagan. Okryty wytartym, brudnym płaszczem Polos – niewysoki, chudyczłeczyna o przerzedzonych na czubku głowy włosach i dziurawych zębach – był podobny do dziesiątków innych wałęsających się po ulicach Loenu nierobów. Stał schylony w pokornym ukłonie, ale ani na chwilę nie opuścił wzroku, śledząc ruchy Zebona. Spokojnie przyjmował obelgi dostojnego kapłana.

– O, Najwyższy – zaskomlał, kiedy ten przerwał dla nabrania oddechu. – Nie każ swego sługi za to, czego nie uczynił. Nagroź go za to, czego się dowiedział.

Zebon świdrował go swym przenikliwym wzrokiem.

– Mów, pacholku – rozkazał.

– O, najmędrszy spośród mądrych, najłaskawszy z łaskawych, pytałem wszędzie, ale nikt wcześniej nie widział tej kobiety w Loenie. Musiała przybyć do miasta w dzień egzekucji...

Zebon gniewnie zmarszczył brwi. Polos zaczął mówić szybciej.

– ...ale znalazłem gospodę, gdzie się zatrzymała. Nazywa się „Smoczy Ogon”. To tania spelunka przy zachodniej bramie. Ta czerwonowłosa nie zwróciła niczyjej uwagi, bo miała kaptur na głowie i nie odzywała się wcale. Ale znalazłem takich dwu, z którymi piła... – Chytre oczka zabłyśły. – Wiele mnie kosztowało piwo dla nich.

Zręcznie chwycił rzuconą w jego stronę monetę i schował do przepastnej kieszeni.

– Onych dwóch zabrało ją ze sobą na plac. Myśleli, że to podróżny, co przyjechał egzekucję obejrzeć. Stali razem, ale potem tłum ich rozdzielił. To wszystko, panie.

Łysina Zebona znów załśniła kropelkami potu. Powoli podniósł się z krzesła.

– Wszystko? – spytał cicho, ale groźnie. – Po trzech dniach poszukiwań, to wszystko, czego się dowiedziałeś? Precz mi z oczu.

Polos znalazł się za drzwiami, zanim przebrzmiało ostatnie słowo.

– Obyś spłonął w smoczym ogniu, łysy kastracie. – Splunął na posadzkę. – Słowa więcej nie powiem.

Obciągnął kapotę i ruszył spieszenie korytarzem.

## Cześć druga: Nauki

Albana pochylała się nad miską z wodą i uważnie przypatrywała drgającemu odbiciu. Ciekawa była swego wyglądu i próbowała ocenić, czy naprawdę tak bardzo różni się od innych, jak powtarzała najpierw Mei, potem Cal i wreszcie Lavalla.

Rzeczywiście, twarz, która spoglądała na nią z wodnego zwierciadła, wyglądała odmiennie od tych oglądanych na co dzień. Skaryjki wydawały się podobne do siebie, jakby stworzono je według tego samego wzorca. Lica miały okrągłe, z pucułowatymi policzkami i wąskimi szpareczkami oczu, okolone czarnymi, prostymi włosami. Jej twarz natomiast była owalna, o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i podbródka, a oczy duże i wyraziste. I zielone niczym leśne paprocie, a nie błękitne, szare lub czarne. Płomiennie czerwone włosy tworzyły uderzający kontrast z jasną cerą, którą znaczyło kilka brunatnych plamek na nosie. Figurę też miała inną. Skaryjskie kobiety były niewysokie, z krągłymi biodrami i obfitymi piersiami, a ona była chuda i płaska, o ledwo zaznaczonej linii bioder i biustu. Nawet teraz, kiedy wyzdrowiała i jadła regularnie, szara sukienka wisiała na niej niczym na kołku, a spod zbyt krótkiej spódnicy wyglądały szczupłe łydki.

Rozsupłała sznurówkę i pozwoliła, by sukienka zsunęła się jej z ramion, odsłaniając piersi. Medalion, królewski podarunek, spoczywał pomiędzy drobnymi półkulami, ale nie na niego patrzyła, lecz na swoje znamię. Jego złocista barwa wydawała się niemal tak intensywna, jak kolor łańcucha, na którym zawieszono wisior. Kształtem przypominało wizerunek smoka z obrazów w loeńskiej gospodzie: trójkątny łeb, długa szyja, ogon i rozłożone skrzydła, które zdawały się poruszać w rytm oddechu. Podciągnęła suknię, zasznurowała ją starannie i plasnęła ze złością w powierzchnię wody, mącąc odbicie.

– Odmieniec, smocze nasienie... – szepnęła i wierzchem dłoni otarła łzy, które spłynęły jej po policzkach. Podeszła do okna i zapatrzyła na rozpościerający się przed nią widok. W przejrzystym powietrzu ośnieżone wierzchołki gór zdawały się leżeć na wyciągnięcie ręki. Poniżej ciągnęła się linia drzew o ciemnozielonych koronach tworzących naturalną zaporę przed wiatrem, jeszcze niżej rozciągały się łąki, poznaczone plamami śniegu, poprzecinane wartkimi strugami spływającymi z gór.

Pięknie jes tutej, pomyślała mimo woli. Całkiem inakzej jak w lesie... Ino zimno. Jak oni nas tu przywieźli?

Wychyliła się jeszcze bardziej, ale nigdzie nie dostrzegła przejścia między skałami. Chłodne powietrze przeniknęło ją na wskroś, przymknęła więc okno z matowymi, oprawionymi w ołów szybkami, przysiadła na łóżku i wyciągnęła ręce w stronę ognia. Od zajmującego całą ścianę kominka z obmurowanym paleniskiem rozchodziło się miłe ciepło. Zapatrzyła się w płonące drwa, przypominając sobie, jak leżała chora, oblewana na przemian potem i wstrząsana dreszczami, jak karmiono ją i pojono miksturami pachnącymi niczym ziołowe mieszanki Mei, jak obmywano jej ciało wodą, niosąc ulgę w gorączce i moczono odmrożone stopy i dłonie w ukropie. Zajmowano się nią troskliwie i dogadzano niczym dziecku, póki gorączka nie spadła, a rany się nie zagoiły. Dziś po raz pierwszy pozwolono jej wstać i ubrać się.

Ciekawam, jak długo chorzałam, pomyślała znowu, i kaj je Lavalla. Powiadali, co ozdrowiała i z legowiska wstała... Trza ją znająć, postanowiła znudzona beczynnością.

Wstała z łóżka, wygładziła rękoma fałdy sukienki i otworzyła drzwi. Przemierzyła mały

przedsiemek i wyszła na wijące się wokół filara schody oświetlone z rzadka migotliwym blaskiem pochodni. Schodziła po nich lekko, wspierając się ręką o nierówny mur, coraz niżej i niżej, aż zaczęło jej brakować tchu, a w głowie zawirowało. Mało nie zemdląca, nim trafiła na korytarz o beczkowatym sklepieniu, z bielonymi wapnem ścianami. Drewniana podłoga zaskrzypiała pod stopami, chybotliwy cień wyciągnął ku niej długie ręce, naigrywając się z jej lęku. Gdzieś z dala dobiegły ją stłumione głosy, ruszyła więc w ich stronę biegiem, mijając pociemniałe ze starości, okute żelazem drzwi, komnaty i przedsionki. Potknęła się o skrzynię i upadła, tłukąc boleśnie palce stóp. Zanim oszołomiona zdążyła się podnieść, czyjeś dłonie ujęły ją pod ramiona i postawiły na nogi. Wyrwała się i oparła o mur, drżąc ze słabości, ale czujna. Zdumiała się, kiedy przed sobą ujrzała starca o pobrużdżonej twarzy i białych włosach, przyodzianego w długą, szarą szatę. Wyglądał jak prozalny dziad, żebrzący na gościńcu, ale łatwość, z jaką ją podźwignął i wyprostowana sylwetka świadczyły, że musi być jeszcze krzepki albo nie tak stary, jak zrazu sądziła.

– Witaj, Albano. Cieszę się, że wydobrzałaś – powiedział czystym, dźwięcznym głosem.

Patrząc w przyjazne oczy o poprzecinanych czerwonymi żyłkami białkach i tęczęwkach błękitnych jak niezapominajki, Albana rozluźniła napięte mięśnie i wytarła wilgotne dłonie o skraj sukni.

– Ja Lavalle chciała znaleźć, ałem zbłądziła w tym korytarzu – wybąkała.

– Lavalla jest w bibliotece. Zaprowadzę cię do niej – uśmiechnął się staruszek.

– Nie, panie, łbajeji nie zawracajcie. Ino... – przerwała, jakby badając, czy nieznajomy spełni jej prośbę.

– Tak? – spytał łagodnie mężczyzna.

– Ja by na powietrze chciała wyjść... – wydusiła.

– I ja na spacer szedłem. Może przejdziemy się razem? Poczekaj tu, przyniosę okrycia, ziąb dzisiaj okrutny.

Lodowate powietrze wywołało łzy, szczypało w policzki, ale dziewczyna wreszcie odetchnęła swobodniej. Otuliła się płaszczem i ruszyła ścieżką wiodącą wzdłuż muru. Za nią niespiesznie podążał białowłosy mężczyzna. Dróżka kończyła się w przykrytym poczerniałym śniegiem warzywniku. Albana miała ochotę pójść dalej, pomiędzy drzewa na jego skraju, ale robiło się coraz zimniej. Wiatr szarpał opończą, chłód kłusający bosa stopy, przypominał o niedawnych odmrożeniach. Z westchnieniem zawróciła i napotkała uważne spojrzenie stojącego tuż za nią starca.

Zamglone oczy straciły swój pogodny, dobrotliwy wyraz. Patrzyły teraz ostro i natarczywie, przenikając ją na wskroś. Poczula, jak złote zamię pulsuje gwałtownie, pali jej ciało. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, Albana doznała uczucia, jakby obca wola powoli wpełzała do jej umysłu, przepatrując go uważnie. Wrażenie było tak silne, że uniosła przed siebie ręce obronnym ruchem. Zaciśnęła powieki i z całej siły przeciwstawiła się tej mocy. Starzec nagle zachwiał się jak od ciosu i cofnął o krok. Dziewczyna otwarła oczy. Jarzyły się groźnie, niczym ślepie dzikiego zwierza.

– Przestań! – krzyknęła rozkazująco. – Zostow mię w spokoju, bo cię zabije!

Wyminęła go i zniknęła za narożnikiem.

Mężczyzna długo stał na ścieżce, jakby nagle zabrakło mu sił. Oddychał ciężko, przygarbił się. Wreszcie rozdygotanymi rękami zgarnął połę płaszcza i ciężkim krokiem ruszył wzdłuż muru.

– Albana zniknęła – powiedziała z niepokojem Lavalla. Wydobrzała już po podróży,

nabrała ciała i tylko krótkie, sterczące włosy świadczyły o niedawnych wypadkach. Teraz policzki zabarwił jej rumieniec, a szczupłe palce splatały się i rozplatały w geście bezradności. – W jej komnacie wszystko rozrzucone... Nie wiem, co myśleć, Sajronie...

– Uspokój się, Lav. – Białowłosy starzec pogładził kobietę po ramieniu. – Wracaj do swoich zajęć.

– Ale...

– Idź, Lavallo, wszystko będzie dobrze. Dolid sprawdzi, dokąd poszła Albana.

Popchnął ją łagodnie w kierunku drzwi, a kiedy zniknęła, zwrócił się do siedzącego przed kominkiem mężczyzny.

– Uciekła. Musisz ją odszukać i zatrzymać w Twierdzy. Jeśli stąd odejdzie, zginie.

Mężczyzna podniósł się ze swojego zydła.

– Znajdę ją – mruknął.

Dolid wypatrzył połyskującą w słońcu ognistoczerwoną plamę tuż przed linią drzew. Dogonił dziewczynę, kiedy wspinała się już na pierwsze skały. Zawołał ją po imieniu i spokojnie wytrzymał nieprzyjazne spojrzenie, którym go zmierzyła.

– Nie wytrwasz w górach jednej nocy. Uświerkniesz na śmierć – powiedział.

– Won, ty, ty... Obdarowany!!! Zostow mię w spokoju! – warknęła. Jej szara sukienka wyduła się jak balon od przenikliwego wiatru.

– Nie jestem Obdarowany, siedzę w bibliotece i mam baczenie na księgi. Porozmawiajmy, proszę.

– Nie czarujesz? – upewniła się.

– Nie, słowo daję.

– To czego chcesz?

– Poza doliną czeka cię śmierć. Zebon nie daruje ci takiej zniewagi, możesz mi wierzyć. – Podniósł dłoń i dotknął szerokiej blizny ciągnącej się od czoła, przez policzek, aż do ucha. W miejscu małżowiny byłobybrzydkie zgrubienie przecięte fioletowymi żyłkami. Pomasował je odruchowo. Zeszpecona twarz skrzywiła się w uśmiechu. – Znamy się z Najwyższym Kapłanem od dawna... Dlaczego chcesz odejść? Żle ci tu?

Albana znów się nastroszyła, niczym gotowa do ataku kotka.

– Jakiś dziód chcioł, chcioł... Coś mi zrobił w głowę... Nikt mi czegoś takiego robił nie będzie!

– To nieporozumienie. Powinnaś wrócić do Twierdzy i rozmówić się z Sajronem.

– Jakie niezrozumienie? Nie będę gadać z tym dziadem ani z nikim innym... I nie przyjdę do ty waszy Wierdzy. Duchota tam tako, że we łbie mi się miesza... Nijak mi tu żyć, niepotrzebnie mię tu Lavalla przyciągła – użaliła się.

Dolid w zamyśleniu poskrobał się po wygolonej głowie.

– Tu, niedaleko, jest szałas... Latem pasterze w nim mieszkają, stad doglądając. Można by go opatrzyć, sprzętów parę wstawić. Nie bałabyś się mieszkać sama?

Albana wzruszyła ramionami.

– Mię sprzętów nie potrza, skór ino parę dajcie i garnek jaki, żebym strawę uwarzyć mogła.

– Niech i tak będzie. Ale teraz do Twierdzy ze mną wrócisz, zjesz coś i porządne odzienie weźmiesz.

Wstał z kamienia, na którym przysiadł, otrzepał się i ruszył w stronę budynku. Albana podreptała za nim.

W przedsionku bibliotekarz chwycił dziewczynę za ramię i pociągnął za sobą. Weszli do przestronnej świetlicy. Przy długich stołach zbitych z gładkich desek tłoczyli się mieszkańcy Ostatniej Twierdzy – kobiety i mężczyźni, w większości kmiecie odziani w zgrzebne sukno, ale pomiędzy nimi błyskały suknie z jaskrawej kitajki i koszule z delikatnego płótna. Spłoszona widokiem tyłu ludzi chciała się cofnąć, ale Dolid trzymał mocno i nie pozwolił jej umknąć. Usadził ją w kącie obok młodego chłopca i starszego już mężczyzny.

– Jagonie, trzeba, nam po jedzeniu szalas pasterzy opatrzyć – zwrócił się do mężczyzny. – To jest Albana, porozmawiajcie sobie. Ja zaraz wrócę.

Dziewczyna przycupnęła na brzegu ławy i spojrzała spode łba na współbiesiadnika. Jagon odwzajemnił spojrzenie i wrócił do jedzenia.

Siedzący obok wyrostek uśmiechnął się szeroko, ukazując szczerbę między zębami.

– Tyś jest ta nowa, co z Lavallą przyszła, nie? – zagadnął. Nalał zupy z kociołka, który dymił pośrodku stołu i podsunął jej miskę.

– Mnie wołają Sewek.

Albana nie odpowiedziała, usiłując nabrać zupy na łyżkę.

– Ale masz włosy, niczym wiewiórka. Nigdy żem takich nie widział... Nie obraziłaś się chyba? – stropił się, widząc, jak się nagle zachnęła.

– Daj se spokój z tą łyżką. Jak żem tu przyszedł, też nie wiedziałem, do czego ona potrzebna. Wypij zupę, nikt się nie zdziwi. O, zobacz...

Przytknął naczynie do ust i duszkiem wypił jego gęstą zawartość.

– Mmm, ale dobra. To moja matula gotowała... Powiedz, po co ojciec mają naprawić szalas, będziesz tam mieszkać? – paplał Sewek z pełnymi ustami.

– No – potaknęła dziewczyna i ośmielona demonstracją chłopaka wypła zupę. Rzeczywiście była pyszna, aromatyczną, pełna tłustych kawałków mięsa i warzyw.

– Pewnie ogień umiesz wzniecać. Może i lepiej, że tam mieszkać będziesz. Matula powiadała, że szopę spaliła, zanim Sajron jej nie wyuczył, jak się hamować. Pójdę z wami i pomogę, ojciec pozwoli?

Jagon potaknął w milczeniu, skończył jeść, otarł sumiaste wąsy i spojrzał na Dolida, który stanął obok. W rękach trzymał pokaźny tobiół.

– Jeśli się posiliłaś, to iść możemy – powiedział spokojnie. Szalas nie był schronieniem splecionym z gałęzi, lecz solidnąbudowlą z bali. Środek pojedynczej obszernej izby bez okien zajmowało palenisko. W powale wycięto otwór, przez który uchodził dym. Klepisko pokrywały owcze odchody i zwiędła trawa, a w kątach i u sufitu zwieszały się olbrzymie, szare pajęczyny.

– Jak ojciec ławę i zydle zrobią, dobrze ci tu będzie – uśmiechnął się Sewek. – Ino sprzątać trza.

– Racja, wy sprzątajcie, a my utkamy ściany słomą. Bierzmy się do roboty, Jagonie, bo wieczór zaraz będzie.

Sewek naprędce zrobił miotłę z zebranych wokół chaty gałęzi, związał wyciągniętym z kieszeni sznurkiem i wypróbował na ścieżce.

– Nada się – oświadczył, wręczając ją Albanie. – Ja większe śmieci wyniosę, a ty zamiataj.

Dziewczyna niezgrabnie przystąpiła do pierwszego w życiu sprzątania. Tumany kurzu podnosiły się znad klepiska, a ona kichała i krztusiła się co chwilę. Dopiero kiedy pomiędzy porzrzuconymi odpadkami dojrzała polepę, pojęła cel swojej pracy. Wysmarkała nos i

zaczęła od początku.

Zanim słońce zaszło, domostwo było ocieplone, izba wysprzątana, a na palenisku żarzyły się resztki drewna. Zmęczeni i zakurzeni pracownicy wyszli przed chatę i patrzyli, jak złota kula powoli chowa się za postrzępione wierzchołki gór.

– Pora nam wracać – odezwał się wreszcie Dolid. – W tobołku masz odzienie, buty i spyżę – machnął ręką. – Na noc drzwi porządnie zawrzyj, na skobel, bo tu wilki podchodzą. Dobrej nocy, dziewczyno.

– Ja wam dziękuję... – wydusiła Albana.

Dolid i Jagon skinęli głowami, a Sewek wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Odwiedzić cię przyjdę. A jak ojciec zydle i stół zrobią, to przyniosę... Dobranoc! – krzyknął i pobiegł za oddalającymi się mężczyznami.

Albana została sama. Otrzeptała z kurzu suknię i weszła do swego nowego domu, starannie zamykając za sobą drzwi. Opatuliła się skórą wyciągniętą z tobołu i przysiadła przy ogniu. Na zewnątrz, pomiędzy skałami, hulał wiatr, pod powalą coś hurkotało, płonące polana sypały iskrami. Mimo ciepła bijącego od paleniska ciałem dziewczyny wstrząsał dreszcz. Poczuli się nagle bardzo samotni.

Nie przyszła do Twierdzy ani następnego dnia, ani jeszcze następnego. Zaniepokojony Dolid wysłał do szafasu Sewka, ale chłopak wrócił z niczym. Drzwi były zamknięte, a chata pusta. A jednak Albana nie odeszła z doliny. Co wieczór widać było unoszące się nad chatą Wąskie pasmo dymu.

Dopiero trzeciego dnia pojawiła się na posiłku. Wśliznęła się cicho do jadalni i usiadła obok Jagona. Dolid pociągnął za rękę Lavallę i oboje przysiedli się do siorbiącej polewkę dziewczyny.

– Witaj – uśmiechnął się bibliotekarz. Blizna na policzku rozciągnęła się, szpecąc przystojne oblicze. – Zadowolona jesteś z domostwa?

– Zadowolona – potaknęła Albana, – Ino zwierza tu mało. Polować się nie da...

– O, jesteś! – rozległ się zadyszany głos Sewka. – Byłem u ciebie wczora, ale drzwi zawarte były. Gdzie byłaś? – I chłopak wcisnął się pomiędzy siedzących.

– Łaziłam tu i tam – odmruknęła.

– A twoja ława i zydle już gotowe. Pomogę ci nieść, chcesz? Kiedy wracasz do chaty, dziś?

– No.

– Lav mówiła, że znasz się na ziołach. Yol, nasza uzdrowicielka, potrzebuje pomocnicy i tak myślę, że się jej nadasz. Zaczнеш od jutra – wtrącił się szybko Dolid.

Albana skrzywiła się, ale nie śmiała odmówić.

Odtąd jej życie potoczyło się utartym rytmem. Rankiem schodziła do Twierdzy, aby pomagać zielarce, która pielęgnowała ją w chorobie. Rumiana, zażywna Yol chętnie przyjęła pomoc. Razem warzyły mikstury, wymieniały doświadczenia, pielęgnowały ogród i doglądały chorych. Potem był obiad we wspólnej jadalni, a później dziewczyna wracała do swej chaty. Czasem miała ochotę zostać i pomóc innym, lecz niewiele potrafiła. Inaczej niż w kerańskim lesie, gdzie życie toczyło się leniwym rytmem, tu wszyscy byli bez przerwy zajęci. Mężczyźni uprawiali rolę albo zajmowali się rzemiosłem, a ci bardziej uczeni pracowali w bibliotece. Kobiety opiekowały się dziećmi, prowadziły gospodarstwo, przędły i tkwały. Albanie zdawało się, że nigdy nie spoczywają, a mimo to były pogodne i przyjazne. Ona sama nie przywykła do życia w gromadzie i brakowało jej śmiałości, żeby zacząć którąś i porozmawiać. Czasem



zamieniała parę burkliwych słów z Lavallą, ale mała czarownica była równie zapracowana jak inni. Prowadziła lekcje czytania i pisania, pomagała Dolidowi w bibliotece i dziewczyna rzadko ją widywała. Nie wiedziała, że Lav czeka na jakiś gest z jej strony, na uśmiech i przyjazne słowo, a nie znajdując go, odsuwa się na bok pewna, że Albana jej nie potrzebuje. Dlatego, po przedpołudniach spędzanych z zielarką, osamotniona dziewczyna opuszczała Twierdzę i resztę dnia spędzała w górach. Chodziła utartymi szlakami i odnajdywała nowe, włączyła się po pastwiskach i po splachetkach uprawnego pola, oglądała młyn i kąpała się w strumieniu. Łowiła ryby i zbierała zioła. A wieczorem siedziała wpatrzona w płomyki ognia i rozmyślała. Wspominała swoje dotychczasowe życie, Mei i Kagana, czasem matkę, której niewyraźny obraz majaczył gdzieś w zakamarkach pamięci, i Cala. Myślała o tych wszystkich zdarzeniach, które doprowadziły ją do tego ukrytego przed ludźmi zakątka świata i spotkania Obdarowanych.

Tak mijały dni i miesiące. Wiosna zmieniła się w lato o gorących dniach i orzeźwiająco chłodnych, krótkich nocach, a potem niepostrzeżenie przeszła w oszałamiającą kolorami jesień.

Calmin z klanu Fen rozejrzył się po więziennej celi, do której wtrąciła go straż miejska. Pomieszczenie było ciasne i tak niskie, że Cal nie mógł się wyprostować. Przez umieszczone pod sufitem małe okienko wpadała smuga światła, oświetlając kamienne ściany i przegniłe resztki słomy. Cuchnęło stęchlizną i fekaliami.

Cal usiadł pod ścianą i zwiesił głowę na piersi. Ze złości i rozpaczyc chciało mu się wyć. Wszystko poszło nie tak: nie dowiózł na Równiny cennych drzewek, nie został wodzem, nie miał żony, pieniędzy i wreszcie za długi wtrącono go do lochu.

Długo siedział w bezruchu, starając się w myślach uporządkować chaos, który do jego życia wprowadziła Albana. Obwinił ją za wszystkie niepowodzenia, ale nie potrafił zapomnieć miękkości przytulonego do siebie ciała, dotyku włosów na policzku, chrapliwego głosu. Tęsknoty nie stłumiła nawet świadomość, że poślubił czarownicę, osobę wyjętą spod prawa, przekłętą, dla której nie ma miejsca w Loenie, na Równinach ani w całej Imeskarii. Po wydarzeniach na placu szukał jej uparcie, potem liczył tylko, że udało jej się bezpiecznie przemknąć pomiędzy patrolami gwardzistów.

Z ponurych rozmyślań wyrwał go skrzyp otwieranych drzwi. Nowy więzień pchnięty przez strażnika z impetem wpadł na ścianę i osunął się na słomę. Robactwo wpięrow rozbiegło się po podłodze, a potem skupiło na misce z wodnistą breją, którą wsunięto do celi. Klucz w okutych drzwiach przekręcił się z niemiłym zgrzytem i znów zapadła cisza.

Nowy więzień oparł głowę o ścianę i zasnął. Jeździec sięgnął po miskę i przełknął kilka łyków zupy. Skrzywił się, odstawił resztę i ukołysany nosowym pochrapywaniem również zasnął.

Sen nie przyniósł ukojenia. Nękał go koszmar, w którym leśny kot o jarzących się zielono ślepiach rozszarpuje ofiarę, chłepcze jej krew.

Obudził się zlany potem i tuż nad głową usłyszał kłapanie szczęk, mlaskanie i siorbanie. Zamarł. Z tego bezruchu wyrwało go potężne czknięcie. Zerwał się i w mroku dostrzegł białka oczu i wyciągniętą w jego kierunku miskę.

– Trochę zostało – usłyszał basowy głos. – Chcesz?

Dopiero teraz przypomniał sobie o towarzyszu niedoli. Odetchnął głęboko i pokręcił przecząco głową. Po chwili uświadomił sobie, że w ciemnościach nie widać tego gestu.

– Jadłem już wcześniej. Reszta twoja – powiedział układnie i niemal zobaczył, jak olbrzym

się uśmiecha.

Celę znów wypełniły odgłosy siorbania i przeżuwania twardych kawałków mięsa, którymi okraszono zupę.

– Obrzydliwe, ale lepsze niż nic – mruknął więzień. – Na imię mi Stevar, ale wołają mnie Niedźwiedź. A ty?

– Calmin albo Cal, wedle woli – przedstawił się chłopak.

Stevar zwany Niedźwiedziem przesunął się, tak że siedział prawie na wprost Cala. W mroku majaczyła jego potężna sylwetka.

– Za co cię wsadzili? – spytał bezceremonialnie.

– Za długi – przyznał wstydliwie Cal. – A ciebie?

– Eee tam, gadać nie warto – prychnął Stevar. – Szczęścia żem ostatnio nie miał. Po pijaku papier podpisałem, że się do wojska zgadzam. Zara przyszli mnie brać, a ja obiad dokończyć chciałem i tak jakoś... – wzruszył ramionami i zapatrzył się ponuro na kamienną ścianę.

– A jak cię wypuszczą, to co...? – spytał ostrożnie Cal.

– Jak to, co? Żołnierzem będę. Na pięć років się zgodziłem. Młody Jeździec zamyślił się na chwilę.

– A mnie by wzięli? I tak nie mam dokąd pójść...

– Co mają nie wziąć, wszystkich biorą – potwierdził Stevar. – Papier podpiszesz i będziesz żołnierzem.

Calmin Fen łatwo zaaklimatyzował się w wojsku. Proste żołnierskie reguły i przekazanie odpowiedzialności za swoje życie w ręce kogoś innego przyniosło mu spokój i ulgę. Starał się nie myśleć o tym, co mu się przydarzyło, nie wspominał Równin, matki ani żony. Ściął warkocz, a kolorowe stroje Jeźdźca, sprzedał. Przydzielono go do jazdy, miał więc codzienny kontakt z końmi i to wystarczyło, by czuł się zadowolony z nowego życia. Inaczej było ze Stevarem. Wychowany na loeńskiej ulicy, od dziecka przywykł polegać wyłącznie na sobie. Za nic miał autorytety, ciężko było mu podporządkować się wojskowej dyscyplinie, a hardość bez ustanku wpędzała go w kłopoty.

Mimo dzielących ich różnic wiejski chłopak z głową nabitą opowieściami o bohaterach i miejski zawadiaka trzymali się razem. Cal cierpliwie uczył przyjaciela obchodzenia się z końmi i nieraz hamował jego wybuchowy temperament, a Stevar, kiedy minął pierwszy okres przymusowego zamknięcia w koszarach, wprowadzał Jeźdźca w tajniki życia w mieście.

Potem zaczęła się służba. Szybko przekonali się, że to nie pasmo nieustających walk i podchodów, ale nudna warta na miejskich murach, patrolowanie bezpiecznych gościńców czy eskortowanie wlokących się orszaków. Czasem bywali na zamku, przynosząc wiadomości od komendanta Arebusa, dowódcy loeńskiego garnizonu.

Stevar lubił te wizyty. Zawsze znalazł czas, żeby porozmawiać z gwardzistami czy skraść całusa służebnej dziewczce. Calmin przeciwnie – unikał zamku. Owszem dziedziniec był interesującym miejscem. Tu wjeżdżały wozy kupców, załadowane egzotycznymi owocami albo belami barwnych materiałów, zbierała się służba, żeby wytchnąć na chwilę od codziennych obowiązków i poplotkować albo złowić spojrzenie nowej służki. Tu witano i żegnano wizytujących króla notabli i tu wreszcie gromady wiernych zbierały się co wieczór, by pomodlić się w świątyni Boga o Wielu Obliczach. Cal ciekaw był nowych ludzi, ale zamkowe mury i strzeliste wieże przytłaczały go, hałas drażnił, a bliskość Zebona przerażała. Raz czy dwa zdarzyło się, że Cal dostrzegł czarny habit i lśniąca od potu łysinę Najwyższego Kapłana. Chronił się wtedy w najgłębszy cień lub zniknął za załomem korytarza, było tylko nie stanąć z

nim oko w oko. Słyszał plotki o poszukiwaniach czarownicy, które wbrew zakazowi króla zarządził Jego Dostojność i bał się. Było mało prawdopodobnym, że Zebon wie o jego istnieniu, ale wolał uniknąć świdrującego spojrzenia czarnych oczu.

Inaczej rzecz się miała z królem Emausem. Cał nieraz gotów był przypaść mu do stóp i dziękować za ocalenie życia Albanie. Hamowała go myśl, że niepotrzebnie zwróciłby na siebie uwagę, z daleka więc przypatrywał się drobnej sylwetce i życzliwej twarzy młodego króla.

Nie tylko w nim Emaus budził ciepłe uczucia. Poddani wyrażali się o królu z szacunkiem i miłością, coraz głośniej mówiono też, że dojrzał na tyle, by sprawować rządy bez pomocy Zebona, który był jego najbliższym doradcą i opiekunem. Nawet nieoczekiwany akt łaski, którym król obdarzył czarownicę, przysporzył mu sympatii, dowodząc prawości charakteru i honoru.

Żołnierze też kochali swego młodego władcę i co wieczór pili jego zdrowie w loeńskich tawernach. Korona i miecz, które tatuowali sobie na nadgarstkach nie były tylko próżnymi znakami, wyrażały prawdziwą wierność i gotowość do poświęceń. Calmin i Stevar także ozdobili dłonie zwyczajowymi tatuażami i równie ochoczo wznosili toasty na cześć Emausa. W dni wolne od służby była to ich jedyna rozrywka.

Przyszedł jednak dzień, kiedy młodym żołnierzom powierzono pierwsze prawdziwe zadanie. Zbliżała się imeskariańska zima, która tu w Loenie tym tylko różniła się od lata, że deszcze padały częściej, rzeka przybierała, a okoliczne pola i łąki tonęły w błocie. Wysłużeni wojacy ściągali wtedy do koszar, a w teren wyruszali żołnierze nowych zaciągów, aby moknąć i marznąć przy ochronie królewskich konwojów z Sowich Gór. Tam bowiem, u podnóża ośnieżonych wierzchołków, znajdowały się kopalnie szlachetnych kruszców i drogocennych kamieni.

Tym razem, prócz ochrony karawan, Emaus za pośrednictwem swego marszałka wyznaczył żołnierzom dodatkowe zadanie. Mieli sprawdzić pogłoski o niewolnych ludziach, które dotarły do Loenu. Ponoć – jak mówił kapitan Arebus – zbójckie gromady porywają wieśniaków i przymuszają ich do pracy w kopalniach, a nadzorcy bogacą się, zgarniając do własnej kieszeni pieniądze przeznaczone na wypłaty. Jego królewska mość i marszałek radzi będą złapaniu takiej bandy i udowodnieniu nadzorcom nadużycia.

Tak więc pewnego deszczowego, zimnego poranka grupa żołnierzy pod dowództwem Martusa wyruszyła na południowy wschód Traktem Zgody.

Wiatr hulał pomiędzy szczytami Gór Przejścia i nawiewał śnieg na łąki, gasił ogień na palenisku. Nocą wilki podchodziły tak blisko, że Albana drżała ze strachu. Górska chata przestała być bezpiecznym przytulnym schronieniem. Któregoś dnia przyszedł Dolid z Sewkiem i pomogli przenieść jej niewielki dobytek na powrót do Twierdzy. Dziewczyna nie protestowała. Nie przetrwałaby zimy w swoim szałasie.

Komnata na wieży czekała na nią. Ktoś rozpałił nawet ogień na kominku. Przedpołudnie spędziła jak zwykle z Yol, a potem wróciła do siebie. Ciekawie oglądała rzeźbioną skrzynię, przysiadła na krześle, przesunęła ręką po gładkiej powierzchni stołu i wypróbowała miękkość siennika. Słuchała świstu wichru dującego pomiędzy szczytami i patrzyła na niespokojne płomienie w kominku. W samotności czas dłużył jej się nieznośnie. Nikt jej nie odwiedził, nikt nie zaprosił na wspólny posiłek, a świadomość, że w komnatach czy korytarzach może spotkać się z Sajronem budziła lęk. Kiedy po paru dniach, w wolnym czasie, nieśmiało zajrzała do niej Lavalla, Albana z radością poszła z nią do szkolnej sali. Od tej pory zaczęła mozolnie

z głębiać tajniki trudnej sztuki pisania i czytania. Polubiła te zajęcia i ciekawiły ją od czasu, kiedy Dolid zabrał ją do biblioteki.

Bibliotekarz z dumą pokazywał swoją domenę. Było to kilka olbrzymich sal zastawionych półkami, na których leżały księgi. Dziewczyna oglądała oprawne w skórę tomy i zwoje opatrzone pieczęciami lub nawinięte na rolki, kawałki skór i gliniane tabliczki, kruche i delikatne. Przypatrywała się uważnie literom, próbowała w nich odnaleźć znajome kształty. Zadowolony z jej ciekawości Dolid wziął z półki jeden z tomów i wodząc palcem po karcie zaczął czytać.

„...i nadleciały smoki. Wielkie były jak góry i piękne, kiedy słońce odbijało się w ich łuskach ułożonych jak na skórze waży., skrzydła wicherę czyniły potężną, zdolną dom zdmuchnąć. Ale ludziom nie dane było cieszyć się ich widokiem. Zniszczenie i śmierć przyniosły tej krainie, tak dotąd spokojnej i zasobnej. I trzeba było oręża przeciwko nim użyć, i wielu życie oddało nim bestie pokonano.”

Zaciekawiła ją ta historia i pobudziła wyobraźnię, tak samo jak obrazy z lońskiej gospody. Przestała sarkać na wiecznie umazane atramentem palce i uczyła się pilnie.

Mijały miesiące. Zima nadeszła i zasypała dolinę śniegiem. Siarczysty mróz skuł potoki, lodowe sople zwieszały się z dachów, iskrzyły na gałęziach. A potem dni znów zrobiły się dłuższe i słońce zaczęło roztopiać śnieżną skorupę. Zieleniła się trawa i zakwitły pierwsze kwiaty. Pochłonięta pracą i nauką Albana ledwo zauważała te zmiany, póki Sewek nie przyniósł któregoś dnia bukietu wiosennych kwiatów. Wybiegła do ogrodu, smutnego jeszcze, pełnego brunatnych badyli i oszronionych łodyg i odetchnęła pełną piersią.

Tego popołudnia wybrała się na pierwszy spacer w góry. Nie zaszła daleko. Pomiędzy drzewami śnieg był jeszcze głęboki, ale cieszyła ją ta chwila wytchnienia, a na myśl, że niedługo będzie mogła wrócić do swojej chaty, uśmiechnęła się radośnie. Uczucie osaczenia w korytarzach Twierdzy ciągle jej nie opuszczało. Skrzypienie drewnianej podłogi w komnatach na piętrze czy stukot okiennic poruszanych wiatrem sprawiał, że czuła się jak w klatce. Brakowało jej tchu i wzrok się mącił. Starła się panować nad sobą, ale zdarzało się, że błądziła po korytarzach i schodach, nie potrafiąc odnaleźć właściwej drogi.

Mimo że całymi dniami przebywała pośród ludzi, mało z nimi rozmawiała. Nie czuła potrzeby dzielenia się myślami, obcowania z drugim człowiekiem. I nie ufała nikomu po tym, czego doświadczyła od Sajrona. Nawet Lav, z którą zbliżyła ją wspólna podróż, wydawała się daleka i niedostępna. Fakt, że obdarzała swoją przyjaźnią pozostałych mieszkańców Twierdzy odbierał jej szczególne znaczenie, tak istotne podczas drogi. Czasem brakowało jej bliskości Cala, ale odsuwała od siebie takie myśli. Sprawiały jej zbyt dużą przykrość. Miała tylko nadzieję, że Jeździec bezpiecznie dotarł na Równiny i został Wodzem, jak tego pragnął.

Wracała tą samą drogą przez ogród, kiedy z ławki stojącej pod murem podniósł się Sajron. Przez długie, zimowe miesiące przywykła do jego widoku i obecności, ale nigdy nie próbowała z nim rozmawiać, a i on pozostawiał ją w spokoju. Jednak strach przed białowłosym starcem pozostał, czaił się tuż na granicy świadomości, choć nie przyznawała się do niego nawet przed sobą.

To tylko stary dziad, powtarzała sobie w duchu, stary, niedołączny dziadyga. Potrafię się przed nim obronić. Potrafię, potrafię...

Przystanąła i, nadrabiając miną, spojrzała w wyblakłe, błękitne oczy.

– Wiosna blisko. Pewnie chciałabyś już wrócić do swojej chaty – zagadnął przyjaźnie Sajron. – Powinniśmy porozmawiać, nim odejdziesz. Chyba już czas po temu?

Resztki pewności siebie uleciały. Przeszył ją dreszcz, poczuła, jak spocły jej się dłonie. Zrobiła krok, chcąc wyminąć starca, ale ten położył jej rękę na ramieniu.

– Jeśli się boisz, powiem Dolidowi, żeby przyszedł. Nie będziesz sama.

Albana strząsnęła kościstą dłoń z rękawa i wyprostowała się.

– Nie boje się ciebie, dziadku – warknęła. – A jak jeszcze raz popróbujesz ty sztuczki, to pożałujesz. Chcesz godać, to pódźmy.

W komnacie Sajrona panował zaduch. Okno było zamknięte, a w kominku buzował ogień. Albana przycupnęła na skraju ławy, spięta, gotowa do natychmiastowej ucieczki. Starzec usiadł przy zasłanym papierami stole. Machinalnie przekładał luźne karty z miejsca na miejsce i bezgłośnie poruszał ustami, jakby szukał odpowiednich słów.

– Moje dziecko... – zaczął wreszcie. Albana skrzywiła się.

– ...już prawie rok mieszkasz z nami, a ciągle nie mam pewności, czy zdolna jesteś, żeby ukrzywdzić kogoś z nas. Ja przywiodłem do Ostatniej Twierdzy Obdarowanych i ja sprawuję nad nimi opiekę, dlatego...

– Coś ty mi zrobił, wtedy, w ogrodzie? – spytała nagle dziewczyna.

– Nie słuchasz mnie.

– Coś ze mną zrobił?

Sajron wstał ze swego miejsca za stołem i odwrócił się w stronę okna, unikając spojrzenia nienaturalnie zielonych oczu.

– Chciałem zbadać twoje myśli – odrzekł.

– Łzesz. Kiej Lavalla odgaduje myśli, nikt o tym nie wie.

– Bo to nie całkiem to samo. Lav odczytuje uczucia, emocje takie jak strach, gniew, miłość, myśli, które tylko czekają, by je wypowiedzieć. Ja potrafię przeszukiwać umysł, odnajdywać to, co ukryte, zapomniane...

– Grzebiesz ludziom we łbach jak złodziej w cudzych kieszeniach – parsknęła Albana.

Sajron zagryzł bezkrwiste wargi.

– Taki jest mój Dar – powiedział wreszcie cicho.

Dziewczyna zaśmiała pogardliwie. Jej napięcie nagle opadło, powróciła pewność siebie. Po tylu miesiącach strachu, teraz napawała się widokiem niepewności Sajrona.

– Czytałeś w głowach innych? – spytała prawie pewna odpowiedzi. – Tak.

– I oni godzili się na to?

Starzec jakby zapadł się w sobie, skurczył. Ukryte w rękawach szaty dłonie zacisnęły się mocno, na policzki wypełzły krwiste rumieńce. Trwało to ledwo chwilę, ale nie umknęło uwagi dziewczyny.

– Nie wiedzieli, prawda?

– Nie wiedzieli. Ty jedna jakoś to wyczułaś... – przytaknął wypranym z emocji głosem. Wyprostował się i znów emanował spokojną pewnością siebie. Już nie unikał jej wzroku. – Muszę wiedzieć, kim jesteś i jak objawia się twój Dar. Chcę ci pomóc, pojmię to wreszcie.

– Cóżeś chcioł wiedzieć?

– Opowiedz o sobie, o swojej rodzinie, o miejscu, gdzie dorastałaś. I jeszcze, kiedy pierwszy raz ujawniła się twoja moc, co wtedy zrobiłaś...

Albana zakręciła się niespokojnie na ławie i wydusiła ledwo parę zdań, nie rozwodząc się nad szczegółami. O matce zabitej w leśnej głuszy, o Keranach, Mei i Woramie, podróży do Loenu, bandytach nad rzeką, o wydarzeniach na placu. Nie było w tym ani słowa o Calminie, Jeźdźcu Równin. Te wspomnienia dziewczyna wołała zachować dla siebie.

Sajron na powrót usiadł na swoim krześle i zamyslił się głęboko.

– No? – ponagliła go obcesowo dziewczyna, zawierając w tym słowie cały bezmiar ciekawości i wątpliwości.

– Niewiele tego. Miałem nadzieję, że wiesz coś więcej, choćby o tym znamieniu, które nosisz na piersi. Szkoda... Ale uczyć cię trzeba, musisz zapanować nad siłą, którą zdajesz się posiadać. Zaczniemy jutro.

Spojrzał na nią ostro, nakazujące. Nagle znów straciła pewność siebie.

– Mom pomagać Dolidowi – zaprotestowała.

– Powiem mu, że nie przyjdiesz, nauka jest ważniejsza. A teraz idź już. Chcę zostać sam.

Sajron nie zwrócił uwagi na głośny trzask zamykanych drzwi. Patrzył przez chwilę w mrok rozciągający się za oknem, a potem wyszedł.

Jedna z nienaruszalnych zasad biblioteki głosiła, że nie wolno było w niej przebywać po zmroku. Dolid pilnował tego nieubłaganie, a każde złamanie zasady kończyło się zakazem korzystania z księgozbioru na kilka miesięcy. I choć wszyscy rozumieli, że pożar strawiłby w mgnieniu oka bezcenne woluminy, nieraz przeklinali w duchu, a czasem i głośno olbrzymiego bibliotekarza. Mimo to Dolid pozostawał nieugięty.

Teraz też sprawdził, czy wszyscy wyszli i starannie zamknął drzwi kluczem, który nosił przyczepiony do pasa. Wyprostował zgarbione od całodziennego siedzenia ramiona i ruszył do swojej izdebki na końcu korytarza. Otworzył szeroko okno i pozwolił, żeby mroźne, ostre powietrze wypełniło mu płuca.

Wieczór był pogodny. Na niebie lśniły gwiazdy. Ich blask odbijał się w śniegu pokrywającym górskie zbocza, i w rzece, sprawiając, że połyskiwała srebrzyście. Drzewa kołysały się łagodnie na wietrze. Dolid z przyjemnością wsłuchiwał się w ich szum. Lubił spokój ogarniający naturę w wieczornym zmierzchu.

Kiedy usłyszał ciche pukanie, westchnął tylko, zaryglował okiennice i otworzył drzwi. Sajron wszedł do środka i ułokował się na zydlu.

Bibliotekarz nalał wina ze stojącego na stole dzbana. W powietrzu uniósł się mocny, korzenny aromat. Wypili w milczeniu. Tu, w towarzystwie zaufanego przyjaciela, Sajron mógł wreszcie pokazać swą prawdziwą twarz. Był zmęczonym starcem, ale starcem o żelaznej woli i aurze dostojności, której nie mogło pokryć widoczne znużenie. Przymknięte powieki ukryły zaczerwienione białka.

– Jestem już stary, Dolidzie – powiedział posępnie, wpatrzony w czerwony jak krew trunek. – Nawet wino nie smakuje mi jak dawniej. Chciałbym odpocząć, uwolnić się od tego wszystkiego... Powinienem wnukom bajki opowiadać, pielić grządki w ogrodzie, jak inni starszankowie...

– ...chorzeć długo i zdychać w samotności, niepotrzebny nikomu albo żebrać na gościńcu – wpadł mu w słowo bibliotekarz. – Brednie opowiadasz. Rozmawiałaś z Albaną? Czego się dowiedziałeś?

Sajron wzruszył ramionami i upił łyk wina.

– Niewiele. Ona coś ukrywa, to pewne...

Powtórzył opowiadanie dziewczyny i patrzył, jak Dolid pochmurnieje z każdym słowem.

– To tłumaczy, dlaczego taka jest dzika. Ale śmierć tego Kerana? Wierysz, że to prawda? To by znaczyło, to by znaczyło... – zająknął się bibliotekarz.

– Ważniejsze, że ona w to wierzy. Ale jeśli potrafiła unieruchomić Zebona w Loenie, to mogła też zabić.

– I co zamierzasz? – spytał ostrożnie Dolid. – Chcesz ją uczyć czy... Spojrzeli sobie w oczy. Wreszcie starzec pokręcił głową w odpowiedzi na nie zadane pytanie.

– Będę ją uczył.

– Pewien jesteś? Już raz się pomyliłeś...

– Być może pomyłę się i drugi – mruknął starzec. – Jest prymitywna, nieufna i... Tak, nie przeczę, że może być niebezpieczna, ale jest w niej coś, sam nie wiem... Powiedz, jak jej idą wasze nauki?

– Zna już wszystkie litery i sylabizuje słowa. Ciekawość ją do nauki popycha, bo przeczytałem jej kawałek „Opowieści o smoczej wojnie”... Mówi też coraz składowiej, czasem tylko wraca do tej swojej gwary. Anim myślał, że taka jest bystra. Za rok, dwa, kto wie, może wezmę ją do pomocy w bibliotece. Jak objaśniłeś jej to, co się stało?

Sajron skrzywił się.

– Powiedziałem prawdę. – I?

– Domyśliła się prawie wszystkiego.

Dolid otworzył usta, zamknął je i znów otworzył, ale nic nie powiedział. W ciasnym pokoiku nagle zrobiło mu się duszno. Podwinął machinalnie rękawy swej obszernej szaty, ukazując wykłute na nadgarstkach znaki. Na prawym miecz, na lewym koronę. Sajron posępnie wpatrywał się w te tatuaże.

– Jeśli to się wyda... – wydusił w końcu Dolid.

– Trudno, nie odstanie się...

– Więc pozbadź się jej. Wygnaj z Twierdzy, zabij.

– Nie! – Starzec walnął pięścią w stół. Z przewróconego kubka wysączyła się resztką wina. – Nie. Ona może być naszą szansą, naszą nadzieją. To znamię, które nosi, jej wygląd... To może coś znaczyć.

– To zwykły odmieniec. Niektórzy rodzą się garbaci, a ona urodziła się ruda – sarknął Dolid.

Sajron uparcie pokręcił głową.

– Na razie będę ją uczył. Poczekamy i popatrzymy, co z tego wyniknie.

Obyś się nie mylił. Bo tym razem możesz tego nie przeżyć...

Wpierw musisz nauczyć się skupienia – tłumaczył Sajron. – Bez tego nigdy nie zapanujesz nad swoim Darem. Siądź wygodnie i staraj się nie myśleć o niczym, tak jakbyś miała w głowie całkowitą pustkę. Rozluźnij się. Zamknij oczy.

Albana siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze wyściełanej miękką skórą. Przyszła do komnaty Sajrona zaraz po posiłku gnana ciekawością. Właśnie ciekawość i podniecenie wywołane wczorajszą rozmową sprawiły, że długo nie mogła zasnąć. Przewracała się tylko z boku na bok, wyobrażając sobie lekcję. Postanowiła, że opanuje nauki Sajrona. Chciała zadziwić jego, Dolida, Sewka i Lavalę. Nade wszystko ją. Zacisnęła więc powieki i starała się nie myśleć o niczym. Starła się, tak bardzo się starała...

Sajron zajął się przeglądaniem leżących na stole papierów. Od czasu do czasu rzucał tylko okiem na siedzącą nieruchomo dziewczynę i powtarzał cicho.

– Nie myśl. Po prostu bądź. Tak dobrze... dobrze...

Nagle drgnął, kiedy niespodziewanie Albana przechyliła się i osunęła miękko na niedźwiedzią skórę. Zasnęła. Sajronowi zachciało się śmiać. Wstał, okrył śpiącą ciepłym płaszczem i wrócił do swoich zajęć.

Każda następna lekcja podobna była do poprzedniej.

– Skup się, rozluźnij, ale nie zasypiaj. I nie myśl, nie myśl... Wreszcie dziewczyna zbuntowała się.

– To głupoty – sarknęła. – Nie można nie myśleć i skupiać się. A mnie od ty twoi gadki spanie zara bierze. To żadna nauka.

– Dobrze, zrobmy przerwę – westchnął Sajron. Otworzył szeroko okno i z przyjemnością patrzył na zaczynające się zielenić hale. Z lubością wdychał pachnące już wiosną powietrze.

– Co to je? – usłyszał tuż za plecami. Odwrócił się i ujrzał, jak Albana wpatruje się w wielką mapę wiszącą na ścianie. Karta była bardzo dokładna, kolorowa. Zielone plamy lasów przecinały atramentowe nitki rzek. Szare góry kontrastowały z błękitem oceanu. Żółte drogi prowadziły do miast wyróżniających się wysoką wieżą, miasteczek i wiosek z wizerunkiem chaty krytej strzechą.

– Mapa – odrzekł zwięźle.

– Ale do czego to je?

– Domyśl się – odburknął. – A teraz wracaj do ćwiczeń... Barwny malunek zaciekawił Albanę tak bardzo, że studiowała go przy każdej okazji. Ciągłe nie pojmowała jego sensu, ale to nie przeszkadzało jej wodzić palcem wzdłuż rzek czy odczytywać z mozołem drobnymi literkami. W końcu zapamiętała rysunek tak dobrze, że kiedy pojawiły się na nim nowe punkty zauważyła je od razu. Nie pytała więc Sajrona o ich znaczenie, chciała zrozumieć sama. Tym bardziej, że rady starca jakoś nie chciały jej wejść do głowy. Ciche, monotonne słowa nakazujące skupienie się i oczyszczenie umysłu z niepotrzebnych myśli, jakby na przekór pobudzały jej pamięć. Przypominała sobie treść lekcji z Dolidem czy Lavallą, czuła, smak potraw, które zjadała na obiad, łowiła uchem śpiew ptaka czy pobekiwanie owiec, które z zagród przeniosły się na pastwiska. Może działało się tak, bo Albana ciągle nie ufała Sajronowi. Gdyby wyzbyła się lęku i otworzyła swój umysł, jak tego chciał, byłaby całkiem bezbronna.

Starzec chyba wyczuł ten strach, bo po paru tygodniach bezowocnych prób postanowił zmienić sposób nauki. Wbił w ścianę spory ćwiek, którego wypukła główka była doskonale widoczna na jasnym tle.

– Jeśli nie umiesz być bierną, opróżnić umysłu, spróbuj skupić się na jednej tylko rzeczy – objaśnił. – Patrz na ćwiek. Myśl tylko o nim – z czego jest zrobiony, jak wygląda. Tylko o nim i niczym więcej, rozumiesz?

Od tej pory dziewczyna., siedząc na niedźwiedziej skórze, godzinami wpatrywała się w ciemną plamkę, aż jej oczy łzawiły.

– Twój Dar, Albano, objawia się tylko w razie zagrożenia. Korzystasz z niego bezwiednie, do obrony. Teraz musisz nauczyć się przywołać go w każdej chwili, przywołać i zapanować nad nim. Inaczej on może zapanować nad tobą, popchnąć do działania nawet wbrew twoim chęciom. Żeby to osiągnąć, musisz nauczyć się skupiać całą energię, całą swoją wolę tylko na tym jednym zadaniu. To tak, jakbyś chciała, powiedzmy... poruszyć uchem. Spróbuj, zobacz, jakie to trudne, choć możliwe. Tak samo jak przywołanie Daru. Ćwicz więc cierpliwie i nie rezygnuj – tłumaczył Sajron zniechęconej uczennicy. Tym sposobem Albana nauczyła się poruszać uchem.

Przez pierwsze dni podróży do Sowich Gór Calmin Fen czuł się jak człowiek, który po latach opuszcza więzienie. Zachłystywał się powietrzem wolnym od miejskiego smrodu, przestrzenią ograniczoną lasem, nie murami, wschodami i zachodami słońca nad horyzontem. Szare oczy nabrały blasku, a ruchy zwinności. Nawet ścięte krótko włosy zdawały się budzić



do życia i w żaden sposób nie pozwoliły uładzić się tak, by przylegały do czaszki. Sterczały nastroszone niczym kolce jeża, nadając młodzieńcowi zawadiacki wygląd.

Od wyjazdu z Loenu stale towarzyszył im deszcz. Strugi wody spływały po hełmach, moczyły płaszcze, zbierały się w kapturach i wlewały za kołnierze, chlupotały w butach. Trakt Zgody pokrywały kałuże, a końskie kopyta i koła wozów, które eskortowali, skrzypiały złowieszczo, tonąc w błocie.

Pierwszym etapem ich drogi było miasto Pesara, leżące na pograniczu prowincji Barbaros i Estwall. Mieściły się w nim kantory i faktorie, tu ściągali kupcy i pośrednicy z całej Imeskarii, aby handlować złotem, srebrem i cennymi kamieniami. Od czasu smoczey wojny wyłączne prawo do wyznaczania kupców i obowiązujących cen miał król, ale jeszcze za czasów Cenutha Surowego nie przestrzegano tego nakazu. Zarządzający królewskim skarbem wyrwali sobie włosy z głowy, obliczając straty, ale Cenuth, a po nim Emaus ustami Zebona pomniejszali wagę tej kwestii. Kwitł więc nielegalny handel, a ceny złota wciąż rosły. Złośliwi szeptali, że największe zyski z obrotu kruszcami czerpie Kościół Boga o Wielu Obliczach, ale mało kto dawał temu wiarę.

Zimowa pora nie sprzyjała podróżom. Gościniec i mieszczące się wzdłuż niego zajazdy były wyludnione, lecz Pesara tętniła życiem. Stragany wabiły oczy kolorowymi towarami, jadłodajnie nęciły zapachami. Żołnierze i kupcy zapełnili obskurne karczmy, racząc się kwaśnym piwem i towarzystwem dziewczek, które za swe mało wyszukane usługi pobierały niemałe pieniądze.

Stear nie żałował grosza ani na piwo, ani na dziewczyny. Jego rubaszny humor przyciągał kompanów do wypitki, a postura i niewinne błękitne oczy złamały niejedno niewieście serce. Cal natomiast unikał towarzystwa kobiet. Sama myśl, że musiałby płacić za parę chwil z niedomytą dziewczką, budziła w nim wstręt. Nie zauważał rzucanych w jego kierunku zalotnych spojrzeń i zachęcających uśmiechów. Ciągle miał w pamięci połysk rudych włosów w świetle ogniska, głębie zielonych oczu i miękkość jasnej skóry.

Kiedy żołnierze stracili już niemal wszystkie oszczędności, przyszła pora ruszać dalej. Do trzech wozów, które prowadzili od Loenu, dołączyły następne dwa. Rozpoczął się kolejny etap uciążliwej podróży.

Karawana porzuciła Trakt Zgody, który wiódł na południe, do Crystonu, i ruszyła w stronę Sowich Gór Złotym Szlakiem. Dzień mijał za dniem, a oni posuwali się mozolnie w strugach ciągle padającego deszczu. Droga była błotnista, rozjeżdżona, pełna dziur i wybojów. Calowi zdawało się, że całe zadanie żołnierskiej eskorty polega na wyciąganiu z kałuży i błota ciężkich furgonów, pchaniu ich i wymianie kół. Przestał się dziwić, że zamiast gospód wzdłuż gościńca rozłożyły się kuźnie.

Brena była osiedlem górniczym, gdzie mieścił się zarząd kopalń i główna faktoria. Przybywali do niej awanturnicy i obieżyświaci spragnieni łatwego zarobku, biedacy liczący na cud, oszuści i handlarze.

Calmin z niedowierzaniem patrzył na wynędzniałych mężczyzn, pokrytych niezmywalnym brudem, wypętlających z jam w ziemi z obłędem w oczach. Mijane kobiety przemykały niczym cienie, odziane w łachmany, na przygarbionych plecach niosły dzieci niczym zbędny bagaż. Drewniane baraki nadzorców, w których rozlokowali się żołnierze, nie wyglądały wiele lepiej niż sklecone z przywiedłych gałęzi szałas i lepianki rozpływające się na deszczu.

Stear kłął na wilgotne sienniki, na przeciekający dach i stada karaluchów, na kiepskie

jedzenie i jeszcze gorszą pogodę. Calmin nie odzywał się porażony widokiem nieopisanej nędzy. Po paru dniach przywykli i do karaluchów, i do łachmanów. Ciężko było tylko patrzeć na zabiedzone dziecięce buzie z wielkimi oczyma, z których wзираł głód i beznadziejność. Żołnierze dzieli się z nimi każdym kęsem, wspomagali miedziakami, świadomi, że nic więcej nie mogą poradzić. Upijali się potem mocną gorzałką w jedynej gospodzie, nie chcąc pamiętać.

W osiedlu panowała zmowa milczenia. Nikt nie potwierdził pogłosek o niewolnych ludziach pracujących w kopalniach. Nikt nie przyszedł poskarżyć się czy prosić o ochronę.

Kupcy ustalili ceny i wymienili pieniądze na kruszec i klejnoty. Sprzedali też baryłki wódki i piwa, połcie solonego mięsa i suszonych, cuchnących ryb, worki z zatęchłym ziarnem i mąką – Potem zabrali się w drogę powrotną. Wozy zapełniał teraz cenny ładunek. Idące w zaprzęgach konie i woły wlokły się leniwie, wyciągając nogi z mlaskającego błota. Na szczęście ustał deszcz, choć dni ciągle były pochmurne, zimne i wietrzne.

Napad nastąpił nieoczekiwanie, tuż po zmierzchu, kiedy zmęczeni ludzie i zwierzęta szykowali się do posiłku i odpoczynku. Cal zaskoczony patrzył na wyłaniające się z mroku sylwetki, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Stojący obok woźnica zwałił się wprost pod jego nogi. Z piersi sterczało mu pierzaste drzewce strzały. W chwilę potem Calmin usłyszał krótki świst i napastnik naciągający po raz kolejny cięciwę łuku padł ugodzony nożem w szyję.

– Rusz się, psia krew! – usłyszał krzyk Stevara.

To go otrzeźwiło. Wyciągnął miecz i ruszył do walki.

Cały obóz wypełnił szcęk oręża, krzyki ranionych ludzi i spłoszonych zwierząt. Cal machał mieczem prawie na oślep. W bladym świetle rozrzuconych przez nieprzyjaciela ognisk mógł równie dobrze walczyć z wrogiem, co towarzyszem z oddziału. Nie w głowie mu były wyuczone pchnięcia i parady. Ciął z całych sił i odskakiwał, ślizgając się w błocie, póki nie poczuł, że ostrze zagłębia się w ciało i zatrzymuje z niemiłym zgrzytem na kości. Wyciągnął je i ruszył ku następnej majaczącej w ciemności sylwetce. Nie zauważał upływu czasu, nie potrafił ocenić, czy jego przeciwnicy żyją, czy zranił ich tylko. On chciał żyć i bronił swego istnienia w jedynej dostępny mu sposób.

Przez zgiełk przedarł się krzyk Martusa oznajmiającego koniec potyczki. Ktoś na nowo rozpałił ogniska i dopiero w ich świetle Cal zobaczył, że jest zbryzgany krwią, że połyskujące niczym rosa kropelki spływają z ostrza miecza. Poczul zawroty głowy i opadł na kolana tuż obok przerąbanego niemal na pół trupa. Potem zwymiotował. Otarł twarz i podniósł się chwiejnie, poszukał wzrokiem Stevara.

Niedźwiedź stał oparty niedbale o wóz i tylko niezwykła bladość jego oblicza wskazywała na to, że i on jest wstrząśnięty.

– Daliśmy im łupnia! – stwierdził. – Anim myślał, że tak łatwo pójdzie. Łachmcy, ot, co! Stojący w pobliżu zachichotali nerwowo. Ktoś z nienawiścią kopnął zwłoki.

– Ścierwa, kurwie syny!

Martus rozejrzał się po pobojowisku.

– Wszyscy są? Ktoś ranny? Zbiórkę robić, pokazać się niedołągi! – wrzasnął. – A wy uprzętnąć te truchła i kolację szykować, ale już!

Obóz nagle znów zatętnił życiem. Z dwudziestoosobowego oddziału poległo dziewięciu żołnierzy, a dwóch było ciężko rannych. Zginał także woźnica i jeden kupiec.

Zwłoki bandytów wytaszczone poza krąg wozów i zwalono na bezładny stos. Cal odstał

swoją kolej na warcie, starając się zignorować błyskające w mroku ślepie ścierwojadów, a rankiem odwrócił wzrok od tego, co jeszcze wczoraj było żywymi ludźmi, teraz zaś spoczywało w błocie niczym padlina. Znów poczuł w ustach smak żółci, ale tylko przełknął ślinę.

Droga powrotna dłużyła się nieznośnie. Czas wypełniano sobie niekończącymi się opowieściami o napadzie i przechwałkami o swojej dzielności. Kiedy na horyzoncie ukazały się loeńskie mury, nikt już nie pamiętał, jak było naprawdę. Martus słuchał tych bają z uśmiechem politowania na ustach, Stevar ze stoickim spokojem, a Calmin z obrzydzeniem. Zrozumiał, skąd wzięły się opowieści, którymi tak się fascynował jeszcze w niedawnej przeszłości.

Stolica była taka, jaką zapamiętał Cal: brudna, cuchnąca i ciasna. Wieści, którymi poczęstowano ich na powitanie, nie były pomyślne.

Emaus niedomagał. Choroba pojawiła się na początku zimy i mimo starania medyków, król ciągle czuł się źle. W świątyniach zanoszono modły o jego wyzdrowienie, uzdrowiciele warzyli driakwie, kucharki prześcigały się w przyrządzaniu najdelikatniejszych potraw. Niewiele to pomagało, bo bóle i mdłości nie ustępowały. Po cichu szeptano o truciźnie, a marszałek Kattes wzmocnił królewską gwardię żołnierzami loeńskiego garnizonu.

Calmin i Stevar przydzieleni do służby na zamku nieraz widzieli Emausa, jak wychodzi z posiedzeń Rady podtrzymywany przez Najwyższego Kapłana i współczucie na widok jego cierpienia tamowało im dech w piersiach.

Sajrona łamało w kościach, a zgarbione plecy bolały bardziej niż zwykle. Ręce drżały mu tak, że nie mógł utrzymać pióra. Prasnął nim ze złością i patrzył, jak na białej karcie rozlewa się atramentowa plama. Kątem oka spojrzał na Albanę i zobaczył, jak dziewczyna kołysze się monotonnie w rytm wypowiedzanych przez niego słów.

– Nie śpij!

Albana drgnęła i otworzyła oczy.

– Nie mom już siły, Sajronie – poskarżyła się żałośnie. – Ćwiczmy tyła czasu, a mię się ciągle nie udaje. Może ja nie mom żadnego Daru, może to wszystko, co mi się zdarzyło wcześniej, było ino trafem?

– Masz Dar, ale wydajesz się za leniwa i za głupia, żeby nad nim zapanować – powiedział nadspodziewanie ostro. – Chcesz zniszczyć siebie i innych pociągając za sobą?

– Ciekawam jak? – burknęła, wystraszona wybuchem spokojnego zwykle Sajrona.

– Widać naprawdę jesteś głupia. Każdy Dar jest groźny, jeśli używa się go bez umiaru i hamulców. Pomyśl, co by się działo, gdybyś mogła nakazać ludziom, żeby robili wszystko według twojej woli...

Albana spojrzała na niego ze złością, ale posłusznie przymknęła oczy. Kazałabym ci się zamknąć, pomyślała z uciechą i zachichotała.

– Z czego się śmiejesz?

Dziewczyna nie mogła się opanować. Zakryła pięścią usta, ale podrygiwała radośnie na niedźwiedziej skórze. Do głowy przyszły jej nagle dziesiątki możliwości.

– Nic nie pojęłaś z moich nauk. Wynoś się. No, już, wynocha! Śmiech zamarł jej w gardle, kiedy spojrzała na poczerwieniałą twarz i skrzywiony palec wskazujący wyjście. Podniosła się i bez słowa odeszła, trzaskając drzwiami.

Przez parę następnych dni głowiła się nad słowami Sajrona. Wreszcie, skołowana i nieszczęśliwa odnalazła Lavallę. Prostolinijna, pogodna Lav niewiele zrozumiała z

chaotycznego opowiadania Albany.

– Możemy się umówić, że przez parę dni będę robić wszystko, co mi każesz, jakbyś używała swojego Daru – powiedziała wreszcie, chcąc pomóc strapionej przyjaciółce. – A Sajron pewnie sam jest zmartwiony, że nie robisz postępów w naukach, dlatego się złości. Nie przejmuj się.

Albana uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Ino przez parę dni, dobra? I nie mów nic Sajronowi, bo może nie będzie zadowolony, że mi pomagasz... Jutro zaczniemy. Dziękuję ci, Lav, dziękuję! – wołała.

Lavalla odwzajemniła uśmiech, ale wychodząc z komnaty na wieży, westchnęła cichutko. Już zaczęła żałować swego pomysłu.

Albana szła szybko ścieżką, omijając kamienie. Za nią wlokła się Lavalla z wyrazem buntu w oczach. Rudowłosa dziewczyna nie oglądała się, choć słyszała wysilony oddech i stukot drobnych kamyczków usuwających się spod stóp swojej towarzyszki.

Od pięciu dni Lavalla była cieniem Albany i bez sprzeciwu wypełniała każde jej polecenie. Dla Albany było to całkiem nowe doświadczenie. Na początku bawiło ją, że Lav zamiast niej biedzi się nad przepisywaniem stronnic poźółkłej księgi traktującej o zaletach rymów krzyżowych w pieśniach trubadurów albo doi krowy. Dla żartu kazała jej nawet wyczyścić kominek w swoim pokoju i śmiała się do łez z umazanej sadzą małej sylwetki.

Uległość Lavalli prowokowała ją do wymyślenia czegoś więcej, dlatego kazała jej podsłuchiwać myśli siedzących przy wieczornym posiłku mężczyzn, co sprawiło, że Obdarowana płoneła ze wstydu i urazy. Wypróbowując granice, do jakich może się posunąć, Albana strofowała przyjaciółkę na każdym kroku i wyręczała się nią przy każdej cięższej pracy. A potem poleciła jej zerwać rosnący w kącie ogrodu kwiat, do którego dostęp zagradzały bujnie rozkrzewione pokrzywy.

Lavalla bez słowa skargi czy protestu pisała, doiła, sprzątała. Nie zawahała się również przed wejściem w gęstwinę pokrzyw i z krzywym uśmiechem wręczyła jej kwiatek. Patrząc na pokryte bąblami ręce i twarz małej czarownicy, Albana wzruszyła nonszalancko ramionami i wyrzuciła kwiat, a uczucie wstydu, które ją ogarnęło, zamieniło się w irytację na widok biernej postawy przyjaciółki. Ta irytacja towarzyszyła jej od tej chwili równie nieodłącznie co Lav.

Górska wędrówka była kolejnym kaprysem Albany. Wyruszyła dlatego, że chciała odpocząć od tej sytuacji, побыć sama. Kiedy jednak Lavalla poszła za nią, nie zaprotestowała. Jakąś przewrotną uciechę sprawiał jej fakt, że tamta nie lubi wysokości.

Ścieżka kończyła się na płaskim występie, z którego rozpościerał się widok na całą dolinę. Wyżej nie można było już wejść, bo pionowe ściany nie dawały oparcia dla rąk i nóg. Wierzchołek wznoszącej się nad nimi góry tonął w chmurach. To było jedno z jej najbardziej ulubionych miejsc.

Podeszła na skraj platformy i spojrzała w dół. Stąd brała początek rzeka przepływająca przez dolinę. Wydawała się wytryskać wprost ze skały, tworząc malowniczy wodospad. Słońce załamywało się w kroplach wody, stwarzając wrażenie roju tęczowych motyli. Pod kaskadą utworzyło się jeziorko, niewielkie, zasilane dodatkowo topniejącym w górach śniegiem.

Albana odkryła to miejsce podczas swoich samotnych wędrówek. Lubiła siedzieć zarówno w górze, jak i na brzegu jeziorka i podziwiać wyszlifowane przez wodę odłamki skał. Za pierwszym razem omal nie utonęła, próbując kąpieli w lodowato zimnej wodzie. Widok dna w

przejrzystej toni okazał się złudny. Niecka była bardzo głęboka.

Patrząc teraz z góry na dolinę, na szarą bryłę Ostatniej Twierdzy, która z tej odległości wydawała się jeszcze jednym blokiem skalnym, czuła, jak gniew powoli ją opuszcza.

– Popatrz jak tu pięknie – szepnęła, odwracając się w stronę Lavalli.

Lav stała przy skale. Oczy miała zamknięte, a dłonie kurczowo zaciśnięte w pięści. Słyszając głos Albany spojrziała krótko i wymamrotała:

– Bardzo ładnie – po czym na powrót zamknęła powieki. Rysy Albany stwardniały.

– Otwórz oczy i chodź tutaj – powiedziała nieprzyjemnym, chrapliwym głosem. Lavalla po raz pierwszy jakby się zawahała.

– No, chodź tu! – wrzasnęła dziewczyna.

Mała czarownica ostrożnie podeszła do krawędzi. Wstrząsnął nią dreszcz, a na bladej skórze zaperlił się pot.

– Stań bliżej!

Lavalla prawie niedostrzegalnie przesunęła stopę.

– Jeszcze bliżej!

Druga stopa dołączyła do pierwszej.

– Mosz mię słuchać, rozumisz!!!

Rozwścieczony głos Albany zmienił ton. Lavalla drgnęła i przesunęła się do przodu o jeden mały kroczek. Stała teraz na samym skraju przepaści.

– Patrz na dolinę!

Oczy bez wyrazu omiotły spojrzeniem horyzont. Po policzku spłynęła samotna łza, drobne ciało drżało niczym w febrze.

– Jest pięknie... – wyszeptała cichutko.

Albana stała tuż obok i trzęsła się ze złości. Ten pokorny ton, ten wymuszony zachwyt. Gniew, który gromadził się w niej przez kilka dni, wybuchnął z całą siłą.

– Ciekawam, co byś zrobiła, jakbym kazała ci skoczyć? – spytała jadownicie. – No? – ponagliła, kiedy Lav nie odpowiedziała. Jej oczy rozjarzyły się niczym u atakującego kota.

– Sko... – zająknęła się Lavalla, połykając łzy – skoczyłabym..

– Naprawdę? Skoczyłabyś?

– Tak – szepnęła Lav.

– To skacz!!! – wrzasnęła dziko dziewczyna.

Lavalla postąpiła krok do przodu. Albana osłupiałym wzrokiem patrzyła, jak jej towarzyszka znika za skalnym występem. Łopot szerokiej spódnicy na chwilę zagłuszył szum wodospadu. Wychyliła się przez krawędź, ale pył wodny unoszący się nad kaskadą nie pozwolił jej dojrzeć dna przepaści. Głośny plusk uświadomił jej, że mała czarownica wpadła do jeziora. Drgnęła tak silnie, że sama omal nie runęła bezwładnie w dół. Balansowała chwilę, złapała równowagę, potem odbiła się i skoczyła w ślad za Lavallą.

Młóciła wodę rękami i nogami, wypłynęła, łapiąc długi haust powietrza i znów poszła na dno. Kiedy walczyła o następny oddech, kątem oka ujrzała wydętą spódnicę przyjaciółki. Złapała za materiał, udało jej się wynurzyć głowę, ale ciężar Lav ciągnął ją w dół, w głębinę. Gdyby jezioro było większe, utonąłaby. Brzeg znajdował się jednak na wyciągnięcie ręki i Albana wygramoliła się na skały, ciągnąc za sobą zeszywniałe ciało.

Lavalla oblepiona mokrym ubraniem, sina, z kępą wodorostów we włosach, wyglądała jak kupka gałganków porzucona na kamieniu. Albana potrząsnęła nią.

– Obudź się, Lav, słyszysz?! Obudź się...

Ale głowa Lavalli opadła bezładnie na ramiona.

– Nie umieraj, proszę. Obudź się, popatrz na mnie – Przerażona Albana zaczęła potrząsać nieruchomym ciałem. – Ja przecie nie chciałam, to były żarty, nie chciałam cię zabić. Obudź się, no otwórz oczy, rusz się...

Rozpacz zamieniła się w gniew. Na głupotę swoją i jej, na Sajrona, na wszystkich. Potrząsała bezwładną czarownicą coraz mocniej i mocniej, a głowa Lavalli zwieszała się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zaszlochała w końcu i przytuliła ją do siebie, kołysała w ramionach, a łzy spływały jej po zeszywniałych od chłodu policzkach.

Nagle drobne ciało drgnęło. Nieprzytomna zakrzuszyła się i zwymiotowała gwałtownie. Albana przechyliła jej głowę w bok i patrzyła przez łzy, jak jej towarzyszka odzyskuje oddech, z trudem otwiera oczy. Delikatnie odgarnęła z czoła mokre kosmyki włosów, odrzuciła wodorosty.

– Żyjesz – szepnęła chrapliwie. – Żyjesz...

Uścisnęła ją mocno, nie zważając na pobrudzone wymiocinami ubranie.

– Zostaw mnie – wydusiła z siebie Lavalla.

Albana wypuściła ją z objęć. Bez słowa przyglądała się, jak Lav wstaje niezgrabnie, nie zwracając uwagi na wyciągniętą dłoń, wyżyma spódnicę i rusza w kierunku Twierdzy. Dopiero teraz poczuła lodowaty chłód. Wzdrygnęła się i z ociąganiem podążyła jej śladem. Szła za nią aż do pierwszych zabudowań, a kiedy była pewna, że Obdarowana bezpiecznie dotarła do domu, zawróciła i co sił pognęła do swej górskiej chaty.

Sajron zasapał się, nim dotarł na stok. Już od dawna nie zapuszczał się tak daleko w góry. Bolały go mięśnie, pot spływał strużką po plecach, włosy rozwiały wiatr. Nim zastukał do drzwi, musiał chwilę odpocząć, uspokoić oddech. Mimo że nie otrzymał odpowiedzi, wszedł do środka.

W chacie panowały ciemności, palenisko było wygaszone. Zostawił otwarte drzwi i stał w progu, czekając, aż oczy przywykną do mroku. Wewnątrz unosił się gorzkawy zapach ziół, siana i kurzu, którego drobinki wirowały w smudze światła. Przez chwilę wydawało mu się, że izba jest pusta. Dopiero kiedy na chwilę ucichł wiatr, usłyszał przyspieszony oddech, a wzrok wyłowił skuloną na posłaniu sylwetkę.

– Albana?

Dziewczyna nie poruszyła się, nie odpowiedziała na wezwanie. Westchnął. Odwrócił się i zapalił pochodnię. Wnętrze wypełnił migotliwy blask. Starzec zmrużył oczy i podszedł do łóżka.

Albana leżała nieruchomo na dziurawym sienniku. Kiedy dotknął jej ramienia, przekonał się, że ma na sobie mokre ubranie. Siłą przewrócił ją na wznak i napotkał szkliste spojrzenie.

– Czego chcesz? – wychrypięła wrogo.

– Przyszedłem sprawdzić, jak się czujesz. Nie zimno ci tak leżeć?

– Nie twój interes, staruchu. Nie trza się było fatygować. Sama znajdę drogę...

Sajron przysiadł na zakurzonej dywanie.

– Drogę dokąd? – spytał.

Odpowiedziała mu cisza. Albana odwróciła się plecami. We włosach miała źdźbła słomy.

– Powiedz, co się stało – poprosił łagodnie. – Lavalla wróciła przemoczona i ledwie żywa. Yo! zapakowała ją do łóżka, napełniła jakimiś driakwiami. Próbowałem z nią rozmawiać, ale milczy jak zaklęta, a ty zniknęłaś.

Albana objęła kolana ramionami i skuliła się jeszcze bardziej. Sajron wstał, zdjął płaszcz i

narzucił go na dziewczynę. Szarpnęła się, odrzuciła okrycie i usiadła. W bladej twarzy zielone oczy lśniły niezdrowym blaskiem.

– Prawie udało mi się ją zabić. To się stało! – wyrzuciła z siebie. Sajron spojrział na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Miałyście wypadek? Wpadłyście do rzeki? – spytał niepewnie.

– Nie wpadłyśmy! Ona skoczyła, bo ja jeji tak kazałam! Mało się nie utopiła! – krzyknęła histerycznie. – Chciałam ją zabić i prawie mi się udało!

Sajronowi nagle zabrakło tchu.

– Ale dlaczego, Albano, dlaczego? Przecież ona... – wydusił zbielełymi wargami.

– To wszystko bez ciebie! – wrzeszczała. – Tyś mi kazał myśleć, co złego w tym, że ludzie by mię słuchali. I Lav słuchała! Kazywałam jeji myć garki i ona myła, czyścić komin i czyściła, wleźć w pokrzywy i wlaźła! A potem.. potem skoczyła ze skały, bo ja jeji tak kazywałam!!! I prawie się utopiła w tym kurewskim jeziorze. Bez ciebie! Niech cię cholera zadusi, dziadu przeklęty! To tobie powinnam kazać skoczyć, nie jeji! Nie jeji... – rozplakała się gwałtownie i znów odwróciła plecami do ściany.

Sajron siedział jak skamieniały, wsłuchując się w odgłosy szlochania. Na zewnątrz wiatr zawodził jękliwie, hukala sowa. Przejechał pomarszczoną dłonią po włosach, odetchnął.

– Albano, popatrz na mnie – przemówił cicho. – Opowiedz dokładnie, co się zdarzyło. Muszę wiedzieć...

Dziewczyna nie odwróciła się, ale otarła twarz i rwącym z emocji głosem zaczęła opowiadać wydarzenia ostatnich kilku dni.

– To wszystko beze mnie i bez ciebie tyż – zakończyła. – Myślałam, że to będzie zabawa... Tyś mię nie ostrzeg, nie powiedział, co się może dziać. A wiedziałeś, nie?

– Wiedziałem – potaknął Sajron. – Teraz i ty wiesz. Szkoda tylko, że Lav na tym ucierpiała. Ale uratowałaś ją w końcu...

– Ona nie chce ze mną gadać – uzaliła się dziewczyna. – Szkoda mi... Nie chciałam jeji zrobić nic złego. Lubię ją – dokończyła cichutko.

Sajron wstał ze stołka i podniósł leżące na klepisku nakrycie.

– Muszę zostać tu na noc. Za ciemno, żeby wracać. Rozpalmy ogień i zjedzmy coś.

– Tu nic ni ma, ino zakurzone garki.

– Przyniosłem ze sobą gościniec. Leży na ławce przed chatą. Przyniosę, a ty zrzuć te mokre szmaty, załóż mój płaszcz. I daj ten garnek, naniosę wody.

Albana wstała z łóżka i podała mu naczynie. Był już za progiem, kiedy odważyła się zapytać.

– Co ze mną zrobisz?

Ale Sajron widać nie usłyszał, bo ruszył w ciemność.

Kiedy wrócił, ogień płonął już na palenisku, a rzeczy Albany suszyły się rozłożone na stołku. Wkrótce w kociołku zabulgotał napar z ziół, które Yol dla niej naszykowała. Posilili się prząsnym chlebem i kawałkiem sera z zawiniątka Sajrona.

– Wrócisz ze mną do Twierdzy – oznajmił starzec, kiedy skończyli jeść. – Porozmawiasz z Lavallą. Czy będzie umiała ci wybaczyć, nie wiem, ale porozmawiać powinniście. Reszta od ciebie zależy. Jeśli chcesz, będziemy dalej ćwiczyć, może teraz łatwiej będzie ci pojąć moje nauki. Ale jeśli postanowisz odejść, to... nie będę cię zatrzymywał. Wiem, że nie czujesz się tu dobrze. Twój gniew może w końcu obrócić się przeciwko nam...

Albana spuściła głowę.

– Tyn wasz Dar, to nie Dar ino przekleństwo – szepnęła. – Żeby nie on, żyłabym jak człowiek, nik by się nie boł, nik by mię nie szukał. On nie przynosi nic dobrego.

– To nieprawda.

– Nieprawda? Zamordowałam człowieka, sprowadziłam na siebie gniew tego kapłana i prawie zabiłam niczemu nie winną Lav. Jak tu zostanę, mogę kumuś zrobić krzywdę, a jak odejdę wszendy będą mię ścigać jak zwierze... Co w nim dobrego, Sajronie?

Starzec wyprostował zgarbione plecy i tęsknie popatrzył na kłujący siennik. Poprawił się na zydlu i spojrział ciepłej na siedzącą przed nim z ponurą miną dziewczynę.

– Dawnymi czasy Obdarowani żyli wespół z innymi ludźmi. Szanowano ich, a oni służyli wszystkim swoimi mocami. Kiedy dziecko zagubiło się w lesie – Obdarowany przyprowadzał je z powrotem. Kiedy ktoś chorował, wzywano Obdarowanego. Kiedy szukano złodzieja, Obdarowany przeprowadzał sąd, bo potrafił fałsz wykryć. Mieć Obdarowane dziecko, to był honor i szczęście dla całej rodziny. Każdy Dar, Albano, można obrócić na dobro i zło, jak znaleziony na ziemi kij. Możesz się nim podeprzeć, możesz zabić. Twój głos nie musi być Darem, by kogoś zranić... To prawda, że teraz czasy nie są dla nas łaskawe, ale nie przeklinaj swojego Daru, dziewczyno. Od ciebie zależy, jak go wykorzystasz. Mówisz, że ratując Lav, ściągnęłaś na siebie gniew Zebona. Czy żałujesz swojego postępuku?

Albana zamyśliła się. Przed oczami stanęła jej uśmiechnięta twarz Calmina Fena. Potrząsnęła głową, chcąc odgonić to wspomnienie.

– Nie – mruknęła. – Powiedz mi ino, czemu ludzie się od nas odwrócili? Czemu tera nas nienawidzą?

Sajron wstał wreszcie z niewygodnego stołka i przysiadł na sienniku.

– Kości mi zeszywniały, muszę się położyć – wymruczał. – Dlaczego ludzie się od nas odwrócili? Przez smoki. Nasze Dary podobne są do smoczycz czarów. Ogłoszono nas ich sprzymierzeńcami, wygnano z wioski, a wreszcie zaczęto palić na stosach. Ale Obdarowane dzieci rodzą się ciągle. Niektórym udaje się żyć normalnie, ukrywając swój Dar. Inni nawet nie wiedzą, że go mają. Kiedy odnalazłem tę zagubioną w górach twierdzę, postanowiłem, że stworzę tu dom wszystkim, którzy go nie mają albo go stracili. Długo wędrowałem po Imeskarii szukając podobnych mnie. Wielu miało mnie za szaleńca albo wietrzyło podstęp. Ale byli też tacy, co poszli za mną. Twierdza to ostatni bezpieczny azyl Obdarowanych...

Ale Albana już go nie słuchała. Przypomniła sobie obrazy z gospody – rozdziawione pyski i wielkie cielska. Bezwiednie dotknęła miejsca, gdzie nosiła smocze znamię, a potem jej ręka powędrowała ku klejnotowi zawieszonemu na szyi. Zacisnęła na nim dłoń. Nie zauważyła badawczego wzroku Sajrona. Przebrała się na dworze i rzuciła okrycie na drzemiącego już starca. Potem ułożyła się obok niego i zasnęła.

Opatulona skórą Lavalla wydawała się mniejsza niż zwykle. Twarz miała rozpaloną gorączką, oczy szkliste. Dookoła niej uwijała się Yol, mieszała mocno pachnące zioła w kociołku, poprawiała okrycie i zagadywała wesoło.

Kiedy Albana i Sajron stanęli w drzwiach lazaretu, uzdrowicielka uśmiechnęła się szeroko, a Lavalla nagle zapadła się głębiej w poduszki. Starzec przysiadł na posłaniu, pogładził dłoń swojej ulubienicy, podetknął do ust kubek z lekarstwem. A potem wyszedł, zabierając ze sobą Yol.

Dwie kobiety zostały same. Starannie unikały swego wzroku. Lavalla uparcie chowała twarz, Albana nerwowo szarpała nitkę swetra, który zarzuciła na ramiona.

– Nie chciałam cię zabić – wybuchnęła wreszcie dziewczyna.



– Naprawdę? – Lav usiadła w pościeli i spojrzała wprost na Albana. – Naprawdę?

Ironiczny ton małej czarownicy ugodził ją do żywego.

– Skąd miałam wiedzieć, że skoczysz?! Jak jako głupia! – wrzasnęła, nie panując nad sobą.

– Chciałam, co byś tylko popatrzała na dolinę! Wystarczyło ino spojrzeć! To wszystko bez ciebie się stało!!!

– Chciałaś mnie zabić, bo mnie nienawidzisz. Czułam to. Gdybym nie skoczyła, zabiłaby mnie siła tej nienawiści! Co ja ci zrobiłam? I kim ty jesteś, że potrafisz z ludźmi robić coś takiego?

– To nieprawda, nieprawda! Wścikłam się, bo już miałam dosyć ty twoi uległości. Sajron ma racje. Nik nie może mieć takiej władzy nad ludźmi. Tera to wim. A ciebie wcale nie nienawidzę. Chciałam ino, co byś w dolinę spojrzała. Ino tyle – dokończyła prawie szeptem. – Ja już nikomu nie chce zrobić krzywdy. Przeca wiesz, co mówię prawdę.

Lavalla opadła na łożo i przymknęła oczy.

– Idź już – mruknęła. – Zmęczona jestem. Albana spojrzała na nią błagalnie.

– Ja naprowdy nie chciałam. Naprowdy...

– Wyjdź – powtórzyła Lav słabo.

Albana zagryzła wargi i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Przeciąg zakołysał płomieniem wiszącej naprzeciw wejścia pochodni, wydłużony cień zatańczył na ścianie. Dotarła do swojego pokoju i skuliła na podłodze obok zimnego kominka. Rozpłakała się gwałtownie. Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, ale łzy wreszcie przestały płynąć, a chłód sprawił, że zaczęła szczerkać zębami. Zapaliła świecę i zaczęła się pakować. Postanowiła wyruszyć wcześniej rano. Zdmuchnęła ogarek i wyszła z pokoju. Chciała pożegnać się z Sajronem. Była mu to winna.

Drzwi do gabinetu starca zastała otwarte, ale pokój był pusty. Delikatny blask bijący z kominka oświetlał pomieszczenie. Owiało ją ciepłe powietrze i dopiero teraz Albana poczuła, jak bardzo zmarzła. Postanowiła poczekać. Przysiadła na podłodze, mimowolnie przyjmując pozycję do ćwiczeń. Skrzyżowała nogi, ręce wsparła na kolanach, wzrokiem odszukała świecę i zamarła w bezruchu.

Chwile mijały, a ona siedziała nieporuszona, opróżniając umysł z dręczących ją myśli, zapatrzona w ciemny punkcik. Po jakimś czasie mrok się rozproszył, różowa w świetle płomieni ściana rozjaśniła, a obraz wyostrzył.

– Teraz – sięgnęła do wnętrza i użyła całej swej skoncentrowanej energii.

Coś ze świstem przeleciało koło jej ucha, a potem z brzękiem potoczyło po podłodze. Nie zareagowała, ciągle patrząc na ścianę przed sobą. Obraz świeca zniknął, ale zastąpiły go inne, tak jakby zaczęła rozglądać się wokół.

Sajron zmęczonym krokiem szedł korytarzem. Całodzienne troski przygarbiły mu plecy, spowolniły ruchy. Dotarł do swego gabinetu i zatrzymał się zdziwiony. Drzwi były uchylone, a spoza nich słychać było jakby szelest papieru. Wyprostował się nagle czujny i skupiony. Popchnął ciężkie skrzydło i spojrzał osłupiały.

W ciemnościach na podłodze siedziała Albana. Nogi miała skrzyżowane, a dłonie wsparte na kolanach. Wokół jej głowy wirowały w opętanych tańcu karty papieru. Nagle z jęklwym, nieprzyjemnym zgrzytem pękła szyba w oknie, a okruchy szkła miast opaść na podłogę uniosły się w powietrzu. Wisząca na ścianie kolorowa mapa łopotała niczym flaga na wietrze, ciężki kałamarz wypełniony po brzegi atramentem obracał się jak kuriozalna mucha. Wielkie, ciężkie biurko skrzypnęło i również uniosło się nad podłogę. Przygasające polana zapłonęły

niespodziewanie oślepiającym płomieniem i rozsypały się po podłodze, siejąc małe, pełgające płomyczki. I one pomknęły w górę, rzucając migotliwe światło i oświetlając skupioną, nieruchomą twarz siedzącej, wydobywając czerwone refleksy ze splecionych włosów. W komnacie pojaśniało jeszcze bardziej. Tańczący w powietrzu ognik trafił na papier, który zajął się błyskawicznie. Jakby na dany znak reszta fruujących kart zapłonęła, sypiąc iskrami.

– Przestań! – krzyknął oprzytomniały w jednej chwili Sajron. – Natychmiast przestań!

Albana nawet nie drgnęła. Starzec chciał podejść do niej, potrząsnąć, wyrwać z transu, ale z przerażeniem stwierdził, że nie może zrobić ani kroku.

Tuż za jego plecami z hukiem zatrzasnęły się drzwi. Przeciąg spowodował, że ledwo uchylone dotąd okiennice otworzyły się na całą szerokość, a płonące leniwie kartki zamieniły się w pochodnie. Jedna z nich opadła wprost na szarawą szatę Sajrona. W powietrzu rozszedł się swąd tłętego się materiału. To wreszcie zmusiło go do działania. Energicznie zdusił skry i skupił wzrok na siedzącej, wytyżając cały swój Dar.

Albana zachwiała się jak od ciosu. Podniosła ręce do czoła w bezsensownym geście obrony.

Nagle wokół zapanował chaos. Kałamarz z trzaskiem rozbił się na podłodze, okruchy szyb opadły, kalecząc twarze i dłonie. Biurko grzmotnęło z taką siłą, że otwarte szuflady poszły w drzazgi, a ich zawartość powiększyła panujący bałagan. Ogień uwolniony spod kontroli Albany rozprzestrzenił się błyskawicznie.

Sajron zepchnął ją ze skóry i zaczął dusić płomienie. Ściągnięci niezwykłym hałasem mieszkańcy włączyli się do pomocy. Wkrótce było po wszystkim.

Mimo pytających spojrzeń, starzec odprawił ich i spojrzał na kulącą się w kącie Albanę. Ta siedziała otumaniona i jakby nieobecna. Jej wzrok błędził po zachlapanych inkaustem ścianach, po podłodze zlanej wodą i pełnej pływających w niej śmieci, po zdemolowanym biurku i wybitej szybie.

Przeszedł przez komnatę, zamknął skrzypiące monotonie okiennice i podniósł krzesło. Starannie wytarł siedzisko skrajem szaty i oparł o ścianę. Usiadł ostrożnie, niepewny, czy mebel nie załamie się pod jego ciężarem.

– Albano – powiedział ciężko. – Albano, spójrz na mnie.

Dziewczyna na krótko uniosła wzrok, ale zaraz umknęła spojrzeniem.

– Jak to zrobiłaś?

Nie odezwała się, opuściła tylko głowę pomiędzy zgarbione ramiona. Ten gest bezradności i pokory zamiast ułagodzić, rozwścieczył Sajrona. Wdarł się do jej jestestwa bez ostrzeżenia, brutalnie, zaskakując ją całkowicie. Może gdyby była w pełni sił, obroniłaby się, teraz jednak nie potrafiła wzniesć barier chroniących ją przed tą penetracją. Jej klęska była całkowita. Mogła tylko bezsilnie czekać, aż Sajron wycofa się z jej umysłu. On jednak badał go uważnie, przepatrywał myśli i uczucia, wydierał wspomnienia i najstaranniej strzeżone sekrety. To było niczym fizyczne tortury – raniło, sprawiało ból. Albana wiła się jak w agonii. Nie wiedziała, że krzyczy, że orze paznokciami skórę na rękach i twarzy, pozostawiając krwawe ślady.

Kiedy wreszcie Obdarowany wycofał się z jej jaźni, osunęła się zemdłona. Zostawił ją tak i wyszedł. Nie spojrzał na krążącego po korytarzu Dolida. Minał go, macając ręką wzdłuż ściany jak ślepiec i powłócząc nogami odszedł w stronę swojej sypialni.

Sajron śnił, jednak sen nie należał do niego. Był snem rudowłosej kobiety utkanym z jej

wspomnień. I choć gdzieś na granicy świadomości zdawał sobie z tego sprawę, to nie mógł się od niego uwolnić. Jęczał i rzucał się na łożu, mokry od potu. Gliniany kubek, stojący na stoliku obok łóżka, spadł i roztrzaskał się z hukiem. Obudził się, drząc w ciemności, niepewny co jest jawą, a co majakiem. Usiadł, bosa stopy trafiły na kałużę wody i to przekonało go ostatecznie, że już nie śni. Uczynił kilka niepewnych kroków i otworzył drzwi, wpuszczając do ciemnej izby nieco światła z korytarza.

Śpiący pod drzwiami Sewek ocknął się i przetarł kułakiem oczy. Wzdrygnął się na widok Sajrona ubranego w powłóczystrą nocną szatę, spod której wystawały łydki, pokryte delikatną siateczką fioletowych żyłek.

– Potrzeba wam czegoś? – spytał niepewnie.

– Woda mi się rozlała – wymruczał starzec zaskoczony i jednocześnie uradowany widokiem znajomej twarzy. – I kubek się potrzaskał. Co tu robisz po nocy?

– Dolid przykazał mi zostać, na wasze usługi.

– A... No to sprzątnij, chłopcze, sprzątnij.

Sewek skrzesał ogień, zebrał gliniane skorupy i wytarł podłogę. Był tak rzeczywisty, że Sajron czerpał z jego obecności prawdziwą otuchę. Piegowaty chłopak odgradzał go od wysnionego koszmaru.

– Nie zimno wam? Może ogień rozpalić?

– A tak, rozpal. Powiedz, gdzie jest Albana? Ona chyba nie... – zawiesił głos niezdolny wyrazić obawy, że dziewczyna mogła odejść.

– A gdzie miałyby być? – zdziwił się wyrostek. – Śpi pewnie u siebie. Mamią z nią jest i pilnuje, żeby szkody więcej nie zrobiła. Podpaliła wam komnatę, jak moja mama szopę, nie? Ale my już sprzątniśmy, nawet ściany ojciec pomalowali. Tylko stół trzeba było zmienić, bo tamten się rozleciał. I wasze papiery się spaliły.

Sajron przysiadł na łóżku i owinał się kocem. Pod wprawną ręką Sewka szczapy w kominku zajęły się szybko i chybotliwe płomyczki rozświetliły komnatę.

– Dziękuję ci, chłopcze. Możesz wracać do łóżka. Sewek westchnął.

– Mógłbym, ale Dolid...

– Idź już, idź – pogonił go Sajron, nie słuchając.

Chłopak wyszedł, a starzec ułożył się i okrył starannie. Przymknął oczy, ale natychmiast opadła go fala nie swoich wspomnień. Pod zamkniętymi powiekami jawiły się obrazy, które trudno mu było pojąć. Zamkowy plac i lśniąca od potu kapłańska łysina. Las pełen cieni, powodujący ściskanie w krtani, gospodarskie obejście. Jakiś drewniany sufit zdobiony rzeźbionymi ornamentami...

Zerwał się tak nagle, że zatrzeszczały mu stawy. Zdrętwiałymi od chłodu i zdenerwowania rękoma naciągnął przydziewek, zabrał ze stołu świecę i szarpnął kłamkę. Omal nie wszedł na skulonego Sewka. Ten, po raz drugi gwałtownie wyrwany ze snu, tylko jęknął żałośnie.

– Co tu jeszcze robisz?

– Mówiłem przecie, że Dolid kazał mi wam usłużyć – wymamrotał. Sajron wzruszył ramionami, minął go i poszedł do gabinetu. Chłopiec podrapał się po zmierzwionej czuprynie i ruszył za nim.

Komnata pachniała spalenizną, wapnem i wilgocią. Sewek zajął się kominkiem, a Sajron rozglądał się po odnowionym pomieszczeniu. Podłogę wyściełała nowa skóra, ale spod niej wyzierała brzydka, atramentowa plama. Mapa, odcinająca się jaskrawo od świeżo pobielonej ściany, była nadpalona na brzegach, a rysunek lekko zamazany. W miejsce wybitej szyby

wstawiono nową. Usunięto też potrzaskane biurko i przyniesiono stół. Na blacie leżał stos czystych kart, kilka piór i nowy kałamarz. Jedynie krzesło pozostało to samo, wielkie i niewygodne, choć ktoś rzucił na siedzenie obszytą jaskrawym materiałem poduszkę.

– Kiedy to wszystko zdążyliście zrobić?

– Wczoraj. Spaliście przecie cały dzień. Wszyscy pomagaliśmy.

– Albana też?

– No, nie... Dolid kazał jej siedzieć u siebie.

– Aha... – mruknął Sajron i spojrzął na niezapisany papier.

Sewek zinterpretował to po swojemu.

– Głodniście pewnie. Przyniosę coś do jedzenia.

– Tak, tak i butelkę wina.

– Już lecę.

Kiedy wrócił, niosąc na tacy skrojone pośpiesznie pajdy chleba, gomułkę sera, kubek i zakurzoną butelkę, starzec siedział przy stole i wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę papieru. Z pióra skapywał właśnie kolejny kleks.

– Jeszcze wam czegoś potrzeba? – spytał zrezygnowany chłopak.

– Postaw to tutaj i dołóż do ognia. Potem możesz stanąć na straży. Nie wpuszczaj nikogo.

Niech nikt mi nie przeszkadza.

– Rozumiem. Dołożyć do ognia i nikogo nie wpuszczać – zaraportował.

Wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

– To trwa już za długo, musisz mnie wpuścić!

Sewek ze łzami w oczach i determinacją malującą się na twarzy, zasłonił sobą drzwi.

– Sajron powiedział, żeby mu nie przeszkadzać i nikogo nie wpuszczać – powtórzył

uparcie.

Dolid uderzał niespokojnie zwiniętym kułakiem w rozwartą dłoń. Chłopakowi ciarki przeszły po plecach. Bibliotekarz miał pięści wielkie jak bochny chleba.

– To było wczoraj – wykrzywił się wściekły. – Przepuść mnie.

– Sajron powiedział...

– O, do diaska!

Potężna łapa zacisnęła się na szczupłym ramieniu Sewka i chłopak poleciał w kąt. Bibliotekarz gwałtownie szarpnął za klamkę i nie napotkawszy na opór wpadł do gabinetu.

Sajron siedział przy zawalonym papierami stole i pisał. Nie podniósł nawet głowy, mruknął tylko:

– Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

Dolid, nagle zmieszany, już chciał się cofnąć, kiedy pomiędzy papierami dostrzegł tacę z zeschniętym chlebem i opróżnioną do połowy butelką. Z rezygnacją pokręcił głową.

– Ani myślę stad wychodzić – parsknął.

Starzec podniósł wreszcie wzrok. Oczy miał szkliste, zaczerwienione i niezbyt przytomne.

– Dolid? Co tu robisz?

Bibliotekarz spojrzął na przyjaciela, jakby ten z nagłą postradał zmysły.

– Co tu się dzieje? Wpierw Albana podpala twoją komnatę, choć przecie twierdziłeś, że jej Darem jest głos. Ty śpisz prawie dwie doby, a kiedy się budzisz, to zamykasz się jak pustelnik, a pod drzwiami stawiasz tę kukłę, która powtarza w kółko: Sajron powiedział, żeby mu nikt nie przeszkadzał – zakończył piskliwym dyszkantem, naśladując Sewka. – Nie jesz, nie śpisz i jeszcze pytasz, co tu robię!

– O to ci chodzi... – mruknął Sajron. – Nie przejmuj się, już prawie skończyłem. I rzeczywiście coś bym zjadł. A Albana?

– Co, Albana? – burknął Dolid.

Coś w jego głosie sprawiło, że wzrok Sajrona nagle nabrał ostrości.

– Gdzie ona jest?

Bibliotekarz poczerwieniał i przejechał ręką po ściętych przy skórze włosach.

– Uciekła w góry – bąknął.

Wyblakłe oczy starca przybrały nagle groźny wyraz.

– Masz ją odszukać i przyprowadzić do mnie. Nie przestrasz jej, bo może zrobić ci krzywdę. I żeby włos nie spadł jej z głowy. Rozumiesz?

Dolid otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale Sajron przestał zwracać na niego uwagę, toteż wyprężył się, zrobił regularny zwrot w tył i wyszedł.

Marnia była wielką, niezgrabną, wiejską dziewczuchą. Przybyła do Ostatniej Twierdzy razem z rodziną Jagona. Znalazła swoje miejsce przy robocie w obejściu i choć nie była Obdarowana, została w Twierdzy, pracowita i pomocna.

Zajęła się nieprzytomną Albana tak samo sprawnie, jak zajmowała się zwierzętami. Podawała wywary przygotowane przez Yol, poprawiała posłanie, gładziła rude włosy, a kiedy dwa dni później zobaczyła, że dziewczyna chce wymknąć się z Twierdzy, bez słowa okryła ją płaszczem i wcisnęła do ręki zawiniątko z jedzeniem.

Albana nie poszła do chaty. Potrzebowała ruchu i swobody, które mogła jej dać tylko otwarta przestrzeń.

Przez jakiś czas maszerowała szybko, aż wreszcie zaszła tak wysoko, że płuca bolały ją przy każdym oddechu. Wypatrzyła niewielką półkę zawieszoną nad przepaścią i wdrapała się na nią, nie zważając na lawinę kamyków osuwających się spod stóp. Przyłgnęła plecami do ściany i przymknęła oczy, ale kiedy oddech się uspokoił i ustąpił ból mięśni, znów ogarnął ją niepokój. Dotknęła palcami twarzy, wyczuwając podłużne szramy, ślady po cierpieniu zadanym jej przez Sajrona. Zapiekły, kiedy zrogowaciały naskórek zdarł strupy. Objęła dłońmi kolana i siedziała, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Dopiero kiedy tuż nad głową usłyszała ptasi skwir, drgnęła i otworzyła przymknięte powieki. Niemal oślepla, kiedy spojrzała wprost w zachodzące słońce. Zamrugła gwałtownie, z oczu pociekły jej łzy. Otarła je niecierpliwie wierzchem dłoni i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu zejścia ze swojej skalnej grzędy.

Sporo się natrudziła, nim udało jej się ześliznąć w dół. Poraniła ręce, z odzienia pozostały strzępy. Nie mogła iść dalej, bo szybko zapadające ciemności, wąska ścieżka i przepaść otwierająca się tuż za jej krawędzią, nie pozwalały na uczynienie żadnego nierozważnego ruchu. Otuliła się ciasno płaszczem i oparła o jeszcze ciepłą od słońca skałę. Niezgrabnie rozplatała zawiniątko z prowiantem. Wyśliznęło się jej z drżących ze zmęczenia rąk i spadło w przepaść, ściągając za sobą lawinę kamieni. Znieruchomiała wystraszona. Powoli zaczął ogarniać ją chłód. Z nagłą jasnością uświadomiła sobie, że może nie przeżyć tej nocy.

Siedziała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma, z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Nie zdając sobie z tego sprawy, powoli popadła w niezwykły trans, w którym tu i teraz już się nie liczyło. Przestała odczuwać zimno, nie łaknęła posiłku. Trwała, osiągając stan koncentracji podobny temu, jaki przeżyła dwa dni wcześniej, ale jej myśli nie były puste. Przeciwnie, wciąż na nowo przywoływała wydarzenia w komnacie Sajrona, lecz teraz umysł nadawał im inną, dojrzałą formę.

Niemal widziała siebie siedzącą na podłodze, wpatrzoną w ciemny punkt na ścianie. Czuliła siłę, którą uwolniła w umyśle i moment, w którym przejęła kontrolę. Panowała nad nią nieudolnie i mało subtelnie, wkładając w to ogromny wysiłek. Potem, gdzieś na granicy jej świadomości, pojawił się Sajron: zaniepokojony, rozgniewany, śmiertelnie niebezpieczny. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że na chwilę zapanowała i nad nim, póki nie odwołał się do swego Daru. Spróbowała przeciwstawić się jego mocy, wszak знаła już sposób...

W całkowitych ciemnościach, samotna pośród górskich szczytów Albana staczała w wyobraźni walkę z Obdarowanym starcem. Czas mijał. Góry trwały pogrążone w ciszy bezkسیężycowej nocy. Gwiazdy wydobywały migotliwą poświatę ze szronu osiadłego na szczytach. Cisza była przytłaczająca.

Górski kot, zwabiony zapachem człowieka, bezszelestnie zbliżył się ścieżką i gotując do ataku, przywarł brzuchem do kamieni. Kiedy podszedł na tyle blisko, że jednym skokiem mógł dosięgnąć łupu, wycofał się nagle i uciekł. To, co emanowało z nieruchomej sylwetki, przeraziło zwierzę.

Dziewczyna tryumfowała. Nie uległa mocy Sajrona, przeciwnie, teraz potrafiła narzucić mu swoją wolę. Chciała go upokorzyć, ukarać za krzywdę i za ból, który jej zadał. Wtedy przed oczami stanęła jej sina z zimna twarzyczka Lavalli...

– Każdy Dar można wykorzystać na dobro i zło – zabrzmiały jej w uszach słowa starca. Podniecenie powoli opadało. Jego miejsce zajęło zrozumienie i akceptacja.

Pierwsze promienie słońca odbiły się od śniegu pokrywającego szczyty Gór Przejścia. Mrok ustąpił jasności. Skulona na ścieżce postać drgnęła. Blask przedarł się przez mocno zaciśnięte powieki, wywołał łzy. Zdrętwiałe od zimna i niewygodnej pozycji ciało poruszyło się powoli.

Kiedy dziewczyna wreszcie otwarła oczy, trudno jej było uwierzyć, że przetrwała tę noc. Wstała ostrożnie, czepiając się rękami śliskiej od rosy skały. Drżała. Żołądek kurczył się z głodu, dręczyło ją pragnienie, ale umysł miała jasny. Na skalnej ścieżynce, samotna, ledwie żywa z wyczerpania Albana da Fen odzyskała spokój.

Dolid krążył wokół chaty, starając się trafić na ślad Albany. Nakaz Sajrona, by odnaleźć dziewczynę, nie pozwalał mu wrócić do Twierdzy, błąkał się więc po halach z nadzieją, że Albana wróci do szałas, który bardziej niż kamienna budowla był jej domem. Kiedy wreszcie dostrzegł na ścieżce utykającą postać, zwrócił się w jej stronę, czerwony ze złości.

– Gdzieżeś była, ty cholerna, głupia dziewucho! – ryknął.

Nie zważając na groźną minę bibliotekarza, Albana z ulgą osunęła się w szerokie ramiona.

– Pić mi się chce – wymamrotała przez ściśnięte gardło.

Dolid wziął ją na ręce i wniósł do chaty. Ostrożnie ułożył na szeleszczącym słomą sienniku, okrył ściągniętą z pleców kurtą i chwyciwszy kociołek, pobiegł po wodę.

Dziewczyna wypięła łąpczywie i oblizała popękane wargi. Napełnił naczynie ponownie i podał jej, patrząc na posiniaczone, otarte do krwi ręce i nogi, na postrzępione ubranie.

– Gdzie byłaś? – powtórzył łagodniej.

– W górach. Wysoko. Ledwo przeżyłam – wychrypiała w odpowiedzi.

– A po cholere tam lazała! – wrzasnął, znowu tracąc panowanie nad sobą.

– Nie drzyj się na mnie – mruknęła, ale bez dawnej buty w głosie. – Chciałam być sama, pomyśleć...

Łagodny, prawie przepaszający ton głosu sprawił, że złość Dolida wyparowała nagle.

– Sajron mnie po ciebie wysłał – burknął, maskując ulgę i współczucie jakie go ogarnęło.

– Dasz radę iść?

Dziewczyna jęknęła i pokręciła głową.

– Ledwom się tu dowlekła. Nie mam już siły.

Bibliotekarz omiół wzrokiem zaniedbane wnętrze, zwieszające się u sufitu pajęczyny, wygaszone palenisko i wąski siennik.

– Trzeba nam tu zostać, póki sił nie nabierzesz – zdecydował. – Leż, a ja twojego łuku poprobuję. Głodnym jak wilk.

Zupa z ustrzelonego przez bibliotekarza dropa była gorąca i tłusta. Albana jadła powoli, rozkoszując się każdym kęsem. Kiedy po posiłku Dolid, mamrocząc coś niezrozumiale, położył się na sienniku i przytulił mocno jej zziębnięte i poranione ciało, nie zaprotestowała. Oparła policzek o jego pierś i zasnęła.

Bibliotekarz jeszcze długo wsłuchiwał się w równy oddech leżącej obok dziewczyny i walczył z pokusą, by wziąć ją jak kobietę. Sam niewiedział, co go w końcu powstrzymało. Spokojny wyraz uśpionej twarzy, ufność, z jaką dzieliła z nim łóżko czy ostrzeżenie Sajrona, żeby nie robić jej krzywdy. Wreszcie odgarnął ze spoconego czoła czerwony kosmyk włosów, westchnął i obrócił się plecami, rozżalony na cały świat.

Sajron czekał na Albanę w swoim gabinecie. Obrzucił szybkim spojrzeniem podrapaną twarz, posiniaczone ręce.

– Dobrze się czujesz? – spytał szorstko.

Skinęła głową i usiadła na ławie obok kominka. Sajron usadowił się naprzeciwko i wyciągnął drżące dłonie w stronę ognia.

– Nie powinnaś odchodzić – zaczął cicho. – To, co się stało, nie świadczy przeciwko tobie. Widać jesteś obdarowana inaczej, niż sądziłem... – zawiesił głos, ale dziewczyna milczała.

– Musiałem to zrobić! – wybuchnął. – Nie panowałaś nad sobą, zdolna byłaś zabić nas wszystkich.

– Ty się mię boisz? – odezwała się wreszcie. W jej głosie nie słyhać było triumfu. – Myślisz, że chce się mścić? Nie, Sajronie, choć tera mogłabym ci zrobić to samo. Potrafię, ale nie chce nawet próbować. Nie bój się, ja już rozumiem... Wiele rzeczy już rozumiem.

Sajron zacisnął palce na poręczach krzesła.

– Potrafisz i rozumiesz – powtórzył tępo.

– To nie głos jest moim Darem, ino myśli – powiedziała, starannie dobierając słowa. – Sam to umiesz zrobić, dlatego mnie się boisz. Zdaje mi się, że i ty do nieszczęścia jakiegoś doprowadziłeś, bo nikt takiego wyrozumienia dla mnie nie ma... Spokojny bądź, nikomu gadać o tym nie będę.

– Nielekko żyć z takim Darem – powiedział wreszcie zmęczonym głosem. – Siły potrzeba, bo inaczej do zguby doprowadzi tego, który nim włada. Niektórzy nazywają go smoczym przekleństwem, bo bestie wielu do obłądu i śmierci nim przywiodły...

Dziewczyna wzdrygnęła się, mimowolnie dotknęła złotego znamienia.

– Smocze przekleństwo – powtórzyła ledwie słyszalnie.

– Nie. Znamię to twój talizman, talizman złotego smoka... Znak siły pozostawiony przez dotyk smoczej łuski – zaprotestował starzec, gładząc jej włosy kościstą ręką.

Zamilkli pogrążeni we własnych myślach, pogodzeni, spokojni.

– Powiesz, czegoś się dowiedział z moich wspomnień? – przerwała ciszę Albana.

– Twoi rodziciele zwali się Falias i Berena. Musieli być zamożni, na niczym im nie

zbywało. Dzieciństwo spędziłaś pośród radości i szczęścia. Potem zdarzyło się coś, co zburzyło harmonię; jakaś kobieta chciała zabrać cię na naukę z dala od rodziny. Berena nie umiała się z tym pogodzić. Wykradła cię z domu i uciekła. Żaden ślad w twojej głowie nie pozostał po tej podróży, pewnie byłaś uśpiona. Potem błąkałyście się po obcych ludziach. Matka najmowała się jako służąca, ale nigdzie długo nie zagrzała miejsca. Twój Dar już wtedy był silny i ujawniał się czasem... Wreszcie śmierć znalazła od strzały tego Kerana... Przykro mi, dziewczyno, nie miałaś łatwego życia.

Albana łowiła chciwie każde słowo. Przygryzła wargi, palcami miętoszyła bury materiał sukni.

– Powiedz... powiedz, jak wyglądali – wydusiła, kiedy Sajron zamilkł.

– Twoja matka, nim zjadły ją troski, była urodziwa, wysoka i smukła jak trzcina. W tym jesteś do niej podobna. Ojciec chował uśmiech przed obcymi, ale dla was zawsze miał twarz pogodną. Odziewali się z pańska – Berena lubiła jaskrawe kolory, do twarzy jej było w czerwieni, a ojciec zwykle nosił ciemne barwy. Oczy miał czarne jak węgle, długie włosy i brodę, co cię łaskotała po policzku, aż śmiałaś się do łez...

Dziewczyna opuściła głowę. W gardle dusił ją płacz. Wstała i nie patrząc na zamyślonego starca, otworzyła drzwi.

– Poczekaj. Jest jeszcze coś...

Ale Albana nie słuchała. Wybiegła, a jej pospieszne kroki odbijały się echem w korytarzu. Sajron westchnął i zamknął za nią drzwi.

– Widać jeszcze nie pora – mruknął do siebie. – Powiem jej, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Gwardziści pełniący straż przed królewską komnatą prostowali zgarbione plecy, kiedy kolejna osoba wchodziła bądź wychodziła z sypialni Emausa. W chwilach, gdy drzwi pozostawały otwarte, czuli ciężki zapach kadzideł, który nie mógł zatrzeć fetoru ekskrementów i wymiocin. Dobiegały ich rozdzierające duszę jęki króla. Żołnierze woleliby czyścić zamkowe stajnie, niż słuchać odgłosów agonii młodego władcy.

Choroba, na którą zapadł Emaus, rozwijała się powoli i nieubłagane, aż nadszedł ranek, w którym zabrakło mu sił, by wstać z łoża. Mimo to nie poddawał się. Walczył o przeżycie każdego dnia z uporem człowieka, który wie, że jego czas jeszcze się nie dopełnił.

Służba chodziła na palcach, kucharki ocierały fartuchami łzy, żołnierze pili na umór. Pośród tej rozpaczki jedynie Najdostojniejszy Zebon zachowywał spokój i zwykłą powściągliwość. W zastępstwie króla przewodniczył Radzie i nikt nie ośmielił się kwestionować jego prawa do zarządzania królestwem.

Emaus leżał na swym ogromnym łożu prawie niewidoczny spod piernatów, którymi medycy okryli jego wynędzniałe ciało. Odór dochodzący spod poduszek przyprawiał go wciąż o nowe mdłości. Panujący w sypialni zaduch powiększały kadzidła, które kapłani porozstawiali po kątach. Kotary zasłaniały okna, nie dopuszczając światła.

Kiedy ledwo przytomny król ujrzał medyka, zbliżającego się z miską i nożem do puszczania krwi, jęknął. Nowy atak bóleści skręcił mu kiszki i zwymiotował żółcią wprost na pochylającego się nad nim mężczyznę. Uzdrowiciel odsunął się z odrazą i zaczął wycierać poplamione ubranie. Modlitwa przycichła. To przyniosło Emausowi chwilę ulgi. Przymknął oczy i zapadł w półsen, ciągle boleśnie świadom swojej niemocy. Przed oczyma jawiły mu się obrazy z dzieciństwa.

Najwcześniejszym wspomnieniem była sylwetka ojca odzianego w paradny, połyskujący



złotem strój. Zapamiętał go jako władczego olbrzyma o pooranym zmarszczkami czole.

Król Cenuth, przez poddanych zwany Surowym, dla swego jedynego syna zwykle był wyrozumiały i serdeczny. Widać chciał chłopcu wynagrodzić brak matki, która zmarła w połogu. Portret królowej Marizii wisiał w zamkowej galerii. Emaus nieraz spoglądał na smukłą postać rodzicielki, na skrzące się od uśmiechów oczy, tęskniąc do jej uścisków i pieśczoł, do snutyh wieczorami baśni i kołysanek.

On sam wiele odziedziczył po matce. Był szczupły i drobny, dziecięco pyzate policzki ozdabiały pogłębiające się przy uśmiechu dołeczki, a błękitne oczy lśniły podnieceniem wywołanym kolejną psotą. Kochali go wszyscy i rozpieszczali ponad miarę. Jednak to dzieciństwo szczęśliwe i wolne od trosk minęło zbyt szybko. Ojciec uznał, że syn jest zbyt kapryśny i niezdyscyplinowany, dlatego wysłał go do Mentui wcześniej, niż było to w zwyczajach.

Mentua, niewielka nadmorska miejscina w prowincji Bresania, według Kronik Imeskarii była miejscem Objawienia Boga o Wielu Obliczach. Po zakończeniu smocznej wojny, by upamiętnić ów cud, wybudowano w miasteczku świątynię i utworzono zgromadzenie zakonne dla pierwszych wyznawców Bożych Oblicz. Zwyczajem stało się, że tu właśnie następcy tronu spędzali młodzieńcze lata, zdobywając potrzebne im nauki i przyjmując niższe święcenia kapłańskie. Król Cenuth miał nadzieję, że surowa dyscyplina będzie miała dobroczynny wpływ na psotnego chłopca.

Budynek klasztorny, początkowo drewniany, teraz był kamienną twierdzą wzniesioną na skale. U jej podnóża rozbijały się morskie fale, a nigdy nie cichnące wiatry sprawiały, że mury przenikał wieczny chłód. Korytarze pełne były czających się cieni, a pokoiki małe, podobne więziennym celom. W Mentui przestrzegano ściśle reguły odosobnienia, które miało sprzyjać nauce, koncentracji i modlitwie. Jedynie na zajęciach i podczas modłów uczniowie i kapłani gromadzili się wspólnie.

Dziwny był widok delikatnego, ufego królewicza wśród surowych mnichów. Pozbawiony dworskich strojów, ubrany w szarą szatę akolity, wydawał się niewiarygodnie mały i zagubiony wśród bezimiennej gromady. Spośród innych wyróżniał się jedynie długimi lokami. Pozostali mieli gładko wygolone głowy i brwi.

Pierwszy, najtrudniejszy rok Emaus przetrwał w nadziei, że ojciec zabierze go do domu, kiedy tylko zobaczy, jaki jest nieszczęśliwy. Król jednak po corocznych odwiedzinach powrócił do Loenu sam, nieczuły na skargi syna. Królewicz pogodził się z wolą ojca, ale w dzieciennym sercu na długo zachował urazę.

Z czasem przywykł do wstawania przed wschodem słońca, do porannych modłów w zimnej kaplicy, do skąpych posiłków i nużących zajęć. Uczył się pisać, czytać i rachować. Zapamiętywał długie litanie modlitw, uczestniczył w obrzędach, krztusząc się dymem kadzideł marzył, klęcząc na kamiennej posadzce. Najbardziej dokuczała mu samotność. Był zbyt młody i dziecinny, by interesowały go dysputy o naturze Boga o Wielu Obliczach, w które chętnie wdawali się starsi uczniowie, a reguła odosobnienia nie sprzyjała nawiązywaniu bliższych znajomości. Nawet Solid, kapłan wyznaczony na jego opiekuna, nie interesował się nim bardziej, niż nakazywał mu to obowiązek.

Włoczony w ramy surowej dyscypliny, chwile wytchnienia znajdował w ćwiczeniach fizycznych, które nakazał ojciec. Mnisi bardziej dbali o wykształcenie ducha niż ciała, lecz dla Emausa zrobiono wyjątek. W wolnych od nauki chwilach ćwiczył fechtunek i konną jazdę, uczył się pływać i żeglować. To sprawiło, iż życie w klasztorze stało się znośniejsze. Morski

klimat, chłodny i wilgotny, służył mu. Choć ciągle drobny i niepozorny cieszył się dobrym zdrowiem i nie trapiły go żadne choroby.

Z czasem Emaus polubił również naukę. Fascynowała go historia pełna krwawych opowieści o wojnie i budowaniu nowego państwa. Tylko religia i obowiązki kapłańskie nudziły go okropnie.

Ulotny zapach morskiej bryzy, który Emaus poczuł w swoim śnie na jawie, rozwiął się, kiedy kapłani podjęli śpiew. Wnętrznosci króla skręcił nowy atak bóleści. Na przedramieniu poczuł ostrze noża, kiedy medyk otworzył żyłę. Od nagłej słabości zakręciło mu się w głowie. Jęknął rozdzierająco. Poczuł na wargach wilgoć i chciwie zlizwał te parę kropli, nie zważając na ich gorzki smak. Głowa opadła mu bezwładnie i ledwo poczuł, jak obwiązują mu szmatami zranioną rękę.

– Stracił przytomność – usłyszał jakby z daleka. – To długo nie potrwa.

Wrócił do swoich majaków.

Sala szkolna w Mentui była równie szara i ascetyczna, jak reszta pomieszczeń. Ubrany w brązową szatę kapłan przechadzał się wolno wzdłuż rzędu siedzących przed nim uczniów. Emaus zgarbił się za pulpitem, ale mnich wyłowił wzrokiem jego postać pośród akolitów.

– Ty mi odpowiesz. – Wskazał chudym palcem.

Emaus wstał powoli i odruchowo założył za uszy spadające mu na twarz włosy.

– Bogowie naszych przodków nie byli prawdziwymi bogami ponieważ, ponieważ... – zająknął się – eee, nie dawali znaków swojego istnienia i, eee, wymagali krwawych ofiar... i nikt w tamtych czasach nie znalazł Księgi Objawienia – wypalił wreszcie, niezdolny wymyślić nic innego.

Kapłan nauczyciel odął policzki.

– Bertusie, a ty co powiesz?

Bertus, pupilek kapłana wstał i spojrzał z wyższością na zaczerwienionego chłopca.

– Bóg jest jeden, choć ma różne oblicza. Żadne ze starodawnych bóstw nie jest obliczeni naszego Pana. Objawione to zostało wybranym i spisane przez nich w Księdze Objawień. A kiedy ludzie wysłuchali objawienia i zaczęli postępować, jak nakazywała Księga, zło w postaci smoków i ich orędowników, czarowników, zostało pokonane.

Bertus recytował wyuczoną lekcję jednym tchem, bez zająknięcia, a nauczyciel z zadowoleniem kiwał głową. Kiedy usiadł, dumny z siebie, kapłan znów zwrócił się do stojącego ciągle Emausa.

– Jak powstało Kolegium Kapłańskie?

Królewicz odetchnął. W tym temacie był zdecydowanie lepszy.

– Kiedy Bóg o Wielu Obliczach objawił się wybranym, ci spisali Księgę Objawień i udali się do króla, którym był Forsyth. Ten przeczytał Księgę, uznał zawarte w niej prawdy i powołał Kolegium Kapłańskie. Pierwszymi kapłanami zostali ci, którym objawiono słowo Boże. Król, natchniony słowami Księgi, pokonał smoki i ich sprzymierzeńców, czarowników, a następnie zaprowadził ład i spokój w całym państwie. Zniszczenia były tak wielkie...

– Kolegium – przypomniał kapłan.

– Eee – królewicz na chwilę stracił wątek. – Kolegium pozostało, a kapłani... Już wiem... Król rozkazał wznieść wielką świątynię w Loenie, który obrał sobie na stolicę. Przybywali tam pielgrzymi z całej Imeskarii, aby podziękować Bogu o Wielu Obliczach za szczęśliwe zakończenie wojny. Niektórzy z nich pozostali, żeby zgłębiać nauki z Księgi Objawień, a potem wędrowali po kraju i głosili słowo Boże. Kolegium Kapłańskie sprawowało nad nimi

opiekę. Kiedy ci, którzy spisali Księgę Objawień umarli, by zostać Obliczami Boga, nowikaplani wybrali najgodniejszego spośród siebie, aby pozostał przy królewskim majestacie i pomógł mu odnajdywać ścieżki Boga.

– Wymień Oblicza Boga, Emausie.

– Iveth Oblicze Życia, Otys Oblicze Mądrości, Sot Oblicze Sprawiedliwości i Bengh Oblicze Śmierci.

Kapłan skinął głową i Emaus usiadł zadowolony z siebie. Uwaga nauczyciela skupiła się teraz na siedzącym tuż przed nim wystraszonym uczniu.

– Celinie.

Wywołany wstał, drżąc jak osika. Ostry wzrok kapłana zdawał się przewiercać go na wylot.

– Celinie, ile jest twarzy Pana Naszego?

– Wiele – wydusił chłopiec.

– Więc dlaczego Emaus wymienił tylko cztery?

– Ponieważ, ponieważ... – zaczął, nieświadomie powtarzając jąkanie Emausa. – Ponieważ te Oblicza Pana wywodzą się z Księgi Objawień.

– A inne? – drażył kapłan, spoglądając surowo.

– Księga Objawień uczy, że każdy może zostać Obliczem Boga, o ile dowiedzie tego swoim pobożnym życiem i dobrymi uczynkami.

– Kto o tym decyduje?

– Pan Nasz, poprzez swoje ziemskie sługi, kapłanów.

Piasek w klepsydrze wyznaczający czas lekcji przesypał się do końca. Celin śledził ziarenka i odetchnął z ulgą, kiedy ostatnie spadło na piaskową piramidkę. Nauczyciel podążył za jego wzrokiem. Uśmiechnął się złośliwie.

– Zanim skończymy, ostatnie pytanie, Celinie.

Siadający już chłopak poderwał się tak gwałtownie, że ława, na której siedzieli uczniowie zachybotła się niebezpiecznie.

– Zacytuj fragment Księgi Objawień, który głosi, że każdy może zostać Obliczem Boga.

Młody akolita zacisnął powieki i poruszył bezgłośnie ustami. W końcu odchrząknął.

– „...albowiem każdy człowiek nosi w sobie moją część, każdy poprzez swe życie i uczynki może wyrażać moją wolę. A kiedy tak się stanie, zostanie pobłogosławiony i stanie się moim Obliczem...”

Emausowi zdawało się, że jego ciało unosiło się w morzu bólu. Zanurzał się i wynurzał na jego powierzchnię. Chciwie łowił powietrze splekanymi od gorączki wargami. Nie wiedział, czy to noc czy dzień. Chwilami słyszał głosy, raz odległe i niezrozumiałe, czasem bliskie jak ten. I choć rozumiał słowa, umykał mu ich sens.

– Córka Kattesa przybyła do pałacu. Powiadają, że bardzo jest urodziwa.

– Nawet jeśli król dożyje uroczystości, za słaby jest, by spłodzić dziedzica.

– Może nasz Pan znów okaże swą łaskę.

– Oby tak się stało...

Znowu zanurzył się w bólu i głosy realnego świata oddaliły się od niego.

– Soledzie, dlaczego czarownicy sprzymierzyli się ze smokami?

Opasły kapłan z ulgą zsunął się z wierzchowca. Jako opiekun królewicza musiał towarzyszyć mu podczas konnych przejażdżek. Nie lubił trząść się w niewygodnym siodle, a zapach końskiego potu odbierał mu apetyt, więc skwapliwie podjął rozmowę, licząc na

dłuższą przerwę w uciążliwej rozrywce.

– Smoki dobrze wybrały sprzymierzeńców – powiedział, biorąc konia za uzdę. – Czarownicy władali podobną do smoczej magią. Potrafili czytać w myślach i narzucać innym swoją wolę, umieli wywołać obraz czegoś, co naprawdę nie istniało, sprowadzić chorobę, a nawet śmierć. Gdyby bestie wygrały, rządziłyby poprzez czarowników.

– Ale przecież oni mieli taką moc, zanim przyleciały smoki. Czy przedtem robili ludziom krzywdę?

Emaus zadawał swoje pytania lekkim tonem, nie okazując prawdziwego zainteresowania, jakie płonęło w jego umyśle. Patrzył pod nogi na mokry, ubity piasek, na którym końskie kopyta i ich buty zostawiały wyraźne ślady.

– Tak było.

– A teraz? Czy żyją jeszcze czarownicy i czarownice?

– Tak – sapnął Soled i pociągnął mocniej konia. – Zdarza się, bardzo rzadko, że rodzą się dzieci noszące w sobie przekleństwo czarów. Ale tego nie da się ukryć. Prawda zawsze wychodzi na jaw. No rusz się...

Koń ciągnięty zbyt mocno zaparł się nagle silnie w piasku.

– I co z nimi robicie?

– Jak to, co? – zdziwił się gruby kapłan. – Auu!

Zdenerwowany koń wierzgnął i trafił go prosto w łydkę. Emaus, śmiejąc się w duchu, wyjął mu wodze z ręki i poklepał zwierzę po karku. Uspokojone, ruszyło posłusznie do przodu. Za nimi pokuśtykał Soled, masując bolącą nogę.

– Więc? Co się dzieje z czarownikami? – podjął królewicz, jakby nic nie zaszło.

– Pali się ich na stosie, a popioły rozrzuca na rozstajnych drogach. Emaus zerwał źdźbło suchej, nadmorskiej trawy i wsadził sobiedo ust.

– Ale przecież król Forsyth korzystał z ich usług – powiedział wreszcie cicho.

Soled odwrócił się do chłopca z szybkością niedźwiedzia użądłonego przez pszczołę.

– Skąd o tym wiesz?

– Z Kronik Imeskarii – przyznał ostrożnie Emaus. – Tam napisano, że...

Rozgniewany kapłan nie pozwolił mu dokończyć.

– Tej książki nie ma w wykazie twoich lektur – powiedział. – To znaczy, że samowolnie grzebałeś w bibliotece. Powiem o tym Abenusowi, możesz być pewien, że cię ukarze.

– Ale dlaczego nie wolno mi jej czytać? Przecież to historia mojego kraju, mojej rodziny – bronił się chłopak.

– To nie jest prawdziwa historia! – wrzasnął wyprowadzony z równowagi Soled. – To opowieści spisane przez wyrzutka, który pewnie sam był czarownikiem. Gdyby ktoś posłuchał mojego zdania, spalono by ją dawno, żeby nie mąciła w głowach podobnym tobie głupcom. Wracamy.

Nie bez trudu dosiadł konia i spiesznie ruszył w stronę klasztoru. Wystraszony zapowiedzianą karą Emaus posłusznie podążył za nim.

Dlaczego czarownicy odwrócili się od ludzi?

To była pierwsza przytomna myśl, jaka przeleciała mu przez głowę, kiedy na nowo odzyskał świadomość. Nie wiedział, skąd się wzięła, nie pamiętał męczących go majaków. Spróbował podnieść się na poduszkach, ale był zbyt słaby. Widząc niezdarny ruch, służący czuwający przy łożu poderwał się i delikatnie wsunął mu poduszkę pod plecy, a potem przytknął do ust puchar. Król przełknął łyk.

To znów ten gorzki napój, pomyślał. Tak chciałbym napić się wody. Zwykłej, zimnej wody. Czy ten chór kiedyś zamilknie?

Do corocznego dnia odwiedzin było jeszcze daleko, kiedy niespodziewanie wezwano go do Abenusa. Takie wezwanie nie wróżyło nic dobrego. Kiedy poprzednio Emaus spotkał przełożonego klasztoru w Mentui, Abenus wyznaczył mu karę za czytanie Kronik Imeskarii. Młody królewicz przez tyle dni, ile kart liczyła księga, musiał pomagać w kuchni. Obowiązki nie były przyjemne. Odciski na rękach i spierzchnięta od zimnej wody skóra długo pozostały mu w pamięci. Kara odniosła skutek, lecz inny od zamierzonego przez Abenusa. Emaus przekonał się bowiem, ile trudu i wysiłku kosztuje przygotowanie najprostszej nawet stawy dla tylu osób. Od tej pory zawsze z szacunkiem myślał o rzeszach służby w loeńskim zamku.

Idąc długim korytarzem, zastanawiał się nad swoimi postępami w ostatnich dniach, nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Stał przed drzwiami do gabinetu przełożonego z czystym sumieniem, choć niepokój go nie opuszczał.

Abenus był stary i na wpół ślepy. Jego nieruchome, przeorane zmarszczkami oblicze, z oczami mocno zasnutymi kataraktą, sprawiało, że przypominał żywego trupa. Budził w Emausie nieodparte obrzydzenie, fascynując zarazem. Tym razem jednak to nie on przykuł uwagę chłopca, lecz nieznamy kapłan odziany w czarną szatę. Tylko jeden duchowny królestwa miał prawo nosić strój w takim kolorze.

Kiedy Emaus wszedł, obaj kapłani wstali i pochyliłi się w głębokim ukłonie. Patrząc na nich, chłopak nie mógł opanować dreszczy strachu.

– Wzywałś mnie, Abenusie – odezwał się.

– Usiądź, panie – koścista ręka przełożonego wskazała mu krzesło. Emaus podszedł do siedziska, lecz nie usiadł, tylko stanął za nim, kładąc ręce na wysokim, rzeźbionym oparciu. Starzec skinął głową w stronę swego gościa.

– Pamiętasz Najwyższego Kapłana, doradcę króla Cenutha...?

– Zebon, prawda? – wpadł mu w słowo chłopak. Pamięć usłużnie podsunęła miano nieznanego.

Łysa głowa skłoniła się lekko. Przenikliwe, prawie czarne oczy kapłana wpatrywały się w niego z uwagą, która graniczyła z obrazą.

– Przybyłem oznajmić ci, Panie, że jego wysokość król Cenuth, twój ojciec, zginął na polowaniu od kłów dzika – oznajmił beznamiętnie. – Jako jego dziedzic, jesteś teraz, z łaski pana naszego, Boga o Wielu Obliczach, władcą tej ziemi. Żyj i panuj w pokoju królu Emausie.

Obaj kapłani przyklękli i znów pochyliłi łysy głowy. Emaus tak mocno zacisnął dłonie na oparciu krzesła, że drewniana ozdoba przebiła delikatną skórę. Był bardzo blady. Dopiero po dłuższej chwili powiedział drżącym głosem.

– Ja, z bożej łaski, król Imeskarii, Emaus – głos mu się załamał i musiał przerwać na chwilę, by opanować łzy – przyjmuję wasz hołd. Wstańcie proszę.

Zebon podniósł się szybko, Abenus wstawał powoli, przytrzymując się stołu. Jego twarz, jak zwykle, nie wyrażała żadnych uczuć.

– Pogrzeb twego ojca, króla Cenutha, odbędzie się zgodnie ze zwyczajem za czterdzieści dni. Potem zostaniesz koronowany, Emausie, mój panie. Powinieneś jak najszybciej wyruszyć do Loenu, bowiem podróż zajmie nam wiele dni.

Młody król szybko skinął głową.

– Wyruszymy pojutrze – ciągnął Zebon. – Teraz winieneś udać się do kaplicy i pomodlić, by król Cenuth godzien był zostać Obliczem Boga.

Emaus zdjął ręce z krzesła i nie pożegnawszy się, sztywno ruszył do drzwi. Z ręką na kłamce zatrzymał się i spytał napiętym głosem:

– Czy król... mój ojciec, długo umierał?

W głosie Najwyższego Kapłana pierwszy raz dała się wyczuć niepewność.

– Król został ranny po południu. Umarł nocą, po uzyskaniu błogosławieństwa.

– A czy... – Emaus przełknął ślinę. – Czy mówił coś o mnie?

– Prosił, żeby ci to przekazać.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał na kapłana. Ten wyjął z fałdów szaty medalion i podał go na wyciągniętej dłoni Emausowi.

Młody król spojrzał na ozdobę. Medalion był prosty; łańcuch ze złotych kółek i wisior z zielonego kamienia. Kiedy dotknął kamienia, poczuł pod palcami wypukły rysunek, zbyt zatarty, aby można było rozpoznać, co przedstawiał. Bez słowa zawiesił ojcowski podarunek na szyi i wyszedł z komnaty. Kapłani odprowadzili go zamyślonymi spojrzeniami.

Wiść o śmierci króla – Cenutha rozeszła się już po klasztorze. Po wyjściu od Abenusa, Emaus przestał być szarym akolitą, mimo że nie zdążył jeszcze zrzucić swego stroju. Zgodnie z radą, a raczej nakazem Zebona, udał się do świątyni. Zgromadzony tam bezimienny tłum rozstępował się przed nim, wygolone czaszki uczniów i kapłanów skłaniały się w ukłonach, robiąc mu przejście. Ukłękł przed ołtarzem i zamglonymi od łez oczyma spojrzał przed siebie. Posąg wyobrażający Boga odwrócony był w stronę wiernych Obliczem Bengh. Puste kamienne oczodoły obojętnie spoglądały na klęczącego chłopca.

Ktoś zaintonował:

– Odszedł, by połączyć się z Panem. Poprzez śmierć doznać objawienia.

Chór odpowiedział:

– Każdy jest Obliczem Boga. Niech stanie niegodny i odpowie za swe uczynki...

Przez resztę czasu, jaki spędził w Mentui, Emaus nie uronił już ani jednej łzy. Po raz pierwszy cieszył się z reguły odosobnienia. Po głowie kołatała mu się tylko jedna myśl:

– Jestem królem Imeskarii. Mam dziesięć lat i jestem królem.

Surowa edukacja w klasztorze bezlitośnie obnażała słabości. Emaus, choć młody i niedojrzały, nauczył się dostrzegać je w sobie. Nie dane mu było dokończenie nauki, która polegała również na przewyciężaniu ich i obracaniu na swoją korzyść.

Podróż do Loenu okazała się katastrofą. Zmuszono go do podróżowania wozem, razem z Najwyższym Kapłanem, zamiast wierzchem. Zebon obserwował go tak uważnie, sam mówiąc przy tym niewiele, że chłopak czuł się jak owad na szybie. Potem nastąpił napad.

Dziki okrzyki Keranów, jęki umierających żołnierzy, zapach krwi i strachu, kiedy leżał wraz z Zebonem pod przykryciem płaszcza. Koszmarny wygląd napastników, którzy przypominali bardziej krwiożercze zwierzęta niż ludzi, widok trupów... Odrąbana od tułowia głowa szczerząca, zęby w śmiertelnym grymasie, ręka zaciśnięta na mieczu wbitym we własny brzuch. Kwik wystraszonych koni. Emaus rejestrował to wszystko z przerażającą dokładnością.

Chłopak zapamiętał kolce krzaków cierniowych, które wbijały się głęboko w skórę i dłonie zmartwiałe od krępujących je sznurów, i szorstki pień drzewa, do którego przywiązano go wraz z Zebonem. Ten dotyk przyniósł mu wtedy ulgę. Wydawał się jedyną realną i znajomą rzeczą pośród tego szaleństwa. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Dzikus, który podszedł, by ich obejrzeć, był najstraszniejszym wspomnieniem, a jego na wskroś złe spojrzenie prześladowało Emausa w snach jeszcze wiele lat potem. Z Kerana

wyzierało tyle okrucieństwa i jakiegoś przewrotnego zadowolenia, że królewicz skulił się, jakby chciał stać się niewidzialny. Nie rozumiał sensu wypowiedzianych przez tamtego dziwnym, gardłowym akcentem słów, ale trząsł się od nieopanowanych dreszczy. Kiedy bandyta odszedł, szczerząc dziurawe zęby w obleśnym uśmiechu, chłopiec poczuł, że przemoczył spodnie.

Łzy upokorzenia spływały mu po policzkach. Rozpaczał po śmierci ojca, bał się przejęcia w tak młodym wieku odpowiedzialności za naród, a nade wszystko nie chciał umierać pośród tych dzikich, okrutnych ludzi. Na powrót stał się tym, kim był naprawdę. Nie królem jadącym objąć swą dziedzinę, ale dziesięcioletnim, śmiertelnie wystraszonego chłopcem.

Niespodziewana pomoc, ofiarowana przez jednego z Keranów, który uwolnił ich i wyprowadził na trakt, uchroniła go od pomieszczenia zmysłów.

Podczas całej tej przerażającej przygody, Emaus czuł, że nie może oczekiwać od towarzyszącego mu kapłana żadnego wsparcia. Zebon był milczący i obojętny. Nie modlił się i nie przeklinał. Nawet nieoczekiwane uwolnienie i wyczerpująca ucieczka nie zakłóciły jego spokoju.

– Czujesz się lepiej, mój panie? – ostry głos Zebona wyrwał Emausa z letargu.

Przez chwilę zdawało mu się, że ciągle śni. Stukot otwieranych okiennic i światło, które niespodziewanie wdarło się do komnaty, oślepiając go, przyniosło pewność, że Najwyższy Kapłan jest jak najbardziej rzeczywisty.

– Pić – wyszeptał. – Chce mi się pić...

Ktoś przytknął mu do warg puchar. Pociągnął łyk i zakrztusił się. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu, a ból ponownie chwycił go w swoje szpony.

Sylwetka kapłana górująca nad skulonym w łóżku Emausem wydawała się ciemna i groźna. Stał wyprostowany, sztywny, bez śladu współczucia na pozbawionej brwi twarzy.

– Czy czujesz się lepiej? – powtórzył, kiedy król odzyskał oddech. – Przybył marszałek Kattes z córką. Wasz ślub może się odbyć już za siedem dni.

– Siedem dni? – wyszeptał Emaus. – Dlaczego nie teraz?

– Królewskie zaślubiny to nie wieśniaczy obrządek, panie. Powinien odbyć się w świątyni, na oczach poddanych, po oczyszczeniu ciała i duszy.

Wyższość w tonie Zebona rozdrażniła króla. Znów poczuł się jak uczeń zbesztany przez nauczyciela.

– Sytuacja jest wyjątkowa, Zebonie. – Miało to zabrzmieć stanowczo, a wypadło jak błagalny szept. – Przyrowadź tu córkę Kattesa i napijemy się razem z pucharu zaślubin. Czuję się dostatecznie oczyszczony.

Kapłan zbliżył się do łoża. Nie chciał albo nie potrafił ukryć obrzydzenia na widok bladej, spoconej twarzy swego władcy, potarganych włosów, ubrania i pościeli pokrytej plamami wymiocin.

Odezwał się arogancko.

– Aby ślub był ważny, nie wystarczy wspólne opróżnienie Pucharu Zaślubin. Musisz też spocząć wraz z oblubienicą w łożu. Czy jesteś do tego gotów?

Emaus zamknął oczy, aby ukryć łzy upokorzenia.

– Jesteś Najwyższym Kapłanem, wymyśl coś!

– Jestem Najwyższym Kapłanem Królestwa Imeskarii. Stoję na straży wiary i przestrzegam tradycji. To należy do moich obowiązków. Ty, panie, powinieneś wiedzieć najlepiej, że tradycji nie można zmieniać według potrzeb.

Król przysięgłby, że Zebon uśmiecha się z satysfakcją, ale nie otworzył oczu, żeby to sprawdzić.

– Więc rozpocznij przygotowania, kapłanie. Za siedem dni odbędzie się mój ślub.

Zebon wyszedł, nie skłoniwszy nawet głowy.

Nienawidzę go, pomyślał Emaus.

Droga leśnym traktem była łatwiejsza niż przedzieranie się przez las. Wędrowali jego skrajem, tak aby w każdej chwili móc się schronić się w gęstwinę. Mijały godziny znaczone posapywaniem dziecka i równym oddechem mężczyzny. Kapłan szedł przodem, miarowym krokiem, nie zwracając uwagi na potykającego się chłopca. Zdawał się nie odczuwać zmęczenia, głodu czy pragnienia. Królewicz dreptał uparcie, starając się nadażyć za mężczyzną. Miał otarte stopy, był spragniony i coraz częściej wydawało mu się, że najlepiej byłoby położyć się i umrzeć. Próbował rozmawiać, ale Zebon zbywał jego pytania mruknięciami albo ignorował je.

Przed śmiercią z wyczerpania uratowali ich żołnierze, honorowa eskorta czekająca u bram Loenu. Zaniepokojeni nieobecnością w umówionym czasie królewskiego orszaku wyjechali im naprzeciw. Jak na ironię nie mieli ze sobą wozu, w którym mógłby spocząć śmiertelnie wyczerpany chłopiec, zarekwirovano więc chłopską furę i tak Emaus wjechał do stolicy swego królestwa na wozie wypełnionym słomą.

Kiedy okres czterdziestodniowej żałoby dobiegł końca, zabalsamowane ciało króla Cenutha złożono w krypcie zamkowej świątyni Boga o Wielu Obliczach. W podziemnych salach Emaus czuł się przerażony i osaczony. Mdlilo go od słodkawego zapachu rozkładu, kurzu i pomieszanego z nimi ciężkiego aromatu lilii. Ze strachem patrzył na pokryte rzeźbionymi okuciami trumny, w których spoczywali wszyscy władcy Imeskarii, począwszy od Forsytha – Pogromcy Smoków, poprzez Waledina, Dabarosa, Timodeora, Waledina II zwanego Mądrym, Samendesa, a skończywszy na jego ojcu, Cenuthcie Surowym.

Kiedyś i ja tu spocznę, dumał chłopiec, kiedy już oswoił się z niesamowitym otoczeniem. Czy też zyskam sobie przydomek? Czy będę dobrym królem?

Obok krypty królewskiej znajdowała się druga, dziwnie surowa w porównaniu z ozdobnymi trumnami władców. Tu spoczywali ci, którzy spisali Księgę Objawień, pierwsi kapłani Boga o Wielu Obliczach. Na czarnych marmurowych sarkofagach wyryto ich imiona:

Sotment, Maotys, Debegh i Ivetson. Pokryte złotem litery przykuwały wzrok, atmosfera spokoju spowijająca groby skłaniała do zadumy nad własną egzystencją i niezliczonymi możliwościami, kryjącymi się w każdym z ludzi. Potem, kiedy ciężar władzy go przytłaczał, młody król często schodził do krypty kapłanów. Zdawał się znajdować ukojenie w ich milczącej obecności.

Przecież on wie, że nie będę mógł wziąć udziału w ceremonii, pomyślał Emaus, kiedy minął gniew i kolejny paroksyzm bólu. Przyszedł tylko po to, żeby mnie upokorzyć.

Dał znak i znów zwilżono mu usta.

– Sotmencie, Ivetsonie, Maorysie, Debenghu, co wy poradzilibyście mi dziś? – powiedział na głos.

Służący czuwający przy jego łożu podniósł głowę.

– Panie? – spytał cicho.

– Oblicza Pana... – wyszeptał Emaus. – Objawienie...? – zasnął.

– Znowu majaczy – wymruczał służący, kręcąc głową.

Swoją koronację Emaus przeżył jak we śnie. W głowie wibrowały mu wysokie głosy



chóru, nozdrza wypełniał aromat kadzidel zmieszany z zapachem kwiatów, którymi przystrojono świątynię. Kolana bolały od wielogodzinnego klęczenia, korona ugniatała skroń, a ręce mdlały od trzymania ciężkiego miecza. Kiedy Najwyższy Kapłan zadał mu ceremonialne pytanie: Czy gotów jesteś przyjąć odpowiedzialność za naród i kraj swych przodków? Emaus rozpaczliwie pragnął krzyknąć: Nie, nie jestem! Mam dopiero dziesięć lat. Jak mogę rządzić? Ale zamiast tego odpowiedział dyszkantem: "Jestem gotów."

Jednak rzeczywistość nie okazała się aż tak przytłaczająca.

Uczestniczył w posiedzeniach królewskiej rady, podpisywał edykty, otwierał bale i podróżował, ale ciężar władzy wziął na siebie Zebon. Emaus był mu za to wdzięczny. Nie czuł się na tyle mądry, by móc decydować o wysokości podatków, liczebności wojsk czy uczestniczyć w rozstrzyganiu sporów. Uczył się wszakże pilnie i towarzyszył Zebonowi jak cień. Wiedział, że przyjdzie dzień, kiedy zostanie prawdziwym władcą.

Najwyższy Kapłan przyjmował jego nieustanną obecność z równą obojętnością, co podczas ucieczki w lesie. Był milczący i nieprzystępny. Na jego twarzy nigdy nie gościł uśmiech, nie starał się zaprzyjaźnić z chłopcem, nie okazywał mu cienia życzliwości. Emaus przestał w końcu na to zważać i przyjął, że doradca ma skryty, ale zrównoważony charakter. Dopiero w dniu, w którym miała się odbyć egzekucja czarownicy, to zaufanie, jakie mimo wszystko miał do Zebona młody król, nieco się zachwiało. W loeńskim zamku było służby aż nadto. Pokojowi i pokojówki, sprzątaczkę, odźwierni, kucharze, pisarze królewscy mieszały się z podręcznymi mieszkających tu dostojników i tych, którzy przybywali z krótszą lub dłuższą wizytą. Pośród tego tłumu Emaus nigdy nie spotkał Lavalli ani o niej nie słyszał. O jej istnieniu dowiedział się dopiero, kiedy Zebon przedstawił mu akt oskarżenia. Na dokumencie widniały podpisy kapłanów stwierdzające winę Lavalli ponad wszelką wątpliwość, mógł więc jedynie zatwierdzić wyrok skazujący ją na śmierć. Choć był bardzo ciekaw, Zebon nie zezwolił na spotkanie z czarownicą, po raz pierwszy ujrzał ją więc na zamkowym placu. Młoda, drobna kobieta w niczym nie przypominała potwornej wiedźmy, której obraz wyłaniał się z aktu oskarżenia. Patrząc na ubraną w worek, skrępowaną postać, ze ściętymi dla hańby włosami, król przypomniał sobie Kroniki Imeskarii i niefortunną rozmowę z Soledem.

Nieoczekiwane wystąpienie płomiennowłosej dzikuski zaskoczyło go, ale sprawiło skrytą ulgę. Emaus nie odczuł na sobie obezwładniającej mocy dziewczyny. Patrzył na nią zafascynowany, usiłując dopasować wysoką sylwetkę i ochrypły głos do tajemniczego wybawcy z kerańskiego lasu. Od tamtego czasu minęły już dwa lata, ale uwierzył jej, bo chciał uwierzyć. Nawet gdyby nie przedstawiła dowodu w postaci medalionu z zielonym kamieniem i tak uwolniłby skazaną. Wiedział, że naraża się na gniew Zebona i nie dbał o to.

To wydarzenie zaważyło na stosunkach pomiędzy nim a Najwyższym Kapłanem. Chłodna poprawność zamieniła się w cichą wojnę. Zebon każdym gestem, spojrzeniem, słowem demonstrował swój gniew i urazę. Młody król poznał go na tyle dobrze, że odczuwał to dotkliwie. Kiedy w parę dni potem na posiedzeniu Rady ośmielił się przedstawić swój punkt widzenia, odmienny od rady kapłana, pochwywszy jego wzrok, przeraził się nienawiści, jaką w nim dostrzegł. Wtedy podjął decyzją, że czas zacząć samodzielne rządy, a Zebon powinien powrócić do swych kapłańskich obowiązków.

Emaus poddał się. Wola życia, poczucie niespełnionego obowiązku nagle przestały się liczyć. Nici, które wiązały go ze światem, pękały jedna po drugiej. Nie pomógł leczniczy napój, który wlano mu do gardła, nożem podważając szczęki. Jego wychudzonym ciałem wstrząsały konwulsje, krwawa piana wystąpiła mu na wargi.

Zgromadzeni wokół kapłani, królewska rada i jego narzeczona. Mayoll ze zgrozą obserwowali konającego. Nikt się nie odzywał.

Emaus patrzył, nie widząc. Jego mózg zdawał się już nie rejestrować impulsów bólu, bo twarz pozostawała spokojna.

– Oni kłamali – szeptał ledwie słyszalnie. – Zebonie, ty... – resztę słów stłumiła wypływająca z ust ślina.

Jego ręka próbowała zwrócić się w stronę stojącego tuż przy łożu Najwyższego Kapłana, ale ledwo drgnęła.

– On... – spróbował jeszcze raz.

Wątle, wyczerpane ciało znieruchomiało. Mayoll zaszłochała. Wszyscy schylili głowy, oddając królowi ostatni hołd.

Emaus zmarł podczas ceremonii zaślubin, którą Najwyższy Kapłan zdecydował się jednak odprawić w jego komnacie.

Dolid siedział w bibliotece i nadzorował pracę kopistów, kiedy Sewek wsunął się przez uchylone drzwi i pociągnął go za połę szaty.

– Sajron prosi, cobyście przyszli do niego – szepnął, nie chcąc zakłócać pracy. – To pilne.

Bibliotekarz mruknął coś pod nosem i podążył za nim spiesznie. Starzec siedział przy kominku. Ręce schował w rękawy długiej szaty.

– Mamy gościa...

Zanim zdążył powiedzieć więcej, drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł mężczyzna przezuwający pospiesznie resztki posiłku. Był niski i korpulentny, nie pierwszej już młodości. Poszarzałą ze zmęczenia twarz zdobiły sumiaste wąsy podobne do wiechci słomy. Miał wygląd poczciwego i naiwnego chłopca, co podkreślał szary, prosty strój, zakurzony od długiej jazdy, ale ciemne oczy patrzyły bystro, a dłonie pozbawione były odcisków od pługa.

Przełknął ostatnie kęsy, strzepnął z wąsów okruchy i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Witajcie.

– Witaj, Benektusie – pozdrowił go Sajron, a Dolid wyciągnął dłoń i uściśnął z taką siłą, że ten aż jęknął.

– Przywożę złe wieści – powiedział gość poważnie. – Król Emaus nie żyje. Zmarł w mękach parę dni przed jesienną równonocą.

Starzec westchnął.

– Więc nie udało się go uratować. To rzeczywiście zła nowina – powiedział cicho. – Czy marszałek Kattes przejął władzę w imieniu swej córki, jak planowaliście?

– Nie.

Bibliotekarz siedzący ze spuszczoną głową podniósł wzrok.

– Ale przecież Rada zgodziła się, że po jego śmierci...

– Nie rozumiecie – przerwał im gość. – Emaus nie pojął córki marszałka za żonę. Zmarł podczas ceremonii zaślubin.

– Więc kto? – zapytali równocześnie Sajron i Dolid. Benektus mimowolnie zacisnął dłonie w pięści.

– Zebon ogłosił się protektorem.

Dolid wstał tak gwałtownie, że stołek, na którym siedział przewrócił się z hukiem.

– Zebon – powtórzył bezmyślnie Sajron.

– Umierając, król wskazał go swoim następcą. Cała Królewska Rada, kapłani, sam Kattes... nikt nie zaprotestował.

Bibliotekarz krążył po pokoju jak zwierzę osadzone w klatce. Usta poruszały mu się w bezgłośnych przekleństwach. Starzec siedział spokojnie, ale jego twarz przybrała trudny do odszyfrowania wygląd.

– Więc Zebon, powiadasz? – odezwał się wreszcie martwym głosem. – I wszyscy przyjęli ten wybór bez zastrzeżeń?

– Nikt nie wystąpił przeciwko niemu – przytaknął Benektus. Znow zapadła cisza. Wszyscy drgnęli, kiedy nieoczekiwanie Dolidze złością walnął pięścią w biurko, a potem znow zaczął chodzić w kółko po komnacie.

– Usiądź – warknął Sajron przebudzony z letargu. Bibliotekarz z sapnięciem podniósł przewrócone krzesło i usiadł.

– W czyim imieniu ta gnida, ten łysy kastrat, rządzi Imeskarią!?

– wybuchnął nareszcie.

– Sprawuje władzę w imieniu Boga o Wielu Obliczach.

Dolid znow poderwał się, ale czując na sobie ostry wzrok starca, siadł z powrotem.

– Co on zamierza. Benektusie? Jakie były jego pierwsze posunięcia?

– Cóż, odesłał Kattesa z córką do ich majątku, ale Rady nie rozwiązał, nie zmienił nawet jej składu. Ale wykorzystał nieobecność marszałka i zmniejszył podatki.

– Zmniejszył podatki? A co ma do tego Kattes? Benektus z frustracją żuł koniuszek wąsów.

– Jego Dostojność nie raz wypowiadał się na temat armii. Od dawna uważał, że nie ma potrzeby utrzymywać tak licznego wojska. Do tej pory Kattes zawsze potrafił przekonać Radę, że Zebon nie ma racji, a król go w tym popierał. Teraz, bez marszałka, nie było komu się sprzeciwić. A zmniejszając liczbę wojska, zaoszczędzi na podatkach.

– Pewnie – zdenerwował się Dolid. – Wie, że żołnierze go nienawidzą, że przysięgali wierność królowi, nie jemu.

Sajron w zadumie pokiwał głową.

– Za tym skrywa się coś więcej.

Cała trójka pogrzyżyła się w niewesołych rozmyślaniach. Pierwszy ocknął się Benektus. Przygładził wąsa i spojrzał z ciekawością na olbrzymiego bibliotekarza.

– Nie wiedziałem, że znasz Zebona – zagaił. – Dlaczego tak go nienawidzisz?

Dolid zgrzytnął zębami.

– Spójrz na moje ucho – gwałtownie wskazał na zgrubienie.

– Myślisz, że taki się urodziłem? Ten kozi bękart mi to zrobił. To było...

– Benektusie – przerwał spokojnym, wyważonym głosem Sajron.

– Dziękuję ci za wieści, choćby tak niepomysłne. Czy długo u nas zabawisz?

Mężczyzna pokręcił głową i wstał.

– Rychło muszę wracać.

– Odpocznij więc, posil się w spokoju. Porozmawiamy jeszcze potem.

Kiedy gość wyszedł, Dolid spojrzał ze złością na białowłosego starca.

– Mogłem zabić tego wyrzutka, kiedy zwrócił się przeciwko tobie, ale powstrzymałeś moją rękę! Jak długo chcesz go chronić? Czy nie czas ujawnić prawdę?

– Opanuj się, Dolidzie – odpowiedział ostro Sajron – i pomyśl przez chwilę. Jeśli wyjdzie na jaw kim jest, zemsta spadnie na nas wszystkich. Nie, przyjacielu, to najgorszy z możliwych momentów.

– Więc kiedy? Kiedy wreszcie będzie odpowiednia chwila? Znow zaczął krążyć niecierpliwie po komnacie.

– Może gdyby wtedy zginął, wszystko byłoby prostsze – przyznał niechętnie starzec. – Ale czy w ten sposób nie stalibyśmy się do niego podobni?

– Wiesz, co myślę? – parsknął bibliotekarz. – Ty się boisz! To nie szlachetność cię powstrzymuje, ale strach. Mącisz ludziom w głowach, prawiąc bajdy o odpowiedzialności, a sam nie robisz nic.

Sajron słuchał tych zarzutów z kamienną twarzą. Rozsierdzony Dolid ciągnął dalej.

– Kiedy ludzie odwrócili się od was, łatwiej było się ukryć, niż ogłosić prawdę...

– Czyją prawdę? Obdarowanych, Forsytha czy zwykłych ludzi rażonych smoczym strachem? – Przerwał mu wreszcie starzec. – Każdy ma prawo do własnego wyboru. Zebon również... A ja ślubowałem nigdy więcej nie wpływać na decyzję innych.

– I dlatego każdy, kto przybywa do Twierdzy, przechodzi twój test? Bez pozwolenia zagłębiasz się w ich umysły...

– To nie to samo! – krzyknął Sajron wyprowadzony wreszcie z równowagi. – Jak inaczej mógłbym zapewnić nam bezpieczeństwo?

– A co zrobiłeś Albanie? Co ze mną?

Sajron nagle jakby zapadł się w sobie i zamilkł. Dolid machnął ręką.

– Popelniasz błąd, pozostając biernym. Grzebiesz w przeszłości, a lekceważysz sobie to, co dzieje się teraz.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Patrzący za nim Sajron, potarł skronie w geście zmęczenia. Gdyby jego przyjaciel cofnął się teraz, zobaczyłby starego, bardzo znużonego i zagubionego człowieka.

– To wszystko nie tak, Dolidzie, nie tak... – szepnął. Po policzkach spływały mu łzy.

Albana siedziała w bibliotece i oglądała Kroniki Imeskarii. Ręce pieśczośliwie dotykały oprawionej w świeżą skórę książki, palce niecierpliwie przerzucały strony ozdobione kolorowymi rycinami. Nie chciała zaczynać lektury, bo do zmierzchu pozostało niewiele czasu, a bibliotekarz surowo przestrzegał godzin zamknięcia.

Och, gdyby Dolid choć raz nagiął zasady, westchnęła, choć wiedziała, że on nie robił wyjątków.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Bibliotekarz wyszedł, kopiści pracownicy kreślili litery, bacząc, by pergaminów nie splamił kleks, ktoś pod oknem przewracał z szelestem grube karty, wykorzystując ostatnie promienie słońca. Albana podjęła decyzję. Wzięła książkę pod pachę i zniknęła pomiędzy półkami. Po chwili opuściła bibliotekę.

„...mówiono o zimnie tak przeraźliwym, że ludzie i zwierzęta zamarzali, stojąc. Bez ustanku padający śnieg pokrył pola, lasy i pastwiska. Skaria umierała. Jej mieszkańcy wędrowali wciąż na południe, chcąc uciec przed zimą i znaleźć dla siebie bezpieczne schronienie. Aż wreszcie stanęli u podnóża gór tak wysokich, że ich wierzchołki zdawały się sięgać nieba. Pokryte białymi czapami szczyty nie wróżyły dobrze, ale większość wolała zaryzykować morderczą wędrowkę, mając choć cień nadziei na przetrwanie, niż czekać na śmierć. Ledwo garstka z tych, którzy podjęli przeprawę, ocalała i wzięła w posiadanie nową ziemię. Nazwano ją Imeskarią, Nową Skaria, na pamiątkę tej, którą musiano porzucić, a my, obecnie żyjący, jesteśmy potomkami tych, którzy przeżyli.

Niebosiężne góry były widać wystarczającą zaporą przed zimą, bowiem klimat Imeskarii jest w miarę oddalania się od gór ciepły i łagodny, a im bliżej południa, tym bardziej staje się gorący i wilgotny...”

Albana niecierpliwie odgarnęła spadający jej na czoło rudy lok i odwróciła stronę.

Narysowana nierówną kreską mapa nie zainteresowała jej wcale. Dość przecież napatrzyła się na tę w komnacie Sajrona. Przerzuciła następną kartę.

„...oblewają morza o prądach tak silnych, że łódź, choćby z żaglem, nie jest w stanie im się przeciwstawić. Wyspy...”

– Tak, tak – wymruczała i spojrzała na następną stronicę. – Może to będzie ciekawsze.

„...wydaje się, że Imeskarianie stanowią jedną rasę, choć uciekinierzy ze Skarii byli członkami różnych plemion i szczepów. Świadczenia tego można doszukać się, porównując Jeźdźców Równin i krwiożerczych Keranów, a także mnogość czczonych przed Smoczą Wojną bogów.”

Dziewczyna podniosła wzrok znad książki i oblizała zaschnięte wargi. Wzmianka o Jeźdźcach Równin przywiodła jej na myśl Cala, Żyjąc w Twierdzy, odizolowana od świata, zajęta nauką, prawie zapomniała o swoim mężu.

Przymknęła oczy i spróbowała przywołać w pamięci jego wizerunek. Udało jej się tak szybko, jakby cały czas tkwił tam – niezmienny i cierpliwy, gotów do pojawienia się w takiej chwili jak ta. Wysoki, szczupły, młodzieńczo niezdarny, z ciasno splecionymi w długi warkocz włosami, o jasnych oczach, które w opalonej na brąz twarzy, wyglądały jak okruchy błękitnych kryształów. Poczowała ukłucie żalu i tęsknoty za poczuciem bezpieczeństwa, uściskiem silnych ramion i nieśmiałą pieszczotą, za życiem, które kusilo normalnością.

Wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Wróciła do wertowania Kroniki.

„...oddawano cześć Dagoranowi, stwórcy świata, Tarazie, pani zniszczenia i śmierci, Bejtusowi opiekunowi myśliwych, Branice, bogini matce. Jeźdźcy Równin czcili Yalasała – przewodnika stad i Valse – jego bliźniaczą siostrę i małżonkę, opiekunkę rodzin. Ich kamienne albo drewniane posągi stały w każdej wiosce, strzegły rozstajnych dróg. Bogowie widać sprzyjali swemu ludowi; nowa ziemia rodziła obficie, a lasy nie szczędziły zwierzyny ni drewna na budowę domów. Wszyscy żyli zgodnie, nie wadząc sobie, bo miejsca było dość dla każdego.

I czarownicy żyli w zgodzie z ludźmi, a ci przychylnie na nich patrzyli. Szkodzić nie mogli, powiadano bowiem, że tracą moc, jeśli przeciwko swoim się zwrócą. Potężne siły, którymi władali, przydatne były i co dzień Skarianom służyły. Tak działo się aż do Smoczey Wojny, kiedy...”

Łup, łup, łup.

Albana poderwała się gwałtownie. Stołek przewrócił się z hukiem, a zahaczony ręką ciężki tom spadł na podłogę. Wstała pospiesznie, ale nie zdążyła ukryć książki, bo drzwi otworzyły się i stanął w nich Dolid.

Stała cała drżąca, w koszuli sięgającej kolan, bosa, z twarzą zarumienioną od trwogi przed gniewem bibliotekarza. Splątane włosy, połyskujące ogniście w świetle świecy, spływały jej po plecach, piersi ledwo osłonięte zgrzebną materią falowały od szybkiego oddechu. Wyglądała tak powabnie, że Dolid aż się zachłysnął na jej widok. Nie mógł oderwać od niej wzroku, nie potrafił ukryć pożądania, które nim owładnęło.

Przestraszona Albana nie dostrzegła jego zafascynowania. W głowie miała pustkę, więc milczała, gapiąc się tylko na swego gościa.

Bibliotekarz oprzytomniał pierwszy. Dostrzegł przerażenie w zielonych oczach i odebrał to po swojemu. Zaczerwienił się silnie i zacisnął dłonie na pęku kluczy.

– Nie stój jak słup soli – burknął. – Ja nie... Nie ukrzywdzę cię przecież.

– Naprowdy? Wy... wystraszyłeś mnie – zająknęła się. – Ja ino dziś i nigdy wiency.

Obiecuje.

Nie zrozumiał, o czym mówi, ale skinął głową, jakby przyjmował jej przyrzeczenie.

– Przyszedłem rzec ci, że Emaus nie żyje – odezwał się szorstko. – Znałaś go, pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Albana cofnęła się i weszła bosą stopą na twardą okładkę. Jęknęła z bólu, ale to pozwoliło jej wreszcie oprzytomnieć. Dopadła drzwi i zasunęła skobel. Podniosła tomisko z podłogi i ułożyła na stole, po chwili przeniosła i wsadziła pod poduszkę, aż w końcu upchnęła pod łóżkiem. Zgasła świecę i siadła w pościeli, ciasno oplatając rękami kolana. Ciągle drżała.

Dolid wszedł do swojej surowej izdebki. Usiadł przy stole i schował twarz w dłonie.

– Głupiec – mamrotał do siebie. – Stary głupiec.

## Część trzecia: Doświadczenia

Zebranie Rady Królestwa przeciągało się. Wielki Koniuszy mówił monotonie o liczbie zakupionych wierzchowców, kalkulacji kosztów wyżywienia i planowanej podróży na Równiny Marth, na doroczny koński targ. A kiedy wreszcie usiadł, zerwał się z miejsca Marszałek Kattes.

– Gildia kupiecka chce powołać własną milicję dla ochrony karawan – oświadczył. – Podróżni składają skargi na bandyckie napady, mieszkańcy małych osad porzucają domostwa i przenoszą się w pobliże miast, ziemia leży odłogiem, handel zamiera. Tak dłużej nie może być.

Przerwał i rozejrzał się po zebranych, szukając sojuszników. Nikt się nie odezwał.

– Nie pojmujecie, co się dzieje? – Podjął gniewnie. – Mnożą się rozboje, drogi przestały być bezpieczne, ceny poszły w górę. To, co ludzie zyskali na obniżeniu podatków, tracą w dwójnasób. Jeśli kupcy powołają milicję, udowodnią, że wojsko nie potrafi zapewnić spokoju. Dlatego trzeba przywrócić liczebność armii do stanu sprzed dwóch lat, a nawet czasowo zaciągnąć więcej rekrutów.

Jeszcze raz spojrzął z nadzieją na zebranych. Żaden z członków Rady nie podniósł wzroku.

Usiadł zaczerwieniony ze złości i wbił wzrok w łysą czaszkę Najwyższego Kapłana.

– Myślę, panie marszałku, że przesadzasz – odezwał się Zebon. Miał irytujący zwyczaj ściszenia głosu tak, że słuchający nie śmieli oddychać, by nie uronić słowa. – Oczywiście, nie można zezwolić na powołanie milicji. Kupcy mogą doraźnie wynajmować ochronę, czynili tak nieraz. A obecność wojska nie chroni przed napaścią, wspomnij choćby karawany na Złotym Szlaku.

Kattes poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Pośród bandytów nie brak byłych żołnierzy. Oni nie nadają się na rolników czy rzemieślników, potrafią jedynie walczyć. I dobrze znają Złoty Szlak.

– Tym bardziej decyzja o zmniejszeniu armii była słuszna – przerwał mu kapłan lodowatym tonem. – To niedopuszczalne, aby w jej skład wchodził ludzie zdolni do tak haniebných czynów.

– Nalegam, by Rada ponownie rozważyła zwiększenie armii – powtórzył uparcie Kattes.

– Zgadza się z marszałkiem.

Kattes obejrzał się zdumiony. Poparcie, na które przestał liczyć, przyszło ze strony Yitasa Tyr, najmłodszego członka Rady, konetabla Loenu. Przejął swe obowiązki po ojcu dopiero niedawno i rzadko się odzywał. Być może dlatego Zebon zatwierdził jego wybór. Teraz posłał mu złe spojrzenie.

– Nie musimy rekrutować nowych żołnierzy. Możemy wykorzystać wojsko, które mamy. W Loenie nie mają wiele do roboty, włóczą się po mieście i wywołują burdy. Jeśli wyznaczymy parę grup i wyślemy je do ochrony gościńców, wszyscy powinni być zadowoleni – skończył Yitas, unikając spojrzenia Kattesa.

– To przednia myśl – włączył się Gremus, podskarbi. Był to mąż spokojny, nie lubiący konfliktów, zatopiony w księgach i rejestrach. Starał się łagodzić spory, ale pozbawiony talentów dyplomatycznych, czynił to wyjątkowo niezdarnie. Powszechnie uważano go za chwiejnego i niepewnego własnego zdania. – Podatki nie wzrosną, a ludnie będą mieli ochronę.

– I koniom przyda się trochę ruchu. Gnuśniejają w stajniach – wymruczał koniuszy.

Jego Dostojność siedział z opuszczoną głową i rękoma złożonymi jak do modlitwy.

– Zgadzam się – szepnął wreszcie. – Sam wybiorę dowódców tych oddziałów. Czy to cię zadowala, Kattesie?

Marszałek sztywno skinął głową.

Calmin Fen siedział na chwiejącym się stołku w tawernie „Pod kogutem” i pił. Pił tak długo, że nie czuł kwaśnego smaku ani odoru zwiertzałego piwa. Czuł się podle. Nie miał ochoty nawet na towarzystwo Stevara.

Wszystko przez tego młokosa.

Podniósł szklanicę do ust i pociągnął kolejny łyk.

Ta pogarda, litość, której nie potrafił ukryć... Niech to szlag trafi.

Rąbnął kuflem o stół i patrzył bezmyślnie, jak pienista ciecz spływa po stole.

Nie pamiętał, czy spotkał go wcześniej... w życiu, które prowadził, nim trafił do tego obmierzłego miasta.

Nieznajomy młodzieniec był jeźdźcem Równin. Nie miał więcej niż szesnaście, siedemnaście lat, ale mógł go pamiętać, rozpoznać i stąd wyraz politowania w jego oczach.

Wstrząsnął nim śmiech. Oto Calmin Fen, kandydat na wodza Jeźdźców, śniący o bohaterskich czynach, który skończył jako żołdak na kapłańskiej służbie. W poplamionym kaftanie z zerwanymi królewskimi odznakami, zastąpionymi równoramiennym krzyżem wpisanym w okrąg, z włosami ściętymi przy skórze, z oczami przekrwionymi od alkoholu.

Pociągnął kolejny łyk. Chciał stłumić uczucia, które ogarnęły go na widok pobratymca, nagłą tęsknotę za otwartą przestrzenią i swobodą, za rodziną.

Minęły cztery lata odkąd wyruszył z domu w poszukiwaniu drzewa broz. Cztery głupie lata, zmarnowane na placu musztry lub w oberżach takich jak ta.

Dopóki żył król, wydawało się, że jego służba ma sens. Ochrona orszaków czy karawan ze złotem, eskorta notabli, warty na zamku... Śmierć Emausa zmieniła wszystko. Najwyższy Kapłan zmniejszył liczebność armii i mężczyźni, którzy całe życie poświęcili żołnierskiej służbie, nagle stracili jedyne źródło utrzymania. Wracali do domów, w których nikt na nich nie czekał lub zostawali w mieście, okupując gospody, póki starczyło pieniędzy. Z sześciuset żołnierzy lońskiego garnizonu pozostało zaledwie dwie setki. Byli to młodzi ludzie z ostatniego zaciągu, niedoświadczeni i aroganccy. Ich życie stało się zbyt łatwe. Pozbawieni dowódców, którzy utrzymywali by dyscyplinę i morale, pili, łajdaczyli się i wszczynali awantury.

Cal jednakowo chciał zostać zwolniony, jak bał się tego. Widok młodego Jeźdźca uświadomił mu, że powrót na Równiny, do poprzedniego życia jest prawie niemożliwy. Przyjęliby go, tego był pewien. Ale czy on potrafiłby znieść litość i pogardę?

Podniósł się z trudem i chwiejnie podszedł do szerokiej lady. Kiedy wracał na miejsce z kolejnym kuflem, potknął się o wystawioną spod stołu nogę. Przewrócił się z łomotem, chlapiąc piwem wprost na siedzącego mężczyznę. Urągliwy rechot zamienił się w przekleństwo.

Zbierał się ze śliskiej od brudu podłogi, kiedy poczuł na ramieniu ciężką łapę. Gniew wzbierający od wielu dni, wzmocniony niezliczonymi kwartami piwa, znalazł wreszcie ujście. Wyprostował się i zadał cios w niewyraźnie majaczące przed nim oblicze. Nie słyszał chrzęstu złamanego nosa, łoskotu padającego ciała, nie czuł razów zadawanych przez kamratów poszkodowanego. Ogarnęła go furia.

Stevar skończył służbę i z ulgą opuścił zanikowe mury. Zajrzał na kwatery i nie znalazłszy



druha, ruszył do miasta. Kiedy przekroczył próg kolejnej gospody, ujrzał, jak ten roztrzaskuje stołek o głowę stojącego obok mężczyzny, a potem wali się na ziemię od ciosu kogoś innego. Niedźwiedź zręcznie uchylił się przed nadlatującym kubkiem i jął torować sobie drogę do miejsca, w którym przed chwilą ujrzał przyjaciela.

Cal już podźwignął się na kolana i okładał pięściami leżącego obok. Stevar dotarł do kłębowiska ciał, ujął swego towarzysza pod ramiona i oparł o stół. Calmin uśmiechnął się na jego widok.

– Chcesz się przyłączyć? – spytał, przekrzykując hałas.

– Lepiej wiejmy, zanim pojawi się straż miejska – huknął Stevar. Ramię w ramię, rozdając ciosy na prawo i lewo, wydostali się z gospody. Tam wpadli wprost w objęcia strażników.

Posadzono ich w celi podobnej tej, w której się poznali. Znajomy wartownik za parę miedziaków przyniósł im beczkę piwa. Czekala ich długa noc.

Ostre przedpołudniowe słońce odbijało się od kamiennych ścian i raziło zaczerwienione oczy Calmina. Mrużył je, starając się powstrzymać łzawienie. Głowa bolała go potężnie, pot spływał po ciele, rozbity nos spuchł, wyschnięte gardło paliło, a żołądek wywracał koźły. Przepięty pęcherz ledwie pozwalał ustać w miejscu bez nerwowego przebierania nogami.

Calmin Fen miał potężnego kaca. Najchętniej zaszyłby się w jakimś cichym, ciemnym miejscu i odespał nocne pijaństwo. Zamiast tego musiał sterczeć na placu pośród setki innych żołnierzy.

Stevar, który wyglądał i czuł się lepiej od Jeźdźca, został odesłany na reprezentacyjny posterunek przy koszarowej bramie. Dzięki temu uniknął oczekiwania na wizytę Najwyższego Kapłana Imeskarii, Protektora Zebona.

Czas dłużył się nieznośnie. Stojące w zenicie słońce grzało mocno. Z odkrytych głów strumieniami lał się pot, kaftany znaczyły ciemne plamy. Gotowi do przeglądu żołnierze nieznacznie przestępowali z nogi na nogę, chcąc ulżyć napiętym, obolałym mięśniom. Kiedy wreszcie protektor wkroczył na plac, niemal dało się słyszeć westchnienie ulgi.

Jedyną oznaką najwyższej władzy w królestwie był złoty łańcuch wyróżniający się na tle czarnej szaty Zebona. Jego łysa czaszka odbijała słoneczne promienie niemal tak samo intensywnie jak złoto na szyi. Najwyższy Kapłan przybył sam, bez towarzyszącej mu zwykle świty. Pośpiesznie przeszedł plac i zatrzymał się przed pierwszym szeregiem. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie odrazy, kiedy poczuł odór setki spoconych ciał.

Protektor nie zwrócił uwagi na prężącego się kapitana Arebusa. Mierząc pogardliwym spojrzeniem żołnierzy, przeszedł wzdłuż pierwszego szeregu, a potem niespodziewanie wkroczył pomiędzy następne rzędy. Inspekcja nie trwała długo.

– Ty, ty i ty pójdziecie ze mną – polecił trójce wojaków. Wskazani wystąpili z szeregów i pospieszili za znikającym w bramie kapłanem.

Cal szedł za Zebonem sztywnym krokiem, rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę. Kiedy protektor wskazał na niego, żołądek skręcił mu się w korkociąg, a w ustach poczuł smak żółci. Ledwo się opanował, żeby nie zwymiotować wprost pod nogi Jego Dostojności. Rzut oka na pozostałych dwóch wybranych pozbawił go złudzeń na temat dalszej wojskowej kariery. Brudni, nieogoleni, z zaczerwienionymi oczyma, na ciężkim kacu wyglądali jak żałosne karykatury żołnierzy.

Weszli do kancelarii kapitana Arebusa. Siedział tam pisarz w mnisim habicie. Kiedy ujrzał w drzwiach protektora, skłonił się głęboko.

– Patenty są gotowe, Wasza Dostojność – powiedział, wskazując na trzy karty opatrzone

pieczęciami.

– Wasze imiona – wyszeptał Zebon.

– Umer z Crystonu, Wasza eee... Dostojność – wyjąkał pośpiesznie stojący najbliżej.

– Pisz, skrybo – polecił Najwyższy Kapłan. Dłonie założył w rękawy obszernej szaty, jakby się bał, że przypadkiem dotknie stojących obok. Patrzył, jak mnich starannie wpisuje podane mu miano na kartkę i przesypuje piaskiem.

– Zostałeś mianowany kapitanem i dowódcą specjalnego oddziału wojsk, Umerze z Crystonu – powiedział.

Mnich wręczył patent osłupiałemu Umerowi. Zebon skinął na Jeźdźca.. Cal postąpił krok do przodu i wychrypiał:

– Calmin Fen z Równin Marth.

Najwyższy Kapłan podniósł wzrok i obrzucił go uważnym spojrzeniem. Patrzył na rozbity nos, niechlujne ubranie, zażawione oczy. Kąciki ust drgnęły mu w ironicznym uśmiechu.

– Jeździec Równin – mruknął prawie niesłyszalnie. – Dobrze, pisz, mój synu – zwrócił się do skryby.

Po chwili patent oficerski trafił do rak Calmina i trzeciego wybrańca, Wedy z Bresanii.

Wreszcie Zebon wysyczał:

– Każdy z was, panowie oficerowie, wybierze sobie oddział dziesięciu ludzi. Waszym zadaniem jest rozgromienie band rozbójników na Rubieżach. Wyruszacie jutro o świcie. Błogosławię wam w imieniu Boga o Wielu Obliczach i oczekuję, że stawicie się w świątyni na wieczornych modłach. Możecie odejść.

Kiedy wszyscy opuścili kancelarię, Cal skreślił za róg i nie zważając na przechodzących obok, z ulgą opróżnił pęcherz. Potem niedbale wsunął patent za pazuchę i ruszył w kierunku kantyny.

Stear, z niedowierzaniem wpatrywał się w papier opatrzony wielką pieczęcią.

– Przecie to się we łbie nie mieści... – mruczał, kręcąc głową. Calowi, po wypiciu kwaterki piwa, wrócił dobry humor. Szcherzącęby, odebrał Niedźwiedziowi patent, zwinął go starannie i schował.

– Czemu się dziwisz, żołnierzyku? Wreszcie ktoś się na nas poznał – zarechotał.

– Ciekawym jak? – burknął Stevar. – Nigdyś gorzej nie wyglądał. Myślałem, że to koniec...

– Ja też – roześmiał się szczerze Calmin. – Ja też.

– Co znaczy – oddział specjalny? Jeździec odchrząknął.

– Na Rubieżach będziemy walczyć z bandytami. Każdy ma sobie wybrać dziesięciu ludzi.

Pojedziesz ze mną, Niedźwiedziu?

Stear zachłysnął się piwem.

– Dziesięciu żołnierzy ma stanąć przeciw rozbójnikom z Rubieży? Rozum ci odjęło?

– Razem z nami będzie dwunastu. Ruszamy rano.

– Jutro rano – powtórzył tępo Niedźwiedź.

– Zamiast biadolić, pomyśl, kogo zabrać.

– Sam nie wiem, kto jest bardziej szalony – westchnął Stevar. – Protektor, który posyła nas na pewną śmierć, ty, boś się zgodził, czyja...

– Bo nie przepuścisz takiej okazji – dokończył Cal, robiąc do niego oko.

Niedźwiedź rąbnął go z rozmachem w plecy, aż z kubka chlusnęło piwo.

– Masz rację. Masz cholerną rację.

Późnym popołudniem kapitan Calmin Fen doszedł wreszcie do siebie. Wykąpał się, włożył

czysty mundur, udało mu się nawet utrzymać w żołądku parę łyżek stawy. Starannie ogolony, z wilgotnymi jeszcze włosami, przyłączył się do siedzącego w kantynie Stevara. Na widok wymuskanego przyjaciela, Niedźwiedź najpierw się skrzywił, a potem podniósł potężne cielsko z ławy i zasalutował z przesadą, waląc się w pierś z głuchym łomotem.

– Kapitanie, żołnierz Stevar melduje: czas, żebyście kapitanie sami ruszyli rzyć i zajęli się szukaniem sobie ludzi, Siedzący przy sąsiednich stołach parsknęli śmiechem. Calmin zmarszczył brwi, odsalutował z namaszczeniem i ryknął.

– Żarty się was trzymają? Siadajcie żołnierzu.

Niedźwiedź poczerwieniał i już chciał coś odpowiedzieć, kiedy Cal nie wytrzymał i roześmiał się głośno. Popchnął na ławę mamroczącego pod nosem Stevara i sam przysiadł obok.

– Jak ci idzie? – spytał poważnym już tonem.

– Jakoś idzie – mruknął olbrzym. Po czym zaczął wyliczać, odginając wielkie paluchy. – Brian i Dough, to dwóch, stary Halfen trzeci, Westor czwarty, Lovell piąty, Trevor i Spark szósty i siódmy, Jemis ósmy...

– Jemis? Nie znam.

– Z ostatniego naboru. Młody i bystry.

– Bystrość na nic mu się nie przyda, jeśli nie umie szyć z łuku albo machać mieczem.

– A kto powiedział, że nie umie? – nadał się Stevar. – Sam go uczyłem.

– Niech będzie – mruknął Cal. – Kto więcej? Niedźwiedź wyrecytował kolejne nazwiska.

– Darryla i Brenta przygadał już sobie Weda, a Yanona nie cha Reszta może być. Myślisz, że pójdą z nami? Na Rubieżach nie będzie łatwo...

– Nie dowiesz się, jak nie zapytasz – burknął Stevar.

– Słusznie żołnierzu. No, to poowstań! – wrzasnął, po czym szybko usunął się przed kopniakiem, którego wymierzył mu Stevar.

Wbrew obawom Cala, wszyscy kandydaci zgodzili się dołączyć do oddziału. Straszliwa monotonia służby dawała się we znaki każdemu a wyprawa do północnej prowincji, choć niebezpieczna, była jedna z niewielu okazji, by ją przerwać. Jeździec, patrząc na stojących przed nim w szeregu ludzi, miał ochotę zatrzeć ręce z radości.

– Wyruszamy jutro o świcie – odezwał się rażno. – Spakować zapasowe ubrania i żelazne porcje, wyczyścić broń, oporządzić konie. A dziś wieczorem spotkamy się wszyscy na wieczornych modłach w świątyni.

– Gdzie? – wyrwało się Sparkowi.

– W świątyni. Będziemy się modlić o pomyślność naszej wyprawy, zgodnie z wolą Jego Dostojności.

Poranny wymarsz trzech oddziałów obserwował marszałek Kattes. Na dziedzińcu panował chaos. Rozleniwieni długim pobytem w koszarach żołnierze ruszali się ospale, klnąc na chłód i zbyt wczesną porę, a dowódcy, wrzeszcząc i płosząc konie, wydawali żołnierzom sprzeczne rozkazy.

Stojący w oknie marszałek nerwowo przygryzł wąsa. Jasno pojął, że garstka młodzików dowodzona przez przypadkowo wybranych ludzi nie ma żadnych szans na podjęcie równorzędnej walki z bandytami. Rąbnął pięścią we framugę okienną, aż zadrżały szyby.

– Okpił mnie – warknął. – Ten pieprzony klecha mnie okpił.

Nowo mianowani kapitanowie jechali przodem, kłócąc się zawzięcie o wszystko. Jeszcze mury Loenu nie zniknęły z horyzontu, a Umer, Weda i Cal, wszyscy w zbrojach i hełmach

ozdobionych piórami, obrzucali się nawzajem wyzwiskami, nie bacząc na słuchających podkomendnych.

– Jakim gościńcem, barani łbie! – wrzeszczał kapitan Calmin Fen.

– Powinniśmy zboczyć i jechać cichaczem, bocznymi drogami! To jedyna szansa, że uda nam się ich zaskoczyć!

– Nie wymądrzaj się, gnoju! – ryczał Weda. – Nie ty mi będziesz rozkazywał! Nie będę trząsał się po wertepach, jak mogę jechać prostom drogom. Mamy walczyć z bandytami, a nie kryć się po krzakach.

Umer, który od świtu wzmacniał odwagę gorzałką, poparł Wedę.

– Na gościńcu też możemy walczyć – wybełkotał i dla podkreślenia wagi swoich słów uderzył się zwiniętą pięścią w pierś. Zapomniał, że dłoń okrywa mu żelazna rękawica, a on sam ma na sobie zbroję. Nieoczekiwany łomot spłoszył stado ptaków, które z głośnym trzepotem skrzydeł wyfrunęły z zarośli. Po szeregach przemknął śmiech.

– Cicho tam! – krzyknął ze złością Weda i chichoty umilkły.

– Gościńcem nadrobim drogi i możemy nocować po zajazdach. O żarcie nie trza się będzie martwić. Mam racje?

– No – czknął Umer.

– A czym będziesz płacić? – skrzywił się Cal. – Wyżywienie i nocleg dla trzydziestu chłopów i obrok dla koni... Chyba oszalałeś.

– Nie musisz z nami jechać. Nikt cię nie będzie trzymał za koszule. Jakaś taki mądry, to zabieraj tych łachmytów i jazda swojom drogom. Dobrze mówię, Umer?

– Jaasne. Nie podoba się, to spieprzaj, gówniarzu.

– Ja ci pokażę gówniarza – zdenerwował się Jeździec. Wyprzedził nieco Umera i złapał za uzdę jego wierzchowca. Wystraszony koń stanął dęba, a niezbyt pewnie siedzący w siodle Umer, zwałił się na ziemię z metalicznym brzękiem. Leżał, niezgrabnie poruszając rękami, niezdolny podnieść się samodzielnie.

Weda jednoznacznym gestem położył rękę na rękojeści miecza. Żołnierze znów gruchnęli niepowstrzymanym śmiechem, ale dostrzegłszy ruch Wedy ucichli w oczekiwaniu na nową rozrywkę.

Cal rozejrzał się niepewny: ciągnąć zwadę czy przełknąć obrazę. Wtedy dostrzegł Stevara. Przewyższający innych o głowę Niedźwiedź patrzył na niego z wyrzutem.

– Mamy walczyć z bandytami, nie między sobą – burknął w stronę Wedy. – A kto jest większym łachmytą, okaże się przy pierwszym starciu. Ale w jednym macie rację. Mój oddział nie musi jechać z waszymi. Przy pierwszych rozstajach rozdzielimy się.

Weda popatrzył na niego spode łba, lecz zdjął rękę z miecza. – I dobrze – mruknął nieprzyjaźnie. – Hej, wy tam, pomóżcie mu wstać i ruszajmy wreszcie.

Po chwili kolumna podjęła powolny pochód.

Tereny położone wokół Loenu były gęsto zaludnione. Wsie, pola i pastwiska nie sprzyjały dyskretnemu oddzieleniu się drużyny Cala, tak więc dwa dni wszyscy jechali gościńcem.

Po pierwszym noclegu w zajęździe Calmin utwierdził się w przekonaniu, że na Rubieże powinien zdążać po cichu i bocznymi drogami. Żołnierze mając pełne mieszki, nie skąpili sobie jedzenia, napitku ani rozrywki. Piwo i gorzałka lały się strumieniami, misy dymiły od obfitych porcji zup i mięs, kości do gry grzechotały w kubkach. Rankiem zajazd wyglądał jak pobojowisko, a wymarsz nastąpił koło południa przy akompaniamencie jęków i przekleństw na podły żołnierski los.

Calmin wysłał przodem Stevara, który miał mocny łeb i niepijącego Jemisa w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by niepostrzeżenie oddzielić się od reszty lub choćby zatrzymać na noc. Kiedy dwaj zwiadowcy wrócili, było już późne popołudnie, a ludzie ledwie trzymali się na końskich grzbietach. Wszystkich dręczyło pragnienie, bo rankiem mało kto pamiętał o napełnieniu bukłaków.

– To jakieś pięć mil stąd – meldował Jemis. – Trzeba wjechać w las ścieżką, a niedaleko jest polana i źródło.

– Ludzi mało, ale Loen jeszcze blisko. Powinno być bezpiecznie – włączył się Stevar.

Cal skinął głową.

– Dobrze, tam się zatrzymamy. Jemis, weź Briana i Dougha, jedźcie przodem i upolujcie coś, póki widno. – Powiódł wzrokiem po skacowanym oddziale i westchnął. – Reszta dołączy później, Stevar pokaże drogę.

– Tak jest, kapitanie – rozjaśnił się chłopak.

Trójka jeźdźców ruszyła przodem. Stevar popatrzył spod oka na Cala.

– Żeby nie strzemiona – to byś odfrunął – mruknął ironicznie.

– Co? Dlaczego? – Błogi uśmiech zniknął z twarzy Fena.

– Bo ci kapitańskie skrzydełka wyrosły na plecach – zarechotał Niedźwiedź.

Rozstanie dowódców było krótkie. Weda sarknęła: „A idź w cholere”, a Umer splunął ostentacyjnie.

Cal bez słowa zawrócił konia i podążył za swymi ludźmi w las.

Po kilku dniach podróż stała się rutyną; dwóch zwiadowców, dwóch myśliwych, reszta oddziału posuwała się zwartą grupą. Ciągłe unikali osad, wybierając mało uczęszczane drogi albo leśne ścieżki. Czasem zwiadowcy wypuszczali się do wiosek, by wypytać wieśniaków, ale w okolicach, przez które przejeżdżali panował spokój.

Żołnierze, którzy od miesiący nudzili się w koszarach, teraz z upodobaniem polowali i chodzili na zwiady. Cal nie potrzebował już alkoholu, żeby bronić się przed złymi myślami. Czując akceptację podkomendnych, szybko przywykł do swojej roli. Nie puszył się, nie wywyższał, odzyskał humor i werwę, a tunikę z haftowanymi kapitańskimi skrzydłami schował głęboko.

Na pierwsze ślady bandyckiej watahy natknęli się piętnastego dnia swojej podróży.

Wioska była mała, zaledwie parę chałup zbudowanych na skraju lasu. Obejścia spłonęły doszczętnie. Pomiędzy resztkami sprzętów leżały trupy w zaawansowanym stanie rozkładu. Ścierwojady nie próżnowały, ale można było dostrzec, że wieśniacy próbowali się bronić. Odrąbane od tułowiów dłonie wciąż ścisnęły widły, na zmasakrowanych twarzach zastygł wyraz strachu, ale i zaciętości. Stevar znalazł ciało kilkuletniej dziewczynki. Pozycja w jakiej leżała i strzępy sukienki jasno świadczyły, co przeszła, zanim umarła. Pochowali ją razem z innymi w płytkim grobie wykopanym nożami i gołymi rękami. Nic więcej poza modlitwą nie mogli ofiarować zmarłym, więc modlili się szczerze i żarliwie do Bengh – Oblicza Śmierci o spokój dla zmarłych i do Sot – Oblicza Sprawiedliwości, żeby dane im było dokonać zemsty.

Jemis, który urodził się we wsi takiej jak ta, był wstrząśnięty bardziej niż inni. Nie brał udziału w pośpiesznym pochówku, lecz kręcił się wokół osady. To on wypatrzył ślady prowadzące w las. Żołnierze pojechali za nimi ponurzy, zacięci, z obrazem zbezczeszczonych ciał pod powiekami i odorem śmierci w nozdrzach.

Puszcza była spokojna i cicha. Liście szemrały łagodnie, kojąco, powietrze stało parne i ciężkie, przesycone zapachem sosen. Zaczynało już zmierzchać, cienie na ścieżce wydłużały

się coraz bardziej, pomiędzy drzewami czaił sięmrok. Ten spokój uspił ich czujność, omamił. Nim dwaj zwiadowcy, Jemis i Westor, widząc świeżo zwalone drzewo, zdążyli dać sygnał do odwrotu, w ich piersiach utkwily strzały. Z konarów zeskoczyli napastnicy, zwalając z koni kilku jeźdźców. Inna grupa odcięła odwrot. Na wąskiej ścieżce zapanował chaos. Spłoszone wierzchowce rżały i stawały dęba, krzyki umierających mieszały się ze świstem oręza i świergotem spłoszonych ptaków.

Bandyci zdobyli początkowo znaczącą przewagę. Jednak nienawiść, którą czuli żołnierze, dodała im sił, przełamała strach. Rozgorzała zacięta walka. Jeźdźcy razili przeciwników z góry, waląc mieczami po nieosłoniętych łbach. Oszołomionych uderzeniami dobijali ci, którzy spadli z koni. Stevar, zaprawiony w tłocznych, karczemnych burdach, miał spustoszenie niczym wcielenie Oblicza Śmierci. Zanim słońce całkiem zaszło za horyzont, było po wszystkim. Oddział Fena stracił czterech ludzi, zabijając trzynastu bandytów.

Żołnierze wciągnęli trupy w zarośla i wycofali się ścieżką, która ich przywiodła. Znaleźli schronienie na polanie osłoniętej krzakami jałowca. Podniecenie walką opadło, coraz więcej słyhać było jęków i westchnień. Monotonny szelest liści zakłóciły krople deszczu wpierv ledwo mżącego, potem coraz gwałtowniejszego.

Cal, wsparty o ciepłe plecy Stevara, wciąż na nowo przeżywał walkę. Widział skręcające się w agonii ciało Jemisa i twarz swego przeciwnika wykrzywioną w śmiertelnym grymasie, czuł mdlący zapach bluzgającej krwi... I gniew, gniew na siebie, że poprowadził ludzi wprost w pułapkę.

Stevar poruszył się i odwrócił do Calmina.

– Co teraz? – zagadnął.

– Nie wiem – odpowiedział bezradnie Cal.

Niedźwiedź pochylił się nad nim i cicho, ale stanowczo upomniał. – Jesteś dowódcą. Musisz coś postanowić, i to szybko. Fen spojrzał na niego ze złością.

– Nie pieprz, Stevar, nie jesteś moją niańką. Wiem, że jestem dowódcą, to przeze mnie zginął Jemis i inni. Może następny będziesz ty...

Odetchnął głęboko, wreszcie wstał, otarł twarz rękawem, rozmazując na twarzy krew sączącą się z rany na czole i zawołał:

– Chodźcie tu wszyscy.

Kiedy się zebrali, skrzywił usta w grymasie mającym imitować uśmiech.

– Trzeba znaleźć miejsce, gdzie można będzie odpocząć, opatrzyć rany i przeczekać ten cholerny deszcz. Wezmę trzech ludzi i pójdziemy się rozejrzeć. Ci, którzy zostaną, niech wybudują szałas i opatrzą rannych. Jeśli nie wrócimy do jutrzejszego południa, wycofajcie się i spróbujcie połączyć z oddziałami Wedy i Umera albo wracajcie do Loenu.

Żołnierze milcząco pokiwali głowami.

– Stevar, zostajesz i dowodzisz. Braciszku i ty, Lovell, idziecie ze mną.

Czwórka ludzi zagłębiła się w lesie. Niedźwiedź, zgrzytając zębami ze złości, zaczął rozglądać się za gałęziami na szałas.

Miejsce potyczki, pogrążone w ciemnościach i skąpane w deszczu, rozpoznali po połamanych zaroślach. Ślady krwi były tylko ciemniejszymi plamami na zgniecionej trawie. Cal zauważył wystający spod krzaka but dopiero, kiedy się o niego potknął. Wepchnął go głębiej, zastanawiając się, czy należy do wrogów czy do jego człowieka.

Obeszli zwalone drzewo i ruszyli obok ścieżki. Wilczy dół wypatrzyli, bo przykryty niedbale środek zapadł się pod wpływem ulewnego deszczu. Ominęli go i choć teraz posuwali

się jeszcze ostrożniej, to po paru krokach Lovell potknął się o wystający korzeń i zaplątał w sieć, która spadła na niego z góry. Gdzieś niedaleko zabrzęczały dzwonki, jakie przywiązuje się bydłu na pastwiskach. Chłopak kwiknął ze strachu, z wytrzeszczonymi oczyma i otwartymi ustami wyglądał jak wyrzucona na brzeg ryba. Na pośpieszny znak Cala Brian i Dough przycupnęli w krzakach. Oczekiwanie nie trwało długo.

Czworo ludzi wyłoniło się spomiędzy drzew niczym duchy. Jeden tak blisko Fena, że ten mógłby go połaskotać po łydce. Na widok uwięzionego Lovella zarechotali złowieszczo.

– Co za ptaszek nam się trafił, jak myślisz, Eff?

– To nie ptak, ino wystraszony królik!

Jeden z bandytów wyjął nóż i ukłuł znieruchomiącego w sieci chłopaka.

– Gdzie twoi kolesie? Gadaj, gnido!

Trzech ludzi ukrytych w zaroślach zamarło wstrzymując oddech.

– Sam jezdem – wydusił Lovell. – U... uciekłem. Ja nie chce umierać! – wrzasnął desperacko.

– Zamknij się, gnoju. Jeszcze nam kogo na kark sprowadzisz – sarknął bandyta. – Zabieramy go.

Zbóje odcięli linę, na której wisiała sieć. Wzięli oplatanego Lovella i stękając z wysiłku, ruszyli w ciemność. Cal, Brian i Dough najciszej jak potrafili, podążyli za nimi.

Bandyci przystanęli pod roslym drzewem niedaleko pułapki z siecią. W odpowiedzi na ciche gwizdnięcie spomiędzy konarów wysunęła się drabina. Wtaszczono ciągle jęczącego Lovella na górę i drabina zniknęła. Calmin i bracia pozostali w krzakach.

– Co teraz? – zaszemrał Brian. – Sprowadzić tamtych?

– Nie ma czasu, Lovell długo nie wytrzyma – odszepnął Cal.

– Widzisz to drzewo obok? Wejdz na nie i rozejrzyj się. Tylko ostrożnie, pewnie mają na górze czujkę.

Brian skinął głową i zanurkował w krzaki. Po chwili zawrócił.

– Uważajcie – ostrzegł. – Dookoła porozciągali sznurki z brzękadłami.

Skinęli głowami na znak, że zrozumieli i patrzyli, jak Brian oddala się ponownie, tym razem ostrożniej, z nosem w trawie. Wstrzymali oddechy, spotniałe dłonie zacisnęli na rękojeściach, mięśnie zdrętwiały im od bezruchu. Dough złożył usta, jakby chciał zagwizdać i pohamował się w ostatniej chwili. Cichy szelest za plecami sprawił, że zerwali się na równe nogi.

– To ja – zabrzmiał ledwo słyszalny szept Briana. – Tam jest zejście z drugiej strony. Chodźcie szybko, bo zauważą, że strażnik zniknął. I uważajcie na brzękadła.

Szli, bacznie wypatrując linek wśród traw. Zatoczyli krąg wokół polany i trafili na gruby konar sięgający ziemi. Wdrapali się po nim wprost na małą platformę.

– To punkt obserwacyjny. Można stąd zejść do chaty przez dziurę w dachu.

– Zaglądałeś do środka? Widziałeś Lovella?

– Słysząc jak jęczy, więc żyje.

– Ilu ich jest? – indagował Cal.

– Niewielu. Pięciu, sześciu. Jakbyśmy wpadli zniemacka...

– Mam lepszy pomysł. Chodźcie.

Zeszli z góry tą samą drogą i, wysłuchawszy Calmina, zaczęli rwać mokrą trawę. Spory kłęb owinęli koszulą Dougha. On sam wrócił potem na górę, skrzesał ognia, podpalił pakunek i wrzucił do środka. Brian i Cal zasadzili się przy dolnym wejściu. Potyczka nie trwała długo.

Zaskoczeni bandyci wyskoczyli z zadymionej chaty wprost pod miecze czekających żołnierzy. Walka bardziej przypominała egzekucję. Zakończyła się ostatecznie, kiedy z góry opadła drabina i zlął po niej krztuszący się od dymu, wysmarowany ziemią i trawą Lovell.

– Pewny byłem, że mnie na zatracanie nie zostawicie – jękał, ocierając łzy. – Kiedy ta ognista kula spadła, od razu wiedziałem, że to wy. Jakby nie sieć, to bym pomógł. I kopnąć jednego zdążyłem...

Cal szarpnął go za ramię.

– Nie mówili, ilu ich było?

– Gadali, że kamraci długo nie wracają, bo muszą się rozprawić z łachmytami, co się po lesie płaczą. Znaczą się z nami, nie? Ale czy ich więcej było, nie wiem – zakończył szybko, widząc groźny błysk w oku kapitana.

– Po nocy łaźać nie będziemy – zdecydował Cal. – Dough, jak tam jest? Przewietrzyło się?

– Można wejść. Sami zobaczycie.

Wspięli się po drabinie do wnętrza chaty. Obszerna izba pomieścić mogła i dwudziestu ludzi. Wszędzie poniewierała się częściowo spalona trawa, trochę śmierdziało dymem, a trochę pleśnią. Pod ścianami leżały worki z ziarnem, u sufitu zawieszono połcie słoniny. Nie brakowało beczułki z gorzałką i drugiej z piwem.

– Ja i Brian bierzemy pierwszą wartę. Wy idźcie spać – zarządził Cal, kiedy zaspokoili głód.

Brian pilnował dziury w podłodze, Calmin wdrapał się na platformę. Do świtu pozostało niewiele czasu. Deszcz ciągle padał i jego monotony szmer był jedynym dźwiękiem, jaki słyszał Jeździec. Siedział w ciemnościach i czuł, jak powoli opada napięcie ostatnich godzin. Bolały go mięśnie, dokuczały drobne rany i otarcia. Nocny chłód sprawił, że dygotał z zimna, a krew z rozciętego czoła mieszała się z kroplami dżdżu i zalewała oczy. Cieszył się z tej chwili samotności i odosobnienia. Mógł wreszcie odzyskać równowagę, przeczekać drżenie rąk, pokonać strach, który pojawił się dopiero teraz.

O świcie Dough wyruszył po resztę grupy. Zimna, mokra noc spędzona w krzakach pozwoliła im docenić wygodę zbójckiej siedziby. Najedli się, rozgrzali gorzałką, opatrzyli rany i pokładli na podłodze owinięci płaszczami. Musieli odpocząć.

Prócz wartowników tylko Lovell nie spał i z zapalem myszkował po okolicy. To on odnalazł stłoczone w niewielkiej zagrodzie konie, a potem zbójcki skarbiec w dziupli drzewa. Ten jednak był zadziwiająco ubogi. Ledwo para bransolet ze srebra, ozdobiona turkusami, jeden złoty pierścień z zatartym napisem i parę monet.

Monety i zdobyczną broń podzielono pomiędzy wszystkich. Dwie bransolety i pierścień poddano losowaniu. Lovellowi przypadł pierścień, który założył na brudny palec i coraz to podnosił do oczu, żeby nacieszyć się jego blaskiem, a bransolety Brianowi i Calminowi. Kiedy następnego poranka wyruszali w drogę, byli wypoczęci, nieco bogatsi i lepiej uzbrojeni, a sukces pierwszego starcia był dla wszystkich oczywisty. Potyczka wydawała się teraz poważną bitwą, a wyczyny w walce nosiły znamiona bohaterstwa.

Pośród ogólnego entuzjazmu tylko Cal jechał ponury i zacięty. Kiedy się wyspał i odpoczął, mógł wreszcie trzeźwo ocenić wydarzenia. Uświadomił sobie, że zwycięstwo w walce zawdzięczali szczęściu i sprzyjającym warunkom, a nie umiejętnościom i wyszkoleniu. Wpadli przecież w pułapkę, niczego nie podejrzewając, póki się nie zamknęła. Nie pozostawili przy życiu żadnego z bandytów i dalej musieli błądzić po omacku w poszukiwaniach. Zamiast zawrócić po swoich śladach aż do wioski i podjąć wędrówkę w



innym miejscu, jechali ciągle bandyckim gościńcem. Dlatego czym prędzej nakazał porzucić ścieżkę i przedostać się na trakt wiodący do Mulacium, siedziby gubernatora Rubieży.

Powrót na gościniec nie był prosty. Las rósł gęsto i nie sprzyjał konnym manewrom, a po deszczu poszycie było grzaskie i zdradliwe. Po trzech dniach oddział ciągle bardziej posuwał się na północ niż na wschód, ku drodze.

Kolejny dzień zbliżał się do zmierzchu, kiedy ze zwiadu wrócili Dough i Brian. Bracia przywieźli ze sobą dwójkę dzieci o wielkich, przerażonych oczach. Siedziały sztywno trzymając się lęku, widać nie nawykłe do jazdy konno. Na widok gromady mężczyzn skuliły się wystraszone.

– Gości wiedziemy – zaśmiał się Dough. – Te małe kryły się w krzakach jak dwa zające.

– Dziewczyny? – zdumiał się Stevar. – Co one w taką ćmę same w lesie robią? Zgubiłyście się? – zwrócił się wprost do dziewczynek.

Ta, którą trzymał Brian, pokręciła głową na nie, siedząca z Doughiem pokiwała, że tak. Calmin okazał się bystrzejszy i zadał właściwe pytanie.

– Boicie się nas?

Tym razem ruch małych główek był zgodny. Jeździec uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni. Wyjął garść lepkich, suszonych owoców i wcisnął do drobnych rączek.

– Jesteśmy żołnierzami Królewskiej Armii Imeskarii – powiedział poważnie. – Nie zrobimy wam krzywdy. Znajdziemy wasz dom..

Dzieci rozplakały się żałośnie.

– Tatko nas wygnał do łasa – szlochały. – Nie możemy wrócić. Żołnierze popatrzyli na siebie zadziwieni, a bracia opiekuńczo zacisnęli ramiona wokół drżących ciał. Obowiązek chronienia dzieci mieli zakodowany równie mocno, jak troskę o własne życie. W smoczej wojnie zginęła prawie połowa ludności zamieszkującej Imeskarię. Dwieście lat potem olbrzymie połacie kraju ciągle leżały odłogiem. Dzieci stanowiły o przetrwaniu narodu; grzmieni o tym kapłani w świątyniach, przypominali gubernatorzy i właściciele ziemscy. Nieważne, czy dziecko urodziło się w związku małżeńskim, czy poza nim, samo w sobie stanowiło wartość bezcenną.

Cal zdjął rękawicę i pogłaskał rozwichrzone czupryny.

– Dlaczego? – spytał łagodnie. – Byłyście niegrzeczne? A może żartował?

– Byli my na jeziorze – chlipnęła jedna. – Tatko ryby brał, a my cicho siedziały i patrzyły...

– A potem do wsi ktoś przyjechał i wrócili my do brzegu.

– Szli my wedle bagna, bo tam jest wendzarnia... I znów rozsłochały się rozpaczliwie.

Tym razem Stevar wygrzebał z sakwy garść orzechów i podał dziewczynkom. Nie zjadły, ale uspokoiły się trochę.

– Tatko kazywał nam iść do łasa i nie wracać.

– I okropnie krzyczał, żeby my już szły.

– To my uciekły ścieżką przez bagno...

– Bo z matulą tamój po chrust chodzimy...

– I zara zrobiło się ciemno.

Brian i Dough, którzy bez skrupułów podrzynali bandyckie gardła, teraz łagodnie kołysali dzieci w ramionach. Małe wtuliły zasmarkane noski w żołnierskie kaftany. Cal zastanawiał się chwilę.

– A ci ludzie, którzy przyjechali – spytał wreszcie – wiecie, kto to?

– Ni – wyszeptała ta, którą trzymał Dough. – Tatko widział.

– I zara zaczął na nas krzyczeć – uzupełniła druga.

– Traficie stąd do domu?

Tym razem zgodnie pokręciły głowami.

– Byliście nad jeziorem? Daleko to stąd? – spytał Fen Briana, przerywając strojenie pociesznych min do skrzywionych buzi.

– Parę kroków, za tymi drzewami.

– Dobrze. Spróbujemy znaleźć wioskę. Prowadźcie, braciszku.

Droga nad jezioro nie zajęła im wiele czasu. W spokojnej toni odbijała się luna. Usytuowana na przeciwległym brzegu wieś płonęła, a po wodzie niesło się echo dalekich krzyków.

– Nie podoba mi się to... Weźcie broń, a konie spętajcie i zostawcie tutaj – polecił Cal. – Dalej pójdziemy pieszo.

Obudzono przysypiające w ramionach Briana i Dougha dzieci.

– Tu je ścieżka – szepnęła jedna. – Całe jezioro można obejść, ale to daleko.

– A bagna gdzie?

– Tamój.

– Znacie przejście?

Małe główki energicznie potaknęły.

– Więc chodźmy.

Niewidoczni na tle lasu, weszli na grzędawisko uzbrojeni w długie gałęzie. Prowadziły dzieci. Przepasano je mocnymi żołnierskimi pasami, których końce trzymali Brian i Dough. Reszta badała grunt kijami.

W ciemności zdenerwowane dziewczynki dwukrotnie pomyliły drogę. Coraz to któryś z wojaków zbaczał na krok z prawie niewidocznej ścieżynki i zapadał się w błoto. Kiedy wreszcie przebrnęli przez bagno, przyczaili się pomiędzy wysokimi łodygami tataraku.

– Brian, ty zostajesz i pilnujesz dzieci. My idziemy po cichu. Nim się pokażemy, trzeba, sprawdzić, co się dzieje – rozkazał Calmin.

Kryjąc się w cieniu, podeszli do wsi. Pomiędzy płonącymi chałupami widać było biegające w panice kobiety i ścigających je drabów. Piskliwe zawodzenia mieszały się z ochrypłym śmiechem i przytłumionymi wrzaskami dobiegającymi od strony największego domostwa, na którym płonęła strzecha.

Zbójcka wataha wydawała się pewna swego bezpieczeństwa. Nigdzie nie widać było rozstawionych wart. Żołnierze, unikając oświetlonych przez płomienie miejsc, przekradli się pomiędzy chatami i otoczyli wieś.

Pierwszego bandytę zabił Halfen, wsadzając mu pod żebra swój krótki miecz, kiedy zbój wychynął niespodziewanie zza rogu domostwa. Trevor i Spark załatwili dwóch, którzy plądrowali wewnątrz innej chałupy. Calmin bez skrupułów poderznął gardło zbira gwałcącego wyrywającą się kobietę.

– Jestem żołnierzem – wyszeptał jej wprost do ucha. – Moi ludzie są we wsi. Wiesz, ilu tych bandytów?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– A gdzie wasi mężczyźni? Żyją?

– Zamkli ich u wójta. O tamój... – wskazała chatę, z której coraz głośniejszy słychać było krzyki.

Pogładził ją po mokrym od łez policzku, a w ręce wsadził sztylet. Potem, przemykając

pomiędzy domostwami, odnalazł Stevara i Lovella.

– Trzeba uwolnić mężczyzn, inaczej spalą się żywcem. I więcej nas będzie. Chodźcie – polecił.

W chwili, kiedy Niedźwiedź i Lovell otwierali podpartą belką drzwi, wrogowie odkryli ich obecność. Rozgorzała walka, która szybko przerodziła się w rzeź. Rozwścieczeni rybacy rzucili się na grabieżców z gołymi rękami. Reszty dopełnili żołnierze. O świcie wieś usłana była trupami bandytów. Zginęło też paru rybaków, trzy kobiety i dziecko. Oddział Cala tym razem nie poniósł żadnych strat.

Dwóch rannych zbójów ledwo ocalono przed ukamienowaniem. Doprowadzono ich pod eskortą przed oblicze kapitana. Zbryzgany krwią, z potarganymi włosami, z zaciętą miną Calmin Fen wyglądał jak wcielenie Bengh – Oblicza Zemsty. Obok miał Sparka, Trevora i Stevara brudnych od sadzy i przesiąkniętych zapachem dymu, bo jeszcze przed chwilą pomagali gasić płonące chaty.

– Czeka was śmierć szybka, łatwa albo... – zawiesił głos i wskazał stojących w pobliżu rybaków – oni wymierzą wam sprawiedliwość.

Kmiecie zaszemrali złowieszczo i przybliżyli do więźniów.

– Czego chcesz? – wymamrotał jeden ze zbójów.

– Ilu was było?

– Dwunastu.

Calmin wezwał gestem Lovella.

– Policz trupy – nakazał mu.

Chłopak się skrzywił, ale oddalił posłusznie.

– Byliście sami czy jesteście częścią większej grupy?

Bandyci spojrzeli po sobie i zacisnęli usta. Na znak kapitana rybacy przysunęli się bliżej.

– Wiemy nas, ino my się rozdzielili. Tamci pojechali ku traktowi, bo pono żołnierzy na nas nasłali. Dalen rozglądać się chciał, czy siła ich – zaskomlał jeden.

– Ilu pojechało?

– Ze dwie dziesiątki chłopca.

– Dawno?

– Będzie dwa dni przed kwadrą, panie. Cal szybko policzył w myśli.

– Daleko stąd do Traktu Zgody? – zwrócił się do rybaków.

– Piechta długo trza iść, panie. My tam nie chodzimy. My z rybami na targ bliży Mulacium jeździmy.

Kapitan nachylił się do Stevara i zagadał coś szeptem. Niedźwiedź złapał jednego z bandytów, szarpnął za kudły i pociągnął za sobą w cień.

– My prawdę gadali, panie – wybełkotał drugi, trzęsąc się ze strachu i patrząc na Cala błagalnym wzrokiem. – Ino prawdę...

– Gdzie wasza kryjówka?

– W lesie, wedle gościńca do Mulacium. My karawany łupim. Tam blisko.

– Został tam kto?

– Ni, my wszytcy tu przyjechali. Żarcie nam się skończyło.

– Dlaczego nie zostawiliście nikogo na straży?

– Bo tam i trafić trudno i żadyn zostać nie chcioł. Nudno samemu w lesie siedzieć.

Calmin wymamrotał coś do siebie bezgłośnie i wszedł pomiędzy rybaków.

– Weźcie go, zwiążcie i pilnujcie dobrze. Nie zabijajcie, tylko pilnujcie – rozkazał

szeptem.

– Jakże to, panie – oburzył się ktoś. – Oni nasze kobiety pohańbili, dzieci pomordowali, a my ich żywych puścić mamy?

– Chcecie, żeby ich kamraci przyjechali się mścić? – spytał ostro Cal. – Trzeba znaleźć resztę tej bandy i wybić do ostatniego. Ci dwaj drogę pokażą i dlatego macie ich pilnować i przy życiu utrzymać. Rozumiecie?

Rybacy niechętnie pokiwali głowami.

– Zabierajcie to ścierwo – rozkazał głośno. Wieśniacy otoczyli zbója.

– Panie – wrzasnął bandyta – ja prawdę powiedział! Nie oddawajcie mnie tym kmiotom! Panie...

Ktoś zatkał mu gębę, ktoś inny wykręcił ręce. Kapitan skinął na Trevora.

– Tych dwóch mają trzymać oddzielnie. Idź i pilnuj, żeby rybacy im łbów nie poukręcali. Mają żyć – powiedział cicho.

Niedźwiedź i Lovell wrócili prawie równocześnie.

– Dziesięć trupów i tych dwu tutaj. Razem dwunastu – zameldował Lovell.

– W lesie, blisko gościńca do Mulacium – powiedział Stevar.

– Dobra – ucieszył się Cal. – Mówili prawdę. Rozstaw warty i niech ktoś skoczy po Briana i dzieci. Zostajemy tu do jutra.

Myra i Lea, znalezione w lesie dziewczynki, zostały bohaterkami. Mieszkańcy wioski z rozdziawionymi gębami słuchali opowieści, jak sprowadziły nieoczekiwaną pomoc. Ojciec, zaczerwieniony pod surowym spojrzeniem braci, tłumaczył:

– Toć lepi, żeby je wilcy zjedli, niżli w łapy tych rozbójników poszły. Serce mi pękało kiej w łozy skoczyły, ale na szczęście się to dla wszystkich obróciło. Jakby to w mieście było, to może by i nagrodę jaką dostały. Powiadają, że gubernator Mulacium złotem za głowy zbójów płaci.

– Pewnie, że nagroda im się należy – wtrącił się stojący opodal Cal. Wyciągnął z kieszeni zdobyczną bransoletę i podał Myrze. Brian wcisnął Lei drugą, podobną.

Przez cały następny dzień żołnierze pomagali uporządkować wioskę. Sprzątnięto pogorzelnisko, a trupy bandytów po obszukaniu i zdarcie co lepszej odzieży, utopiono w bagnie. Sprowadzono też pozostawione w lesie konie. Wieczorem zmęczeni, ale wdzięczni rybacy wyprawili ucztę. Nie skąpili ryb ani piwa. Ktoś przygrywał na jękliwych skrzypkach, ktoś inny na fujarce. Niezameżne kobiety otaczały żołnierzy, chichotały i uśmiechały się zachęcająco. Pośród tej ogólnej wesołości tylko Cal wydawał się chmurny. Siedział na uboczu razem ze Stevarem, Brianem i Doughiem i usiłował obmyślić plan działania.

– Gdybyśmy wyjechali naprzeciw, może udałoby się wciągnąć ich w pułapkę – myślał głośno.

– Na nic – wtrącił się Dough. – Musielibyśmy wiedzieć, którędy będą wracać. Chyba, że te łachmyty wiedzą.

– Dwudziestu przeciwko ośmiu... – mruknął Stevar. – W polu im nie zdzierzymy.

– Może poszukać Wedy i Umera. Razem dalibyśmy radę – zasugerował Brian.

Cal pokręcił głową.

– Są za daleko. Tamci wrócą, zorientują się, że nie ma reszty i przeniosą się gdzie indziej. Zresztą z Wedą i Umerem nie rozstaliśmy się w zgodzie. Wątpię, czy poszliby z nami. I kto by dowodził...

– Tu cię boli – zarechotał Stevar. – Boisz się o kapitańskie skrzydełka?

- Głupiś, Niedźwiedziu – prychnął ze złością Calmin.
- Nie unoś się wodzu. Nikt z nas nie poszedłby pod komendę Wedy czy Umera – łagodził Dough. – I masz rację, oni są za daleko.
- No to inaczej. Znajdźmy tę kryjówkę i obejrzyjmy ją. Może nie zdążyli jeszcze wrócić, przecież do traktu jest kawał drogi. Tam moglibyśmy urządzić zasadzkę.
- Oby lepszą niż ta, w którą sami wpadliśmy – burknął Stevar.
- I trochę nas mało do takiej roboty. Czterech zginęło, reszta ranna.
- Poprosimy o pomoc rybaków – zdecydował Cal. – Chcą się mścić, będą mieli okazję. Zawołajcie wójta.

Wójt, wysoki pleczysty chłop o rozczochranych włosach, zgodził się chętnie, a spośród ochotników Cal wybrał dziewięciu samotnych mężczyzn, młodych i krzepkich. Przydzielił im zdobyczną broń i konie.

Przerwana na chwilę zabawa rozkręciła się na nowo. Stevar szturchnął ciągle poważnego druha pod żebra.

– Tą ponurą gębą dzieciaki straszysz. Przecie rozbiliśmy dwie bandy prawie bez strat, ludzie garną się do pomocy. Mamy co jeść i pić, dziewczuchy palą się do ciebie, a ty się martwisz.

– Daj spokój, nie w głowie mi dziewczyny – burknął Calmin. – Idę spać. Dopilnuj, żeby o północy zmienili strażę. Ruszamy skoro świt.

– Jemu to może niepotrzebne, ale ja chętnie poznam te sikorki.

– Stevar wyszczerzył zęby do kręcących się w pobliżu kobiet, a potem spojrzał na Briana i Dougha. – Co wy na to?

Bracia zarechotali w odpowiedzi.

Mimo zmęczenia Cal nie mógł zasnąć. Nie było prawdą, co powiedział Stevarowi o dziewczynach. Żadnej nie przyjrzał się uważnie, ale podświadomie łowił uśmiechy, nasłuchiwał szczebiotu głosów, szelestu spódnic. Od rozstania z Albaną upłynęły blisko cztery lata, lata, które spędził samotnie, ciągle mając w pamięci małżeńską przysięgę. Lecz w miarę upływu czasu wspomnienia o rudowłosej czarownicy blakły, zacierały się. On sam nie był już chłopcem, ale prawie dwudziestoletnim mężczyzną i coraz trudniej było mu ignorować potrzeby ciała, dotrzymać ślubów, które złożył Albanie. Dlatego, kiedy do chałupy, w której odpoczywał, wsunęła się drobna postać i przyklękła obok posłania, przygarnął ją do siebie, spragniony bliskości. Spełnienie przyniosło mu ulgę, pozwoliło na chwilę zapomnieć o troskach. Wdzięczny był nieznajomej, że odeszła równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła, nie zdradzając nawet swego imienia. To uczyniło miłosny akt czymś bezosobowym, nierzeczywistym jak sen i przytłumiło wyrzuty sumienia.

Świttem ruszyli w drogę. Zbójcka kryjówka, oddalona o dwa dni drogi od wioski, była pusta. Calmin w duchu dziękował za bezmyślność zbirów, którzy nie pozostawili nikogo na straży. Ich kryjówka przypominała leśną twierdzę, chaty, dawniej służące drwalom, ogrodzono wysoką palisadą, wokół wycięto drzewa, a do środka wejść można było jedynie przez furkę zamykaną od wewnątrz. Bezpośredni atak na to miejsce skończyłby się rzezią. Teraz mieli szansę złapać ludzi Dalena w pułapkę.

Gorączkowe przygotowania trwały prawie całą noc. Potem wszyscy zapadli w chaszczach w nerwowym oczekiwaniu.

Dwa dni, które przyszło im spędzić w pełnej gotowości, dłużyły się nieznośnie. Ludzie byli zmęczeni, głodni, a początkowe emocje zmieniły się w nudę. Rozzuchwaleni początkowymi

sukcesami żołnierze sarkali na surowe rozkazy i na bezczynność, a rybacy markotnieli z chwili na chwilę. Cał chmurzył się coraz bardziej. Zdawał sobie sprawę, że jeśli bandyci szybko się nie pokażą, bitwa będzie przegrana, nim się rozpocznie.

Ostry skwir jastrzębia, będący ostrzeżeniem, poderwał wszystkich na nogi i sprawił skrytą ulgę. Serca zabiły szybciej, spocone dłonie mocniej ujęły oręż. Ten i ów wyszeptał cichą modlitwę, prosząc Iveth, Oblicze Życia, o opiekę.

Pułapka zamknęła się błyskawicznie. Nadpiłowane drzewa zwały się z tyłu zbójeckiej bandy, uniemożliwiając natychmiastowy odwrót. Odpowiednio rozstawieni łucznicy zasypali zaskoczonych rabusiów gradem strzał. Ci w panice popędzili spłoszone wierzchowce wprost ku swojej bezpiecznej przystani – wiosce. Dopiero kiedy z hukiem zamknęła się za nimi furta palisady, zrozumieli, w jakim potrzasku się znaleźli.

Rozgorzała bitwa.

Otoczeni zbójcy rzucili się z furią na żołnierzy, ale wypoczęty oddział wojska i zdeterminowani rybacy walczyli, niosąc śmierć bez litości. Mścili się za gwałty i rabunki, spalone wsie, sponiewierane dziecko i Jemisa.

Cał krwawił obficie z rany na udzie. Płacił za chwilę nieuwagi, kiedy na nadgarstkach przeciwnika dostrzegł wytatuowane koronę i miecz. Były żołnierz nie miał skrupułów i ciał mocno, trafiając w szczelinę łączącą części pancerza. Wściekłość na własną głupotę dodała siły uderzeniom Jeźdźca i po chwili jego przeciwnik nie żył.

Stear, mając u boku Trevora i Sparka, rozdawał ciosy z prawdziwie niedźwiedzią siłą. Za jego plecami Lovell dobijał rannych. Brian i Dough walczyli ramię w ramię z rybakami. Niewprawne dłonie porzuciły miecze i dorwawszy napastników, którzy uszli braciom, mordowali ich gołymi rękoma. Halfen usadowił się na dachu i stamtąd raził przeciwników strzałami.

Walka dobiegała końca. Jeden z bandytów w desperacji rzucił miecz i podniósł w górę dłonie na znak poddania. Zanim dosięgła go strzała Halfena, Calmin krzyknął:

– Brać ich żywcem!

Ci, którzy usłyszeli okrzyk, dostrzegli w nim obietnicę życia i również rzucili oręż. Po hałasie, jaki czynił szcęk broni, łoskot padających ciał, przekleństwa walczących i jęki rannych, cisza zdawała się dźwięczeć w uszach. Osłabły nagle Cał ciężko osunął się na ziemię.

Otrzeźwiło go chluśnięcie wodą z cebrzyka. Zamrugał szybko, próbując pozbyć się kropel osiadłych na rzęsach. Czyjaś dłoń podtrzymała mu głowę, ale i tak świat zawirował w obłądnym tańcu.

– Masz, napij się.

Poczuł, jak piekący płyn spływa do gardła i powoli ogrzewa ciało. Obraz przed oczyma wyostrzył się wreszcie i ujrzał nad sobą zatroskaną twarz Briana.

– Co się stało? – spytał, przełknąwszy najpierw parę razy ślinę.

– Jesteś ranny, wodzu.

– Bandyci?

– Pilnujemy tych, co przeżyli.

– Dobrze – wychrypiał – Ilu naszych...

– Pięciu – mruknął Brian. – I jest paru rannych, nic poważnego. Z tobą było najgorzej. Kiedy Stevar cię przytaszczył, myśleliśmy, że... tfu. Ale widać Iveth miała cię w opiece. Lovell zeszył ranę i zdrow będziesz. Odpocząć teraz musisz...

Ale Calmin już go nie słyszał, zemdłał.

Przez następne dni budził się tylko, żeby się napić i przełknąć trochę stawy. Czasem słyszał falset Lovella i dudniący bas Stevara, widział ich zatroskane twarze. Raz zwidziało mu się, że nad jego pościelą pochyła się rudowłosa kobieta. Wyciągnął dłoń, by odgarnąć opadające jej na czoło kosmyki i wtedy zjawa zniknęła. Wołał ją jeszcze długo, ale nie pojawiła się więcej. Tylko drzemiący na ławie Lovell kręcił się niespokojnie, słysząc niewyraźne mamrotanie dowódcy.

Kiedy rankiem Stevar zajrzał do izby, zastał Cala tuż przy drzwiach. Stał niepewnie, oparty o ścianę, w samej koszuli, z bosymi stopami. Gałgan opatrujący ranę na udzie przesiąknięty był krwią.

– Rozum ci odjęło? – burknął Stevar i pomógł mu wrócić na pościel. Podał do rąk kubek świeżej wody, a potem huknął nad głową chrapiącego w kącie Loyella:

– Śpisz, gnojku? Kości ci połamię, flaki wypruję!

Lovell poderwał się gwałtownie i usiadł, wodząc wokół nieprzytomnym spojrzeniem.

– Siedziałem całą noc, jak kazaliście. Tylko na chwilę zamkiem oczy – wyjąkał na usprawiedliwienie.

– Wynoś się – machnął ręką Niedźwiedź. – I przynieś coś do jedzenia! – wrzasnął jeszcze za zmykającym chłopakiem.

Cal napił się, a resztę wody rozmazał sobie po twarzy.

– Słaby jestem – wymamrotał. – Długo tak leżałem?

– Trzy dni gorączka cię trzymała. Wystraszyłeś nas jak cholera.

– Nic mi nie będzie. Jak jeńcy? Powiedzieli co ciekawego?

– A jakże. Możemy przestać liczyć na oddziały Wedy i Umera, wybili ich do nogi – powiedział szorstko Niedźwiedź.

Cal zakrył twarz rękami. Poczul, jak głowę ścisną mu żelazna obręcz. Ból w nodze stał się nagle nie do zniesienia. Zapomniany kubek potoczył się po klepisku.

– Może łąą? – spytał wreszcie.

– Może. Co z nimi zrobimy?

– Z jeńcami? A ilu ich?

– Razem z tymi dwoma, których złapaliśmy w wiosce, sześciu.

– Ten, który mnie zranił był żołnierzem. Gdyby przyłączyć ich do oddziału...

– Nie potrzeba nam takich kompanów. Przy pierwszej okazji wsadzą nóż w plecy i zwieją.

– To co z nimi zrobić? Odesłać do Mulacium pod eskortą?

– Nie musimy ich odsyłać. Jeden nieboszczyk mniej, jeden więcej... Wszedł Lovell, niosąc miskę z zupą i drugą z kawałkami mięsa.

Postawił je ostrożnie na stole i rzucając bojaźliwe spojrzenia na Stevara, wycofał się tyłem.

– Mamy z nimi walczyć, nie naśladować – powiedział Cal po długiej chwili milczenia wypełnionej siorbaniem polewki.

– Te twoje zasady – prychnął Stevar. Opróżnił swój talerz i zabrał się za niedojedzoną porcję Calmina. – Ciekawe, jakie oni mieli, kiedy napadali na wsie, mordowali kobiety i dzieci.

– Dlatego nie chcę być do nich podobny – uciał szorstko Fen. – Zastanowię się, co z zrobić jeńcami. A na razie karmić ich tylko raz dziennie i pilnować. Jeśli który ucieknie, każę powiesić wartowników.

Niedźwiedź parsknął ponurym śmiechem.

– Rzeczywiście nie jesteś do nich podobny. Jesteś gorszy niż zaraza. A teraz połóż się i odpoczywaj.

Pomógł mu ułożyć się na sienniku, okrył starannie i przywołał Lovella. Z ciężkim westchnieniem opuścił izbę.

Cztery dni później oddział ruszył do Mulacium. Znowu było ich dwunastu; sześciu żołnierzy i sześciu rybaków ze wsi nad jeziorem. Ogoleni, w świeżo połatanych kaftanach, z wyczyszczoną bronią dotarli na północny gościniec.

Fen zatrzymał pierwszą karawanę, na którą natrafili. Mimo początkowej nieufności szybko dogadał się z kupcami i korzystając z ich przyborów do pisania, skreślił parę słów do komendanta miejskiego garnizonu. Żołnierze z satysfakcją patrzyli, jak kupieccy pomocnicy przywiązują rozdzielanych z szat bandytów do wozów, a ruszając woźnica, zamiast po końskich grzbietach, chlasta batem ich nagie plecy.

– Niech Otys prostuje wasze ścieżki i wspomaga w transakcjach – pożegnał się Cal. – Uważajcie na te oskubane koguty.

– Spokojny bądź, panie, doprowadzimy ich na miejsce. Powodzenia na łowach, Jastrzębiu.

Calmin spojrzał zdziwiony na kupca, a ten wskazał na zawieszoną na łąku siodła tarczę. Pochodziła z bandyckiego ekwipunku, była nowa i solidna. Na okutym żelazem drewnie wymalowano koślawo stroszącego pióra ptaku. Jeździec roześmiał się i uniósł dłoń na pożegnanie.

Po rozstaniu z kupcami znowu skręcili w las.

– Trzeba sprawdzić, co stało się z ludźmi Wedy i Umera – tłumaczył Jeździec Stevarowi. – Może ci zbóje łgali i ktoś ocalał.

Droga dłużyła się nieznośnie. Rybacy nie umieli jeździć konno i ledwo trzymali się w siodłach, a Cal choć się nie skarżył, dotkliwie odczuwał swoją ranę. Wieczorem zsuwał się z konia zeszywniały i obolały, i ledwie miał siłę, by dokuśtykać do posłania, które pośpiesznie szykował mu Lovell. Przez dziesięć dni wlekli się noga za nogą po wertepach, a widok, jaki zastali na Trakcie Zgody, przyprawił Fena o atak wściekłości.

– Głupcy! – wrzeszczał. – Cholerni, pieprzeni głupcy!

O milę od traktu, na otwartej przestrzeni, leżeli pomordowani żołnierze. Musieli zginąć we śnie, bo mało który ścisnął w ręku oręż. Wokół walały się beczki ciągle śmierdzące gorzałką, a pod nogami chrzęściły skorupy ze strzaskanych kubków.

Calmin Fen szedł pomiędzy zwłokami. Nie czuł potwornego smrodu. Nie zwracał uwagi na muchy kłębiące się nad pobojowiskiem ani na zmykające w pośpiechu ścierwojady. Oczy nabiegły mu krwią i błyskały dziko, ręce nerwowo zaciskały się w pięści. Czubkiem buta usunął trupią rękę, która odsłoniła twarz Umera, zastygłą w wyrazie zdumienia. Obok niego spoczywały zwłoki tłustej kobiety z odsłoniętymi nogami. Z rozmachem kopnął nabrzmiałą głowę.

– Umer, ty cholerny, pijany głupcze! – krzyknął z furją. Odrąbana od tułowia głowa potoczyła się niczym piłka. Usłyszał odgłos wymiotów. To rzygał Lovell skulony nad czyimś ciałem. Kiedy poczuł na sobie wzrok dowódcy, otarł pośpiesznie twarz rękawem.

– Mmmogę policzyć ttrupy – zdążył wyjąkać, zanim znowu zwymiotował.

– Nie trzeba – warknął Cal. – Wynosimy się stąd.

Kiedy odjechali z pobojowiska, do kapitana podjechał Stevar. I on stracił zwykłą pewność siebie. Na czole perlił mu się pot, a ręce zbyt mocno ścisnęły wodze.



– Może ktoś ocalał – powiedział cicho. – Powinniśmy poszukać...

– Trzy grupy Stevar. Jedna do lasu, dwie do zajazdów, w przeciwnie strony. Ty dowodzisz jedną, Brian drugą, ja trzecią. Wieczorem zbiórka tam – wskazał kierunek, z którego przyjechali, – a wy – machnął ręką na stojących w pobliżu – za mną.

Halfen, który był najbliżej, zawrócił konia i mruknął do Treyora.

– Zbiesił się, ot co.

– Lepiej nie wchodzić mu w drogę. Ale to przecież nasi ludzie, Halfen. Nasi ludzie.

– Dziękować Bogu, że pojechaliśmy na te wertepy. Lepiej zginąć jak Spark czy Jemis, niż dać się zarżnąć niczym barany.

Zajazd był mroczny i brudny. W najciemniejszym kącie siedziało trzech ludzi w podartych kaftanach. Brudni, nieogoleni, pili na umór, nie odzywając się do siebie. W jednym z nich żołnierze rozpoznali Wedę.

– Zabrać ich na podwórze i otrzeźwić – rozkazał Cal.

Trevor, Halfen i dwóch rybaków złapało pijących i wyciągnęło na podwórko z tyłu zajazdu. Wepchnęli im łby do koryta, czekając, aż w zamglonych oczach pojawi się choć cień przytomności.

– Poznajecie mnie? – spytał Fen. Starał się mówić spokojnie, ale prychający wodą żołnierze zamarli, słysząc jego ton.

– Nie znam cię, dupku. – Weda splunął pogardliwie.

Na dany znak Halfen znów wsadził mu głowę do wody i przytrzymał długo, bardzo długo.

– Teraz poznajesz?

– Kurwa, Fen, zgłupiałeś? Puszczaj, kmiecie. – Szarpnął się, ale nie dał rady wyrwać się z mocnego uścisku łuczника.

– Gdzie reszta twoich ludzi? Gdzie broń, konie?

– Gównno cię to obchodzi!

Calmin skinął na jednego z rybaków.

– Przyrowadź karczmarza.

Po chwili na podwórku pojawił się opasły gospodarz. Spojrzał na sponiewieranych żołnierzy i skłonił się nisko przed Calminem.

– Wzywaliście mnie, panie? – spytał usłużnie. – Jak długo gościł tych ludzi? Karczmarz skrzywił się.

– Za długo, panie. Będzie ze dwa dziesiątki dni. Straszą podróżnych, nie płacą. Same straty.

– Ich broń, konie?

– To moja zapłata – zachnął się gospodarz. – Nie mają nic innego. Calmin wyjął zza pazuchy pękatą sakiewkę i rzucił karczmarzowi.

– Zabieram ich stąd. Oddaj im konie, broń my weźmiemy. Trevor, dopilnuj tego. A wy – zwrócił się do pijaków – doprowadźcie się do porządku. Przejedziemy się.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, kiedy ruszyli w drogę powrotną. Weda przeklinał głośno, reszta jechała w milczeniu, spoglądając niepewnie na otaczających ich żołnierzy. Na spotkanie wyjechał im Lovell.

– Co tu robisz? – spytał go Calmin.

– Zabałamuciłem. Pojechali beze mnie – wymamrotał chłopak.

– Jedź do lasu – wskazał na prawo – i przygotuj obóz. My dołączymy potem.

– Dziękuję, panie – rozpromienił się Lovell. Klepnął konia i oddalił się ostrym klusem. Na

samą myśl, że musiałby znów oglądać ten koszmar, ścisnęło go w dołku.

– Hej, Fen, wszystkiś tak wytresował czy ino tego szczeniaka?

– zadrwił Weda. – Lejesz ich batem czy szczujesz psami?

Jego kolesie zarechotali, ale na widok miny Calmina śmiech zamarł im na ustach.

– Powiedz im, Trevor, co ja robię z nieposłusznymi podwładnymi – odezwał się ostro. Trevor nie wahał się ani chwili.

– Powiesił już czterech – powiedział grobowym głosem.

Dwóch żołnierzy Wedy popatrzyło na niego niepewnie. Halfen w zamyśleniu pokiwał głową.

– Niełatwo służyć pod takim dowódcą – wymruczał.

– Gdzie ty nas wieziesz, co? – nie wytrzymał Weda po chwili milczenia.

– Odwiedzić twoich kompanów.

Cal wreszcie zatrzymał konia, zsiadł i ściągnął Wedę z siodła. Trzymając go w żelaznym uścisku, wypchnął zza krzaka. Kapitan Weda z Bresanii nie potrafił się opanować i kwiknął ze strachu.

– Patrz – mówił Cal, wlokąc go za sobą. – To twoi ludzie. To Benek, widzisz? A tego nazywali chyba Mais, a tu leży twój kamrat Umer. Stracił głowę...

Wedą wił się, usiłując wyrwać z uścisku Jeźdźca, ale ten trzymał go niczym w kleszczach.

– Patrz, Weda. Nie zamykaj oczu, tylko patrz. Ty ich zabiłeś, skurwysynu, swoją głupotą. Nie wystawiłeś nawet straży. Teraz możesz zrobić dla nich tylko jedno. Pochowasz ich.

– Zgłupiałeś? Przecie to prawie dwudziestka ludzi.

– Tamci ci pomogą.

Dwaj żołnierze stojący na skraju pola, zszokowani patrzyli to na trupy, to na Fena.

– Nie mamy czym kopać – wybełkotał któryś niepewnie.

– Trevor, oddaj im broń.

Trzy miecze upadły z brzękiem pomiędzy zwłoki.

– Nie potraficie użyć ich do walki, więc posłużą wam do kopania grobu. Jeśli to nie wystarczy, zostają wam ręce.

Zostawił Wedę na środku cmentarzyska, dosiadł konia i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Wedą szedł spiesznie za nim. Starał się nie patrzeć pod nogi, ale potknął się i wylądował z rękami wspartymi na rozkładającym się trupie. Poderwał się z jękiem i wielkimi susami popędził do swoich kamratów. Jeden z nich, Stefel, spojrział niepewnie na otaczających ich żołnierzy i na Wedę:

– Jakże tak? Naprawdę mamy kopać?

– Zawszy możesz sprawdzić – odrzekł flegmatycznie Halfen, bawiąc się nożem.

Bez dalszych komentarzy Stefel i jego koleżka Karpos, drugi z żołnierzy, zaczęli dłubać w ziemi. Po chwili przyłączył się do nich dźgnięty w zadek Weda z Bresanii.

Grupa Briana przywiodła kolejnego żołnierza, Stevar przyprowadził jeszcze dwu.

Sześciu grabarzy pracowało do zmierzchu. Wreszcie dół był na tyle duży, że pochowano ciała, a na wierzchu ułożono kopiec z kamieni. Wszyscy grubymi głosami odmówili modlitwę, a potem pośpiesznie schronili się do lasu. Nikt nie miał chęci pozostawać dłużej w tym strasznym miejscu.

– Wasze oddziały zostały rozbite – zwrócił się do nowoprzybyłych Fen, kiedy już siedzieli, grzejąc się w ciepłe ogniska – dlatego zostaniecie pod moją komendą. Koniec picia i

łajdaczenia się po zajazdach. Ty, Weda, masz wybór – odwrócił się w stronę Bresańczyka. – Albo zostajesz ze mną jako zwykły żołnierz, albo oddajesz mi swojego konia i broń, za które zapłaciłem i idziesz precz. Rozważ to dokładnie, bo jeśli zostaniesz, nie będziesz miał żadnych ulg. Mam w dupie twój oficerski patent, a jeżeli przez ciebie zginie choć jeden mój żołnierz, zabiję cię. Namyśl się do rana, a tymczasem oddaj broń, na wypadek, gdybyś chciał odjechać bez pożegnania.

Weda aż pobladł ze złości, że Jeździec przejrzał go tak łatwo. Z ostentacją rzucił miecz na trawę, ale jakby mało było jeszcze upokorzeń, Stevar obszukał go bezceremonialnie.

Nóż zza pasa i sztylet ukryty za cholewą spoczęły obok mieczu.

– Wystaw podwójne straże – polecił Calmin Niedźwiedziowi, zanim zmęczony ułożył się na posłaniu. – Niech uważają na Wedę, nie ufam mu.

Zamilkli, wsłuchując się w szelest gałęzi nad głowami. Pomiędzy liśćmi migotały gwiazdy.

– Dokąd jedziemy jutro? Wracamy do Mulacium? – przerwał ciszę Stevar.

– Nie, tam już nie mamy co robić. Banda Dalena nie istnieje. Pojedziemy na północ, bliżej gór. Pamiętaj, co mówił tamten jeniec?

– Taak – westchnął Stevar. – Mamy zajęcie na parę lat.

Komendant garnizonu Mulacium, Morgan, patrzył w osłupieniu na pięciu nagich mężczyzn uwalanych błotem i odchodami. Grupa kupców po raz kolejny powtórzyła swoje wyjaśnienia.

– To bandyci, panie. Mieli swoją kryjówkę w lasach, wedle gościńca. Pogromił ich oddział wojska, ale nie po drodze im było do miasta, więc oddali ich pod naszą opiekę. I pismo napisali.

Morgan spojrział na papier, który ścisnął w dłoni. Oprzytomniał i rozłożył kartę. Litery były nierówne, widać pisane w pośpiechu. Niewyschnięty atrament rozmazał się w paru miejscach, zasłaniając niektóre słowa.

„Do komendanta wojsk w Mulacium. Ludzie, których przywiedli kupcy, to bandyci. Było ich razem ze trzydziestu, a ich przywódcę wołali Dalen. Ci się poddali, więc oddaję ich w Twoje ręce. Mieli swoją siedzibę w wiosce drwali, dzień drogi od gościńca. Ścieżka jest zawałona pniami drzew, ale można tam dojechać.

Kapitan Królewskich Wojsk Imeskarii...”

W miejscu podpisu widniał olbrzymi kleks, spod którego widać było tylko wielką literę C. Komendant zamyślił się, a jego wzrok powędrował ku grupie golasów. Wyglądali żałośnie, ale kiedy pochwycił wzrok jednego z nich, aż drgnął, tyle było w nim nienawiści.

Wezwał strażnika.

– Dajcie im jakieś łachy i wtrąćcie do lochu – polecił. Gwardzista szturchnął więźniów i wyprowadził z sali. Morganznów zwrócił się do kupców.

– Słyszałem – zagaił ostrożnie – że Jego Dostojność Protektor wyznaczył specjalny oddział do walki z bandytami, ale z pamięci umknęło mi miano jego dowódcy. Nie wiecie, jak go zwać?

Kupcy spojrzeli po sobie.

– My go o imię nie pytali – odpowiedział wreszcie któryś. – Jakoś tak wtedy do głowy nie przyszło. Ale w mundurze był i kapitańskie skrzydła miał. Franc Jastrzębiem go nazwał, bo na jego tarczy ptak był wymalowany.

– A dużo wojska z nim było?

– Nie bardzo, panie, z dziesięciu chłopów. Ale to wojacy prawdziwi, ze znakiem Boga o Wielu Obliczach. I obstalunek akuratywny mieli...

- Tak, tak – wymruczał Morgan, znów popadając w zamyślenie.
- Wybaczcie, panie, ale mozem już iść? Czasu my zmitrężyli dużo.
- A jakże, idźcie. Zamelduję gubernatorowi o waszych zasługach, nagrodzi was pewnie.

Kupcy pokręcili głowami.

– Nie potrzeba nam żadnej nagrody, panie. My i tak na swoje wyszli w tej podróży. A jakby tak drogi bezpieczne się stały, to dla nas pożytek największy. Zresztą nasza zasługa żadna. Temu Jastrzębiowi i jego ludziom nagrodę dajcie, bo prawdziwie zasłużyli.

Gubernator Mulacium, Rhodes, zażywny niski mężczyzna, o przerzedzonych włosach i bystrym spojrzeniu, zarządzał Rubieżami jak wcześniej jego ojciec i dziad. Lata nadzoru nad najodleglejszą prowincją królestwa pozostawiły mnóstwo zmarszczek na jego czerstwej twarzy.

Bandyckie napady stały się największą bolączką Rhodesa. Był mądrym zarządcą, który dobrze pojmował, że jego bogactwo zależy od dostatku oddanych mu pod opiekę ludzi, dbał więc o mieszkańców prowincji, jak umiał najlepiej. Zredukowanie garnizonu ugodziło go mocno, bo i przedtem miał za mało ludzi, by utrzymać porządek w swojej zagrodzie – jak mawiał. Wszak Rubieże stanowiły zaraz po Równinach Marth drugą co do wielkości prowincję Imeskarii. Na tym olbrzymim terytorium przeważały lasy, bagniska, a na północy góry. Stanowiły idealny teren dla różnej maści banitów i złoczyńców. Liczba mieszkańców była niewspółmiernie mała, a wsie i osady leżały w odległości nawet i kilkunastu dni drogi od siebie.

W Loenie zdawano się nie dostrzegać tych problemów. Gubernator słał posłańców do stolicy z prośbą o pomoc i wsparcie, a w odpowiedzi dostawał elaboraty o bojaźni bożej, zwiększeniu kontyngentu zboża i sianiu zamętu. Zazwyczaj zbiegały się one z wieściami o wycięciu w pień kolejnej wioski i przyprawiały go o ataki wściekłości. Rhodes czuł się zdesperowany tak bardzo, że rozważał powołanie prowincjonalnej armii i gotów był ją opłacać z własnej szkatuły. Trąciło to jednak zdradą, bowiem zgodnie z edyktem Forsytha żaden z gubernatorów nie miał prawa utrzymywać wojska innego niż królewskie.

Nieoczekiwana wiadomość, z którą przyszedł komendant Morgan, sprawiła, że Rhodes aż klasnęła w dłonie.

– Czyżby Zebon ruszył wreszcie swoim dostojnym, łysym czerepem? Nie jesteś zadowolony Morgan? Wreszcie mamy wsparcie.

– Sam nie wiem, panie – westchnął komendant. – Niedawno słyzałem pogłoski, że te wojska, które protektor na pomoc nam wysłał rozbito na Trakcie Zgody.

Gubernator zamyślił się głęboko, a potem jeszcze raz przeczytał list, który dostał od Morgana.

– Wiesz, o jakim miejscu pisze ten, jak mu tam, Jastrząb?

– Mniej więcej, panie.

– Więc weź paru ludzi i sprawdź, co tam się dzieje. I szpiega jakiegoś na Trakt Zgody wyślij. Tych bandytów każ w oddzielnych celach zamknąć i nikogo do nich nie dopuszczaj, nawet kapłanów.

Komendant skinął głową i wyszedł. Rhodes znów zaczął wpatrywać się w list, jakby z paru koślawych liter chciał wyczytać przyszłość.

Albana siedziała w gabinecie Sajrona i pracowicie sumowała cyfry w rejestrach. Krótkie lato w Dolinie Ostatniej Twierdzy skończyło się, przyszedł czas jesiennych zbiorów, a z nim dodatkowa praca. Przeliczała więc cetnary zboża, łaszy mąki, beczki miodu i piwa, głowiąc

się, czy zapasy wystarczą, żeby wyżywić wszystkich mieszkańców doliny. Zastępowała w tej pracy Sajrona, któremu coraz trudniej było utrzymać pióro w drżących dłoniach i skupić uwagę na nużącym zajęciu.

Uchylone okno skrzypiało monotonie, rześkie powietrze przyjemnie chłodziło zmęczone całodzienną pracą ciało. Nagle ciszę przerwał ostry dźwięk. Zaskoczona dziewczyna uniosła głowę i rachunek uleciał jej z pamięci. Ze złością rzuciła pióro i podeszła do okna, by je zamknąć.

Na dziedzińcu płonęło ognisko, oświetlając zebranych. Dźwięk powtórzył się i dopiero teraz Albana rozpoznała muzykę skrzypiec. To Jago, cieśla, wygrywał na nich skoczną piosenkę, a jego syn, Sewek, porwał stojącą najbliżej kobietę i ruszył w tan wokół ognia. Wesole okrzyki mieszały się z melodią, ognisko sypało iskrami, gwiazdy na jesiennym niebie połyskiwały niczym rozrzucone przypadkiem klejnoty. Albana ze złością zatrzasnęła okno, chcąc odgrodzić się od hałasu i wrócić do rachunków, ale nie potrafiła odejść. Stała, przyciskając twarz do szyby i patrzyła, jak mieszkańcy doliny świętują zakończenie żniw.

Początkowa złość przeszła w żal, że wszyscy się bawią, nie pamiętając nawet o jej istnieniu. Uświadomiła sobie, że zawsze, od początku pobytu w Twierdzy znajdowała się jakby na uboczu. Najpierw z własnego wyboru. Była dzika i nieufna, źle się czuła pośród nieznanym, więc uciekała do górskiego szałasu i całe dni spędzała w samotności. Kiedy wróciła do przytłaczającego gmaszyska, Lavalla próbowała ją zachęcić do bliższych kontaktów z pozostałymi mieszkańcami, ale po wypadku przy kaskadzie, kiedy Albana mało nie spowodowała śmierci Lav, ta odwróciła się od niej. Bez pomocy małej czarownicy nawiązanie bliskich znajomości było dla Albany zbyt trudne, skupiła się więc na nauce, a kiedy przełamała wreszcie barierę oddzielającą ją od swego Daru – na wytężonej pracy. Sajron nie pozostawiał jej chwili wytchnienia, narzucał obowiązki, stawiał przed coraz trudniejszymi wyzwaniem, a ona nie protestowała. Była mu to winna za zaufanie, którym ją obdarzał, za trud, który wkładał w jej kształcenie. Płaciła za to nieustannym zmęczeniem, samotnością i wyobcowaniem.

Stała teraz, słuchając przytłumionej melodii i tak bardzo pragnęła znaleźć się wśród innych, radować, tańczyć i śpiewać, zadzierać spódnicę i skakać przez ognisko...

Wróciła do biurka i zaczęła od nowa sumować kolumnę cyfr. Na kartę spadła łza, rozmywając atramentowe cyfry. Wytarła niecierpliwie policzek, ale łzy nie przestawały płynąć. Odłożyła wreszcie pióro i ukryła twarz w dłoniach. Szlochała i szlochała jak nieraz w chacie u Mei, nieszczęśliwa i samotna. Co z tego, że udało się jej wydostać z lasu Keranów, że ukryła się przed Zebonem, skoro tu – pośród podobnych sobie – również nie znalazła szczęścia? Jediną osobą, która o nią dbała, był młody Jeździec Równin, ale porzuciła go, żeby ocalić życie nieznannej kobiecie. Nagle zatęskniła za Calem, za jego ciepłym uściskiem, nieśmiałym uśmiechem, za pocałunkami... Czy on jeszcze ją pamięta? Czy myśli czasem o dziewczynie, którą poślubił, czy może żyje na Równinach otoczony gromadką dzieci, tuląc co noc w objęciach jakąś czarnowłosą piękność?

Żałosne łkanie nie ustawało. Płacz nie przynosił ukojenia, przeciwnie – pobudzał pamięć, rozdrapywał rany. Jej myśli uporczywie czepiały się Cala, wyobraźnia podsuwała obrazy krótkich chwil spokoju i bezpieczeństwa, które jej ofiarował bez żadnych warunków.

I nieoczekiwanie ujrzała go tak wyraźnie, jakby spoczywał na posłaniu u jej stóp. Był starszy niż go zapamiętała, z krótkimi włosami, świeżą blizną na skroni. Ciało miał rozpalone gorączką, a wzrok nieprzytomny.

– Cal – szepnęła i nachyliła się, żeby pogłodzić spocone czoło, poczuć dotyk skóry.

Jej dłoń trafiła w pustkę. Pochylała się nad rejestrem, a ręka zawisła nad poplamioną łzami kartą. Jęknęła w udręce i zaczęła płakać na nowo. Wybiegła z komnaty i gnała na oślep korytarzem, póki nie otoczyły jej silne ramiona.

– Albana? Co się stało? – usłyszała przy uchu głos, którego nie potrafiła rozpoznać.

– On... Ja... Ja muszę... – zawodziła bezradnie.

Ktoś wziął ją na ręce i niósł korytarzem, obejmował, delikatnie gładził po włosach, rozgniatł palcami łzy. I powtarzał kojąco, monotonicznie: – uspokój się, malutka. Wszystko będzie dobrze, dobrze...

Potrzebowała tego ciepła, uścisku i słów, które niosły pociechę. Potrzebowała pocałunków i pieśczoł, mocnego męskiego ciała przy swoim boku. Nie mogła dłużej znosić samotności, zapomnienia i obrazu chorego mężczyzny, który wyciągał do niej rękę.

Śniła o ogarniającym jej ciało pożądaniu, o ukojeniu, o spokoju. Czuła nieznośne gorąco, a potem chłód. Zdawało jej się, że unosi się w mroku ledwo rozjaśnionym tańczącymi wokół niej płomieniami. Potem znowu ogarnęła ją cisza i ciemność.

Obudziła się w swojej komnacie na wieży, naga, drżąca od porannego chłodu. Była sama, a jej odzienie leżało rzucone niedbale na podłogę. Gdzieś na krawędzi świadomości majaczyły wspomnienia poprzedniego wieczoru. Pamiętała ognisko, śpiewy, rejestry i rozmazany łzami atrament. Potem wspomnienia traciły ostrość, były tylko przebłyskami pamięci, a może wyobraźni.

Po tej nocy dziewczyna jeszcze bardziej zamknęła się w sobie, odgrodziła od innych. Mijały dni i miesiące, a ona nie odzywała się do nikogo bez koniecznej potrzeby, nie dociekała, czy wizja oplatających ją męskich ramion była prawdziwa. Pograżyła się w nauce i pracy, chcąc zapomnieć o bólu. I nie było nikogo zdolnego do wyrwania jej z koszmaru samotności i tęsknoty.

Mieszkańcy Ostatniej Twierdzy zgromadzili się w świetlicy, żeby popatrzeć na pokaz iluzji. Z niecierpliwością czekano na honorowego gościa – Benektusa i towarzyszącego mu Sajrona.

Dolid usadowił się z tyłu i patrzył na siedzącą nieruchomo Albanę. Wydawała się spokojna i pogodna, ale on dobrze widział mocno zaciśnięte na skraju sukni dłonie i kropelki potu na czole.

Co z tobą będzie, dziewczyno, pomyślał, spuszczać wzrok, by nie dostrzegła, jak uważnie ją obserwuje. Co będzie z nami wszystkimi, kiedy któregoś dnia nie zapanujesz nad sobą w porę i uwolnisz złe duchy drzemające w twojej duszy? Westchnął i znów na nią spojrział.

Nie była już tym wychudzonym stworzeniem o wielkich oczach i niemożliwie rozczochranych włosach. Powoli zmieniała się w odmienną od innych, lecz piękną kobietę. Ciągle była szczupła i miała niewielki biust, przez co jej sylwetka zdawała się lekka i pełna wdzięku. Ogniste włosy ściemniały nieco, ale nadal przyciągały wzrok niezwykłą barwą. I teraz, w mroku, chwiejne płomyki wydobywały czerwone refleksy ze splecionego porządnie warkocza.

Bibliotekarz nie potrafił stłumić pożądania, które go ogarniało, ilekroć spojrział w zielone oczy czy przypadkiem musnął jasną skórę. A na wspomnienie nocy, kiedy trzymał ją w objęciach, pieścił i całował, na twarz wypełzały mu rumieńce, oddech przyspieszał, a ciało pokrywał pot. Nie dowiedział się, co sprawiło, że Albana wybiegła z gabinetu jak szalona, szlochając i drżąc niczym w gorączce, nie zrozumiał wypowiedzianych niewyraźnie słów. Lecz

w ciągu tych paru chwil, które spędziła w jego ramionach dane mu było doświadczyć męki samotności, bólu odrzucenia, tęsknoty i pożądania. Bo w udreće dziewczyna nie kontrolowała zachowania i targające nią emocje stały się udziałem Dolida.

Tamtej nocy długo patrzył na pokrytą złocistymi plamkami piegów twarz, myśląc, co powinien zrobić. Zaniósł ją wreszcie do komnaty na wieży i zostawił samą. Zwyczajnie bał się jej reakcji, kiedy się przebudzi i uzmysłowi, co się wydarzyło. To, że potem żadnym słowem czy gestem nie dała znaku, że pamięta, jednakowo go cieszyło, jak dręczyło. Bo i cóż mogła mu powiedzieć? Oskarżyć, że wykorzystał okazję i zaspokoił swoje żądze, czy że ona wykorzystała jego, aby odgradzić się od dręczących ją koszmarów?

Dolid nie był już młody i przeżył niejedno. Widywał ludzi podobnych Albanie, na pozór spokojnych i opanowanych, a wewnątrz kipiących od trudnych do okiełznania uczuć. Nie okazywali emocji, pókinie wydarzyło się coś, co burzyło tą sztucznie wymuszoną równowagę. Wybuchali wtedy, zadając śmierć sobie lub innym i niszcząc wszystko, co stało na ich drodze. Według bibliotekarza Albana przedstawiała sobą znacznie gorsze niebezpieczeństwo. Była wszak wychowana pośród barbarzyńców bez żadnych zasad i hamulców. I miała Dar, którego wszechstronność budziła zdziwienie nawet w Sajronie. Potrafiła prawie wszystko: odczytywała emocje i uczucia jak Lavalla, zagłębiała się w umysły jak Sajron. Tworzyła iluzje tak rzeczywiste, że nie sposób było ich odróżnić od rzeczywistości, potrafiła poruszać przedmiotami, nie dotykając ich, rozniecić ogień, ledwie patrząc na kupkę patyków.

Bibliotekarz próbował rozmawiać ze starcem, przekonać go, że dziewczynie nie można zaufać, lecz ten nie wierzył w jego obawy. Uczył Albanę i dumny był z jej osiągnięć. Wierzył, że znalazła w Ostatniej Twierdzy nie tylko bezpieczny azyl, ale i szczęśliwy dom. Dolid wiedział, że Sajron przygotowuje ją do roli swojej następczyni i nie dostrzega, że Obdarowani unikają bliższych kontaktów z dziewczyną.

Westchnął ponownie, aż zamigotał płomień stojącej na stole świecy. Nie przywykł do zagłębiania się we własne uczucia, był człowiekiem czynu, krewkim i popędliwym, jednak w stosunku do Albany nie potrafił zdobyć się na usunięcie jej z doliny, co zresztą musiałby uczynić wbrew woli Sajrona. Nie kierował się posłuszeństwem wobec opiekuna Twierdzy. Hamowało go nie tylko pożądanie i pewność, że poza murami Ostatniej Twierdzy dziewczynę czeka śmierć, ale i współczucie, które dla niej odczuwał. Te sprzeczne uczucia powodowały, że traktował ją zbyt surowo albo znów nadmiernie pobłażliwie. Na dodatek był świadom, że inni widzą jego zainteresowanie Albana i to drażniło go jeszcze bardziej.

Zagłębił się w myślach tak dalece, że nie dostrzegł wejścia Sajrona i Benektusa do świetlicy, umknęła mu też chwila hałaśliwego powitania. Oprzytomniał, usłyszawszy ochrypły głos.

– W Kronikach Imeskarii zapisano, że blisko trzysta lat temu mieszkańcy Crystonu poczuli potężny wstrząs, a kiedy spojrzeli w stronę morza, na horyzoncie zobaczyli ogień i dym ciemny, skłębiony. Ziemia trzęsła się wiele dni i nocy, a fale coraz większe i większe zalewały sady i winnice. Aż przysłała taka, która wdarła się daleko w głąb lądu i zabrała ze sobą domostwa, ludzi, zwierzęta...

W świetlicy zawczasu zamknięto okiennice, a rozświetlające ciemność świece pogaszono. Ludzie siedzieli w mroku, a przed ich oczami Albana tkąła obrazy, które odnajdywała w wyobraźni. Wpierw widać było bezkresne morze ze spienionymi grzbietami fal, potem pożar i pióropusz siwego dymu. Wreszcie spieniona fala chlusnęła wprost na widzów i cofnęła się zaraz, zostawiając ich ogłupiałych, z policzkami wzdętymi od wstrzymywanego oddechu,

ukradkiem macających suche ubrania.

– Kiedy woda opadła, a ocaleni nadaremno szukali swych bliskich, na zasnutym dymem niebie pojawiły się bestie.

Zgromadzeni na sali ze zgrozą obserwowali sylwetki rosnące na tle zachodzącego słońca. Obdarowana stworzyła ich wizerunki na wzór tych, które widziała w loeńskiej gospodzie. Potężne, a mimo to harmonijne ciała, którym lekkości dodawały długie ogony i wysmukłe szyje, płynęły w powietrzu, prawie nie poruszając skrzydłami. Trójkątne łby ozdabiały sterczące uszy, w otwartych paszczach widać było ostre zęby.

Ktoś jęknął głośno, ktoś inny roześmiał się nerwowo, gdy jedna z bestii zbliżyła się i spojrzała na zgromadzonych pionowymi, gadzimi źrenicami, a potem otworzyła pysk, ziejąc ogniem.

– Potwory nazwano smokami. Pożerały one ludzi i zwierzęta, niszczyły miasta i wsie, swoim oddechem paliły ocalałe po powodzi zbiory. Jakby nie dość tego było, okazało się, że dysponują tajemną mocą, która pozwala im wdrzeć się do ludzkiego umysłu i kierować nim. Matki wyjmowały z kołyszek swe dzieci i przynosiły do smoczyc legowisk bestiom na pożarcie, a kiedy przytomniały, odbierały sobie życie w udręce. Żołnierze wysłani do walki zwracali swoją broń przeciwko towarzyszom, miast wrogom. Kapłani dawnych bogów wznosili modły do smoczyc potworów, niszcząc stare ołtarze. Nastął czas klęski i mroku.

Tym razem na sali panowała tylko ciemność. Widać Albana wołała oszczędzić wszystkim widoku porażki, jaką ponieśli ludzie w starciu ze smokami.

– Skaryjczycy na prawie sto lat popadli w smoczą niewolę. Oglupiali i przerażeni spełniali wolę bestii, które wzięły Imeskarię we władanie. Aż pośród ludu znalazł się człowiek męźniejszy od innych, który uwierzył, że można smoki pokonać. Nie siłą i orężem, lecz mocami podobnymi tym, którymi same władały. Ów człowiek zwał się Forsyth. Oprócz drużyny wojów zebrał wokół siebie Obdarowanych i wspierany ich Darami ruszył do walki. Kiedy zjednoczeni w wysiłku Obdarowani przeciwstawiali się smoczej woli, żołnierze zaatakowali bestię. Ludzie wolni od smoczego strachu stawali męźnie i zwyciężyli, choć krwawe to było zwycięstwo.

W powietrzu znów pojawiły się obrazy. Na tle potężnego, łuskowanego cielska pojawiły się groteskowo małe sylwetki z furią atakujące smoka. Z boku stała grupka ludzi, których twarze wykrzywione były cierpieniem.

– Kiedy udało się pokonać jedną bestię, Skaryjczycy jakby narodzili się na nowo. Choć smoki wzmogły czujność, kto mógł, przyłączał się do Forsytha. Oddział ciągle przenosił się z miejsca na miejsce, a Obdarowani zapewniali mu ochronę, mając wzrok potworów. Ci, którzy byli za słabi, żeby stanąć do boju, gromadzili zapasy, wykuwali broń. Przy okazji odkryto, że pancerz zrobiony ze smoczej łuski jest wytrzymalszy niż żelazo i chroni przed ogniem.

Forsyth rósł w siłę i udało mu się pokonać bestie, a te, które uszły z jego rąk, odleciały, uchodząc przed zemstą. Zjednoczeni w walce Skaryjczycy obrali Forsytha królem, bo wielokroć udowodnił swe męstwo i rozważę. Zdawało się, że nastął czas spokoju i mozolnej odbudowy.

Albana przerwała, oddychając ciężko, jakby wypowiedane słowa sprawiały jej ból.

– Stało się inaczej – podjęła po chwili ciszy. – Król ogłosił Obdarowanych winnymi smoczej niewoli i skazał ich na śmierć. Zdradził czarowników, choć bez ich pomocy nie wygrałby żadnej bitwy, bo ich Dary podobne były smoczyc mocom. Wykonawcami swojej



woli uczynił kapłanów nowej religii, czczących Boga o Wielu Obliczach. Zapłonęły stopy...

Chrapliwy, zabarwiony goryczą głos umilkł. Zebrani patrzyli na obrazy przesuwające się im przed oczami. Oto sylwetka króla Forsytha, pola i łąki rozkwitające setkami kwiatów i wreszcie przesłaniające widok płomienie.

Iluzja blakła powoli, znikła w mroku, a widzowie wciąż nie wstawali z miejsc pogrążeni w myślach. Wreszcie siedzący blisko okna Sewek otworzył okiennice i pomieszczenie rozjaśnił blask słońca odbitego w śniegu pokrywającym zbocza. Światło i mroźne powietrze pozwoliło oczyścić umysły z przygnębiających refleksji. Świetlica nagle zatętniła gwarem, ludzie rozmawiali głośno, śmiali się i pokrzykiwali jakby na przekór ponuremu nastrojowi, któremu poddali się jeszcze przed chwilą.

Sajron i Benektus precisnęli się do siedzącej w kącie Albany. Oszołomiony Benektus wykrzykiwał słowa zachwytu dla jej sztuki, Sajron uśmiechał się dumny z uczennicy, a ona siedziała blada i wyczerpana. Po chwili dołączył do nich Dolid, niosąc puchary z winem.

– Nigdy czegoś podobnego nie widział. Kiedy ów smok paszczę otworzył i ogniem zionął, myślałem, że już po nas... – nie ustawał w pochwałach Benektus. – Żał mi tylko, że to taka smutna opowieść.

– To historia, ubarwiona mamiącymi oko obrazkami – odpowiedziała kobieta, której po wypiciu kielicha wina wróciły rumieńce. – A historia, inaczej niż baśnie, ma też smutne zakończenia.

– Skoro to nie bajka, a historia, to nie kończy się słowami „i wszyscy pomarli, a groby ich zarosła trawa”. Wszystko jeszcze może się wydarzyć.

– Taak – potaknął spochmurniały nagle Sajron. – Wszystko może się zdarzyć.

Słowa starca zabrzmiały dziwnie posępnie na tle radosnej wrzawy. Dolid się zasepił, Albana zapatrzyła, na pozostałą na dnie resztkę wina.

– Nie czas na smutki – przerwał ciszę Benektus. – Nie tu w dolinie i nie z wami, przyjaciele. Umartwienie się to specjalność Zebona, nie twoja Sajronie.

Zachęcony pytającymi spojrzeniami ciągnął z przejęciem.

– Ciężko teraz na zamku wytrzymać. Nie ma już balów, zajazdów, polowań. Teraz są posty i modlitwy, które ciało i ducha mają oczyścić. Zamiast korowodów przebierańców ulicami Loenu ciągną procesje, a mnisi zawodzą pieśni niczym płaczki na pogrzebie. A co który spojrzy na człowieka, to aż ciarki po grzbiecie latają, żeby czego złego się nie dopatrył. Taak. Loen to już nie to samo miasto, co kiedyś – westchnął ponuro. – A i po wsiach źle się dzieje. Ludzie siedzą po domach, bojąc się choć nosa wytknąć za próg. Starczy, że kury przestaną się nieść, deszcz w zły dzień spadnie albo, nie daj Bóg, dziecko zemrze, zaraz powiadają, że to czary. Sąsiad doniesie na sąsiada i proces gotowy. Mnichów pełno na gościńcach i pańskich dworach. Głoszą słowo boże, ale po prawdzie szpiegują dla Zebona.

Pokiwał głową, wychylił szklanice wina i mlasnął językiem.

– Prawdziwe crystońskie. Ach, niebo w gębie. Napijmy się...

– Ale są i pomyślniejsze nowiny – prawil dalej po opróżnieniu szklanicy. – Zatrzymałem się w Mulacium, bo ciekaw byłem, co na Rubieżach słyszą. Dziwne wieści docierają do Loenu i sprawdzić je musiałem. Czas jakiś temu pod naciskiem Kattesa, Jego, tfu, Dostojność, wysłał na Rubieże oddział wojsk do walki z bandytami. Chodziły plotki, że rozbójnicy w pień je wycięli. Okazuje się, że to łgarstwo. Głośno tam wszędzie o kapitanie, którego ludzie Jastrzębiem nazywają. On i jego kompania bandytów tępią. Gościńce prawie bezpieczne, handel bez przeszkód kwitnie, a ludzie odetchnęli nareszcie. Błogosławią go tam, a i Rhodes,

gubernator, zadowolony bardzo, bo gwałty i rabunki się skończyły. Ten oddział, to w części wojsko prawdziwe, a reszta wieśniacy, co mścić się chcieli.

– Aż dziw, że w tej bandzie nierobów i moczymordów, która została z dawnego wojska, jeden żołnierz z prawdziwego zdarzenia się trafił. Jego zdrowie – wtrącił się Dolid i duszkiem opróżnił swój puchar.

Ci, co słyszeli rozmowę, również wzniesli szklanice, pijąc za pomyślność Jastrzębia i jego drużyny. Inni, zaciekawieni, podszli do gościa i zaczęli wypytywać o nowiny. Zmęczona i oszołomiona winem Albana zbierała się już do odejścia, kiedy ktoś wspomniał o Jeźdźcach Równin.

– Tam chyba nowy gubernator nastał? – wtrąciła lekkim tonem.

– A tak, będzie ze trzy, cztery lata temu. Yaldał się nazywa i...

Ale dziewczyna już nie słuchała. Sztwym krokiem wyszła ze świetlicy odprowadzana czujnym spojrzeniem Dolida.

Zaczątkiem lońskiego zamku była siedziba bogatego kupca. Po smoczey wojnie niewiele zachowało się budowli, które nowy król mógł obrać sobie za mieszkanie. W Loenie, nowej stolicy królestwa, jedynie dwór Daorasa, wybudowany na skale w pobliżu rzeki, nadawał się do zamieszkania.

Z biegiem czasu drewniane ściany zastąpiono kamiennymi murami, dobudowano najpierw wschodnie, potem zachodnie skrzydło, podciągnięto piętro. Do niezbyt eleganckich, ale solidnych ścian przykleiły się oficyny, spichlerze, stajnie, tworząc jeden rozgałęziony budynek. W ten sposób powstała gmatwanina korytarzy i komnat, przedsionków i schodów. Niewielu mieszkańców potężnego gmachu wiedziało, że prócz ginących w wiecznym półmroku pomieszczeń istnieją jeszcze inne, tajemne sale i przejścia.

Jego Dostojność Zebon jedną ręką podtrzymując obszerne fałdy swojej czarnej szaty, a w drugiej dzierżąc pochodnię, szedł po nierównych stopniach sekretnego przejścia. Towarzyszył mu nieustanny szum wody, widać korytarz przebiegał blisko rzeki. Kamienne ściany były wilgotne i porośnięte burymi porostami, które nieustannie czepiały się kapłańskiego habitu.

Dotarł wreszcie do masywnych drzwi, wyjął klucz i przekręcił go w naoliwionym zamku. Zawiesił pochodnię na ścianie, po czym zamknął za sobą ciężkie podwoje, odcinając się od zewnętrznego świata. Chropawe ściany zawieszane były draperiami, wyciosana w kamieniu podłoga wyłożona grubymi kobiercami, a sprzęty ciężkie i bogato zdobione. Wszystko wydawało się nowe, choć przesiąkło już mocno zapachem wilgoci i rozkładu.

Protektorowi przewrotną przyjemność sprawiał fakt, że pomieszczenia te służyły przedtem w potrzebie wyłącznie władcom Imeskarii. Dowiedział się o nich od Cenutha i nie zdradził ich istnienia przed młodym Emausem. Po śmierci króla zajął lokum, w którym znajdowało się wejście do tuneli. Korzystał z tej drogi często, i wkrótce jego prawdziwym gabinetem stał się jeden z chłodnych podziemnych pokoi. Przechowywał w nim tajne dokumenty, raporty szpiegów, rachunki i księgi, których sam zakazywał studiować. Sekretna komnata stała się w ten sposób świadkiem wielu wybuchów wściekłości, frustracji i nigdy nie opuszczającego Najwyższego Kapłana strachu. Z dala od ludzi nie musiał dbać o pozory i mógł zrzucić maskę, którą nosił na co dzień. Tu zaplanował zamordowanie Emausa i przyrządził truciznę, którą dodawał do jego napojów. Tutaj też śnił swoje sny o potędze.

Zapalił kadzidło stojące na stole i wyjął z kieszeni zmiętą kulę papieru. Wygładził ją starannie i przeczytał raz jeszcze.

Był to list od gubernatora Rubieży, Rhodesa. List dziękczynny. Opisywał wyczyny kapitana

wojsk królewskich Imeskarii, który na polecenie jego, Zebona, gromił bandy rozbójników. Rhodes nie szczędził słów uznania dla owego kapitana i żołnierzy oraz dziękował solennie za przysłanie tak skutecznej pomocy.

Pławiąc się w wonnym kadzidlany dymie, Zebon studiował list, starając się opanować wściekłość. Odłożył sponiewieraną kartę i zamyślił się głęboko. Wreszcie schował list do sekretarzyka, a wyjął z niego ciężki miasek złota. Potem legł na posłaniu. Dym sączący się z kadzidła przynosił mu ukojenie i senność. Przymknął oczy.

Powietrze wokół zafalowało, kontury przedmiotów zatarły się, kolory draperii zlały w barwny kolaż. Zebon lubił chwilę, kiedy świat realny rozwiewał się powoli, ustępując miejsca ułudzie. Znikał wtedy strach, że jego tajemnica wyjdzie na jaw. Wszak osłaniał ją grubymi murami wiary, legionami fanatycznych mnichów, siatką szpiegów.

Obrazy przed oczami kapłana znów się wyostrzyły, zapachy nabrały intensywności. Zdawało mu się, że już nie należy do swego ciała, opuszcza je, że czas i przestrzeń przestają go ograniczać.

Widział siebie tak, jakby przeglądał się w lustrze. Kościste członki obleczone w zbyt obszerny habit, łysą czaszkę z kropelkami potu, twarz pozbawioną brwi, wąskie usta zaciśnięte w linię, ciężkie powieki, blade, szponiaste dłonie splecione na symbolu Boga o Wielu Obliczach. Był zadowolony z tego wizerunku. Może jego postać nie wzbudzała miłości, ale szacunek, posłuch i strach były znacznie ważniejsze.

Oprzytomniał zlany potem i drżący z chłodu. Kadzidło wypaliło się, pozostawiając mdlący zapach. Czuł zawroty głowy, suchość w ustach, a światło raziło go, wywoływało ból. Podniósł się, czując, jak komnata wiruje w szaleńczym tańcu, zdjął z uchwytu pochodnię i, trzymając ją z dala od siebie, zaczął wspinać się po wąskich schodach. Za nim podążał cień o karykaturalnie wydłużonych kończynach niczym pajak ścigający ofiarę.

Świtało już, kiedy ponownie zasiadł przy biurku w zamkowym gabinecie. Skreślił parę zdań i niecierpliwie pociągnął za szarfę dzwonka. Śpiący w progu sługa, przetarł oczy, wziął list i podążył niespiesznie korytarzami, omijając drzemiącą służbę i wartowników.

Mężczyzna, który stawił się na wezwanie Jego Dostojności, był słusznego wzrostu, miał starannie utrefione włosy i krótko przystrzyżoną brodę. Nosił kosztowny, jaskrawozielony kaftan z mocno watowanymi ramionami i sztywnym kołnierzem. Nogi obciskały nogawice, jedna amarantowa, druga purpurowa. Strój uzupełniał берет ozdobiony piórem i buty o wąskich, podkręconych ku górze noskach. Był to modny strój miejskiego dandysa, wyszukany i drogi. O zamożności gościa świadczyły też złote pierścienie ozdabiające palce i gruby łańcuch na szyi.

W komnacie Zebona panował półmrok. Okna zasłonięte kotarami, a jedyne źródło światła stanowił świecznik z płonąca ledwie jedną świecą. Przybysz wypatrzył czającą się w cieniu postać i skłonił z przesadą.

– Witaj, Wasza Dostojność.

Zebon skrzywił się, słysząc nutę arogancji w głosie mężczyzny.

– Mój synu – zaszemrał rezygnując ze wstępu – czy słyszałeś o Jastrzębiu?

– Chodzi ci, Wasza Dostojność, o ptaka? Czyżby wyrządził zbyt wiele szkód w zamkowym kurniku? – uśmiechnął się przybyły.

Protector zazgrzytał w duchu zębami, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

– Ogólnie rzecz ujmując, tak. Ale nie o ptaka, Bazylu, mi idzie. Mężczyzna, popadł w fałszywą zadumę. Zrobił zafrasowaną minę, podrapał się po głowie.

– Czyżby Wasza Dostojność miał na myśli Jastrzębia, kapitana wojsk Waszej Dostojności, który niczym Sot, Oblicze naszego Boga, wymierza sprawiedliwość na Rubieżach?

– Zabij go! – warknął Zebon, tracąc nagle spokój. – I rozpędź na cztery wiatry tę hołotę, która nazywa siebie wojskiem.

Mężczyzna, spojrzał wprost w płonące chorobliwym blaskiem oczy Najwyższego Kapłana.

– Czy ja dobrze rozumiem? – Spytał zimno. – Życzeniem Waszej Dostojności jest, abym zamordował bohatera Rubieży, o którego męstwie bardowie po gospodach ballady śpiewają, słynnego Jastrzębia i jego dzielnych wojaków?

– Tak.

– Czy Wasza Dostojność obmyślił dla niego jakiś specjalny rodzaj śmierci czy wystarczy ot tak? – Przejechał palcem po gardle.

– Otruj go, zastrzel z łuku, wyzwij na pojedynek, wszystko jedno. Ma umrzeć.

– A zapłata?

– Nie wykonałeś jeszcze poprzedniego zlecenia – przypomniał mu chłodno kapłan.

Bazyl skrzywił się.

– Ta kobieta dawno nie żyje – mruknął, po raz pierwszy tracąc pewność siebie. – To niepodobna, żeby ukryła się tak skutecznie. Włosy mogła ogolić albo ukryć pod chustą, ale kolor oczu?

– Jeśli nawet nie żyje, nie ty ją zabiłeś – przypomniał mu słodko Zebon. Widok krzywej miny mordercy wyraźnie poprawił mu nastrój. – Oto twoja zapłata za zabicie Jastrzębia.

Rzucił w jego kierunku mieszek. Bazyl złapał go zręcznie i zajrzał do środka.

– To niezbyt wiele za zabicie bohatera.

– Dostaniesz dwa razy tyle, jeśli spełnisz zadanie.

– A jeśli zginę?

– To złoto na nic ci się nie przyda – skwitował protektor. – Jeśli umrzesz, pomodłę się za ciebie.

– Doprawdy wielka to laska ze strony Waszej Dostojności. Skłonił się z emfazą i schował mieszek za pazuchę.

– Nie zawieź mnie – pożegnał go z ukrytą groźbą w głosie Najwyższy Kapłan.

– Wasza Dostojność może na mnie polegać.

Po wyjściu z komnaty protektora morderca demonstracyjnym gestem przyłożył chustkę do nosa.

– Brrr – wzdrygnął się. – Jego Łysa Dostojność stanowczo powinien zmienić swój wizerunek.

Rzucił służącemu miedziaka i odszedł, nie przejmując się osłupiałym chłopakiem.

Sajron siedział w ogrodzie i grzał się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Czuł się stary. Codziennie trudniej mu było rozprostować stawy, nużyły go problemy mieszkańców Twierdzy, na lekcjach, które prowadził, nie potrafił ukryć zniecierpliwienia. Niebronił się już przed korzystaniem z posług Sewka, prosił o coraz wcześniejsze rozpalanie ognia w kominku. I czuł coraz większy niepokój.

Od wizyty Benektusa z każdym dniem, z każdą chwilą obawa powiększała się i nie pozwalała cieszyć z drobnych przyjemności, jak choćby ten piękny zachód słońca. Powodowała, że trzęsły mu się ręce a język plątał. Obdarowani składali to na karb wieku, ale Sajron wiedział, że nie tylko starość sprawia, że jego ciało drży, a nocą nie przychodzi sen. Całym sobą wyczuwał zmiany. Niebezpieczne zmiany. Czuł, jakby mrok czający się zwykle w

kątach wypełzał na zewnątrz i spowijał cieniem każdy krok, tłumił radość, odbierał sens trudowi całego życia. Kiedy przygasł słoneczny blask i ogród spowiła ciemność, Sajrona przeszył nagły dreszcz. Pojął, że nie może dłużej zwlekać. Podniósł się z ławki i podpierając kijem ruszył do budynku. Teraz, kiedy podjął decyzję, opanował go nerwowy pośpiech. Kazał Sewkowi wezwać Albanę, a potem zaczął krążyć po komnacie, postukując kosturem. Mamrotał przy tym do siebie niczym uczeń przepowiadający lekcję. Widać pomogło mu to uporządkować myśli, bo przysiadł na krześle i wypił nieco grzanego wina przygotowanego przez Sewka. Rumieniec zabarwił mu pomarszczone policzki, przygasłe oczy znów nabrały blasku.

– Niech nikt nam nie przeszkadza – polecił chłopakowi, kiedy kobieta weszła do gabinetu.

Albana z niepokojem patrzyła na starego człowieka. Była uzdrowicielką, widziała to, co mogło umknąć uwagi innych. Sajron stawał u kresu swego życia. Gasł powoli, lecz nieuchronnie, jak niegdyś Mei, kerańska czarownica. Żal ścisnął jej serce, oczy zamglily się od łez. Przymknęła powieki, aby je ukryć i prędkim, zduszonym głosem zaczęła zdawać sprawozdanie z przygotowań do pierwszego wiosennego zasiewu.

Starzec nie przerywał, a kiedy skończyła, uśmiechnął się blado.

– Dobrze się spisałaś – powiedział. – Będiesz, już jesteś, moją następczynią, dlatego winnaś wiedzieć o paru sprawach.

Zacisnął palce na kosturze i spojrzał wprost w zielone oczy.

– Boję się Albano. Nie, nie śmierci. Lękam się, że za długo czekałem i że, jak powiada Dolid, moja bierność to tchórzostwo, a nie zasady. Nie, nie przerywaj mi dziewczyno. Po prostu... musisz wiedzieć – zachłysnął się, jakby zabrakło mu tchu. Wypił następny kielich wina.

– Czy wiesz, że warowne zamki, podobne Ostatniej Twierdzy, zaczęto budować wiele lat po skończeniu wojny? – spytał, jakby gubiąc wątek. – Loen, Mulacium, Farsalos, Dardall, Syot... Fortece zbudowane do obrony przed pokonanym wrogiem, a w każdej dzień i noc czuwa obserwator na wieży. Kogo lub czego wypatruje? Przed kim strzeże wojsko, które każdy kolejny władca utrzymywał w niezmienionej liczbie? Czy myślałaś o tym kiedyś, Albano? Czy zadałaś sobie choć raz pytanie: dlaczego smoki odleciały?

Młoda kobieta patrzyła wyczekująco w wyblakłe niebieskie oczy otoczone siateczką zmarszczek.

– To nie starość mnie przytłacza, Albano, lecz strach. Do władzy doszedł szaleniec, Obdarowany, który fanatyzmem pragnie przysłonić swój Dar. Strach i żądza, władzy zżera mu rozum, przysłania rozsądek. Armia praktycznie nie istnieje, ludzie nie ufają ludziom, chaos ogarnia świat. To idealny moment... Gdyby miały zaatakować ponownie, nie byłoby lepszej chwili – dokończył prawie szeptem, jakby przerażony tym, co właśnie powiedział.

Oszalał, pomyślała Albana, nie pojmując słów starca.

– Nie wierzysz, prawda?

– Dlaczego smoki odleciały? Bo... bo Forsyth wygrał wojnę. One wiedziały, że wygrał. Dlatego odleciały...

Sajron powoli wstał z krzesła i podszedł do drzwi.

– Wezwij Dolida – powiedział do dyżurującego na korytarzu wyrostka. – Powiedz mu, żeby zaraz tu przyszedł.

Cofnął się w głąb pokoju i stanął przy kominku, grzejąc ręce.

Albana siedziała przy stole i patrzyła nieruchomo w okno. W myślach miała zamęt, którego

nie mogła opanować. Pytanie Sajrona w jednej chwili podważyło to, w co nauczyła się wierzyć, w co wierzyli wszyscy. Dlaczego smoki odleciały? Właśnie, dlaczego? I co jeszcze powiedział? Coś o...

Zerwała się tak nagle, że krzesło przewróciło się z głośnym łomotem.

– Cuś ty powiedział? – spytała, chrypiąc tak, że prawie nie można było zrozumieć jej słów.  
– Że kto tera rządzi? Obdarowany?

Dolid wszedł do gabinetu Sajrona, nie kłopotząc się pukaniem. Usłyszał słowa Albany. Starannie zamknął za sobą drzwi i to on, nie Sajron, odpowiedział na jej pytanie.

– Jego Dostojność Protektor Imeskarii, Najwyższy Kapłan Boga O Wielu Obliczach, pieprzony Obdarowany Zebon – wypluł z siebie.

Albana omal nie rzuciła się na niego z pięściami.

– Ty wiesz.

– Wiem. Znam go aż za dobrze.

– Co to je!?! Co wy knujecie!

Dolid z rozmachem uderzył ją w twarz. Zatoczyła się od ciosu i szukając równowagi oparła o stół. Zielone oczy rozjarzyły się niebezpiecznie.

– Spokój.

Tyle było mocy i autorytetu w starczym, słabym głosie Sajrona, że Albana opuściła wzrok, a Dolid rozluźnił napięte mięśnie.

– Uspokójcie się obydwójcie i siadźcie – powtórzył Sajron. – Nie czas teraz na zwady. Przyjacielu, wyjaśnij Albanie sprawę Zebona.

Bibliotekarz popatrzył spode łba na siedzącą naprzeciw kobietę. Ciągle widać było po niej wzburzenie, ale oddychała równo, a jej oczy straciły swój niezwykły blask. Wstał.

– Zebon jest Obdarowany. Taka jest prawda. Znam go, bo był uczniem Sajrona. Zdolnym uczniem, ambitnym.

– Zbyt ambitnym – wtrącił starzec cicho.

– Nie zadowalała go pozycja, przywódcy garstki obdartusów bez dachu nad głową, bez przyszłości. Porzucił Obdarowanych. Miał własne plany...

– Chciał nas wydać – wtrącił znów Sajron. – Dolid przekonał mnie, abym zbadał jego umysł, podejrzewał go o złe zamiary. Miał rację...

– Powinienem był go zabić. Zrobiłbym to, gdybyś mnie nie powstrzymał.

– Nie wiadomo. On był silny, obciął ci ucho... To on mógł wygrać.

– Nie dałeś mi szansy.

– Obróciłby twój miecz przeciwko tobie...

– Ale ty nie dałeś mi szansy!

Zapadła cisza. Albana oswajała się z wiadomościami. Sajron i Dolid milczeli, popatrując na siebie spod oka.

– Trza go było zabić, kiej była okazja – odezwała się wreszcie kobieta mściwie. – Nie boisz się, że tu przyjdzie i wyrżnie nas wszystkich?

– On nie zna położenia Twierdzy. Znaleźliśmy to miejsce już po jego odejściu – powiedział zgaszony Sajron. – Więc i ty uważasz, że popełniłem błąd?

– Słyszałeś, co mówił Benektus, co się dzieje w Loenie i wyprawia po wsiach. To wszystko za jego sprawą, a ty go chcesz bronić, usprawiedliwić? Czego on się boi tera, kiedy jest najpotężniejszy w królestwie?

– Nie bronię go, Albano... Lavalla wyczuła jego strach. Zebon nie przesłuchiwał jej

osobiście, przeciwnie, unikał jej, ale Lav wystarczyła chwila. On jest obłądnie przerażony. Oprócz ambicji, to strach popycha go do działania. Pewnie dlatego jest taki bezwzględny wobec Obdarowanych, bo chce odwrócić uwagę od siebie. Tak, Dolidzie, czas przyznać: żałuję, że cię powstrzymałem. Ale nie o tym...

Ktoś załomotał do drzwi.

– Co u licha? Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

Sewek wsunął przyszczatą twarz i zaczerwienił się, widząc groźne spojrzenia, jakimi obrzuciła go cała trójka.

– Wybaczcie – rzucił. Obok niego przepchnęła się Marnia.

– Crysta rodzi – powiedziała. – Yol prosi, żebyś natychmiast przyszła, Albano.

Poród był długi. Dziecko źle się ułożyło i Crysta mocno krwawiła. Szybko słabła i Yol nie miała nadziei na uratowanie jej i dziecka.

Albana patrzyła na czerwone od krwi prześcieradła. Była napięta jak struna, w głowie kłębiły jej się dziesiątki myśli, ale widok cierpienia Crysty stłumił je, odsunął na bok. Zamiast snuć jałowe rozważania, rozpamiętywać przeszłość, mogła działać. Odetchnęła głęboko i jeszcze raz przyjrzała się coraz bledszej położnicy.

– Ona umiera. Ale pamiętam, jak Mei... – zamyśliła się na chwilę, wspominając dzieciństwo. – Nie ma co czekać. Trza jej rozciąć brzuch. – Zdecydowała w końcu. – Przynieś wódki i ostry długi nóż. I niech nikt nie waży się nam przeszkadzać.

Stojącej z boku Yol zdawało się, że śni koszmarne sen. Patrzyła, jak ledwo przytomna Crysta pociąga duży łyk gorzałki i zagryza w zębach kawałek drewna, jak skupiona Albana ostrożnie nacina skórę nawydętym brzuchu położnicy. Czowała zapach krwi i ekskrementów, słyszała przyspieszony oddech, a potem przeraźliwy krzyk rodzącej i ciszę, kiedy Crysta zemdliała. Ścisnęła dłonie w pięści, aż pobieleły jej kostki, a serce wstrzymało bieg. Po bardzo długiej chwili dobiegło ją słabe popiskiwanie dziecka. Machinalnie wzięła w ramiona okrwawionego noworodka i przetarła zmarszczoną buzię.

– Połóż dziecko, Marnia się nim zajmie. Zesyłam Cryście brzuch, a tera trza opatrunek zrobić i napoić ziołami tamującymi krew... I niech tu kto posprząta, wygląda jak w jatce – pogoniła ją Albana.

Nagle w pokoju zaczął się ruch. Yol wybiegła prędko, żeby przygotować napary, Marnia, cały czas czuwająca za drzwiami, zajęła się kwilącym cicho niemowlęciem. Ktoś jeszcze wsunął się do pokoju i zmył krwawe plamy.

Albana usiadła ciężko na krześle obok łóżka. Niecierpliwym ruchem odgarnęła opadające na czoło włosy, które wysunęły się z warkocza. Z niedowierzaniem wpatrzyła się w swoje unurzane we krwi dłonie i wytarła je w suknię. Crysta jęknęła i poruszyła się na łóżku, na nowo przykuwając jej uwagę.

– Żyj – szepnęła do niej Albana. – Masz syna. Żyj dla niego. – Pogładziła ją pieszczotliwie po mokrych od potu włosach.

Dziewczyna całą noc spędziła przy położnicy. Zrobiła wszystko, co potrafiła i Crysta wciąż żyła, dziecko również.

Było południe następnego dnia, kiedy wróciła wreszcie do siebie. Z ulgą zanurzyła się w balii, którą ktoś dla niej przygotował. Przestygła już woda zaczerwieniła, się od krwi, ale przyniosła ukojenie napiętym mięśniom. Nie tknęła jedzenia.. Przebrała się w czystą koszulę i weszła do łóżka.

Sen nie przychodził. Gdy tylko zamykała oczy, widziała rozcięty brzuch rodzącej, jej

wyrzywioną bólem twarz i okrwawione ciało dziecka. Wreszcie usiadła w pościeli i otoczyła kolana ramionami. Musiała zająć czymś myśli, żeby uciec od tych obrazów.

Wieczorem Dolid zapukał do drzwi komnaty na wieży. Albanie krew ścięła się w żyłach, kiedy ujrzała bibliotekarza.

– Umarła? – spytała chrapliwie.

– Crysta? Nie. Ona i dziecko mają się lepiej. Ocaliłaś im życie. Ulga, jaką poczuła, niemal odebrała jej siły.

– Pierwszy raz mam ochotę pomodlić się do tego waszego Boga – szepnęła. – Chciałeś czegoś?

– Sajron mnie przysłał – mruknął Dolid. – Prosi, żebyś przyszła do biblioteki. I pogratulować ci chciałem. Dobrze się spisałaś.

Kobieta zarumieniała się z radości, bo bibliotekarz nie należał do osób szafujących pochwałami. Niespodziewanie ujęła go pod rękę i razem wyszli z pokoju. Korytarze Twierdzy były puste, a ze świetlicy dochodziły radosne okrzyki. Widać małżonek Crysty, Molend, razem z innymi świętował narodziny syna.

Biblioteka była mroczna i obca. Kiedy Sajron wychynał niespodziewanie spomiędzy regałów, Albanie zdawało się, że ujrzała ducha. Straciła orientację w labiryncie szaf i stołów, i jedynym drogowskazem była dla niej jasna szata Sajrona. Zatrzymał się przed jedną ze ścian i pociągnął za uchwyt pochodni. Mur z cichym zgrzytem obrócił się, odsłaniając ciasne przejście. Dolid zapalił świecę i pierwszy ruszył w ciemność. Weszli w gardziel korytarza, a ukryte drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie.

Albana patrzyła na to wszystko zdumiona i oszołomiona. Za każdym razem, kiedy zdawało się jej, że posiadała już wszystkie sekrety Twierdzy, natykała się na nową tajemnicę.

Znajdowali się w kwadratowym przedsionku, z którego wiodły strome schody w dół. Stopnie były wąskie i nierówne, stąpała więc ostrożnie i powoli. Obaj mężczyźni szli pewnie, nie patrząc pod nogi. Schody prowadziły do szerokiego tunelu. Dało się w nim wyczuć powiew powietrza, a płomień świecy wychylił się w prawo. Ale zamiast podążyć tamtędy, przystanęli w ciasnym załomie korytarza. Kobieta poczuła, jak kręci się jej w głowie i brakuje tchu. Powróciło uczucie osaczenia, które prześladowało ją na początku pobytu w Twierdzy. Dolid nacisnął wystający kamień w na pozór ślepych murze i znów jego fragment przesunął się, odsłaniając spore pomieszczenie. Półki wypełnione były księgami i zwojami. Na środku stał kamienny stół na solidnych podporach, przypominający ołtarz ofiarny, a obok niego zwykłe drewniane krzesło z poduszką na siedzeniu. W tej ponurej, zakurzonej komnacie jej pstrokata poszewka wydawała się absurdalnie swojska i zwyczajna.

– Co to za miejsce, Sajronie? – spytała Albana, wzdrygnąwszy się od chłodu, który ciągnął od ścian. – Dlaczego jest takie niedostępne?

– Te księgi to najcenniejszy skarb Ostatniej Twierdzy. Mamy tu rękopis „Kronik Imeskarii” i pamiętników Domunda, bohatera smoczjej wojny. Ten zwój – wskazał na niepozorny, pożółkły zwitek papieru – to historia przeprawy przez Góry Przejścia spisana przez potomka jednego z tych, którzy przeżyli. A to – spojrzął na oprawione w deszczułki tomy – są historie Obdarowanych, wszystkich, których spotkałem albo słyszałem o nich. Jest tu również twoja historia, Albano.

– Moja historia – powtórzyła bezwiednie.

– Wszystko, co opowiedziałaś i to, czego dowiedziałem się z twoich wspomnień. Zabierz te papiery, kiedy będziemy wychodzić i przeczytaj. Powinnaś poznać prawdę.



- Nie powiedziałeś mi wszystkiego – stwierdziła z goryczą kobieta.
- Wiesz, kim jestem?
- Spisałem to, co zachowałeś w pamięci, reszty mogę się tylko domyślać. Porozmawiamy o tym kiedy indziej – zbył ją.

Umościł się na krześle i wsunął dłonie w rękawy szaty. Albana i Dolid przysiedli na stojącej w kącie zakurzonej skrzyni.

– Nie miałaś pewnie czasu zastanowić się... – zaczął Sajron, ale kobieta przerwała mu, energicznie kręcąc głową.

– Nie mogłam zasnąć – mruknęła. – Myślałam o smokach i o Zebonie. Powiedz, czemu nie skorzystał z Daru, żeby wyrwać się Keranom? Co on umie?

– Panuje nad przedmiotami. Zdaje mi się, że Zebon czekał, aż ci zbóje posną i wtedy chciał uwolnić siebie i Emausa. A wtedy zjawiałaś się ty.

– Nie ucieszył się pewnie, że weszłaś mu w paradę i nie jemu przypadła zasługa uwolnienia króla – wtrącił się milczący dotąd Dolid.

– Smoki, Albano – przypomniał starzec, drżąc z niecierpliwości.

– Powiedz, co przyszło ci do głowy.

– Niewiele – przyznała Albana. – Przywykłam do myśli, że przestraszyły się ludzkiej potęgi. Ale przecież, gdyby zjednoczyły siły, pokonałyby Forsytha i jego żalosną armię. Było ich przecież tak niewielu... Zabicie pojedynczego potwora to jedno, ale zgładzenie wszystkich naraz? Prawda, że Obdarowani bardzo urosli w siłę. Mogli przejąć część smoczyczarów i wykorzystać je... Jeśli tak, stali się groźni dla Forsytha, dlatego się od nich odwrócił.

– Tak pewnie było – mruknął cicho Sajron, ale dziewczyna nie słuchała.

– Bestie mogła powalić zaraza, ale wtedy nie uciekłyby przecież, tylko pomarły – ciągnęła.

– Mogły odlecieć, szukając nowego lądu, gdzie żyłyby w spokoju, ale skoro wybrały Imeskarię, kiedy ich wyspa wybuchła, to znaczy, że w pobliżu nie ma innej ziemi. Po co miałyby wyruszać w nieznaną? Nie, to równie głupie jak...

– No – ponaglił ją starzec.

– Pomyślałam jeszcze, że Forsyth zawarł z nimi pakt, rozejm... czy jak to nazwać. Ale to chyba niemożliwe.

Dolid spojrział na nią z ukosa. Sajron wstał i zdjął z półki pożółkłe karty związane rzemieniem. Ręce drżały mu tak mocno, że nie potrafił go rozsupłać. Rozciął go wreszcie, zirytowany własną niemocą.

– To pamiętnik Kelosa, jednego z dowódców Forsytha. Był od początku jego stronnikiem i brał udział prawie we wszystkich potyczkach. Pod sam koniec wojny, w ostatniej bitwie, został ciężko ranny i nigdy już nie zrobił samodzielnie jednego kroku. Resztę życia spędził przykuty do łoża. Wtedy powstały te zapiski. Posłuchaj.

Odnalazł jedną z kart i zaczął czytać, wodząc kościstym palcem wzdłuż wyblakłych liter.

„Wiele dni minęło od ostatniej wyprawy, lecz my ciągle odpoczywaliśmy ukryci w ruinach Celebonu. Jadła było już mało, a i o wodę coraz trudniej, bo mieszkańcy przed swoją ucieczką zatruli studnie. Miast ruszać dalej i szukać następnej sposobności ubicia bestii, tkwiliśmy w tym zrujnowanym, pełnym trupów mieście. Forsyth nic sobie nie robił z naszych rad, żeby uciekać, nim smoki nas odkryją. Może i miesiąc tam popasaliśmy. Dopiero kiedy znów ruszyliśmy w pole, okazało się, że prawie połowa czarowników została pokonana przez jakąś chorobę. Baliśmy się zarazy, ale uzdrowiciel powiedział, że pomarli z wyczerpania po ostatniej walce.”

Starzec odłożył kartę, a potem wyciągnął następną.

– A co było później?

„Obudziłem się w środku nocy zdjęty lękiem niezwykłym. Ludzie wstawali z posłań i popatrywali na siebie wystraszeni. Choć na niebie świecił księżyc, to na trzy kroki nic widać nie było, a ogień przygasł i rozpalić się nie dawał. Długo to trwało. Siedzieliśmy, drżąc ze strachu, bez słowa jednego. Potem wichur zerwał się straszliwy, ale dłużej tylko chwile. Kiedy ustał, powietrze oczyściło się, a trwoga ustąpiła. Na powrót legliśmy do snu, znaki czyniąc, żeby złe odegnąć.”

– Smoczy strach – szepnęła Albana. – W pobliżu był smok.

– A teraz najważniejszy chyba fragment.

„...nijak mi było stać na ich drodze z kutasem w garści i przykucnąć musiałem w krzakach niczym baba. Forsyth i trzech czarowników spomiędzy krze wyszli i do obozu się udali. Król oczy miał wytrzeszczone i wyglądał jak zestrachany bardzo. Do piersi coś przyciskał, skrzynkę jakby, ale w ciemności trudno mi było rozeznaczyć. Przeszli mimo i usłyszałem tylko, jak ten z czarowników, co Forsytha za ramię trzymał, rzekł: po wszystkim.”

Wypytałem rano wartowników, ale zapierali się, że nikt z obozu nie wychodził. Pewnie król przykazał im milczeć.”

Sajron odłożył kartę. Dyszał ciężko, jakby przeczytanie tych paru słów wyczerpało jego siły.

– Reszta to opisy walk – rzekł Dolid, wpatrując się z niepokoju w starca. – Może skończymy jutro?

– Nie – wyszeptał Sajron. – Nie zostało mi wiele czasu. Śmierć stoi nade mną, czuję to. Co myślisz, Albano, powiedz.

Kobieta popadła w zadumę.

– Kiedy to się stało? To osikanie królewskiego majestatu? Blade wargi Sajrona drgnęły w uśmiechu.

– Tuż przed końcem wojny.

Albana potrząsnęła głową, aż spleciony warkocz chlasnął Dolidą w policzek.

– Ta choroba Obdarowanych... – mruknęła do siebie. – Mogli coś próbować na sobie i niektórzy zginęli. Smoczy strach, to dziwne. Smok wylądował obok i nie wyczuł ich? Albo inaczej. To Obdarowani zasiali smoczy strach. Może tego uczyli się w Celebonie. I co, sami od niego pomarli? Może... a może to rzeczywiście smok. To by oznaczało, że naprawdę zawarli układ. Mogło być tak...

Albana wstała i zaczęła przechadzać się po komnacie.

– Obdarowani znaleźli sposób na pokonanie smoków i w ruinach Celebonu wypróbowali go na sobie. Musiał być śmiertelnie niebezpieczny skoro tyłu zmarło i straszliwy zarazem, bo smoki pojęły zagrożenie.

Zaczęły się układy. Dlaczego? Bo gdyby zabrakło Obdarowanych, Forsyth przegrałby z kretelem. Spotkali się. Może to pierwsze spotkanie było zbyt blisko obozu, stąd ten smoczy strach. Czemu w tajemnicy? Inaczej Forsyth nie zostałby bohaterem, a jemu pewnie już wtedy marzyła się korona. Potem był koniec wojny. Ludzie zwyciężyli, on zasiadł na tronie. Pozostali Obdarowani, świadkowie i wspólnicy jego postępu. Trzeba było ich zgładzić. Ale to nie wyjaśnia bierności Obdarowanych. Stali się potężni, zagrozili smokom. Skąd ta pokora wobec Forsytha, dlaczego pozwolili się zniszczyć? Nie rozumiem tego, nie rozumiem... Wy wiecie? – Nie.

– Ale wierzyć, że Forsyth zawarł ze smokami przymierze?  
– Tak, Albano, jestem o tym przekonany – potwierdził cicho Sajron. – Wiele lat zajęło mi zrozumienie tego wszystkiego, ale tylko przy takim wyjaśnieniu, wszystko nabiera sensu. Myślę, że Forsyth zawsze bał się, że smoki wrócą. Chyba nie zaufał im do końca, a może pakt mówił o czymś, czego nie wiemy...

– I pewnie się nie dowiemy. Ale skoro znasz prawdę, to dlaczego nic nie zrobiłeś. Powinno się ostrzec ludzi, przygotować do obrony – gorączkowała się Albana.

– A co podług ciebie można zrobić? – wtrącił się szorstko Dolid.

– Dopóki żyli potomkowie Forsytha, wszystko zdawało się utrzymywać w równowadze. Nigdy nie zredukowano armii, na wieżach zawsze tkwili obserwatorzy. Dopiero Zebon wprowadził zmiany. Gdybyśmy mogli chociaż... – zawiesił głos i spojrzał na Sajrona, a kiedy ten ledwo dostrzegalnie skinął głową, dokończył – znaleźć ten przeklęty papier.

– Jaki papier? – spytała nieufnie kobieta, której uwadze nie uszła ta wymiana sygnałów.

Sajron znów sięgnął po kartę ze wspomnień Kelosa.

– „Do piersi coś przyciskał, jakby skrzynkę...” – przeczytał. – Kto wie, co zawierała.

– Myślicie, że oni spisali umowę? To jakieś szaleństwo... Smoki, ugody, pakt. A może wy dwaj postradaliście rozum? Wymyśliliście to, żeby mię nastraszyć, poddać próbie?! – Głos jej się załamał, a ciało sprężyło, jakby w oczekiwaniu na atak.

– Nie – cichy, starczy głos Sajrona zabrzmiał równocześnie ze stanowczym zaprzeczeniem Dolida. – Pokaż jej.

Bibliotekarz wstał ze skrzyni i podszedł do jednej z półek, odsunął ją i zaczął gmerać po ścianie.

– Zdaje nam się, że coś znaleźliśmy – wyjaśniał równocześnie starzec, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

– Co? Umowę ze smokami?

– Może – przytaknął ostrożnie.

– Jak to „może”? Co to jest? Tekst spisany w niezrozumiałym języku? Artefakt?

– Znaleźliśmy to.

Dolid położył na stole pakunek zawinięty w owczą skórę. Rozpakował go i odsunął się, żeby dziewczyna mogła się przyjrzeć.

Na stole leżał szarawy, jakby wycięty z kamienia blok o prostokątnych ściankach bez żadnych ozdób.

Albana pochyliła się nad nim, jedną ręką chowając medalion, który wysliznął się jej zza gorsetu sukni, a drugą chcąc dotknąć tajemniczego przedmiotu.

– Nie ruszaj! – krzyknął Sajron i rozkaszał się gwałtownie. Dolid złapał ją za ramię i odciągnął od stołu.

– Nie wiesz, głupia, że smocza łuska jest zabójcza dla Obdarowanych?! Mogłaś się poparzyć! Mogłaś umrzeć! – wrzeszczał, trzymając ją tak mocno, że twarde paznokcie poszarpały rękaw sukienki, przebiły delikatną skórę.

– Nnie... – zaszczekała zębami Albana.

– Nie krzycz na nią, Dolidzie. Skąd mogła wiedzieć, że to smocza łuska. Wygląda tak niepozornie – wtrącił się Sajron, opanowawszy kaszel. – Tak powstało twoje znamię, Albano. Ktoś położył ci na piersi smoczy talizman.

Kobieta wyszarpnęła się Dolidowi. Jej ręka mimowolnie powędrowała do złotego znamienia i znów natrafiła na wisior. Z irytacją wepchnęła go pod sukienkę.

– I niby co to ma być? – spytała gniewnie, chcąc ukryć strach, który ją nagle ogarnął. – Przecie to wygląda jak zwykły kamień.

– Patrz – szepnął Sajron.

Zbliżył drżące dłonie do przedmiotu, ale nie dotykał go. Jakby pod wpływem ich ciepła blok nagle ożył. Otoczyła go delikatna poświata. W jednorodnym zdawałoby się kawałku smoczej łuskizaznaczyła się nagle rysa, a ponad nią owalne wgłębienie. Im bardziej Sajron opuszczał dłonie, tym blask stawał się wyraźniejszy. Zafascynowana tym widokiem Albana nagle poczuła, jak coś szarpie się jej na piersiach, parzy, dusi. Zabrakło jej tchu, w uszach szumiało, a nagły ból rozsadzał czaszkę. Konwulsyjnie szarpnęła sznurówkę sukni. Medalion, który otrzymała od Emausa i bez ustanku nosiła, drgał i wibrował. Łańcuch wbił się w szyję pozbawiając oddechu, a zawsze chłodny wisior parzył żywym ogniem.

– Przerwij – wycharczała. – Przerwij...

Sajron skupiony nad blokiem nie usłyszał jej, ale Dolid obejrzał się na dziewczynę.

– Przeerwij...

– Przestań! – wrzasnął bibliotekarz. – Zabijesz ją!

Wyrwany z transu starzec drgnął, podniósł ręce i zamrugał nieprzytomnie oczyma. Poświata zniknęła.

Albana z cichym westchnieniem osunęła się na podłogę.

– Co się stało? – wybełkotał Sajron. – Co jej się stało?

Dolid oparł bezładne ciało o skrzynię i delikatnie poklepał po policzku.

– Masz tu wodę?

Sajron niezdarnie sięgnął na jedną z półek i zdjął zakurzoną butelkę.

– To wódka. Co się stało, Dolidzie?

– Ona nosi klucz – stwierdził krótko bibliotekarz.

Wlał parę kropli do zaciśniętych warg kobiety. Zakrztusiła się i otworzyła oczy.

– Medalion – wychrypiała. Namacała go i zamknęła w dłoni. Był zimny jak zwykle. Pod palcami poczuła znajomy rysunek. – Medalion Emausa.

Sajron pociągnął solidny łyk z butelki, którą odebrał Dolidowi. Opadł ciężko na krzesło. Bibliotekarz dzwignął Albanę i posadził na skrzyni.

– Mało co widziałem – mruknął niepewnie w stronę Sajrona. – Patrzyłem na szkatułę. Ale ona nosi klucz, to pewne. Kiedy próbowałeś, kiedy trzymałeś nad skrzynką dłonie...

– Rozgrzał się, zaczął się szarpać, jakby chciał się zerwać. Prawie się udusiłam – dokończyła Albana ciągle drżącym głosem. – Jaki klucz?

– Szukaliśmy tak długo, Lavalla omal nie zginęła, a ona miała go ze sobą cały czas – szepnął z goryczą starzec. – Był tak blisko przez tyle lat.

– Jaki klucz? Co ma do tego Lavalla? – spytała ochryple.

– Nie rozumiesz?! – krzyknął Dolid. – Twój medalion to pewnie klucz do tej skrzynki. Lavalla szukała go na zamku. Dlatego tam była. Jeśli to – wskazał na szkatułę – zawiera pakt, to klucz miał król. Ale Cenuth zmarł nagle i nie zdążył przekazać synowi tajemnicy. Dał mu tylko medalion. A Emaus, nie znając jego prawdziwej wartości, dał go tobie. Tobie!

Tyle było złości i goryczy w jego słowach, że Albana odsunęła się wystraszona.

– Lepiej sprawdźmy, co tam jest – wtrącił się Sajron. – Może się okazać, że to wszystko nie warte zachodu... Otwórz szkatułę, Albano.

– A skąd wyją macie? – wymruczała podniecona nagle dziewczyna, ściągając posłusznie wisior. Zapomniała już o strachu. Teraz liczyła się tylko tajemnica, która już za chwilę mogła

zostać rozwiązana.

– Później ci opowiem. Zróbmy to wreszcie, tak długo czekałem.

Albana podeszła do stołu. Pociągnęła skórę, na której leżała szkatuła, na brzeg kamiennego blatu. Smocza łuska znów zaczęła jaśnieć, a wisior rozgrzał się w jej dłoni. Obracała go chwilę, a potem zdecydowanie przytknęła do widocznego wgłębienia, unikając dotknięcia smoczej łuski. Kamień rozbłysnął zielonym płomieniem i przylgnął do skrzynki. Ledwie widoczna wcześniej rysa pogłębiła się, widać już było zarys wieka. Po chwili uchyliło się bezgłośnie.

Poczuła na szyi oddech Sajrona, kiedy niemal równocześnie pochylili głowy. W środku był flakon wypełniony ciemną cieczą i dwa zwoje. Albana wyjęła jeden, Sajron zabrał drugi, opatrzony pieczęciami. Rozwinęła ostrożnie pergamin i zaczęła czytać. Sajron, nie mogąc rozsuptać sznureczka z pieczęcią, złamał ją i rozprostował kartę.

– Nie! – krzyknęła nagle dziewczyna. – Nie ruszaj tego!

Z przerażeniem spojrzała na starca, który zdziwiony wpatrywał się w nie zapisaną stronicę.

– Tu nic nie ma – powiedział rozczarowany. – To zwykły pergamin.

– Och, co ty zrobiłeś – zawodziła kobieta. – Nie powinniśmy tego ruszać. Co ty zrobiłeś...

– Co takiego? – spytał gniewnie Sajron, ssąc palec, na którym pojawiła się kropla krwi. – To tylko czysta kartka, zwykła kartka. Niech to szlag trafi!

– Nie rozumiesz – szlochała Albana. – Tu jest wyjaśnienie. Starzec nagle poczuł, że kręci mu się w głowie. Oparł się o stół.

– Co tam jest napisane? – spytał Dolid z nagłym niepokojem. Wytarła rękawem nos i pośpiesznie zaczęła czytać:

„Strzeżcie się wy, którzy dla pustej ciekawości zbadać chcecie tajemnicę. Ten, który z królewskiego rodu nie pochodzi, a pieczęć złamie, zginie w mękach straszliwych, tekstu nie odczytawszy”.

Sajron poczuł, że spływa potem. Język mu zeszywniał, z kącików ust spłynęła ślina. Nogi zrobiły się nagle zbyt słabe, by unieść drżące ciało. Osunął się na podłogę, dygocąc i skręcając w drgawkach.

Dolid przyskoczył do niego i przycisnął do kamiennej posadzki.

– ...aaaj – wybełkotał starzec. – Ty, aaaj...

– Nie, Sajronie. Nie możesz umrzeć. Nie tak, nie ty – łkała kobieta.

– Zamknij się. On coś mówi – uciszył ją Dolid i przyłożył ucho do ust umierającego.

– Albaa... czytaaj, mussii... – charczał Sajron.

Oczy wyszły mu z orbit, ręce daremnie szukające oparcia, targały szatę Dolidą.

– Oonnaa...

Zwój, który upuścił Sajron, leżał na podłodze. Albana podniosła go szybko.

– Nie! – krzyknął Dolid.

Pieczęć wyglądała na nienaruszoną, więc przełamała ją błyskawicznie. Lak w jej rękach pękł na trzy części. Poczuła drobniutkie ukłucie, ale nie zważała na to. Rozwinęła rulon. Pod wyblakłym atramentowym tekstem rozbłysły czerwienią dziwne, obce znaki.

Przeczytała:

Ja, Forsyth, przywódca ludu Imeskarii, a wkrótce z bożej łaski król tego kraju, zawieram to przymierze w trosce o dobro mego narodu.

Uznając wielkość i moc swych przeciwników w osobach smoków, uważamy tę wojnę za

bezczelową, a mogącą doprowadzić do zagłady obu nacji.

W wyrazie dobrej woli godzę się na pozostanie w Imeskarii smoka, który dni swoich dożyje nienękany. W zamian smoki opuszczą tę ziemię i nie będą próbowały zająć jej ponownie. Zemsty szukać nie będzie żadna ze stron, na uwadze mając własne dobro.

Co zostało związane niech nikt zerwać się nie ośmieli.”

Pod tekstem widniał zamaszysty podpis Forsytha i błyszczący czerwienią obcy symbol.

Sajron ciągle drgał w konwulsjach. Nie dał żadnego znaku, czy dosłyszał i zrozumiał słowa paktu. Dolid trzymał jego rękę, jakby ten uścisk miał chronić przyjaciela przed odejściem. Albana na powrót rozszlochała się cicho. Nie próbowała nawet ratować umierającego. Wiedziała, że to koniec.

Odruchowo zwinęła papier i odłożyła pismo do kasetki. Pieczęć znowu była cała. Potem wzięła drugą kartę, tę z ostrzeżeniem. Dopiero teraz na drugiej stronie dojrzała drobniutki rząddek liter. Z trudnością odcyfrowała:

„Jeśliś królewskiego rodu i Obdarowany zarazem, możesz i ty zginąć. Ale jeśli przeżyjesz, wiedzę i moc posiędziesz, jakiej niewielu doznało”.

Spojrzała na swoje dłonie. Z drobnej ranki na palcu sączyła się krew.

Runęła w ciemność.

Dolid patrzył z przerażeniem, jak dziewczyna blednie i pada na kamienną podłogę. Wypuścił kościstą dłoń Sajrona i podszedł do Albany. Żyła. Puls miała słaby, ale leżała spokojnie, jakby zapadła w drzemkę. Natarł jej skronie wódką, spróbował wlać parę kropli do gardła, ale tym razem nie poskutkowało.

Tymczasem starzec skonał. Jego ciało wydawało się kruche i drobne, usta zastygły w upiornym grymasie, a wytrzeszczone oczy nie chciały się zamknąć pod łagodnym dotykiem bibliotekarza. Dolid czuł, że łzy spływają mu po twarzy i nie wstydził się ich. Sajron był jego przyjacielem, nauczycielem, doradcą. Zapewniał poczucie bezpieczeństwa nie tylko jemu, ale całej gromadzie wygnańców, stworzył im przystań, która chroniła przed szaleństwem realnego świata. Z jego śmiercią kończył się ten prawie beztronski okres. Bibliotekarzem wstrząsnął dreszcz. Trzęsącymi się rękoma złapał butelkę gorzałki i opróżnił ją do końca. Pałący smak i ciepło, które rozlało mu się w żołądku, sprawiło, że wziął się w garść. Rozejrzał się, szukając czegoś, czym mógłby okryć zwłoki Sajrona. Nie potrafił znieść wyrazu udręki, który utrwalił się na obliczu jego mistrza. Wreszcie wydobył z kufra ciężką narzutę, która niegdyś zdobiła kamienny stół. Zasłonił nią ciało przyjaciela, a potem z wahaniem spojrzał na ciągle otwartą kasetę. Poczł nagłą wściekłość. Gdyby nie ten przeklęty przedmiot Sajron żyłby jeszcze. Miał ochotę cisnąć ją o ścianę, zniszczyć, zapomnieć o jej istnieniu, jednak rozsądek przeważył. Wsunął do środka oba zwoje i flaszkę, której nikt nie zdążył uważnie obejrzeć. Pod dotykiem jego dłoni blask ciągle otaczający smoczą łuskę przygasł. Zamknął wieko.

Wisior odpadł od szkatuły, która znów przypominała zwykły kamienny blok. Wsadził medalion do kieszeni, wziął na ręce nieprzytomną Albanę i, cicho przemykając korytarzami, zaniósł do komnaty na wieży. Potem wrócił po Sajrona. W alkowie ułożył trupa na łóżku przodem do ściany i okrył tak, że z pościeli wystawała tylko ręka. Na końcu poskładał kartki z pamiętnika Kelosa, owinał szkatułę skórą i zostawił w skrytce. Kiedy usiadł przy łóżku Albany, miał uczucie, że ranek, który niebawem nastanie, będzie końcem świata, jaki znał.

Bazyl leżał na gołej ziemi okryty lichą derką, zmarznięty, brudny i nieogolony. W duchu kłął na Zebona, Jastrzębia i Krispa, herszta bandy, do której przystał. Dzwoniąc zębami z zimna, pomyślał, że na szczęście nie pada. Prawie w tej samej chwili ciemności rozjaśniła

potężna błyskawica, a z nieba lunęły potoki wody. Wysokie sosny, wśród których zbóje rozłożyli się obozem, nie dawały żadnego schronienia przed deszczem, a strzeliste pnie przyciągały pioruny. Bazyl nie ruszył się ze swojego miejsca, bo wszędzie było jednakowo mokro. Nie sposób było jednak leżeć, gdy całe ciało płało się w wodzie, usiadł więc, naciągnął dziurawy koc na głowę i, starając się zignorować szalejącą burzę, zaczął rozmyślać.

To, co wydawało się banalnie łatwe w Loenie, okazało się prawie niewykonalne na Rubieżach. Jego plan był prosty – miał zamiar przyłączyć się do Jastrzębia, zdobyć jego zaufanie i zarzącać przy pierwszej nadarzającej się okazji. Bazyl nie bardzo wierzył w historie, które słyszał o dzielności i przemyślności kapitana królewskich wojsk, z doświadczenia bowiem wiedział, że w opowieściach najblihsze zdarzenia nabierają heroicznego wymiaru. Jednak już w Mulacium musiał zrewidować swoje poglądy.

Tu, w sercu prowincji, Jastrząb okazał się postacią realną. W każdej gospodzie, na każdym targu ludzie opowiadali o jego wyczynach, wspominali miejsca i znajomków, którym ocalił życie. Na przydrożnych drzewach wisały naprędcy budowane klatki, w których tkwiły ogryzione przez ptaki ludzkie szczątki, bo Jastrząb znalazł prosty sposób na wymierzanie sprawiedliwości. Pozostawiał bandytów w zamknięciu bez jedzenia i picia. Uwięzieni mogli liczyć na to, że ktoś ich wypuści, ale ilość trupów dowodziła, że ludzie z Rubieży nie oznaczali się nadmierną wyrozumiałością. Po karczmach szeptano też, że gubernator Rhodes wspierał żołnierzy, podsyłając im żywność i złoto, a nawet wyposażył w nowe, jednakowej barwy kaftany, wszystkie ozdobione haftowanym znakiem jastrzębia.

Wiele dni Bazyl błąkał się po wertepach, wsiach i lasach, szukając kontaktu z oddziałem. Znalazł nawet dwa opuszczone obozy, ale nie potrafił osądzić, czy korzystali z nich bandyci czy żołnierze. Wypytywani wieśniacy uśmiechali się głupkowato, wytrzeszczali oczy, rozkładali ręce i przyjmowali pieniądze, których nie szczędził, lecz nie mówili niczego ponad to, o czym morderca już wiedział. Po tych niepowodzeniach Bazyl zaczął darzyć swojego przeciwnika niechętnym szacunkiem. Wykonanie rozkazu Zebona przestało być jedynie dobrze płatnym zleceniem i zyskało osobisty wymiar.

Wreszcie wściekły i rozczarowany wrócił na gościniec i skierował się do Syot, drugiego co do wielkości miasta prowincji. Było takie jak inne miasta. Ludne, ciasne i brudne. Wąskimi uliczkami płynęły ścieki, w gospodach podawano kiepskie piwo i mocną gorzałkę, a dziewczuchy szczyrzyły zęby i zadzierały wysoko ubłocone skraje sukien, pokazując nogi.

Po wizycie u balwierza i długiej kąpieli w drewnianym cebrzyku śmierdzącym kapustą przebrany w czyste odzienie Bazyl odzyskał humor i jasność myślenia. Porzucił zamiar dołączenia do Jastrzębia i zaczął rozważać nową strategię. W ciągu kilku następnych dniwizytował lepsze i gorsze karczmy, gospody i oberże. Siadał w kącie, unikał towarzystwa, ale patrzył i słuchał uważnie. Zainteresował go wreszcie młody panek, który pił na umór, szastał złotem i obłapiał dziewczki, nie bacząc na ich wiek i urodę. Zazwyczaj towarzyszył mu ponury, kryjący się w cieniu drab.

Dwa dni później, o świcie, młodzieniec wyruszył z miasta w towarzystwie wynajętej eskorty. Bazyl pozbywszy się swego wyszukanego stroju, podążył za nimi. Bez emocji patrzył, jak ochroniarze roztrzaskują łeb swemu chlebobdawcy, a potem, rzuciwszy trupa w krzaki, odjeżdżają pośpiesznie. Morderca skrycie podążył za nimi. Pierwszą noc spędził tak blisko ich ogniska, że mógł policzyć wszy łącające im po kołnierzach, ale zdrętwiałe mięśnie i igliwie we włosach były niewielką ceną za informacje, które zdobył. Cały następny dzień podążał tropem bandytów, a wieczorem uznał, że nadszedł odpowiedni moment.

Kiedy wkroczył na polanę i stanął w blasku ogniska, niczym nie różnił się od siedzących wokół zbójów. Ubranie miał brudne, zarost nie golony, a na dłoniach pełno siniaków i zadrapań. Na jego widok mężczyźni podnieśli się gwałtownie, ściskając w rękach noże, którymi przed chwilą okrawali kawałki mięsa skwierczącego na ogniu. Bazyl stał spokojnie, szczerząc zęby w uśmiechu, choć nerwy miał napięte do ostatecznych granic. Mimo biegłości, z jaką posługiwał się bronią, miałby niewielką szansę, gdyby doszło do starcia z trzema przeciwnikami.

– Witajcie kamraci – powiedział ochryple.

Zbóje patrzyli nieufnie. Nie odpowiedzieli na powitanie ani nie opuścili oręża.

– Coście tak zaniemówili. Giv, nie poznajesz mnie?

– Ktoś ty? – warknął nazwany Givem.

– To tak gościa przyjmujesz? Naprawdę mnie nie poznajesz?

– Nie. Ktoś ty? – powtórzył zbój.

Bazyl przewrócił oczyma w udawanym oburzeniu.

– Na pieprzone Oblicza! Ty mnie nie poznajesz? Piłeś moją wódkę, chędożyłeś moją siostrę i mówisz, że mnie nie znasz? Krótką masz pamięć Givem od Krispa.

Giv jakby się zawahał. Postąpił krok do przodu i opuścił nieco rzeźnicki nóż. Pozostała dwójka pozostała na swoich miejscach, ciągle trzymając broń w pogotowiu, ale oczy błyszczały im ciekawością.

– Opuść ten kozik – uśmiechnął się pogardliwie Bazyl. – Twój bachor po moim podwórku biega, a ty mi przed nosem nożem machasz? Nie denerwuj mnie, Giv, tylko do kompanii zaproś.

Zaskoczony bandzior rozdziawił gębę i całkiem opuścił nóż.

– Ktoś ty, do cholery? – wymamrotał.

– Bazyl, głąbie, brat Sweny, coś ją ode mnie za pięć talarów kupił!

Dwóch bandytów wymieniło między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Nie dalej niż wczorajszego wieczoru Giv opowiadał, jak to za garść miedziaków kupił od jakiegoś nieznajomego dziewczkę wielkiej urody.

– Za pięć talarów, powiadasz – wystękał zaskoczony zbój. – Mnie się zdaje, że nie było więcej jak dwa.

– Tyle dałeś mnie – uśmiechnął się zimno Bazyl. – Resztę zabrała Swena, jakeś spał. To i tak niewiele na wychowanie twojego dzieciaka.

– Okradła mnie dziwka! – wrzasnął bandyta, ale widząc, że Bazyl sięga do pasa, zamachał rękami. – Bez obrazy. Umawialiśmy się na dwa. A niech tam.. I dzieciaka mojego chowasz?

– Ano, chowam – przytaknął obłudnie Bazyl. – A teraz ciężkie czasy nastały, oj, ciężkie. Macie co jeść?

– A pewnie. Siadaj – zaprosił go Giv szerokim gestem. – Skądeś się tu wziął, co?

Bazyl usiadł, wziął przypalonego gnata i zaczął łapczywie ogryzać.

– Rano was już wypatrzyłem, ale wolałem nie podjeżdżać, bo po lasach różni się kręca. Ale kiedym cię zobaczył, pomyślałem, że do kompanii mnie przyjmiecie. Tfu, zaraza, jakie twarde.

Rzucił kość z powrotem w ogień i rozejrzał się dookoła.

– A wódki nie macie? Bandyta smętnie pokręcił głową.

– Ledwo trocha zostało, tak żeby gardło przepłukać.

– Starczy i tyle. Dawaj. Zdrożonym wielce. Pociągnął łyk, skrzywił się i pociągnął drugi.



– Mocna siwucha.

Spojrzał na dwóch zbirów stojących ciągle w obronnych postawach.

– A oni kto? Niemowy? A może nieradzi z mojego towarzystwa, he?

Given zachichotał.

– A gdzie tam, niemowy. To kamraci moi. Ten to Bart, a drugi Husk.

– Wszyscyście od Krispa?

– A tobie co do tego? – sarknął wrogo Husk, któremu Bazyl nie spodobał się od pierwszego rzutu oka.

– Bo ja też do niego jadę. Przyłączyć się chcę. Jak rozbili Nosalową bandę, błąkam się tylko po gościńcu, ale w pojedynkę zarobek niewielki. Pomyślałem, że do Krispa dołączę. W kompanii zawsze raźniej, a i znajomek się trafił.

– Tyś był w bandzie Nosala? – zdziwił się Bart. – Ale stamtąd ponoć żywa noga nie uszła?

– Ano tak – westchnął Bazyl, który historię o pogromie bandy Nosala usłyszał w syońskiej karczmie. – Kto był w obozie, tego Bengh skosiła. Ale ja do wsi wtedy akurat skoczyłem, sprawdzić, czy atakować warto. No i zabarżożyłem z dziewczuchą. A kiedym wrócił... szkoda gadać.

Cała czwórka pokiwała smętnie głowami nad nieszczęsnym bandyckim losem. Tylko Husk dalej drażył.

– A skądś wiedział, że Giv jest od Krispa? Bazyl wyszczerzył groźnie zęby.

– A ty myślisz, że ja bym siostrę byle jakiemu łachudrze sprzedał? Przecie Giv nie pierwszy rok z nim wojuje. Nie tak jest, Giv?

– Ano tak – mruknął bandyta.

– A ty co? Nie wierzysz mi? Jak ci wszystkie zęby wybiję, to może łatwiej mnie do towarzystwa przyjmiesz – warknął Bazyl w stronę patrzącego nieufnie Huska.

Zbój zaczął już dźwigać się z trawy, kiedy powstrzymały go ręce Givena i Barta.

– Dajcie spokój – łagodzili. – Chcesz z nami jechać do Krispa, jedź. On sam osądzi, czy cię do kompanii przyjmie. A tera spać chodźmy, bo o suchym pysku gadać się nie chce.

– Chcecie to śpijcie, ja posiedzę. Kto wie może i mnie znajomek się trafi – skrzywił się Husk.

– Zostaw – tym razem Bart pohamował wstającego Bazyla. – Chce, niech siedzi.

Kiedy już leżeli przykryci derkami, łowiąc resztki ciepła z dogasającego ogniska, Bazyl usłyszał cichy szept Givena.

– A ten dzieciak na pewno mój?

– Na pewno.

– Dziewucha czy chłopak?

– Chłopak, a jakże. Podobny do ciebie jak dwie krople wody.

Giv ukontentowany odwrócił się na drugi bok i zasnął. Bart chrapał już donośnie, a skulony Husk ostrzył nóż o kawałek rzemienia, kiedy Bazyl zasnął wreszcie z ironicznym uśmiechem na ustach.

Krisp był niewysoki i tłusty, ale miał siłę i zwinność właściwą niektórym grubasom. Na lewej powiece rozrosła się czarna, rakowata narośl zasłaniająca prawie całe oko i nadająca mu odrażający wygląd. Ubrany był dziwacznie, w siermiężne chłopskie portki, karmazynowy kaftan, który nie dopinał się na spasionym brzuchu i brudny płaszcz lamowany futrem z herbową zaponą. Bazyl mało nie parsknął śmiechem na widok jego cudacznej postaci, ale widoczne oko herszta błyszczało wrogo i podejrzliwie, więc zakrył usta i pohamował

wesołość.

Mimo początkowej nieufności Bazyl został członkiem zbójeckiego bractwa. Pomogła rekomendacja Givena i fakt, że wielu dotychczas wiernych druhów opuściło potajemnie obóz. Większość z uciekinierów miała na nadgarstkach tatuaż z koroną i mieczem. Nie chcieli widać ginąć z rak niedawnych towarzyszy, a może liczyli, że przytacza się do Jastrzębia i wierną służbą zmażą swe haniebne postęпки. Tak więc Krisp, który został bandytą z zamiłowania, cierpiał na poważny niedobór odpowiednich ludzi.

Dni spędzane w zbójeckiej gromadzie były podobne do siebie jak krople ciągle padającego deszczu. Banda przenosiła się z jednego mokrego miejsca w inne, równie mokre, bo zatrzymanie się w karczmie było równoznaczne z samobójstwem, a solidniejszego schronienia Krisp nie chciał budować. Zbyt wiele słyszał o rzeziach, jakich dokonywał oddział Jastrzębia, wytropiwszy taką kryjówkę.

Po tygodniu tułaczki o głodzie i chłódzie Bazyl wreszcie postanowił ująć sprawy w swoje ręce i delikatnie przyspieszyć bieg wypadków.

Bibliotekarz spędził resztę nocy w sypialni Albany, nadaremnie próbując doprowadzić ją do przytomności, a potem po prostu patrząc na jej blade policzki i zamknięte oczy. Wymknął się do swojej izdebki tuż przed świtaniem, usiadł przy stole, ukrył twarz w dłoniach i czekał na przebudzenie się mieszkańców Twierdzy. Kiedy usłyszał przeraźliwy krzyk Sewka, pobiegł do alkowy, w której złożył zwłoki Sajrona.

– On nie żyje – powtarzał chłopak, rozmazując sobie łzy po twarzy. – Chciałem go zbudzić, ale jego ręka... całkiem zimna...

Smutna nowina szybko obiegła Ostatnią Twierdżę. Obdarowani gromadzili się przed sypialnią Sajrona, żeby oddać mu ostatni hołd, raz jeszcze spojrzeć na poorane zmarszczkami, pogodne, mądre oblicze. Wtedy stanął przed nimi Dolid z twarzą szarą od żałości, z zaczerwienionymi oczami.

– Nie wchodźcie tam – przekonywał przygnębionym głosem. – Sajron nie życzyłby sobie tego. Zawsze chciał, żebyście zapamiętali go takim, jakim był za życia.

Zrozumieli i odeszli, unosząc w sercach żal. Może nie przyjęliby nowiny tak spokojnie, gdyby dane im było ujrzyć ciało starca skręcone w udreće, wytrzeszczone oczy, grymas przerażenia i niewyobrażalnej męki zastygły na martwym obliczu.

Kiedy Albana nie pojawiła się na śniadaniu, na co wbrew zdrowemu rozsądkowi bibliotekarz liczył, wysłał do niej Yol. Poczul niemal ulgę, gdy przerażona uzdrowicielka opowiadała o stanie czerwono włosów kobiety. Czul się tak, jakby jego ból został rozłożony na wszystkich Obdarowanych, a tym samym łatwiejszy do zniesienia.

Wieczorem zwłoki Sajrona spłonęły na pogrzebowym stosie. Mieszkańcy Twierdzy w milczeniu patrzyli na strzelające w górę płomienie, na iskry przyskające z ognia i nie wstydziły się łez. Uczcili jego pamięć, wspominając uczynki, pogodę ducha i dobroć, jaką okazywał.

Wszyscy czuli, że z chwilą śmierci starca w ich życiu skończyła się pewna epoka. Ta, która miała go zastąpić, leżała bez przytomności w swojej sypialni, a Dolid zamiast poddać się smutkowi po stracie przyjaciela, wydawał się być coraz bardziej zniecierpliwiony i gniewny. Powszechnie sądzono, że w ten sposób próbuje ukryć swój ból, ale Lavalla, która nieopatrznie otwarła się na jego uczucia, niemal zemdląła z przerażenia, kiedy zalała ją fala strachu, jaką emanował bibliotekarz. Powoli Obdarowanych zaczęły ogarniać złe przeczucia.. Właściwie nikt nie wiedział, skąd się brały. Czy spoza zamkniętych drzwi sajronowej alkowy, czy z wyrazu twarzy Yol, kiedy wychodziła z komnaty Albany, czy z majaków, które zaczęły ich

nawiedzać. Ludzie budzili się z krzykiem na ustach z najgłębszego snu, złani potem, dygocący z przerażenia.. Rankiem wstydzieli się przyznać do koszmarów, wyrzucali z pamięci obrazy, które wyśnili, ale przy niejednym łóżku całą noc stała zapalona świeca. Lavalla chodziła coraz to bledsza, bo nie potrafiła się zamknąć przed uczuciami atakującymi zewsząd jej zmysły.

Dolid, który przejął zarząd Twierdzą, starał się być nieustannie zajęty i nie pozostawiał sobie wiele czasu na rozpamiętywanie tego, co zaszło. Kiedy jednak zaglądał do Albany lub zamykał się samotnie w swojej surowej izdebce, nie przestawał czynić sobie wyrzutów. Nie obwinał się o śmierć Sajrona, ale Albanie mógł pomóc, gdyby tylko zadziałał szybciej, gdyby od razu wezwał Yol, nim trucizna zdążyła się rozprzestrzenić w organizmie.

W nocy, po pogrzebie Sajrona, zszedł jeszcze raz do podziemnej komnaty i otworzył skrzynkę. Długo obracał w palcach zapieczętowany flakon, aż w końcu schował go z powrotem. Gęsta ciecz, która nie poddawała się wstrząsom, nie wzbudziła jego zaufania, a butelka mogła być chroniona podobnie jak Pakt. Wrócił na górę, niosąc kartki, na których Sajron spisał historię Albany. Czytał ją wieczorami, rozmyślając nad każdym słowem, doszukując się ukrytych znaczeń, lecz nie znalazł odpowiedzi na dręczące go pytanie: dlaczego kobieta zdolna była odczytać smoczy pakt? Natomiast wiadomość, że Albana jest zamężna, jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi. Sajron nie rozpisywał się o uczuciach, jakie łączyły ją z młodym Jeźdźcem Równin, ale między wierszami dało się wyczytać wiele o jej głębokim przywiązaniu do Calmina z klanu Fen, o dręczącej tęsknocie i żalu, że opuściła go tak pochopnie.

Dni mijały szybko wypełnione pracą. Mieszkańcy Twierdzy korzystali ze sprzyjającej pogody, orząc i obsiewając skaliste poletka. Ostre wiosenne słońce przygrzewało mocno, trawa zaczynała, zielenić się napastwiskach, niebieskie dzwonki i żółte kaczeńce rozchyłały płatki, wabiąc ospałe jeszcze po zimowym śnie owady. Martwe gałązki bluszczu oplatającego kamienne ściany budynku ożyły i otuliły mury zielonkawą poświatą. Górską dolinę budziła się do nowego życia.

W pokoju na wieży ciągle spoczywała pogrążona w letargu Albana. Dolid zachodził do niej co dzień, a bywało, że całe noce spędzał wpatrzony w wychudłą twarz okoloną splątanymi włosami. A kiedy znużony zasypiał na niewygodnym krześle, śniło mu się naznaczone cierpieniem oblicze Sajrona, Zebon, który z upiornym uśmiechem na trupiej twarzy podpalał stos i kobieta o skórze barwy roztopionej miedzi, wołająca do niego w udęce.

Albana zbudziła się w środku nocy w pełni świadoma, tak jakby zdrzemnęła się przy kominku na parę chwil. Z przerażającą dokładnością pamiętała wydarzenia w podziemnej komnacie, rozpoznając równocześnie znajome sprzęty w swojej sypialni. Czowała ciężar przygniatających ją skór, rozróżniała aromat ziół, którym przesiąknięte było odzienie skulonej w nogach łóżka Yol i zapach potu, jaki pozostawił po sobie Dolid.

Wstała, ochlapała twarz stojącą w misce wodą i zaczęła się ubierać. Wyszła, zanim przecierająca oczy uzdrowicielka zdążyła ją zatrzymać. Zbudzony przez zdumioną i przestraszoną Yol Dolid zastał ją w kuchni, gdzie wyjadała resztki pozostałe po wieczery.

Była bardzo wynędzniała, jej ciało wyglądało jak szkielet obleczony przezroczywą skórą. Na bladej twarzy wyraźnie odznaczały się brunatne plamki piegów, a zielone oczy wydawały się nienaturalnie duże. Nawet włosy – zwykle płomiennie czerwone – teraz wyglądały, jakby odebrano im barwę i opadały smętnie na czoło.

– Dobrze się czujesz? – spytała niepewnie uzdrowicielka, dotykając jej chłodnego czoła.

– Tak – mruknęła Albana pochłaniająca jedną pająkę chleba po drugiej. – Tylko głodna

okropnie jestem... Zajrzyj do tego garnka, czy tam choć trochę zupy nie zostało?

– Może ci ziół naparzyć? Na wzmocnienie?

– Później Yol. Idź, prześpij się, do świtu jeszcze daleko – poradził Dolid. – Ja się nią zajmę.

Yol pokiwała głową i z ulgą podreptała do siebie. Czowała, że tych dwoje skrywa jakiś sekret i nie chciała mieszać się w ich sprawę.

Dolid popijał piwo, którym raczyła się również Albana i przyglądał się myszkującej po kuchni dziewczynie. Oprócz tego, że była niezwyczajnie chuda, wyglądała normalnie, jak gdyby trucizna nie pozostawiła żadnych śladów w jej organizmie. Wspomnił skrecone w agonii ciało przyjaciela i poczuł nagłą złość.

– Sajron nie żyje – oznajmił oschle.

Albana otarła usta rękawem i odstawiła gliniany kubek.

– Przykro mi – szepnęła.

– I powinno ci być przykro, do cholery! – wrzasnął bibliotekarz, nie panując nad sobą.

– Obwiniasz mnie za jego śmierć? To nie ja nasączyłam trucizną pieczęcie.

– Wiem – przyznał Dolid po chwili milczenia. Przejechał dłonią po krótkich włosach, poskrobał się po brodzie. – Wiem, że to nie twoja wina, ale nie pojmuję... Dlaczego przeżyłaś? I jakim sposobem odczytałaś pakt? Kim ty jesteś? Jaką moc posiadałaś dzięki tej truciznie?

– Czuję, że coś się we mnie zmieniło, ale czy na lepsze... – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Jestem jakby silniejsza. Bo przecie po takim omdleniu powinnam długo słabować, a ja tylko głód czuję... Jak długo byłam nieprzytomna?

– Prawie dwa dziesiątki dni.

– Niemożliwe – szepnęła wstrząśnięta. – Aż tak długo? Opuściła głowę i objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– Czytałaś zapiski Sajrona? – spytała wreszcie po chwili milczenia. Dolid poczerwieniał.

– Czytałem – burknął. – I?

– Nic. Może ty odgadniesz w czym rzecz. Przyniosę ci je.

Wyszedł i wrócił po chwili, niosąc przewiązane rzemieniem kartki. Albana zabrała je i ruszyła do wyjścia. Oczy znów lśniły jej podnieceniem. Chciała jak najszybciej przeczytać historię utkaną ze swoich wspomnień.

Resztę nocy spędziła pochylona nad rękopisem. Gruba świeca wypaliła się prawie do końca, pozostawiając na stole zastygłą woskową kałużę, a kobieta na nowo przeżywała śmierć matki na leśnej polanie, zabójstwo Kagana czy spotkanie z Calem. Inne wspomnienia, te pochodzące z najwcześniejszego dzieciństwa, były niczym baśń. Bogaty dwór, zapach morskiej bryzy w powietrzu, krzyki mew... Sajron wiele miejsca poświęcił opisowi miejsc, które utrwaliły się w pamięci dziecka. Pisał o barwnych plamach arrasów na ścianach, srebrnym świeczniku, rzeźbionej w kształcie łodzi kołysce, lśniącej od klejnotów sukni matki i chłodnym dotyku ojcowskiego pierścienia z wrytym wizerunkiem smoka ugodzonego włócznią, który ściągnęła ze stołu i wetknęła do buzi.

Zatraciła się w tych obrazach, czytała wciąż na nowo i próbowała odnaleźć w nich siebie – kochane, rozpieszczone dziecko, którego przyszłość zmienił smoczy talizman położony na piersi.

Kiedy wreszcie oprzytomniała, pojęła, że wśród tych najwcześniejszych wspomnień musi kryć się rozwiązanie tajemnicy jej pochodzenia. Nie bez powodu Sajron poświęcił im tyle

uwagi. Zeszła do biblioteki i resztę dnia spędziła na grzebaniu wśród ksiąg, nie zważając na zaciekawione spojrzenia mieszkańców Twierdzy. A kiedy znalazła to, czego szukała, ogarnął ją historyczny śmiech.

Wieczorem przyszła do izdebki Dolida.

– Jadę do Celebonu – powiedziała bez wstępów. – Czas wyjaśnić te wszystkie tajemnice.

– Czego chcesz szukać w tych ruinach?

– Muszę wiedzieć, co stało się z Obdarowanymi, którzy tam zginęli. Może pozostały jakieś ślady, zapiski.

– Nie zgadzam się.

– Nie pytam cię o zgodę, Dolidzie, ja już postanowiłam. Nie będę czekać bezczynnie i żyć w wiecznym lęku przed niebezpieczeństwem, które może nigdy nie nadejdzie. Chcę poznać prawdę. Muszę też wiedzieć, co się ze mną stało, jaką moc mi dano. Może właśnie ja... gdybym stała się im podobna i odnalazła smoka... Może...

– Rozum ci odjęło!

– Tak, być może. Ale do Celebonu pojedę – powtórzyła uparcie Albana.

– Więc pojedę z tobą.

– Nie. Ty musisz zostać tutaj i zająć się wszystkim. Mieszkańcy doliny darzą cię szacunkiem i ufają. Gdyby stało się najgorsze i smoki wróciły, potrafisz ich obronić.

– To ciebie Sajron wyznaczył na swego następcę.

– On był już stary i nie dostrzegał pewnych rzeczy. Nie widział, że Obdarowani się mnie boją, unikają. Ty też mi nie ufasz, ostrzegałeś przecież Sajrona przede mną. Teraz powinienes być zadowolony, że chcę odjechać.

– Ale...

Albana podeszła do niego, położyła ręce na ramionach i spojrzała w oczy.

– Nie kocham cię Dolidzie i nigdy nie pokocham – powiedziała z bolesną szczerością. – Wiesz już, że związana jestem z Calminem. Tej nocy, kiedy wpadłam na ciebie w korytarzu widziałam go. Był ciężko ranny, nieprzytomny, może umierający... Dziękuję, że się mną wtedy zająłeś, ale sam wiesz, że to nie miłość popchnęła mnie w twoje ramiona, tylko żądza i strach. Mam cię za przyjaciela i niech tak zostanie.

Dolid wyswobodził się z jej uścisku i podszedł do okna. Stał tyłem, tak żeby Albana nie widziała jego twarzy. Patrzył na zasnuty chmurami blady sierp księżyca, na bielejące w oddali szczyty gór. Dureń, kołatało mu się pod czaszką, stary zakochany dureń!

– Dobrze – powiedział wreszcie chropawo. – Nie mam prawa cię zatrzymywać. Ale nie zgadzam się, żebyś jechała sama. Pojedzie z tobą ktoś, kto potrafi utrzymać miecz w garści. Kawałek dobrego żelaza więcej czasem znaczy niż największy nawet Dar.

– Niech tak będzie – zgodziła się niechętnie. – Stawiam tylko jeden warunek.

– Co znowu – warknął bibliotekarz.

– Mój towarzysz musi wiedzieć, na co się porywam i iść z dobrej woli. Nie chcę mieć na sumieniu życia jakiegoś bohaterskiego głupka.

Dolid skinął głową.

– Dobrze. Wyszukam ci kogoś odpowiedniego. Kiedy chcesz wyruszyć?

– Jutro przed świtem. Straciliśmy już zbyt wiele czasu.

## Część czwarta: Poszukiwana

W izbie panował przenikliwy ziąb. Wielki kominek, w którym można było upiec wołu, był zimny i ciemny. Okna szczelnie zasłonięto, a w lichtarzu płonęła pojedyncza świeca. Okryci ciepłymi płaszczami goście pachnieli lasem, mocną gorzałką i koźmi. Skryci w bezpiecznym cieniu patrzyli na obłoczki pary wydobywające się z ust przemawiającego marszałka.

Kattes mówił długo i zawile, jakby bał się wyraźnie sformułować drażącą go myśl. Zebrani słuchali z coraz większą niecierpliwością, aż wreszcie ktoś rzucił:

– Powiedz jasno w czym rzecz, panie marszałku. Kattes przerwał i rozejrzał się po ciemnych kątach.

– Czas odsunąć Zebona od władzy – powiedział i zamilkł, jakby przeraziły go własne słowa.

Cisza, która zapadła po oświadczeniu marszałka zdawała się kaleczyć uszy, tak była głęboka. Zebrani skulili się na twardych stołkach, niemal stopili w jedno z ciemnością czającą się za ich plecami. Widać nie byli jeszcze gotowi do ujawnienia swoich emocji.

Benektus, zaskoczony na równi z innymi, popatrywał spod oka na współtowarzyszy. Pierwszą jego myślą było, że dobór spiskowców jest zadziwiający. Yitas Tyr był młody i niezbyt doświadczony w dworskich intrygach. Z kolei jego stryj Paulus, za stary, aby odgrywać jeszcze znaczącą rolę na dworze, choć jego przywiązanie do królewskiej rodziny było powszechnie znane. Obok kościstego starca siedział Brendan, kapłan Boga o Wielu Obliczach, członek Kolegium Kapłańskiego. Brendan Tępogłowy, jak nazywali go złośliwi, fanatyczny wyznawca Boga, sztywno trzymający się reguły Księgi Objawień, wydawał się w tym gronie całkiem nie na miejscu.

Ale największe zdumienie Benektusa budził wybór jego własnej osoby. Prawda, że od lat był członkiem Rady, ale na dworze powszechnie sądzono, że wybór zawdzięczał swojemu zamiłowaniu do koni, które dzielił z królem Cenuthem. To Surowy niedługo przed śmiercią nadał mu tytuł Wielkiego Koniuszego i dokooptował do Rady. Benektus wiedział, że za plecami dworzanie pokpiwają z niego, nazywając komuchem, ale nie dbał o to wcale. Nad wytworne towarzystwo przedkładał rozmowę z prostymi parobkami, a pachnące słomą stajnie ciągnęły go bardziej niż zamkowe komnaty.

Z marszałkiem nie łączyło go wiele. Owszem, przed laty poparł pomysł małżeństwa jego córki z Emausem i tymczasowego przejęcia władzy, lecz od śmierci młodego króla Kattes zdawał się nie dostrzegać jego obecności. Zaproszenie na polowanie Benektus przyjął trochę z ciekawości, a trochę dla przerwania monotonii dworskiego życia. Łowy nie okazały się szczególnie ekscytujące, bo wychudła po zimie zwierzyna była marnym łupem, ale nieoczekiwane zaproszenie do opuszczonej chaty leśniczego zapowiadało się interesująco.

Te parę chwil, które koniuszy spędził na rozmyślaniach i obserwacji, pozwoliło mu oswoić się z propozycją Kattesa. Po zaskoczeniu przyszła ulga, że ktoś wreszcie odważył się wypowiedzieć głośno myśl, dręczącą go od dłuższego czasu. Jednak to nie on przerwał ciszę, lecz Paulus. Dostojny starzec odwrócił wzrok od krążącej wokół płomienia ćmy i spojrzął na marszałka.

– Przywilejem starości jest to, że ma się już niewiele do stracenia. Dlatego pewnie twój wybór padł na mnie. Mam rację Kattesie? – spytał sepleniąc, bo brakowało mu przednich zębów.

– Twoja pozycja na dworze... – zaczął marszałek.  
– Moja pozycja na dworze jest równa twojej, panie marszałku. To znaczy żadna. Zresztą nie po to nas zebrałeś, żeby pomówić o kompetencjach. – Paulus położył swoją starczą dłoń na stole zbitym z surowych desek i zaczął postukiwać palcami w takt wypowiedzanych słów. – Zgadzam się, że Zebona należy usunąć, i to szybko, nim narobi więcej szkód. Yitasie? – Spojrzał na siedzącego obok konetabla.

– Tak.

– Wasza Wielebność?

Oczy wszystkich zwróciły się na kapłana.

– To wrzód na zdrowym ciele Kościoła. Lekceważy regułę, hierarchów, samego Boga. Pan nasz ukarze go z pewnością. My możemy być Jego narzędziem – powiedział pompatycznie Brendan.

Zebrani odetchnęli z ulgą, a potem wszyscy spojrzeli na Benektusa. Królewski koniuszy odchrząknął.

– Ja właściwie... to znaczy... no cóż, tak.

– Zatem jesteśmy jednomyślni – podsumował z ulgą Kattes. – Teraz musimy ustalić jak tego dokonać. Czy Wasza Wielebność widzi jakiś sposób? Może, hmm... ekskomunika?

Kapłan w zamyśleniu splótł tłuste palce, aż złote pierścienie werznąły się w ciało. Podwójny podróbek zafalował niespokojnie, a łysa czaszka, mimo chłodu, pokryła się kropelkami potu.

– Żeby go ekskomunikować, należałoby zwołać synod i przekonać dwie trzecie jego uczestników, że Najwyższy Kapłan łamie regułę. To ciągnęłoby się latami i pewnie nie przyniosłoby skutku. Zebon jest bardzo popularny i mało kto widzi, że zboczył ze ścieżki prawdziwej wiary.

– A gdyby, powiedzmy, oskarżyć go o uprawianie czarów? – drażył marszałek.

Brendan parsknął śmiechem.

– A któż dałby wiarę takiemu oskarżeniu? Kapłan Boga o Wielu Obliczach – czarownikiem. Paradne!

– Protektor ostatnio źle się czuł. Można by sporządzić odpowiednie... lekarstwo – zasugerował Yitas Tyr.

– Proponujesz truciznę? Przecież to morderstwo – zaproponował Paulus.

– Więc co? – zdenerwował się Kattes. – Pójdziemy i złożymy petycję z prośbą, żeby ustąpił czy wyzwiemy go na pojedynek?

– Reguła zabrania pojedynków – oznajmił poważnie Brendan, nie dostrzegając sarkazmu marszałka. – Lepszy byłby strzał z kuszy – dodał.

– Trucizna nie pozostawia śladów. W ten sposób uniknęlibyśmy plotek – upierał się konetabl.

– A ty, Benektusie, co myślisz? – spytał Paulus siedzącego prawie bez ruchu koniuszego.

Benektus umknął wzrokiem i wpatrzył się w wypchany dziczy łeb wiszący naprzeciw niego. Szklane oczy martwego zwierza połyskiwały złowieszczo w świetle świecy.

– Co ja myślę? – powtórzył przeciągle, kręcąc młynka palcami. – Ja myślę, że trucizna, kusza czy sztylet jednakowo zadają śmierć. Ważniejsze jest co innego.

– Cóż takiego, mój synu? – zapytał słodko Brendan.

– Co poczniemy po śmierci protektora? – odparł układnie koniuszy, przenosząc wzrok na zimny kominek.

- Taak – mruknął Paulus. – To istotnie ważna kwestia. Myślałeś o tym, Kattesie?
- No... nie – przyznał z oporem marszałek. – Ale Benektus ma rację. Już teraz trzeba postanowić, kto obejmie rządy po Zebonie. Inaczej w królestwie zapanuje chaos lub co gorsza wojna domowa. Lekarstwo może okazać się gorsze od choroby.
- Nie pojmuję, w czym rzecz? – zdziwił się konetabl. – Ty, Kattesie, jesteś spośród nas najgodniejszy tego zaszczytu, a przed laty ledwo paru chwil brakło, żebyś został królewskim teściem.
- Ale nim nie zostałem – uciął marszałek. – Nie dla tronu chcę się pozbyć Zebona. Najważniejsze jest dobro królestwa.
- To co nam pozostaje? Losowanie? – zakpił Vitas.
- Młodość i nierozwaga przemawia przez ciebie, mój synu – skarcił go Brendan. – Należy przeszukać archiwa, przestudiować genealogię. Ród Forsytha zawierał liczne małżeństwa. Wśród krewnych czy powinowatych znajdzie się ktoś godny włożenia korony.
- Zajmij się tym, Wasza Wielbność. Jako członek Kolegium możesz korzystać z archiwów bez ograniczeń – zwrócił się do Brendana Kattes. – A my wypijmy za pomyślność naszej sprawy. Przyda nam się rozgrzewka.
- Wyciągnął spod stołu pękaty bukłak z przyczepionym do niego srebrnym kubkiem. Nalał do pełna i podał siedzącemu najbliżej kapłanowi.
- A co z gubernatorami? – spytał nieoczekiwanie Benektus, kiedy nadeszła jego kolejka.
- Z gubernatorami? – zdziwił się Paulus.
- Noo – przeciągnął koniuszy i spróbował odrobinę napitku.
- Zaraza, jakie mocne... Co to ja? Aha. Gdyby gubernatorzy wzięli naszą stronę, tak samo jak wojsko, to może uniknęlibyśmy zamieszania. Jak wspomniał Wielbny Brendan, Zebon jest nadzwyczaj popularny.
- Armia stanie po naszej stronie – oświadczył pewnie marszałek.
- Mało zostało z żołnierzy wiernych królestwu – westchnął Paulus.
- A mnie się zdaje, że Wielki Koniuszy na siłę wyszukuje problemy – sarknął Vitas Tyr.
- Być może, być może – wymruczał Benektus. Jednym haustem opróżnił kubek, zakrztusił się i charknął na podłogę.
- Prostack – wymknęło się konetablowi.
- Kattes skarcił go wzrokiem i podsumował:
- Najpilniejsza rzecz, to znaleźć nowego króla, a potem pozbyć się Zebona. Całą rzecz trzeba zachować w tajemnicy, bo inaczej stracimy głowy. Spotkamy się, kiedy znów nadarzy się okazja.
- Zamaszystym gestem wychylił resztę gorzałki i otworzył drzwi. Wilgotne powietrze wyparło zapach potu i stopniałego wosku. Goście zaczęli wychodzić. Marszałek chwycił Benektusa za łokieć i przytrzymał.
- Poczekaj jeszcze chwilę – szepnął.
- Kiedy zostali sami, spojrzął w ocienione krzaczastymi brwiami piwne oczy koniuszego.
- Zapraszając cię do tego grona uczyniłem słuszny wybór – powiedział poważnie. – Być może najlepszy ze wszystkich.
- Pochlebiasz mi Kattesie, ale ja doprawdy nie wiem, czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt – mruknął Benektus. Choć na czerstwej twarzy koniuszego ciągle widać było trochę głupkowaty wyraz, Kattesowi nie umknęło szyderstwo, które czało się w głosie.
- Często bywasz na Rubieżach, nieprawdaż? – spytał przyjaźnie niezrażony marszałek.



Benektus zesztywniał.

– Szpiegujesz mnie?

– Trochę – przyznał Kattes. – Kiedy szukałem odpowiednich ludzi, musiałem, jakby to rzec, przyjrzeć im się bliżej. Nie miej mi tego za złe.

– Uważaj Kattesie. Popieram cię, ale bacz, byś nie posunął się za daleko.

Maska głupawej poczciwości opadła i Kattes miał wrażenie, że widzi Wielkiego Koniuszego po raz pierwszy.

– Nie obchodzą mnie twoje prywatne sprawy – zagadał pośpiesznie. – Ale twoje znajomości...

Ręka Benektusa nieznacznie powędrowała do zatkniętego za pasem noża w ozdobnej pochwie.

– Gdyby stanął po naszej stronie... to mogłoby wiele ułatwić. Jest znany, szanowany.

– Nie pojmuję, o kim mówisz? – zdenerwował się Benektus, a jego dłoń jawnie zacisnęła się na rękojeści.

– O Jastrzębiu, rzecz jasna. Sam mówiłeś, że wojsko powinno opowiedzieć się za nami. Gdyby on stanął na jego czele...

Napięcie zelzało. Wielki Koniuszy zdjął rękę z noża i opuścił ją swobodnie wzdłuż ciała.

– Więc sądzisz, że ja go znam? – spytał, mrużąc oczy. – I że mógłbym go skaptować dla naszej sprawy? Ciekawe założenie, ale przykro mi, Kattesie, całkowicie błędne.

– Benektusie, zrozum...

– To ty pojmij mnie dobrze. Nie znam Jastrzębia i nigdy się z nim nie kontaktowałem. Powody, dla których odwiedzam czasem Rubieże, są innej natury. Och, nie rób takiej miny – dodał, widząc sceptycyzm na twarzy marszałka. – Powiem ci, bo widzę, że nie dasz się zbyć. Otóż jest pewna kobieta. Ona i ja...

– Ależ ty masz żonę... – zbulwersował się Kattes.

– Dlatego to tajemnica. Tym bardziej, że ona ma męża... – kłamał gładko Benektus.

Kattes spurpurowiał. Myśl, że ktoś mógłby złamać przysięgę małżeńską, oburzyła go niepomierne, a fakt, że poczciwy i niepozorny Benektus wie o podwójnym życiu, niemal odebrał mu głos.

– Ale pomysł skontaktowania się z Jastrzębiem uważam za wcale niezły – kontynuował koniuszy, nie zważając na osłupienie marszałka. – Niedługo rozpoczynają się końskie targi na Równinach Marth. Mógłbym wyjechać wcześniej i spróbować odszukać tego człowieka. Gdyby się zgodził, prawie na pewno poparłby nas Rhodes, gubernator Rubieży. Ma wobec niego olbrzymi dług. Za nim może poszliby inni.

Chwilę trwało, nim Kattes otrząsnął się z szoku po wyznaniu Benektusa i rozważył jego słowa. I nie mógł powstrzymać goryczy, kiedy przyznawał mu rację.

– Wiesz, Benektusie, nie znałem cię dotąd. Jesteś bystry i przebiegły, a ja miałem cię za poczciwinę, którego nie interesuje nic poza końmi. Widać Cenuth nie bez powodu powołał cię do Rady. Dlaczego, do licha, nigdy mnie nie poparłeś? Gdyby było nas więcej...

– Gdyby było nas więcej, Zebon rozwiązałby Radę – wpadł mu w słowo koniuszy.

– Nie ośmieliłby się!

– Naprawdę? – skrzywił się Benektus. – Nie doceniasz go, Kattesie. Zebon zachowuje Radę dla pozorów, ale jeśli przestaniemy spełniać rolę figurantów, rozpędzi ją bez chwili wahania, a nas wtrąci do lochu albo każe zamordować. Przecież on skupił w swoim ręku olbrzymią władzę, a na usługach ma armię, której nie sposób lekceważyć. Jego żołnierze to

kapłani fanatycznie oddani Bogu i Zebonowi, a raczej Zebonowi i Bogu. Zbyt rzadko wyjeżdżasz z Loenu, Kattesie. Gdyby było inaczej, dostrzegłbyś, że na drogach, po gospodach, w miastach pełno tego szarego tałatajstwa. Budują świątynie, modlą się, poszczą i mieszają ludziom w głowach. Cichy zamach na Zebona to mrzonka, dlatego musimy mieć poparcie gubernatorów, wojska, mieszczan, wieśniaków, każdego, kogo tylko uda nam się skaptować, a nowy król nie może być tylko marionetką. To musi być ktoś, w kogo ludzie uwierzą, kto zapewni im dobrobyt już na ziemi, nie tylko po śmierci, ale nie będzie też lekceważył reguły. Dlatego, nim zaczniemy działać, musimy rozważyć każdy krok i przewidywać skutki.

Kattes przeciągnął dłonią po krótkich, na żołnierską modłę ostrzyżonych włosach.

– A wydawało się to takie proste – westchnął. Benektus roześmiał się ponuro.

– Nic co dotyczy Zebona, nie jest proste. A teraz chodźmy już. Pewnie zastanawiają się, co nas zatrzymało.

Ze smętnymi minami wyszli z komnaty i w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, dołączyli do siedzących na koniach pozostałych spiskowców.

W obszernym pomieszczeniu, które kiedyś stanowiło zaplecze gospody, spało jedenastu mężczyzn. Śmierdziało tam pleśnią, uryną i mysimi odchodami. W mieście, którego ruiny dawno zarosły trawą, był to jedyny budynek przykryty dachem.

Bazyl nie mógł zasnąć. Drażniła go wymuszona bliskość spoconych ciał, od smrodu kręciło w nosie, a donośne chrapanie nie pozwalało zebrać myśli. Wiercił się na kamiennej podłodze tak długo, że poznał wszystkie jej nierówności. Wstał wreszcie i lawirując pomiędzy śpiącymi, podszedł do wyjścia. Drzemiący w progu wartownik poruszył się, ale zanim zdążył wstać, Bazyl mruknął:

– Idę się odlać. Zaraz wracam.

Strażnik opuścił głowę i znów zapadł w drzemkę.

Zabójca przeszedł parę kroków po zarośniętej chwastami drodze, skręcił za róg i przysiadł na obrośniętym mchem kamieniu. Ze złością poskrobał się po nieogolonej szczęce. Niechlujna broda, zmierzwiłone włosy i łachmany, które miał na grzbiecie, tylko pogłębiały jego irytację. Znów utknął w martwym punkcie. Krisp i jego ludzie tak skutecznie unikali konfrontacji z żołnierzami, że szansę na spotkanie z Jastrzębiem malały coraz bardziej. Bazyl przedstawiał hersztowi wciąż nowe plany bandyckich ataków, ale ten nieodmiennie je odrzucał, uważając, że mogą sprowadzić im na kark kłopoty. Zabójcy trudno było się z tym nie zgodzić, wszak obmyślał je w tym właśnie celu, ale zły był, że Krisp okazał się bardziej przewidujący, a może tylko bardziej tchórzliwy, niż się spodziewał.

Jednak Bazyl nie zamierzał się poddawać. Na myśl, że musiałby powiadomić Zebona o kolejnej porażce, przeszywał go dreszcz. Żartował sobie co prawda z jego surowej powagi i łysej czaszki, ale w głębi duszy kapłan przerażał go śmiertelnie. Wykonał dla niego zbyt wiele zleceń, żeby nie wiedzieć, w jaki sposób protektor pozbywa się niewygodnych ludzi.

Westchnął głęboko i znów zaczął rozważać dostępne możliwości. Nocny chłód zaczął dawać mu się we znaki, otulił się więc ciaśniej opończą. Wiosna tego roku przyszła, wcześniej, śniegi stopniały, zazieleniła się trawa, ale tu, w pobliżu gór, ciągle było zimno. Bazyl spojrział w kierunku, gdzie powinny znajdować się ośnieżone wierzchołki. Noc była ciemna, bezksiężycowa, chmury przysłoniły gwiazdy. Bazyl gapił się przez chwilę w mrok, aż nagle palnął otwartą dłonią w czoło. Usta skrzywiły mu się w przebiegłym uśmiechu.

– Powinniśmy poszukać bardziej na północ – tłumaczył nazajutrz Krispowi. – Południe jest dla nas zamknięte, na zachodzie są Jeźdźcy Równin, a wschód to pustkowie. Pozostaje tylko

północ. Jak dłużej będziemy siedzieć w tej kupie gruzu, pozdychamy z głodu.

Herszt przysiadł na tym samym kamieniu, który nocą posłużył już Bazylowi za siedzisko. Teraz wykręcił tłusty kark i spojrzał w kierunku północy, na tonące w chmurach szczyty.

– Tam som tylko góry – warknął.

– A w górach kopalnie.

– Jakie kopalnie?

– Kopalnie diamentów – rzucił morderca od niechcienia.

– Chcesz złupić kopalnie diamentów? – spytał głupkowato bandyta, a narośl nad okiem zapulsowała gwałtownie.

– Nie kopalnie – Bazyl z trudem przełknął słowo „baranie”. – Możemy przecie zagarnąć transport z takimi kamykami. Macie pojęcie, ile to warte? Za garść świecidełek dałoby rady kupić pół tej chędożonej prowincji.

Oczy słuchających bandytów zapłonęły podnieceniem. Kamienie szlachetne były rzadkością i osiągały olbrzymie sumy. Przechwycenie takiego transportu oznaczało niewyobrażalne wręcz bogactwo.

– Bazyl dobrze gada – odezwał się głos z tłumy. – Już tera żarcia nam brakuje, a łowiska tu marne, same łąki i Ugory.

– Nie ma co jeść, nie ma co pić, kobity nie uświadczysz na tym zadupiu... – judził Bazyl.

– Racja, racja – poparły go inne głosy.

– Cicho! – wrzasnął Krisp. – Zapomnieliście o Jastrzębiu? Tu jездеśmy bezpieczni.

– Nie wszyscy muszą się pokazywać. I tak wpierw trzeba zrobić zwiad, wy badać co i jak – wtrącił się znów skrytobójca.

– I tyś chcioł jechać? A jak co najdziesz, to żegnajta kamraty? Uważej, Bazyl... – wściekł się Krisp i wstał ze zwinnością, która jakoś zupełnie nie pasowała do jego brzuchatego cielska.

– Możem losować – krzyknął ktoś z otaczającej ich kompanii.

– Losujmy!

– Losujmy, tak będzie po sprawiedliwości – włączyli się inni. Krisp spojrzał na twarze kompanów. Nie spodobało mu się to, ców nich wyczytał, więc niechętnie skinął głową na zgodę.

– Ilu pojedzie?

– Czterech starczy – burknął herszt.

Szybko połamano podniesione z ziemi patyki i wrzucono do wgniecionego hełmu Krispa. On pierwszy sięgnął do środka i poczerwieniał ze złości, kiedy wyciągnął długą gałązkę. Złamał ją w palcach i wyrzucił.

Bazylowi ścierpła skóra, gdy zacisnął palce na patyku, ale po chwili Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pokazał swój los hersztowi. Miał szczęście, tak samo jak Mones, Husk i Tylus.

Krisp zacisnął zęby i porozumiał się wzrokiem z Huskiem. Kiedy ten nieznacznie przyłożył dłoń do gardła, skinął głową. Husk błysnął złowieszczą oczami i zacisnął palce na nożu. Od pierwszego spotkania nie lubił Bazyla, nie ufał mu i pilnował każdego kroku. Teraz nadarzała się okazja, żeby pozbyć się go raz na zawsze.

Wylosowana czwórka szybko przysposobiła się do drogi i, żegnana pełnymi nadziei spojrzzeniami kompanów, wyruszyła na północ.

Od chwili przebudzenia się z letargu Albana bez przerwy odczuwała niepokój. Mniej niż tajemnica własnego pochodzenia czy Smoczy Pakt dręczyła ją myśl o mocy, którą zyskała

dzięki truciźnie ukrytej w pieczęci. Czują, że dołączone do Paktu ostrzeżenie zawierało prawdę i coś zmieniło się w niej nieodwracalnie, ale nie potrafiła odkryć natury owej zmiany. Przerazało ją to i ciekawiło jednocześnie, a rozwiązanie zagadki miała nadzieję znaleźć w Celebonie. Dlatego gnała bez wytchnienia górskimi ścieżkami, przedzierała przez wertepy i gęste lasy na północnych krańcach Rubieży. Kosma, towarzysz podróży wybrany przez Dolida, nie protestował zarażony jej nerwowym pośpiechem. Zatrzymywali się tylko na krótkie nocne popasy. Rozkulbaczali wierzchowce, posilali się, łapali parę godzin snu i znów jechali dalej. W ciągu kilkunastu dni, które minęły od opuszczenia Twierdzy, nie napotkali ani jednej wioski czy osady, czuli się więc bezpiecznie.

Zmęczeni po całodziennym podróży, pogrążeni w głębokim śnie nie usłyszeli parskania spłoszonych koni ani prowadzonej szeptem rozmowy. Silne ciosy pałą w głowę pozbawiły ich przytomności, nie pozostawiając żadnej możliwości obrony.

Bazyl, Husk, Tylus i Mones krzatali się pracowicie wokół nieprzytomnych. Bazyl zajął się końmi, Tylus grzebał w wyciągniętych spod głów sakwach, Mones i Husk obszukiwali ciała.

– Nic nie mają, gołodupcy – parsknął ze złością Tylus. – Ino papiery jakieś i trochę zarcia.

– Kkurde, przecie tto baba! Ppatrzajcie, to kkobita! – krzyknął Mones, który wyłuskał spod odzienia Albany medalion i jednym szarpnięciem zerwał go z szyi.

Husk, macający łapskami po ciele Kośmy, aż sapnął ze złości i jednym ruchem poderżnął nieprzytomnemu mężczyźnie gardło.

– Coś ty zrobił, durniu? – wysyczał rozwścieczony Bazyl. – Mieliśmy ich wpierw wypytać.

– Ostaw go. – Tylus poklepał Bazyla po ramieniu. – Mamy kobitę. Jak się już zabawimy, to wtedy ją przepytamy.

Mones zdążył ściągnąć portki, kiedy poczuł na karku ciężką dłoń Huska.

– A niby z jakiej racji ty masz być pierwszy, kmiecie? Żeby nie ja, żaden by ich nie zauważył.

– Ale ja ppierwszy odkryłem, że tto baba – wycharczał przyduszony Mones. – Ppuszczaj Husk.

– Rozum wam odjęło, pieprzeni koniojebcy! – wrzasnął Bazyl. – Co ci za różnica pierwszy czy drugi? Rób swoje i wynośmy się stąd.

Husk puścił Monesa i rzucił się na Bazyla.

– Nie będziesz mi rozkazywał, kurwi synu! – krzyczał.

Bazyl uchylił się zwinnie i po chwili obaj tarzali się w trawie okładając pięściami.

Mones zaplątany we własne portki, przeklinał Bazyla, Huska i Tylusa, który wykorzystał zamieszanie i rzucił się na nieprzytomną kobietę. W ciemności widać było jego błyskające bielą pośladki.

Bazyl tracił dech, bo ciężka łapa Huska zaciskała się mu na gardle. Szarpnął się desperacko, licząc na to, że zrzuci go z siebie, a przynajmniej poluzuje trochę uścisk, ale Husk nie dał się zwieść i mocniej ścisnął mu szyję. To był przypadek, że tracący siły morderca natrafił na wystający zza pasa nóż bandyty. Złapał mocno za trzonek i resztkę sił włożył w cios. Po chwili, która wydała mu się wiecznością, zrzucił z siebie zwiotczałe ciało. Wstał, wytarł dłonie w kaftan i obmacał gardło. Miał uczucie, że już nigdy nie będzie mógł swobodnie oddychać.

Tylus i Mones zaspokoili tymczasem swoje żądze. Zadowoleni, nie przejęli się okrwawionym trupem kamrata i załadowali sakwy na konie.

Bazyl tylko spojrział na pohańbione ciało i charknął z odrazą. Lubił wyrafinowane kobiety, dreszczyk emocji towarzyszący znaczącym spojrzeniom, ukradkowym spotkaniom i grze miłosnej. Nieprzytomna wieśniaczka nie pociągała go ani trochę.

Kobieta jęknęła, widać zaczęła odzyskiwać świadomość. Morderca zerknął na nią ponownie i nagle znieruchomiał. Coś błysnęło na jej piersi w bladym świetle księżycowego sierpa. Podeszedł bliżej i przyklęknął. Pomiedzy poszarpanymi połami koszuli złociło się znamię w kształcie smoka o rozłożonych do lotu skrzydłach. Szarpnął ją za włosy, podniósł do góry głowę i napotkawszy spojrzenie przytomniejących oczu, bez namysłu rąbnął pięścią w skroń. Kiedy znów opadła bezwładnie, skrzesał ognia i w blasku wątlęgo płomienia przyjrzał się rozrzuconym w nieładzie włosom.

Tylus i Mones patrzyli zdziwieni, jak knebluje jej usta, omotuje ciało w koc, owiązuje sznurem, a potem wrzuca na swojego wierzchowca.

– Zgłupiałeś? Po co ją targać ze sobą?

– To nie jest zwykła dziewczka – rzucił Bazyl. – Różniście ją niczym buhaj jałówkę i nie zauważyliście tego? – Wziął w garść pukiel czerwonych włosów i podetknął bandytom pod nos. – Są czerwone, czerwone jak ogień. To czarownica.

Mones jęknął i złapał się za przyrodzenie. Tylus parsknął obojętnie.

– Co z tego, że czarownica? Nie chcesz jej ruchać, to poderżnij gardło, a potem spal sukę. Drzewa tu dosyć.

– O, to, to... Tylus mma rację. Zzara nabieram ggałęzi.

– Nie. Biorę ją ze sobą.

– A dokąd to? – Tylus złapał końską uzdę i szarpnął ku sobie. Bazyl puścił wodze i wyciągnął nóż.

– Z drogi, baranie łby – rzucił groźnie.

– Husk miał rację, nie można ci ufać. Na niego Mones!

Zanim morderca zdążył się odwrócić, poczuł ból w ciemieniu i osunął się na mokrą od rosy trawę. Mones stał za nim, trzymając w rękach okrwawioną pałkę.

– Cco tera?

– Jedziemy stąd, bo zara widno będzie. Bieremy wiedźmę, pewnikiem nagrodę za nią wyznaczili. Obwiąż jej głowę szmatą, bo o te kudły jeszcze koń się potknie... I graty zabier.

– A on? – Mones wskazał na skulone w trawie ciało Bazyla.

– Do rana zdechnie albo wilki go zeżrą. Ruszajmy.

Przerzucona przez koński grzbiet niczym worek kartofli Albana na przemian odzyskiwała i traciła świadomość. Bolała ją rozbita głowa, w uszach szumiało od nabiegłej krwi, całe ciało pulsowało boleśnie, alenajgorsza była śmierdząca szmata, która zakrywała jej oczy, nie pozwalała odetchnąć. Zamroczonej kobiecie zdawało się, że znów jest dzieckiem pojmanym przez Keranów, że za chwilę ujrzy złe oczy Worama i poczuje na ciele obmacujące ją łapska. Zawodziła boleśnie, póki starczyło jej tchu, a potem popadła w odrętwienie i bezwolnie poddała się losowi.

Bazyl ocknął się o świcie. Wyszedł na drogę i nie zastanawiając się nad kierunkiem, chwiejnie ruszył przed siebie. Łeb bolał go potwornie, zmiażdżone gardło wyschło na wiór i nie pozwalało głębiej odetchnąć, a ubranie śmierdziało, powalane krwią jego i Huska. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: muszę ją znaleźć. Muszę ją znaleźć.

To zdanie, powtarzane w myślach niczym modlitwa, wyznaczało rytm jego niepewnych kroków.

Dziesięcioosobowy oddział żołnierzy krył się w krzakach po obu stronach zarośniętej chwastami drogi. Gdzieś niedaleko dwukrotnie zaskwirzył jastrząb. Trevor skinął głową.

– Tylko dwu – mruknął. – Brać ich żywcem.

Na drodze dał się słyszeć tętent. Żołnierze wyskoczyli z ukrycia.

Zaskoczony Mones, prowadzący konia z przewieszoną przez siodło Albaną, zatrzymał się na widok nieznajomych, Tylus jednak nie poddał się panice. Puścił linkę, na której wiódł pozostałe luzaki i ruszył z kopyta.

– Łapać go! – krzyknął Trevor.

Kilku żołnierzy rzuciło się w pogoń. Uciekający bandyta skręcił w las. Nie dostrzegł nisko zwisającej gałęzi, uderzył w nią czerepem i spadł z siodła, łamiąc sobie kark.

– Szlag by to... – mruknął Trevor, kiedy żołnierze złożyli przed nim skręcone w nienaturalnej pozycji ciało. Zły był na siebie za zabawę w podchody, którą urządził, zamiast zwyczajnie zatrzymać podróżnych i wypytać ich. Z zakłopotaniem spojrzął na bladego Monesa.

– Coś ty za jeden?

– Mmm... – wyjęczał zapytany. – Mmmones.

Nie bój się. Przepytać was tylko chcieliśmy, nie zabijać. Jakby twój koleś nie uciekał, nic by mu się nie stało. Dokąd jedziesz?

– Do Cccee... – zająknął się bandyta.

– Spotkałeś kogo po drodze?

Mones patrzył tępo na otaczających go ludzi. Wszyscy odziani byli w jednakowe, spłowiałe na słońcu kaftany z wyszytym na ramieniu znakiem pikującego w locie ptaka. Ten widok odebrał mu mowę na dobre.

– A to co? – drażzył Trevor i pomacał przewieszony przez konia tłumok. Toból jęknął.

Żołnierze, którzy opuścili broń i spokojnie czekali na decyzję dowódcy, na nowo sprężyli się gotowi do ataku. Trevor zmarszczył brwi i jeszcze raz ogarnął spojrzeniem trzęsącego się ze strachu chłopka z rdzawymi plamami na koszuli, osiodłane konie, które prowadził jego martwy towarzysz i spętane derką ciało.

– Kto tam jest? Gadaj, kmiecie!

– To, tto czarownica, ppanie – wybełkotał Mones. – Wwieźli my ją na ssstos.

– Czarownica powiadasz? Nie podobasz mi się, bratku. Obszukajcie go chłopcy i rozwiążcie te szmaty.

– Nie! – rozdarł się bandyta. – Ttto wwiedźma najpprawdziwsza, urok nna nas wwszytkich rzuci!

Trevor zawahał się, wreszcie ruszył ramionami i postanowił zabrać uwięzioną do obozu. Niech Calmin zdecyduje, co z nią zrobić, pomyślał.

Żołnierze sprawnie obszukali bandytę. Trevorowi nie spodobał się rzeźnicki nóż ani drewniana pałka ze śladami krwi. Ledwo rzucił okiem na omotany skórą kamienny blok i pogniecione karty papieru przewiązane rzemieniem. Pomiędzy rozrzuconymi gratami załśniło złoto. Podniósł zerwany medalion i dotknął zielonego kamienia. Obracał go chwilę w palcach, czując pod opuszkami zatarty rysunek i wreszcie wsunął do kieszeni.

– Ciekawe, co za ptaszek nam się trafił – mruknął do siebie i rozkazał zbierać się do odjazdu. Żołnierze zepchnęli w krzaki ciało Tylusa, skrępowali Monesa, złapali luzaki i ruszyli w las.

Oddział Jastrzębia zatrzymał się w małej, wyludnionej wiosce. Poletka okalające wieś

leżały odłogiem, w warzywnikach pieniały się chwasty, ścieżki zarosły trawą. Żołnierze zajęli opuszczone domostwa, a na dachu wywiesili czarną szmatę, znak zarazy.

Cal siedział w ciasnej izbie bez okien. Przez otwarte drzwi do wnętrza wpadał wąski strumień światła. Spłoszone blaskiem robactwo rozpełzło się po kątach, drobinki kurzu wirowały w świetlistej smudze. Na koślawej ławie ustawionej na wprost wejścia leżała mapa. Zwabiony jej kolorami motyl wleciał do środka, przysiadł na karcie i odfrunął po chwili trzepocząc z urazą pomarańczowo – brązowymi skrzydłami. Calmin zdmuchnął pyłek, który pozostawił po sobie owad i zamyślił się głęboko. Musiał zaplanować następny ruch swego oddziału.

Od miesiąca tropił bez skutku bandę Krispa. Kilkakrotnie patrole znalazły w lesie ślady pobytu większej grupy osób, ale ostatnio trop się urwał. Najwidoczniej Krisp zaszył się ze swoimi ludźmi w jakiejś kryjówce i nie wychylał z niej nosa, czując może, że jest ścigany.

Calmin posępnie patrzył na mapę, podarunek od gubernatora Rhodessa, zastanawiając się nad kierunkiem dalszych poszukiwań, ale nic mu jakoś nie przychodziło do głowy. Tereny, które przeczesywali, były prawie bezludne, a rosnące wokół lasy ciągnęły się do gór. Krisp ze swymi ludźmi miał aż nadto miejsca, żeby się ukryć i przeczekać obławę. Ta myśl nie poprawiła mu humoru. Kiedy usłyszał tupot końskich kopyt i znajome głosy, niemal z ulgą porzucił mapę i stanął przed wejściem.

– No, mów, Trevor. Widzę, że coś znalazłeś – zwrócił się do kipiącego z podniecenia żołnierza.

– Złapaliśmy na gościńcu jakiegoś kmiotka, właściwie to dwu, ale jeden zaczął uciekać i kark sobie skręcił...

Calmin skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– Widzi mi się, że oni obaj byli od Krispa. Mieli cztery luźne konie i kobietę ze sobą wieźli związaną jak prosię, ale żywą. Ją też przywiozłem, może coś powie, jak Lovell ją ocuci. Ten Mmm... jak mu tam, bredził, że to...

– Dobra, posłuchamy, co ma do powiedzenia – przerwał mu kapitan. – Sprowadź go. I wezwij Stevara i Briana.

Trevor wyszedł, a Cal zwinął mapę i schował ją za pazuchę. Przesunął stołek w najciemniejszy kąt izby. Po chwili wszedł Trevor z Brianem, prowadząc trzęsącego się ze strachu jeńca. Trevor podszedł do siedzącego w kącie Cala i szepnął:

– Stevara nie ma. Pojechał na patrol.

Jastrząb nieznacznie skinął głową i głośno rozkazał.

– Rozwiążcie go i odsłońcie mu oczy.

Mones stał w smudze światła i mrugał oczami, z których ciekły łzy. Zacisnął palce na zaczerwienionych nadgarstkach, ale nie mógł powstrzymać ich drżenia. We włosy zaplątały mu się żdzbla trawy, postrzępiona koszula i narzucona na nią kamizela powalane były zeschlą krwią.

– Jak cię zwa?

– Mmm... – zaczął bełkotać bandyta. Przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz. – Mmmones.

– Jesteś od Krispa?

Bandyta rozejrzał się i dostrzegł ukrytą w cieniu sylwetkę.

– Gadaj – ponaglił głos. – Jesteś od Krispa?

Zdawałoby się, że Mones zupełnie stracił mowę. Otwierał i zamykał usta, ale nie mógł wykrztusić słowa.

- Dokąd jechałeś?
- Ddo Cccc... – wydusił bandyta i zamilkł.
- Dokąd? – nie ustępował pytający i Mones poczuł, że dłużej tego nie zniesie.
- Do Cccee... – zaczął, zdecydowany powiedzieć prawdę. Do izby wpadł Lovell.
- Chodźcie ze mną, kapitanie! – zawołał.
- Później, chłopcze – zirytował się Calmin. – Najpierw musimy skończyć z tym tutaj.

Ale Lovell szarpnął go za rękaw.

- Teraz – powiedział tonem, który sprawił, że Cal wstał i ruszył za chłopakiem.

Mones śledził błędnym wzrokiem wysoką, barczystą sylwetkę, odzianą w czarny kaftan.

- Kkkto ttto? – wyjęczał. Oczy wychodziły mu z orbit, a szczękające zęby przycięły język.
- Jastrząb.

Mones zsikał się w spodnie.

Dopiero w jasnym świetle dnia Cal zobaczył pobladłą twarz Lovella i jego rozbiegane oczy.

- Co się stało? – spytał, czując, że i jego ogarnia niepokój.
- Musicie to sami zobaczyć, panie – wymamrotał chłopak.

W ciągu minionych miesięcy Lovell nabrał wprawy w opatrywaniu rannych i pełnił teraz rolę medyka. Chata, w której urządził lazaret, składała się z dwóch pomieszczeń. Jedno było kiedyś izbą mieszkalną, drugie obórką z oddzielnym wejściem. Do niej właśnie chłopak wprowadził Calmina i zamknął drzwi na skobel. Mimo że podłogę wymieciono do czysta, to w powietrzu ciągle unosił się zapach krowiego łajna i siana.

- Ciasno tu. Nie wchodźcie dalej, panie – ostrzegł Lovell pełnym napięcia głosem.

Cal usłuchał i oparł się o drewnianą, gdzieniegdzie poutykaną słomą ścianę. Kiedy oczy przywykły do mroku, odróżnił leżący na podłodze kształt.

- Kto to? – spytał szeptem.

Chłopak zwinnie przemknął obok leżącej nieruchomo postaci i otworzył świetlik pod strzechą. Słoneczny promień wdarł się brutalnie do środka – oświetlił rozsypane w nieładzie włosy i bladą, okrwawioną twarz.

Porażony Cal tak mocno wparł się plecami w drewnianą przegrodę, że zatrzeszczała pod jego naporem. Nie zdawał sobie sprawy, że przestał oddychać, a trzymany w ręku nóż, którym bawił się podczas przesłuchania Monesa, wypadł na podłogę.

- Kiedym zobaczył te włosy – mówił roztrzęsiony Lovell – wiedziałem, zgadłem że... – urwał. Tyle myśli stłoczyło mu się w głowie, że nie wiedział, od czego zacząć.

Calmin nie słuchał. Patrzył na zlepione krwią kosmyki, na olbrzymiego sińca pod okiem, poszarpaną koszulę, spod której widać było piersi poznaczone fioletowymi plamami i ciemną pręgę na szyi. Zwinięte wokół kostek spodnie do konnej jazdy odsłaniały poranione uda.

- Nigdy nie widział takich włosów – mamrotał Lovell – ale pamiętam, że w Loenie głośno było kiedyś o czerwono włosiej wiedźmie. Ponoć rzuciła urok na cały dwór i uciekła. Może to ta sama. Pewnie na stos ją wieźli...

- Milcz – syknął oprzytomniały nagle Jeździec. Schylił się nad leżącą i zasłonił ją kawałkiem koca. Ręce drżały mu jak podczas ataku zimnicy. – Widział ją kto?

- Nie – pokręcił głową chłopak. – Przywieźli ją zakutaną w tę szmatę i od razu tutaj wnieśli. Kiedym ją zobaczył, od razu do was poszłem.

- Żyje? – zapytał Cal i znów wstrzymał oddech.

- Ledwo, ale dycha.



– Opatrz ją i pilnuj. Nikt nie może jej zobaczyć. Ty też ani pary z gęby, zrozumiano?

– Tak jest, kapitanie.

Calmin wyszedł z izby, zataczając się jak pijany. Oparł się o ścianę, ale nie miał siły ustać, więc osunął się na trawę. Zasłonił twarz rękami, jakby nie mógł znieść słonecznego blasku. Drżał. Siedział tak, póki z chaty nie wyszedł Lovell. Przestraszony chłopak przyklęknął obok i potrząsnął go za ramię.

– Co wam, panie? Osłabliście? Cal oprzytomniał.

– Nic mi nie jest – wydusił. Schował nóż, który Lovell trzymał w ręku, podniósł się i odruchowo skierował w stronę własnej kwatery, a kiedy przypomniał sobie o jeńcu, rzucił się biegiem do środka. Z każdym krokiem czuł, jak w gardle narasta mu krzyk wściekłości.

Brian i Trevor, usiłujący zrozumieć coraz bardziej nerwowe jękanie Monesa, zdrętwieli na widok Cala. Wpadł do izby blady, z zaciśniętymi szczękami, ze śmiercią czającą się w stalowoszarych oczach.

– Wyjść – polecił ledwo słyszalnie.

Obu żołnierzy wymiotło z chaty. Fen nie zwrócił na nich uwagi. Patrzył na żalospną, trzęsącą się postać w mokrych spodniach.

– Gdzie ją spotkaliście? – spytał, nie ukrywając wściekłości.

– Www llessie – jęknął Mones.

– Sama była?

– Nnnn... nnnie. Bbył zzz nią jjjedem...

– Gadaj, ścierwo!

– Pppowiem, ppowiem wszystko. Ja jest od Kri... Krisppa. Jechalim na pppóhnoc przepytac o kkkopalnie, gdzie ddiamanty kkopia. Mmmy chcieli ttransport zzzagarnac. Www lesie my pppodroznym naszli. Dddwoje ich bbylo. Ttego jjednego zzzabiliśmy od razu, ale jjakem szukał ddruziemu ppo ubraniu, tto pppatrzę, a to kkkobita. Mmy ją chędożyli z Ttylusem obydwu, a ppotem się ppokazalo, żeona czerwone wwlosy mma. Zzzapakowalimy ją na kkoniu i wwieżć ją do Kkkrispa chcieli. Gggadają, że zza czarownicę mmagroda jest. Uuwaażajcie, ppanie, bbo urok na wwas rzuci, chocia mmy jją z Ttylusem...

– Ja ci pokażę urok, skurwysynu – wysyczał Cal, któremu przed oczami tańczyła czerwona mgiełka. Wyciągnął nóż, chwycił ciągle jękającego się bandytę za kudły i poderżnął mu gardło. Stał potem i patrzył, jak z otwartej rany bucha krew, a ciało osuwa się na klepisko. Odruchowo wyczyścił ostrze i schował go do pochwy. Kopnął zwłoki i dopiero ten bezsensowny gest przywrócił mu świadomość. Wyszedł na zewnątrz, ocierając twarz z bryzgów krwi. Przed domem stali Brian i Trevor, pogadując z cicha.

– Zabierzcie to ścierwo, a potem przenieście moje rzeczy do chaty Lovella – rzucił, nie patrząc na nich. – I chcę zobaczyć wszystko, co znaleźliście przy tym... Natychmiast.

Brian już nabrał oddechu, żeby coś powiedzieć, ale napotkał lodowate spojrzenie dowódcy i zamknął usta. Obaj z Trevorem bez słowa weszli do izby.

Jarik był chudym wyrostkiem o wiecznie wystraszonych oczach. Calmin znalazł go w stogu siana, gdzie ukrył się przed bandyckim atakiem. Jeździec obiecywał sobie, że znajdzie dom i ludzi, którzy się nim zajmą, ale czas mijał, a Jarik ciągle był w oddziale. Zdaniem Fena był za młody, żeby uczestniczyć w walce, pomagał więc przy koniach, dbał o broń i usługiwał kapitanowi. Cal przywykł do jego milczącej obecności i niechętnie udzielał zgody na uczestnictwo w patrolach. Czasem jednak ulegał perswazji Niedźwiedzia, który twierdził, że chłopak dorośleje i powinien zacząć oswajać się z niebezpieczeństwem.

Kiedy oddział pod dowództwem Stevara wrócił do wsi, Jarik zsiadł z konia i pospieszył do chaty Lovella. Stał w progu i spojrzał pytająco na kapitana, siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy Cal na chwilę podniósł wzrok, Jarik skulił się w sobie niczym od uderzenia. Wyszedł i wrócił do koni.

Stevar stał i słuchał szepczącego mu do ucha Briana. Coraz popatrywał w stronę nowej kwatery Calmina i marszczył brwi. Wreszcie rzucił wodze i ruszył w tamtą stronę. Widząc to, Jarik odczepił bukłak z gorzałką i wcisnął mu w dłonie. Niedźwiedź spojrzał zdziwiony, ale wziął worek i wszedł do chaty, starannie zamykając za sobą drzwi. Bez słowa usiadł obok Cala, odkorkował, pociągnął łyk i podsunął przyjacielowi. Ten przechylił naczynie i wlał sobie do gardła całą zawartość.

– Byliśmy w lesie, na północ stąd – zagał Stevar, ocierając usta. – Znaleźliśmy dwa trupy i jakiegoś lebiegę z potraskanym łbem. Ledwie lał i bełkotał bez sensu. Zabrałem go z sobą, bo żalność brała patrzeć. Jak oprzytomnieje, może powie co ciekawego. A tu co się działo?

Calmin nawet na niego nie spojrzał. Stevar stłumił westchnienie i rozejrzał się po izbie.

– Dlaczegoś się przeniósł? Tu nie ma nawet posłania, a karaluchów tyle samo co i tam.

– Czego chcesz? – spytał brutalnie Cal. – Nie przyszedłeś tu chyba Uczyć karaluchów?

Niedźwiedź spojrzał wprost w przekrwione oczy przyjaciela..

– Co się stało, Cal? – spytał cicho. – Nigdy cię takim nie widziałem. Brian boi się, że zmysły straciłeś.

Cal wstał gwałtownie, nie mogąc znieść wzroku pełnego troski i niepokoju.

– Pytasz, co się stało? – odezwał się głosem, od którego Niedźwiedziowi włosy stanęły dęba. – Chodź, pokażę ci.

Złapał Stevara za rękaw i pociągnął do drzwi łączących izbę z obórką. Otworzył je szarpnięciem i wepchnął olbrzymia do środka. Okienko było ciągle uchylone i do pomieszczenia wpadało jeszcze nieco światła. Dość, by Stevar dokładnie obejrzał leżącą kobietę.

– Na pieprzone Oblicza, kto to jest? – spytał wstrząśnięty.

– Powiem ci, kto – odezwał się gorzko Cal. – To czarownica, na którą jego Dostojność Zebon wydał wyrok śmierci. To kobieta, która uratowała Emausa od śmierci w kerańskich lasach. To Albana da Fen, moja żona.

Stevarowi zabrakło słów.

Kobieta poruszyła się na posłaniu, zrzucając koc i Niedźwiedź nagle dokładnie pojął, co sprowokowało Cala do zabójstwa jeńca.

Gdyby on sam dorwał takiego sukinsyna w swoje ręce... Calmin odepchnął go i wszedł do obórki. Niedźwiedź ciężko usiadł na stołku.

Do chaty bezszelestnie wsunął się Jarik, postawił na rozchwianym stole antałek z wódką i dwa kubki, a potem równie cicho wyszedł. Stevar nalał sobie od serca i jednym haustem wychylił zawartość. Czuł, jak mocny napitek rozpuszcza ciężar w żołądku, pobudza krew do szybszego krążenia. Spojrzał na koślawe drzwi, zasłaniające wejście do izdebki i zaklął cicho pod nosem. Poczuł, jak wreszcie rozjaśnia mu się w głowie. Przypominał sobie przeróżne zdarzenia z przeszłości, które nagle znalazły swoje wytłumaczenie. Jak choćby to, że Cal nie interesował się kobietami. Dziewczęta i dostojne matrony oczy sobie wypatrywały za przystojnym Jeźdźcem, a on zdawał się nie dostrzegać ich istnienia. Czasem Stevar widział w twarzy przyjaciela jakiś ból czy tęsknotę, ale nie śmiał o tym rozmawiać. I tylko raz zdarzyło się, że Cal wspomniał coś o kobiecie. Był wtedy na umór pijany, a obaj spędzali noc w

miejskim więzieniu po bójce w karczmie.

– Rzuciła na mnie urok – bełkotał wtedy. – Oplatała mnie tymi włosami. Urok rzuciła...

Te parę słów, które powtarzał w kółko, nim zasnął, zaintrygowały Stevara. Miał zamiar rano wypytać Calmina o ową tajemniczą dziewczynę, ale zapomniał o tym, kiedy nazajutrz Fena mianowano kapitanem. Teraz te bełkotliwe zdania nabierały znaczenia.

Usłyszał skrzypienie drzwi i spojrzął na wychodzącego z komórki przyjaciela.

– Co z nią? – spytał. – Wyżyje?

Kapitan wzruszył ramionami i usiadł ciężko na drugim stołku.

– Nie wiem – powiedział ponuro. – Ma roztrzaskaną głowę. Lovell nie daje jej dużych szans.

Stevar patrzył ze współczuciem na ściągniętą, bladą twarz Jeźdźca.

– Powiedz mi... – zaczął niepewnie. – Ta kobieta, twoja żona – poprawił się szybko – czy to ona...? Czy to ta sama, która w Loenie uwolniła tę skazaną na stos czarownicę?

Calmin niechętnie skinął głową.

– Rozdzieliliśmy się wtedy, na placu. Straciłem ją z oczu, a kiedy dotarłem do bram, było już za późno. Przeklinałem ją za to, co zrobiła i cały czas miałem nadzieję, że uciekła i jest bezpieczna. Zebon jej szukał, wysyłał szpiegów... Straciłem wtedy wszystko – Albanę, drzewko broz, pieniądze. Nie miałem po co wracać na Równiny.

Nieskładnie, urywanymi zdaniami, opowiadał Stevarowi swoją historię i historię dziewczyny, z którą tak nieoczekiwanie związał go los.

Niedźwiedz słuchał uważnie, nie przerywał, nie dopytywał się o pominięte szczegóły.

Na dworze już dawno zmierzchało, kiedy Cal wreszcie skończył opowieść. Ktoś przy drzwiach donośnym głosem domagał się widzenia z dowódcą. Stevar wyszedł. Zza ściany słyhać było jego przytłumiony głos.

Do środka wśliznął się Jarik. Pokręcił się po izbie, ale niewiele mógł zrobić. Kapitan siedział przy stole, zobojętniały, nieruchomy. Nie zwrócił uwagi ani na wyjście przyjaciela, ani na obecność chłopca.

Musiał się zdrzemnąć, bo cichy jęk kobiety wstrząsnął nim gwałtownie. W ciemności potknął się o stołek i uderzył boleśnie. Stał chwilę, masując zdrętwiałą nogę. Oczy przywykły do mroku i odróżnił stojący na stole lichtarzyk ze świecą. Skrzesał ognia, nalał trochę wody do kubka i zajrzał do Albany.

Rzuciła się na posłaniu. W blasku świecy dojrzał jej przerażone, nieprzytomne oczy.

– Niecee – jęczała. – Mamo, proszę, niee... Odstawił świecę i potrząsnął rozpalonym ciałem.

– Albano – szepnął. – Albano, obudź się. To tylko sen, zły sen.

– Mamo – zawodziła kobieta. – Nie pozwól im...

Przygarnął ją i kołysał lekko, jak dziecko, które dręczą nocne koszmary.

– Ciii. Jesteś bezpieczna. Nic ci nie grozi. Masz, napij się.

Po omacku sięgnął do kubka i przytknął do spierzchniętych warg. Wypiła łąpczywie i uspokoiła się.

– Śpij, Albano. Jestem za ścianą, wystarczy tylko zawołać. Śpij... Zamknęła oczy, ukołysana łagodną melodią jego głosu. Ułożył ją na powrót na posłaniu i okrył swoim płaszczem, którym zastąpił brudną derkę, poprawił opatrunek na głowie. Patrzył chwilę, czy znów się nie obudzi i wreszcie cicho wyszedł z izdebki.

Rankiem, po nocy wypełnionej bolesnymi jękami kobiety, wyszedł wreszcie z chaty.

Wykąpał się w lodowato zimnej wodzie rzeki spływającej z gór, włożył czyste ubranie i zjadł śniadanie przygotowane przez Jarika. Poczuł, że wraca mu trzeźwość umysłu.

Kiedy Stevar i Lovell weszli do izby, przeszukiwał rzucone w kącie juki. Niedźwiedź odetchnął z ulgą, gdy zobaczył energiczne ruchy dowódcy i zwykły błysk w szarych oczach. Lovell niepewnie spojrzał w stronę komórki.

– Mam do niej zajrzeć? – spytał.

– Tak. Majaczyła całą noc.

Chłopak, jakby niechętnie, otworzył drzwi i wśliznął się do środka.

– Znalazłeś coś? – spytał Niedźwiedź, patrząc na kupkę wywalonych z toreb śmieci.

– Popatrz na to.

Jeździec położył na stole niewielki tłumok, omotany owczą skórą i rozwinął.

– Kamień? Może to jakiś amulet... – mruknął Stevar. – Jest co jeszcze? Cał zawinał z powrotem kamienny blok i wyjął następną torbę.

– Owszem, zioła. Albana była... jest uzdrowicielką – powiedział z goryczą Jeździec. – Może oprzytomnieje i powie, co z tym zrobić. I jeszcze to. – Wskazał na stosik pożółkłych kart związanych rzemieniem. – Ledwie można odcyfrować. To jakaś opowieść z czasów Smoczych Wojen.

Zaczął wrzucać rzeczy z powrotem do worka, kiedy powstrzymała go drobna dłoń Jarika.

– Wezmę zioła – powiedział chłopak, spuszczać głowę.

– Znasz się na tym? – spytał zaskoczony Calmin.

– Matka trochę leczyła – szepnął zawstydzony. – Czasem jej pomagałem.

Jeździec wręczył mu worek z lekarstwami. Chłopak siadł w kącie i zaczął przeglądać jego zawartość. Wybrał parę zasuszonych łodyg i wyszedł. Z obórki wychylił się Lovell.

– Co z nią?

– Wczoraj ledwo dychała, ale dzisiaj wygląda lepiej. Siniaki zbladły i rana na głowie się goi. To jakieś czary.

– Nie pleć głupot – skarcił go Stevar. – I wynoś się, jak skończyłeś swoją robotę.

Lovell spojrzał na niego z urazą.

– Przecie to czarownica, to i zdrowieje po czarodziejski! – mruknął.

– Dobra, dobra – pogonił go Niedźwiedź. – I pamiętaj, żebyś nie miał ozorem po próżnicy.

– A co ja, dziecko jestem? – nastroszył się chłopak. – Kapitan przecie zakazał o niej opowiadać. Ale po prawdzie...

– No?

– ...trzeba by co wymyślić, bo ludzie zaczynają gadać. Kapitan zerknął na Stevara i zamyślił się na chwilę.

– Na razie powiedz, że to bandycka branka, poturbowana bardzo. Nic więcej.

– Dobrze, panie. Ale po co ją leczyć? Stos i tak jej nie minie. Chyba, żeby uciecha była lepsza.

– Zaniknij dziób i wynoś się – zdenerwował się Stevar. Chłopak, czując na sobie groźne spojrzenie Niedźwiedzia, umknął z izby.

– Nie pamiętam, co wczoraj mówiłeś o patrolu. Znalazłeś coś? – podjął Cal, jakby nie słyszał słów Lovella.

– O, właśnie – ucieszył się Stevar. – Dobrze, żeś mi przypomniał. Wczoraj na drodze zagarnąłem rannego. Był ledwie przytomny i zdechłby pewnie, gdyby Lovell się nim nie zajął.

Gadałem z nim dzisiaj. On twierdzi, że Krisp i jego banda siedzą w Celebonie. Podobno...

– Gdzie? W Celebonie?

– ...napadli go po drodze. Z tego, co usłyszał, gadali o jakichś kopalniach, i że łup mają zawieźć do Celebonu.

– Celebon – zamyślił się Cal. – Tak, to możliwe. Wczoraj, kiedy przesłuchiwałem tę gnidę, tak się jakoś zająknął, kiedy spytałem go, dokąd jedzie. I o diamentach wspominał. Ale przecież tu w okolicy nie ma żadnych kopalń diamentów.

– Są czy nie ma, chyba warto by sprawdzić ten Celebon. To ponoć same ruiny i na dodatek przeklęte, jak powiadają. Idealna kryjówka dla takich jak Krisp.

– Tak – mruknął Cal. – Popatrzmy.

Wyciągnął mapę i rozłożył ją na stole. Chwilę studiowali ją w milczeniu, wreszcie zafrasowany Stevar przeciągnął ręką po krótko ostrzyżonych włosach.

– To niedaleko od nas. Ale ciężko będzie ich zaskoczyć, dookoła same łąki.

– Nie wiadomo – zaprzeczył Calmin. – Tam od dawna nikt nie mieszka, nie ma kto karczować lasu. Trzeba by podejść nocą, po cichu, i zaatakować o świcie.

– Bez rozpoznania? – skrzywił się Niedźwiedź. – Mogą nas wyróżnić jak wieprze.

– Mogą oni nas, możemy my ich – skwitował Jastrząb. – Jeśli nie będą się spodziewali ataku, powinno się udać.

– A nie lepiej poczekać, przycziąć się? Jak mają zamiar szukać kopalni, ruszą się przecież.

– Nie, Stevar. Zrobimy, jak mówię. Trzeba się śpieszyć, zanim zaczną się zastanawiać, co się stało z ich zwiadem. Ty poprowadzisz ten atak. Wyruszysz jeszcze dziś.

– Ja? – zdziwił się Niedźwiedź. – A ty?

– Ja zostanę tutaj z Albaną. Nie wiem, co będzie dalej, ale póki co, jest pod moją opieką.

Stevar otworzył usta, zamknął je i w końcu powiedział coś całkiem innego niż zamierzał.

– Ludzie zaczną gadać.

– Nic mnie to nie obchodzi – uciał Cal. – Zostanę ja, wszyscy ranni, Jarik i pięciu ludzi do obrony. A ty przygotuj się do wymarszu.

Stevar zasalutował, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Dopiero wtedy Calmin usłyszał dosadne przekleństwo.

Bazył obudził się w ciasnej chacie. Leżał na ubitej ziemi pośród innych ludzi i długą chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że to nie ruiny Celebonu, a otaczający go mężczyźni nie należą do bandy Krispa. Przez jakiś czas trwał bez ruchu, z zamkniętymi oczyma i słuchał toczonych bez skrępowania rozmów. Powoli zaczął odzyskiwać jasność umysłu, a pamięć usłużnie podsunęła obrazy niedawnych wydarzeń. Domyślił się, że dwaj zabici, o których mowa, to pewnie Tytus i Mones, a ranna kobieta, to wiedźma spotkana w lesie. Ale najważniejsze było uświadomienie sobie faktu, że znalazł się pośród żołnierzy Jastrzębia. Choć opatrzona przez Lovella głowa bolała go bez ustanku, szybko obmyślił historyjkę o napaści podczas podróży i poczęstował nią wypytującego go Stevara. Bez wahania zdradził kryjówkę Krispa, starając się pozyskać zaufanie pocziwie wyglądającego olbrzyma i z niecierpliwością czekał, co przyniesie mu los.

Cal stał w drzwiach i patrzył na wymarsz oddziału. Na podarowane przez Rhodessa kaftany żołnierze narzucili chłopskie siermięgi, choć był to kiepski kamuflaż. Jego ludzie – sprawni, karni i doskonale uzbrojeni – nawet z daleka nie przypominali grupy wieśniaków czy kupców. Patrząc na nich, Calmin czuł dumę. On ich wyszkolił, prowadził do boju, dzielił z nimi trudy żołnierskiego żywota. Z drużyny, która wyruszyła z Loenu, zostało tylko paru: on, Stevar,

Lovell, bracia Brian i Dough, Trevor. Był jeszcze Weda i paru żołnierzy z oddziału jego i Umera. Resztę stanowili kmiecie, którzy chcieli pomścić doznane krzywdy albo zasmakować wojaczki.

Z komórki dobiegł jakiś szmer. Cał poczuł nagłą złość na Albanę. To przez nią nie mógł poprowadzić ich do walki. Rudowłosa kobieta znów stanęła na jego drodze i pokrzyżowała mu plany.

Albana uniosła powieki i napotkała uważne spojrzenie niebieskich oczu. Młody chłopak wpatrywał się w nią intensywnie, a kiedy spostrzegł, że się ocknęła, podetknął jej kubek z parującą zawartością. Wypiła chciwie. Wilgoć przyniosła ulgę spękany wargom i wysuszonemu gorączką gardłu. Opadła z powrotem na posłanie, ale nie przymknęła powiek. Patrzyła na szerniałe deski ścian, na słomę tworzącą dach, ale nie odnalazła żadnego znajomego kształtu.

– Gdzie jestem? – wychrypiała.

– Żołnierze cię znaleźli i przywieźli do wsi. Głowę masz potrzaskaną i bardzo poturbowana, ale bezpieczna.

Błękitne oczy patrzyły na nią uspokajająco, a delikatne ręce sprawnie zmieniały opatrunek na głowie.

– Ktoś ty? – spytała słabo.

– Jarik, z oddziału Jastrzębia.

Skinęła lekko głową na znak, że zrozumiała i ponownie zapadła w sen. Budziła się jeszcze kilkakrotnie, a czuwający bez ustanku chłopak karmił ją, poił, okładał ciało długimi liśćmi babki i szmatami nasączonymi wywarem z arniki i nostrzyka, które przyspieszały gojenie się ran. Wieczorem znów zasnęła, ale był to ożywczy odpoczynek, a nie pełne koszmarów majaki.

Ocknęła się ponownie w środku nocy. Była sama, wokół panowała cisza. Usiadła na posłaniu i pomacała guza na głowie, dotknęła siniaków. Mimo obrażeń czuła się nieźle. Ból zmałał, gorączka opadła. Gojące się rany swędziały, a brudne, podarte ubranie drażniło skórę. Wstała, czepiając się ściany i niezgrabnie zaczęła się rozdziewać. Coś zaszeleściło przy jej uchu i nagle przed oczami pojawiły się zapomniane obrazy: pośpieszna jazda, nocne obozowisko, szepty, które usłyszała zbyt późno, ból...

Gdzie Kosma? Gdzie sakwy, medalion, pomyślała w panice, macając ręką po gołej szyi. W głowie jej zawirowało, więc przymknęła powieki i oparła o ścianę, czekając aż minie słabość. Ktoś widać usłyszał hałas, bo drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i stanęła w nich postać oświetlona słabym płomykiem trzymanej w ręku świecy. Zamarła, niezdolna się poruszyć...

Jeździec kręcił się na sienniku wypchanym słomą, który Jarik przytaszczył dla niego z poprzedniej kwatery. Był tak zmęczony, że nie mógł zasnąć. Pod zamkniętymi powiekami ciągle miał obraz nieprzytomnej Albany otulonej kokonem z derki. Kiedy umykał myślami od tego widoku, czuł się winny, że pozostał w obozie, zamiast prowadzić atak na Celebon.

Gdy usłyszał szmery dobiegające z sąsiedniej izdebki, wstał, zapalił stojącą pod ręką świecę i wszedł do obórki. Widok nagiej Albany poraził go. Stał jak sparaliżowany, rejestrując szczegóły jej ciała: bladą skórę poznaczoną plamami siniaków, długie nogi, zaokrąglone biodra, wąską talię, drobne piersi o wyzywająco sterczących sutkach, z falującym znamieniem w kolorze złota, owalną twarz o lekko skośnych, zdumionych oczach, oszpeconą sińcem, okoloną szopą splątanych włosów.

Świeca zaskwierczała w jego ręce. Pałący się kawałek knota spadł mu wprost na dłoń.

Zaskoczony wypuścił ogarek, pograżając komórkę w ciemnościach.

Oprzytomnieli obydwój. Albana po omacku chwyciła płaszcz i okręciła się nim starannie, Cal wyszedł.

Stał w drzwiach i patrzył na pograżone w mroku chaty, kiedy usłyszał ciche skrzypnięcie.

– Jeść mi się chce.

Chrapliwy głos załamywał się lekko, zdradzając zdenerwowanie.

– Jarik zostawił cały garnek zupy – mruknął, wskazując na stół i dopiero po chwili uświadomił sobie, że w ciemnościach kobieta nie widzi jego gestu.

Na nowo zapalił świecę i podał żonie wyciągniętą zza cholewy buta łyżkę.

Jadła prędko, wprost z garnka, nie zważając na zestalony tłuszcz unoszący się na powierzchni. Szerokie rękawy płaszcza kołysały się przy każdym ruchu i odsłaniały chude, posiniaczone nadgarstki.

– Trzeba ci poszukać jakiegoś odzienia – powiedział Cal zadowolony, że stoi poza zasięgiem światła i może skryć rumieniec. – Chyba, że to jest twoje – wskazał na leżące w kącie sakwy.

Kobieta porzuciła garnek i obejrzała zawartość toreb.

– To moje juki – powiedziała zadowolona. – A medalion? Medalion Emausa? Znalazłeś go?

Calmin pokręcił przecząco głową, a Albana westchnęła rozczarowana.

– Podobno uratował mnie oddział Jastrzębia. Należysz do niego?

– podjęła, przerywając ciężkie milczenie.

– Tak.

I znów cisza.

– Jak się czujesz? Dwa dni temu mój medyk nie postawiłby miedziaka na to, że przeżyjesz.

– Tym razem pierwszy odezwał się Calmin.

– Nic mi nie będzie – zbyła go. – Słuchaj, Cal... – Tak?

Chciała mu powiedzieć o żalu i tęsknocie, o pragnieniu, które dręczyło ją nocami, ale zabrakło jej słów. Nerwowo oblizwała wargi. – Ja...

– zaczęła i znów urwała.

– Dokąd jechałaś?

– Do Celebonu. A mój towarzysz, Kosma? Znaleźliście go? – przypomniała sobie nagle.

– Nie żyje. Po co jechałaś do Celebonu?

– Muszę tam czegoś poszukać – odpowiedziała niejasno. Oszalałaś. Tam nic nie ma. Same ruiny i zbóje, którzy obrali sobie to miejsce na kryjówkę.

– Ja muszę tam pojechać – powtórzyła.

– Po co? Mało ci było bandyckich zalotów?

Pożałował swoich słów, ledwie przebrzmiały. Po raz pierwszy spojrzał jej prosto w twarz. Usta miała zaciśnięte, w zielonych oczach błyszczał upór. Zapomniał o przeprosinach.

– Nigdzie nie pojedziesz – powiedział twardo. – Zostaniesz tutaj, póki nie wyzdrowiejesz, a co dalej mam z tobą zrobić, zastanowię się później.

Albana aż drgnęła, słysząc ten rozkazujący ton. Otuliła się szczelniej płaszczem i wyprostowała dumnie.

– Zrobię, co będę chciała. A skoro nie mogę porozumieć się z tobą, zaprowadź mnie do Jastrzębia. Podobno on tu rządzi – dokończyła uszczypliwie.

– Masz tupet kobieto. Uważasz, że zechce z tobą rozmawiać w środku nocy?

– Owszem, tak myślę. A ty nie będziesz wiedział, póki go nie poprosisz, prawda?

Calmin jednocześnie zły na siebie za odgrywanie komedii i rozbawiony jej pewnością siebie, sięgnął po kaftan przerzucony przez stołek. Założył go, zapiął pas i odrzucił do tyłu potargany warkocz, który znów zapuścił po wyjeździe z Loenu. W świetle świecy zabłysnął wyhaftowany na piersi znak jastrzębia, a na rękawie kapitańskie skrzydełka.

– Kapitan Królewskiej Armii Imeskarii, Calmin Fen zwany Jastrzębiem, do usług – zaanonsował się złośliwie. – Co mogę dla ciebie zrobić, Albano da Fen?

– Niech cię szlag – zezłościła się Albana. – Powinieneś występować jako błazen na jarmarkach.

Wstała i zamiatając podłogę przydługim płaszczem, zniknęła w komórcie.

Cal łyknął wódki i na powrót ułożył się na sienniku. Może sprawił to alkohol, może wreszcie zmogło go zmęczenie, a może ta krótka rozmowa rozładowała jego napięcie, dość że po chwili zasnął.

Albana siedziała na swoim posłaniu i rozmyślała. Rozmowa z Calminem uświadomiła jej, że na powrót znalazła się w świecie, gdzie znaczyła mniej niż najpodlejszy żebrak. Była wyrzutkiem, groźnym odmieńcem i będzie miała szczęście, jeśli mąż nie zadenukuje jej w najbliższej świątyni. Zbyt wiele czasu strawiła, marząc o sile Cala, o ramionach, w których mogłaby znaleźć schronienie, o pocałunkach, żeby teraz nie odczuwać goryczy, słysząc oschły ton jego głosu. Nie zamierzała prosić o zgodę na wyjazd ani wyjaśniać powodów, dla których musi odwiedzić Celebon.

Wstała i cichutko zajrzała do sąsiedniej izby. Nasłuchiwała chwilę ciężkiego oddechu i niespokojnego mamrotania. Upewniwszy się, że śpi wśliznęła się do ciemnego pomieszczenia i nachyliła nad Calminem. Wpatrzyła się w przystojne oblicze swego męża, ostrożnie dotknęła blizny na czole, wreszcie pocałowała leciutko. Mężczyzna westchnął przez sen, wyciągnął rękę, a wtedy odsunęła się przestraszona, że go zbudzi. Delikatnie wtargnęła do jego jaźni i zesłała nań głęboki, ożywczy sen. Potem odnalazła swoje juki, odziała się w zapasowe ubranie, spakowała resztę rzeczy i podeszła do drzwi.

Na progu siedział Jarik, zagradzając przejście.

– Przepuść mnie – szepnęła kobieta.

– Zostań, pani. Kapitan... On i ty, powinniście... Przecież wy... – jąkał wyrostek.

– Muszę wyjechać.

Chłopak ze smutkiem skinął głową i odsunął się na bok.

– Powodzenia – powiedział cichutko. Zwichrzyła mu czuprynę i uśmiechnęła się lekko.

– Opiekuj się nim dobrze. I uważaj na siebie. Żegnaj. Potem szybko i cicho odeszła.

Kiedy późnym rankiem Calmin odkrył zniknięcie Albany, wpadł we wściekłość. Zwykle spokojny i opanowany kłął najgorszymi słowami na wartowników, którzy jeden po drugim zapewniali, że nie wypuścili nikogo ze wsi. Jarik patrzył na niego ze strachem i dopiero kiedy fala złości minęła, podszedł do swojego kapitana i zagadał nieśmiało.

– Ona pojechała do Celebonu.

– Skąd wiesz? – napadł na niego na nowo rozsierdzony Cal. – A może to ty pomogłeś jej w ucieczce.

Jarik zaczerwienił się po uszy.

– Czy ona była więźniem, panie?

– Nie, ale... Pomogłeś jej, mów?

– Nie. Widziałem tylko, jak odchodziła. Ona musiała jechać do Celebonu. To było dla niej



ważne.

– Ważne – prychnął Cal. – Wpadnie prosto w łapy Krispa albo... Niech to zaraza! Siodłaj mi konia. Natychmiast.

Albana nie oszczędzała swego wierzchowca, ale wyczerpanie gorączką i długą utratą świadomości szybko dało o sobie znać. Ledwo trzymała się w siodle, miała zawroty głowy, a poranione uda piekły nieznośnie. W głębi duszy czuła, że powinna zawrócić, poczekać, aż nabierze sił, ale upór i złość pchały ją do przodu.

Podążała skrajem lasu tak, żeby w każdej chwili móc schronić się w jego bezpieczny cień. Gdyby zapuściła się głębiej, zauważyłaby zapewne ślady przejeżdżającego niemal tą samą drogą oddziału prowadzonego przez Stevara.

Cal jechał na skróty, nie ukrywając się, najważniejszy był czas. Kiedy myślał o nieuchronnym spotkaniu Albany ze swymi żołnierzami, strach podnosił mu włosy na głowie. Co się stanie, jeśli w pobliżu nie będzie Stevara? Jak zareagują żołnierze, prości chłopcy, na widok jej płomiennych włosów i co zrobi jego uparta, nieznośna żona, otoczona przez pół setki uzbrojonych ludzi?

Dlatego gnał na złamanie karku i prawie przeoczył zgarbioną sylwetkę ubraną w bury strój.

Kiedy ślaniająca się ze zmęczenia Albana zauważyła Jeźdźca., było za późno na szukanie schronienia. Wyprostowała się więc i przybrała buńczuczną minę, ale blada skóra z kropelkami potu, podkrążone oczy i drżące dłonie, ledwo trzymające wodze, łatwo zdradziły jej stan.

Cal zeskoczył z wierzchowca i ściągnął ją na ziemię. Nie miała siły, żeby się bronić. Wsparała się na nim całym ciężarem, przymykając oczy, przed którymi wirowały ciemne plamy.

– Co, do cholery, jest w tych ruinach, że ryzykujesz życiem, żeby się tam dostać? – powiedział gniewnie, sadzając ją na trawie.

Albana oparła się plecami o chropowaty pień drzewa i oddychała głęboko, starając się przezwyciężyć słabość. Kiedy mężczyzna pochylił się nad nią, by ściągnąć jej z pleców łuk i kołczan ze strzałami, złapała go za rękaw.

– Muszę tam jechać. Muszę się dowiedzieć... – powiedziała uparcie.

– Nie zatrzymasz mnie, chyba, że mnie zabijesz.

– Jeszcze chwila, a nie będę musiał. Umrzesz z wyczerpania – odburknął szorstko. – Powiedz, jak się gotuje to zielsko.

Minęło południe, kiedy otworzyła oczy po drzemce, w którą zapadła. Czuła, że siły jej wróciły. Napój przyspieszył krążenie krwi, pobudził zmysły. Widząc, że się ocknęła, Calmin podał jej zawiniątko z jedzeniem. Żuła pracowicie twarde mięso, popijała ciepłą wodą. Kiedy zaspokoila głód, podał jej rękę i pomógł wstać.

– Jeśli chcesz się dostać do Celebonu, czas jechać. Stevar szykował się do ataku, może już jest po wszystkim. Wolałbym ich nie spotkać, kiedy...

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz – sarknął ze złością. – Ale uwierz mi na słowo. Lepiej będzie, jeśli nikt cię nie zobaczy. A teraz ruszajmy.

Stracili za wiele czasu, aby przed nocą wyjechać z lasu. Zrobiło się zbyt ciemno na konną jazdę, zsiadli więc i poczęli przedzierać się przez krzaki, prowadząc wierzchowce za sobą. Pomiędzy drzewami panowała nienaturalna cisza. Nie słychać było odgłosów nocnych zwierząt. Tylko szelest poruszanych wiatrem paproci i skrzypienie ocierających się o siebie gałęzi przypominało im, że to realny świat, a nie jakaś przeklęta, zaczarowana kraina. Cal

szeptem polecił naciągnąć kobiecie kaptur na głowę i zasznurować go mocno. Ledwo skończyła, kiedy z ciemności wynurzyła się jakaś postać. W bladym świetle księżyca błysnęło nagie ostrze.

Cal stanął pomiędzy żoną, a mieczem.

– Kto na warcie? – spytał ostro.

Zaskoczony żołnierz opuścił na moment broń, ale szybko się opanował.

– Ktoście wy? – odpowiedział groźnie.

– Jalo? To ja, Jastrząb. Żołnierz odetchnął z ulgą.

– Aleście mnie nastraszyli, kapitanie.

– Gdzie Stevar?

– Siedzi w łozinie na północ od nas. Zaprowadzić was, panie?

– Dobrze, nie będziemy błędzić po omacku. Wezwij kogoś na zmianę i ruszajmy.

Jalo na moment zniknął w krzakach. Po chwili jego zmiennik zaszalutował z szacunkiem i skrył się w ciemności, podejmując wartę. Cała trójka wtopiła się w mrok.

Żołnierze i konie poukrywani wśród krzaków byli prawie niewidoczni. Niektórzy spali, inni pogadywali cicho, sprawdzali broń i posilali się. Nie zdziwiło ich nieoczekiwane pojawienie się kapitana. Pozdrawiali go spokojnie i wracali do swoich zajęć.

Jalo poprowadził ich na skraj lasu, do olbrzymiej kępy łozin.

– To tutaj, kapitanie – zameldował półgłosem.

– Możesz wracać, Jalo.

Żołnierz zaszalutował i odszedł. Calmin skinął na Albanę i obydwójce zanurzyli się w krzaki.

Stevar i Brian siedzieli, obserwując rozciągającą się przed nimi równinę. Trevor i Dough, skuleni obok i przykryci jednym płaszczem, pochrapywali przez sen.

– Spodziewałem się zastać was liczących trupy bandytów, a wy podziwiacie widoki – odezwał się Cal, stając zniechęca za ich plecami.

Zaskoczony Niedźwiedź poderwał się na równe nogi.

– Cal – wykrzyknął, a w jego głosie wyraźnie było słychać radość i ulgę. – Wiedziałem, że do nas dołączysz.

Nagle jakby stracił oddech, widząc obok dowódcy zakapturzoną postać.

– Oszalałeś? Po coś ją tu przywłókł?

– Nie twoja rzecz – mruknął Cal. – Lepiej powiedz, dlaczego ciągle tkwisz w tych krzakach.

– Czemu? – powtórzył z niedowierzaniem Stevar. – A temu. Szerokim gestem wskazał na równinę i majaczące w oddali ciemne kształty.

– Mówiłem ci jeszcze we wsi, że tu równo jak na stole. Żadnych drzew, zarośli, rowu, nic. Jak mam atakować?

Cal zajął miejsce obok Briana, który z ciekawością obserwował milczącą postać, i wyrzwał poprzez wiotkie gałęzie. Ruiny Celebonu oświetlone blaskiem księżyca wyglądały niesamowicie i groźnie. Pokruszone mury wysuwały ku niebu resztki ścian i wież, niczym pazury drapieżnego stwora. Wokół rozciągał się płaski, odkryty teren z karłowatymi krzakami, które mogły skryć najwyżej zajaca. Jastrząb zaklął cicho.

– Widzieliście ich chociaż? Są tam?

– Za daleko, żeby zobaczyć kogoś w środku, a droga ciągiem pusta – zaraportował Brian.

– No i co? Sam widzisz, że to niełatwe – odezwał się Niedźwiedź. Cal zamyślił się

ponuro, ale kiedy spojrział obok na drżącą od chłodu, szczupłą sylwetkę, zdecydował.

– Poczekamy do świtu, potem zobaczymy. A na razie... Brian, zbudź tych dwóch i przynieście nam coś ciepłego do jedzenia.

Brian skrzywił się, czując, że w powietrzu wisi jakaś tajemnica, ale nie protestował. Służba pod komendą Fena nauczyła go zaufania do dowódcy. Zbudził brata i Trevora i we trójkę opuścili zarośla.

Albana, nie zważając na Stevara, wychyliła się z łozin i uważnie przypatrzyła ruinom. Odwróciła się, przysiadła na piętach i wychrypiała:

– Jest sposób, żeby dostać się tam niepostrzeżenie.

Stevar, który ciągle rzucał rozżalone spojrzenia to nią, to na Calmina, nie wytrzymał.

– Przewieziesz nas na miotle? – spytał szyderczo.

– Za ciężki jesteś, żeby cię wozić na miotle – odpowiedziała złośliwie Albana.

Rozsznurowała kaptur, a ciasno upchnięte pod nim włosy rozsypały się w nieładzie na ramiona. Księżycowy blask litościwie ukrył siniaki i zadrapania, przydał oczom blasku, wydobył połysk z niesfornych loków. Niedźwiedź rozdziawił gębę, zagapiwszy się na jej urodę.

– Idę spać. Obudźcie mnie o świcie – mruknęła. Otuliła się ciepłą jeszcze derką, pod którą wcześniej odpoczywał Trevor i zasnęła znużona.

Stevar patrzył na nią z mieszaniną ciekawości i niechęci.

– Tyś naprawdę zwariował. Po cholere żes ją przywiózł? – mruknął w końcu do Cala. – Wierysz, że nam pomoże?

Cał wzruszył ramionami.

– Z pomocą Albany czy bez niej – atakujemy o świcie. I nie ja ją ni przywiozłem. Ona jechała właśnie do Celebonu i uparła się, żeby tu dotrzeć. Prawdę mówiąc, uciekła nocą. Znalazłem ją ledwie żywą. Co miałem zrobić?

– Czuję przez skórę, że ta kobieta sprowadzi na nas kłopoty. Najlepiej byłoby odesłać ją gdzieś po cichu.

Twarz Calmina nagle stwardniała.

– To moja żona i muszę zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie zapominaj o tym, Niedźwiedziu. Koniec gadania. Prześpijmy się lepiej.

Bazył, na polecenie Stevara, dołączył do oddziału mającego zaatakować bandę Krispa. Widać dobroduszny olbrzym nie był tak naiwny, jak początkowo sądził morderca i wolał mieć go na oku, ale Bazył był zadowolony. W ferworze walki z pewnością nadarzy się okazja, żeby wykonać zlecenia. Najwyższego Kapłana. Po wszystkim zamierzał wrócić do wsi i pojmać czerwonołosą wiedźmę.

W ciągu kilku godzin, jakie spędził pośród żołnierzy, jego szacunek dla tych ludzi i ich dowódcy wzrósł niepomrotnie. Szybki wymarsz, karność i dyscyplina w trakcie jazdy świadczyły o świetnej organizacji i wyszkoleniu. Bazył rozumiał teraz, skąd wzięty się sukcesy Jastrzębia, a jego plan przestał wydawać się prosty do wykonania. Ani przez chwilę nie pozostawiono go samego, a wszystkie pytania na temat kapitana zbywano gładkimi opowieściami, które były powszechnie znane. Dopiero na postoju w lesie nieopodal Celebonu z prowadzonych półgłosem rozmów dowiedział się, że tym razem Jastrzębia nie ma wśród swoich ludzi. Bazył przeżył gorzkie rozczarowanie. Miał ochotę wrzeszczeć ze złości. Jego wściekłe spojrzenie odstraszało kompanów, siedział więc samotnie i przeklinał najgorszymi słowami.

Tymczasem świt zbliżał się nieubłaganie. Wszyscy trwali w czujnym oczekiwaniu, skupieni i przejęci, rozkaz ataku jednak nie nadchodził.

Atmosfera w obozie rozluźniła się nieco. Gryząc suchary i suszone mięso, żołnierze zbierali się w grupki i pogadywali cicho. Bazyl, po drzemce, przysiadł się raz tu, raz tam. Słuchał, przyjmował poczęstunek, opowiadał parę żartów i szedł dalej. Podczas tej wędrówki zauważył Wedę.

Ponury żołnierz siedział na uboczu, samotnie. Bazyl wpierw wypytał o niego, a potem bez ceremonii przysiadł się do samotnej postaci. Od niechcenia rzucił parę pochwalnych zdań o sukcesach Jastrzębia. Błysk nienawiści w oczach byłego kapitana upewnił go, że znalazł sojusznika w swoich zamiarach.

Nieoczekiwany przyjazd Jastrzębia, o którym szybko rozeszła się wieść, dodał mu nowej energii. Wyczekał chwilę, kiedy Weda udał się na wartę i podążył za nim.

– Wyznaczono cenę za jego głowę? – zdziwił się żołnierz po paru zdaniach rzuconych od niechcenia przez mordercę.

– Są ludzie, którym zależy na jego śmierci – tłumaczył enigmatycznie Bazyl.

– Sam chętnie bym mu łeb ukręcił – mruknął Weda. – Ale ta banda kmiotów rozszarpałaby mnie na sztuki.

– Jedna zbłąkana strzała w czasie bitwy załatwiłaby sprawę – odpowiedział Bazyl. – Nikt by nie zauważył, skąd nadleciała. Po jego śmierci mógłbyś zostać dowódcą albo odebrać nagrodę i żyć spokojnie.

– A ty?

– Podzieliłbyś się przecież, nie?

Weda błysnął w ciemności białkami oczu.

– Czemu sam tego nie zrobisz?

– Bo mi nie ufają. Nie zostawią mnie samego, nie spuszczą z oczu. Ty jesteś jednym z nich. Nikt nie będzie cię podejrzewał.

Weda podrapał się po kudłatej, zawsoniej głowie. Nie było dnia, żeby nie żałował swojej decyzji pozostania w oddziale. Calmin Fen spełnił swoją obietnicę i nie zważał na jego oficerski patent, nigdy nie powierzył dowództwa najmniejszego nawet patrolu. Jego byli podkomendni odsunęli się od niego i bez sprzeciwów podporządkowali nowemu kapitanowi.

W ciągu paru miesięcy, jakie spędził pod dowództwem Fena, Weda nauczył się obwiniać go za wszystkie niepowodzenia. Nienawidził Jastrzębia z całego serca i codziennie życzył mu śmierci, ale brakowało mu odwagi na bezpośrednią konfrontację.

Słowa Bazyla otworzyły nagle przed byłym kapitanem nowe możliwości. Oczywiście nie zamierzał dzielić się nagrodą i nie miał ambicji zostania nowym dowódcą tej wieśniackiej hołoty. W głębi duszy dobrze wiedział, że żaden z żołnierzy Jastrzębia nie przeszedłby pod jego komendę. Ale pieniądze... Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Bazyla.

– Urnowa stoi – powiedział. – Tylko nie próbuj mię okpić, bo pożałujesz.

Albana zbudziła się tuż przed świtem, kiedy ciemność jest najbardziej nieprzenikniona, a zimno najdokuczliwsze. Trzęsąc się z chłodu, odrzuciła derkę i spojrzała na równinę. Cal i Stevar przecknęli się prawie jednocześnie, czujni, z rękami na głowniach mieczy.

– Zbudźcie wszystkich – poleciła kobieta, nie oglądając się na nich. – Niech będą gotowi do wymarszu.

Stewar chciał zaprotestować, ale widząc potakujący ruch głowy Calmina, odszedł posłusznie. Albana nie zważała, na jego pomruki. Oderwała kilka nitek ze swojej wilgotnej od

potu i rosy koszuli i przez chwilę ugniatała je w dłoniach. Potem rozchyliła zaciśnięte palce i dmuchnęła na strzępki. Pofrunęły lekko przed siebie, choć wiatr nie poruszał nawet najmniejszą gałązką.

Cal patrzył na to zafascynowany, ale pełen sceptycyzmu. Kiedy Albana przywołała go skinieniem, wychylił się i spojrział. Równinę zaścielała gęsta, biała jak mleko mgła. Jeździec nie widział dalej niż na pięć kroków. Tuman zaczynał się tuż za łożami, nie przekraczając ich linii.

– Pojadę przodem – powiedziała szeptem kobieta. – Nie wiem, czy mgła sięga do samych ruin. Zresztą moglibyście łatwo zabłądzić.

Cal wyciągnął rękę, jakby chciał schwytać w dłonie mleczny opar.

– Jest prawdziwa?

– Tak – odparła, nie patrząc mu w oczy. – Ale lepiej wyruszyć jak najprędzej. Nie wiem, jak długo...

Jastrząb ścisnął jej ramię.

– Już są – wyszeptał jej wprost do ucha. – Zaciągnij kaptur i trzymaj się mnie.

W lesie słyhać było poruszenie, szelest liści, ciche rżenie koni. Zakwilił jakiś zbudzony ze snu ptak.

Stear przedarł się przez łożyny i spojrział na Albanę.

– To co, lecimy? – spytał sarkastycznie.

Cal wskazał na zasnętą mgłą równinę.

– Ruszamy – powiedział. – Ona i ja przodem, ty pilnujesz środka, Brian i Dough osłaniają tyły. Szybko i cicho, Stevar. Nie wiadomo, jak długo to potrwa.

Stear popatrzył na mgłę i z niedowierzaniem przeniósł wzrok na kobietę.

– Tyś to zrobiła?

Złowił groźne spojrzenie Cala i zawrócił bez słowa. Po chwili słyhać było jego ciche rozkazy.

Albana zasznurowała kaptur, przedarła się przez krzaki i podeszła do podprowadzonych koni. Sprawdziła popręgi, założyła na plecy łuk i kołczan pełen strzał, spojrziała na męża i skinęła głową. Cal wskoczył na swojego wierzchowca i podniósł rękę.

Ruszyli, wstępując w biały tuman. Mgła głuszyła dźwięki, zapierała oddech, oblepiała ich niczym pajęczyna.

Albana prowadziła pewnie, jakby przez cały czas widziała właściwą drogę. Raz tylko zatrzymała się gwałtownie i powtórzyła operację ze strzępkami materiału. Ci, którzy postępowali za nią i Caliem nawet tego nie zauważyli skupieni na wypatrywaniu idących przed nimi towarzyszy. Przez całą drogę Calmin miał wrażenie, że wiedzie upiorny kondukt pogrzebowy.

– Jesteśmy tuż pod murami – szepnęła kobieta, wrywając go z zamyślenia. – Dalej mgła nie sięga.

Skinął głową na znak, że zrozumiał i przywołał Stevara. Zabrzmiały powtarzane cicho rozkazy. Żołnierze sprawnie otoczyli ruiny, dziwiąc się, że po drugiej stronie murów powietrze jest przejrzyste i nie ma ani śladu oparów. Skwir jastrzębia był sygnałem do ataku.

Zaskoczeni bandyci w pierwszej chwili wzięli wyłaniających się z ciemności za zjawy nawiedzające Celebon, ale szczęk mieczy i świst strzał szybko przywróciły im przytomność. Bitwa rozgorzała ostra i zacięta.

Cal czuł za plecami obecność żony i to rozpraszało go w przedziwny sposób. Zamiast

myśleć o walce, ciągle obawiał się o jej bezpieczeństwo. Nasłuchiwał ciężkiego oddechu, odwracał się, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Trzymał co prawda w dłoni obnażony miecz, ale jak dotąd nie zrobił z niego użytku.

Albana słyszała jęki umierających, czuła mdlący zapach krwi, widziała porąbane ciała. Wzdragła się przed tymi krwawymi obrazami, przymykała oczy, ale to nie pomagało wiele. Kiedy jednak minął pierwszy wstrząs, coś się zmieniło. Bitewny hałas pobudził jej zmysły, zaczęła delektować się widokiem śmierci. Rozdęła nozdrza, oblizwała wargi. Od słabości i rozkoszy kręciło się jej w głowie. Kurczowo złapała wodze i starała się opanować spłoszonego nagle konia. Kiedy Cal spojrział na nią, wzdrygnął się nerwowo. Nagle zdało mu się, że zamiast delikatnych rysów Albany ujrzał spragnione krwi oblicze, ze zwężonymi źrenicami, ze śliną ściekającą po brodzie. Zamknął oczy, pewny, że ma omamy.

Przez zaciśnięte powieki nagle przedarł się błysk. Jednocześnie usłyszał huk i krzyki. Kiedy spojrział ponownie, zobaczył zsuwającą się z siodła kobietę i wielu gestykulujących ludzi, zgromadzonych za załomem muru.

Podtrzymał Albanę i usadził na trawie. Przywołał Briana, kręcącego się akurat w pobliżu.

– Pilnuj jej – powiedział ponuro, nie zważając na zdziwiony wzrok kompana i podszedł do zbiegowiska.

Stali tam jego ludzie i bandyci, z którymi jeszcze przed chwilą toczono zacieklą bitwę. Tłoczyli się wokół spoczywającego na ziemi ciała. Cal przepchnął się przez tłum i spojrział. Na trawie leżał Weda. W ręku ścisnął kuszę, a w piersi miał wypaloną dziurę wielkości pięści. Nie żył.

– Co tu się stało? – spytał ostro.

– Piorun go trafił! – zawołał ktoś.

– Gdzie tam piorun. Niebo przecie jasne. Kula jakaś ognista to była. Mówiłem, że tu duchy mieszkają w tym miejscu przeklętym.

– Z jasnego nieba piorun. On was zabić chyba chciał. Kara taka go spotkała.

Nagle zapadła cisza i wszystkie twarze zwróciły się w stronę dowódcy.

– Głupstwa opowiadacie – uciął. – I nie stójcie tak, bierzcie ich. Żołnierze spojrzeli po twarzach stojących obok i otrząsnęli się zaskoczenia, ale bandyci nie stawiali już oporu. Niezwykłe wydarzenie całkowicie złamało ich ducha. Uwierzyli nagle w opowiadane po gospodach bajki o niezwykłej sile Jastrzębia i szczęściu, które go nie opuszcza.

Walka była skończona. Żołnierze przeczesywali ruiny w poszukiwaniu niedobitków. Calmin ruszył pomiędzy resztki zwalonych domów. Jeńcy zgromadzeni w jednym miejscu popatrywali na niego z lękiem. Kiedy spytał o Krispa, wskazali na brzuchate ciało leżące opodal.

Nakazał ułożyć poza murami miasta stos pogrzebowy, przesłuchał bandytów, wyznaczył też oddział mający odeskortować ich do Mulacium. Kiedy nie pozostało już nic do zrobienia, przysiadł na skruszonym murze i spojrział w stronę żony i pilnującego jej, znudzonego Briana.

Tyle myśli nagle stłoczyło mu się w głowie, że poczuł zamęt.

Banda Krispa była ostatnią na Rubieżach i tym samym zadanie specjalnego oddziału wojska skończyło się. Co powinien teraz zrobić? Minęło pięć lat, od kiedy został żołnierzem w królewskiej armii, więc jego kontrakt wygasł. Mógł wrócić do Loenu albo zaciągnąć się na służbę do gubernatora, Rhodes sam mu to proponował. Rozważał dostępne możliwości już wcześniej i właściwie podjął decyzję, ale w swoich planach nie uwzględnił Albany.

Co się z nią działo przez te lata, rozmyślał, zerkając na żonę. Gdzie była, z kim

przebywała? Nie zachowywała się już jak wieśniaczka, nabrała ogłady i śmiałości. Mówiła inaczej, wiedziała więcej, dojrzała. I wypiękniała. Widział to wyraźnie mimo siniaków i zadrapań na jej twarzy. Przełknął ślinę i odwrócił wzrok ku górcom. Nie chciał pozwolić, żeby zauroczenie przeważało nad rozsądkiem.

Co się stało podczas bitwy? drążył dalej. Jej twarz pełna satysfakcji, rozchylone jak do pocałunku usta, oczy, z których zielen tęczówek wyparła białka... I dlaczego zabiła Wedę? Oszalała czy może ocalała mu życie?

– Co teraz? – mrucał bezgłośnie. – Zatrzymać ją przy sobie czy oddalić, pozostawić własnemu losowi? I czego ona szuka w tych zapomnianych przez ludzi ruinach? Tego przynajmniej mogę się dowiedzieć, postanowił.

Wstał i ruszył na miejsce, gdzie zgromadzili się jego ludzie.

– Wracajcie do lasu – nakazał. – Czekać tam na mnie.

Stevan spojrział na siedzącego z Albaną Briana, a potem wymienił spojrzenia z Doughiem i Trevorem. Wydał rozkazy i oddział sprawnie wymaszerował z Celebonu.

Cał skinął na pozostałych.

– Wy też jedźcie.

– Nie ma mowy – odrzekł spokojnie Brian. – Nie zostawimy cię tu samego.

– Kazałem wam odjechać – najeżył się Cał.

– Gadaj zdrów – zbył go Niedźwiedź.

– Może nam wreszcie zaprezentujesz swojego gościa? – wtrącił się Dough, a Trevor i Brian przytaknęli.

Calmin spojrział na nich z urazą. Nagle wszyscy sprzymierzyli się przeciwko niemu.

– Niech was zaraza zadusi... – zaklął. – Ale niech będzie. Poznajcie moją żonę, Albanę da Fen.

Albana rozsznurowała już wcześniej kaptur, teraz ściągnęła go tylko, pozwalając opaść na ramiona rozwichrzonym lokom. Dough i Trevor rozdziawili usta. Brian zamarł.

– Stevara już poznałaś, ten tam to Trevor, on cię znalazł i przywiózł do obozu. A ci dwaj to bracia, Brian i Dough.

Mężczyźni niezgrabnie zaszurali nogami. Nagle rozjaśniło im się w głowach, a zachowanie dowódcy znalazło logiczne wytłumaczenie. To przywróciło im spokój.

– A teraz, moja pani, wyjaśnij mi, co chcesz znaleźć w tej dziurze – nakazał Calmin.

Szare oczy patrzyły stanowczo. Albana pojęła, że wykręty na nic się nie zdadzą i jej małżonek nie spocznie, póki nie dowie się prawdy. Przez chwilę chciała zbadać jego umysł, dowiedzieć się, co myśli i czuje, ale nagle przestraszyła się tego, co może odkryć. Jakąś częścią świadomości zarejestrowała pełen odrazy wzrok, jakim mierzył ją, kiedy upajała się zapachem śmierci... Nagle wszystko zrobiło się zbyt trudne. Przełknęła ślinę.

– Podaj mi sakwy – poprosiła. – Coś wam pokażę.

Brian podał jej torby. Albana wyjęła pakunek opatulony skórą i ułożyła go pieczołowicie na trawie, odwinęła ostrożnie.

– Jak myślicie, co to jest? – spytała.

Cał wzruszył ramionami. Brian i Dough stuknęli się głowami, kiedy jednocześnie nachylili się nad kamieniem. Trevor spojrział z ukosa i odszukał wzrok Stevara. Niedźwiedź patrzył nie na trawę, lecz na kobietę. Mimo pozornej swobody był czujny, a jego dłoń bezwiednie dotykała noża zatkniętego za pasek.

– Nie mam pojęcia – mruknął wreszcie Dough. – Ociosany kamień?

– To kasetka zrobiona ze smoczej łuski. Niestety zgubiłam klucz. Medalion Emausa przepadł.

– Medalion? – powtórzył przeciągle Trevor, macając się po kieszeni.

– Taki? Znalazłem przy tym...

Wyciągnął ozdobę z kieszeni i zakołysał zerwanym łańcuchem. Albana wyjęła mu go z rąk i przytknęła do kamienia. Delikatna poświata otoczyła blok i ujawniła wieko.

– Skrzynka? Patrzcie, przecie to skrzynka. Czary jakies.

– Niczego nie tykajcie – ostrzegła, widząc, że Dough sięga po papiery upchnięte w środku.

– Sajron przypłacił to straszną śmiercią.

– Sajron?

– Mój nauczyciel i przyjaciel – przerwała i spojrzała na Cal. Następne słowa kierowała wprost do niego. – Przez te wszystkie lata mieszkałam w fortecy skrytej w górach. Sajron zebrał tam wielu Obdarowanych, czarowników jak ich zwiecie. Tam byliśmy bezpieczni, takie przynajmniej mieliśmy złudzenie. Ta skrzynka, te papiery zburzyły cały nasz świat.

Tak złowieszczo zabrzmiały jej słowa, że mężczyźni poczuli nieprzyjemny dreszcz.

– Gadanie – burknął Stevar.

– Nieprawda. Te zwoje – wskazała na zwitki opatrzone pieczęciami – zawierają pakt, który król Forsyth zawarł ze smokami. On głosi, że w Imeskarii pozostał smok, który dożywa tu swoich dni. Ale to nie wszystko...

– Co ty za brednie opowiadasz, kobieto? – zirytował się Cal.

– To nie żadne brednie, Calminie Fen! – wykrzyknęła z gniewem.

– Sajron stracił życie, a ja przez dwa dziesiątki dni leżałam jak martwa. Czy zastanawiałeś się kiedy, czemu wojna zakończyła się tak niespodziewanie? Ile smoków udało się zabić wojskom Forsytha, trzy, cztery? Odleciała ich cała chmara. Dlaczego? Z powodu tego papieru, Smoczego Paktu. Tu, w Celebonie, Obdarowani pomagający Forsythowi dokonywali jakiś prób. Przyjechałam, żeby odszukać ich szczątki i zbadać, jaką siłę posiadli.

Stevar w milczeniu narysował kółko na czole, Trevor parsknął śmiechem, a Cal patrzył zawiedziony.

– Nie rozumiem, dlaczego ten Sajron umarł? – pytał dezorientowany Brian.

– W pieczęciach zawarta jest trucizna. Skonał w strasznych męczarniach.

– A ty?

– Jestem młodsza, silniejsza. I... – zawahała się – noszę smocze znamię.

Odchyliła bluzę. Złoty smok zabłysnął w świetle słońca, poruszył skrzydłami w rytm oddechu.

Calmin zacisnął zęby, Stevar gwizdnął, a Brian zwyczajnie osłupiał. Trącił w ramię brata i oboje identycznym ruchem przetarli oczy.

– Mój organizm zwyciężył truciznę. Od tamtej pory zmieniałam się, jestem silniejsza. Popatrzcie na moje rany, sińce. Prawie nie ma po nich śladu, a minęło ledwo trzy dni... Muszę wiedzieć, co się ze mną stało, muszę. – Spojrzała błagalnie na Cal, szukając wsparcia.

Zapadła cisza. Calmin w zamyśleniu patrzył na ciągle otwartą skrzynkę, Stevar bawił się nożem, a pozostali z niepewnymi minami popatrywali na siebie. Żaden nie wiedział, co sądzić o słowach rudowłosej wiedźmy.

– Co zrobiłaś z Wedą? – przerwał milczenie Niedźwiedź.

– Zabiłam go – mruknęła obojętnie.

– Jak? – nie wytrzymał Brian.



– Jestem czarownicą. Potrafię takie rzeczy’.

Brian odsunął się od niej. Dough i Trevor zadrobili w miejscu, nagle niepewni, czy powinni stać tak blisko. Twarz Cala stężyła.

– Pomożemy ci – powiedział na przekór sobie. – Nie wierzę w to, co mówisz, ale skoro już tu jesteśmy... Powiedz, czego mamy szukać?

Albana nie dała po sobie poznać, że dotknęły ją te słowa. Uniosła wyżej brodę.

– Dziękuję. Szukajcie kości ludzkich, zapisków, butelek. Wszystkiego, co wyda wam się niezwykcyjne.

– Dlaczego?

– Mówiłam przecież. Obdarowani...

– Dlaczego zabiłaś Wedę? – pytał uparcie Stevar.

Zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Albana aż się skuliła od nabrzmiałych nagle emocji.

– Chciał zabić Cala. Co miałam zrobić? – wybuchnęła nagle. – Co ty byś zrobił? – spojrzała na Niedźwiedzia.

– Ukręciłbym mu łeb – burknął Stevar, wbijając nóż w ziemię.

– Ruszmy się wreszcie. Nie zamierzam tu nocować – włączył się Cal, tając ulgę.

Dawno minęło południe, kiedy zgrzany Niedźwiedź porzucił wreszcie grzebanie pomiędzy porośniętymi trawą fragmentami murów i spojrzał na niewielki stosik zgromadzonych znalezisk. Było tam parę drobnych monet, sprzączka od pasa ze zmatowiałym, brudnym kamieniem, pogięte fragmenty zbroi. Zgarnął wszystko i sapiąc ciężko, powlókł się na plac, który kiedyś był rynkiem Celebonu.

– Cal! – ryknął, aż echo poszło po ruinach. – Gdzie jesteś? Zza muru wyłoniła się głowa ze związanymi w ogon włosami.

– Co się stało? Znalazłeś coś?

Stevar podszedł do niego i spojrzał na wielki głaz, który Cal właśnie odwalił.

– Nie twierdzę, żeś oszalał, ale ta twoja kobieta na pewno jest kopnięta – powiedział, nie kryjąc irytacji. – Nawet gdybyśmy rozebrali te ruiny do gołej ziemi to i tak nic nie znajdziemy, bo tu nic nie ma. A jeśli ona chce dalej szukać, to zostaw jej łopatę i życz szczęścia. Wrócimy za parę lat i zabierzemy ze sobą.

– On ma rację – poparł kompana Trevor, który nadszedł z drugiej strony. – To wszystko głupoty. Skąd mam wiedzieć, jak wyglądają kości tych, eee, Obdarowanych. Wracajmy do naszych ludzi. Jutro rano możemy już być we wsi. Pogadaj z nią Cal.

Calmin wziął koszulę, którą wcześniej zrzucił, otarł pot i rozejrzał się, szukając Albany. Siedziała na ziemi, przewracając poźółkłe karty i mamrocząc pod nosem. Poczul złość, że oni odwalają robotę, a ta, która zmusiła ich do pracy, siedzi i spokojnie ogląda obrazki. Zanim zdążył coś powiedzieć, usłyszał wołanie Dougha.

Bracia przeszukiwali izbę, w której kwaterował Krisp. Prócz rupieci pozostałych po bandytach nie było w niej nic godnego uwagi, a od smrodu aż kręciło w nosie. Brian ze złością kopnął przeżarte przez korniki drzwi w kącie. Uchyliły się z przeraźliwym jękiem. Za nimi znajdowało się małe, ciasne pomieszczenie pełne zmurszałych, rozpadających się beczek.

Dough chciał skrzesać ogień, ale wiatr poruszający resztką drzwi zgasił nikły płomynek. Zostawił brata i cofnął się do większej izby, kiedy usłyszał zduszone przekleństwo, trzask łamanego drzewa i zgrzytliwy hurgot. Wpadł do środka i ujrzał Briana gramolącego się z dziury w podłodze. Pomógł bratu, a potem obaj ciekawie zajrzeli do otworu, wcześniej

przysłoniętego beczką. W słabym świetle można było dostrzec resztki opuszczonej w dół drabiny.

– Czy to aby wystarczająco dziwne? – spytał sarkastycznie Brian, masując goleń, a Dough wrzasnął, przywołując resztę kompani.

Cal opuścił się na dół pierwszy. Wejście okazało się niezbyt głębokie. Zapalił pochodnię i rozejrzał się. Mała salka stanowiła przedsionek, z którego odchodziły dwie odnogi. Powietrze pachniało stęchlizną, ale było suche i dało się nim swobodnie oddychać. Dał znak, że wszystko w porządku i złapał Albana, która prześliznęła się bez trudu. Zaraz za nią zeszli Brian, Trevor i Dough. Z góry słychać było przekleństwa Stevara, który nie mógł wepchnąć swojego potężnego ciała w ciasny otwór.

– Zostań tam – krzyknął Cal. – Jakby co, sprowadzisz resztę. Albana stała spokojnie, nasłuchując uważnie.

– Idźcie w lewo, my zbadamy prawy korytarz. – Jej głos obił się od kamiennych ścian i wrócił zwielokrotniony echem. Trevor i bracia posłusznie skręcili i zniknęli za załomem korytarza. Jeździec i Albana podążyli w prawo.

Przeście było szerokie i sklepione wysoko, tak że Calmin mógł iść wyprostowany, odgarniając z twarzy lepkie pajęczyny. Korytarz kończył się niespodziewanie murem pełnym wybrzuszeń i ostrych, sterczących kamieni.

– Tam coś jest – szepnęła kobieta. – Ta ściana nie pasuje do pozostałych. Wymurowano ją w pośpiechu, popatrz jak nierówno. Trzeba ją zburzyć.

– Jak?

– Poświeć mi.

Podeszła blisko i położyła dłonie na kamieniach.

– Co ty chcesz zrobić?

– Odsuń się, Cal.

Przymknęła oczy i zaczęła wodzić dłońmi po zaprawie. Patrzącemu na to Calminowi zdawało się, że nic się nie dzieje. Odeszła wreszcie i wytarła dłonie o bluzę.

– Popchnij – poprosiła.

Cal wzruszył ramionami, ale posłusznie napał na mur ramieniem i omal nie wpadł do ukrytego za ścianą pomieszczenia. Obluzowane kamienie i zaprawa posypały mu się na głowę. Poczekali, aż opadnie pył i weszli do środka.

Wykuta w litej skale sala musiała być kiedyś zbrojownią. W ściany powbijane były kołki, na podłodze stały puste stojaki. Cal wyobraził sobie porozkładane na nich zbroje, zawieszona na hakach tarcze, oparte o mur miecze. Zamiast nich w przytłumionym świetle pochodni ujrzał ciała, Albana już krążyła wśród nich, blada i przerażona, Jego też ogarnęła nagła słabość.

Zwłoki wyglądały, jakby zamurowano je ledwo wczoraj, a nie dwa wieki temu. Szaty ciągle połyskiwały barwami, okrywając starsze i młodsze ciała. Nienaturalne pozycje i grymasy na twarzach świadczyły o mękach, jakie przeszli, nim skonali. Większość była potwornie zniekształcona, wynaturzona. Zamiast rąk mieli kościste szpony albo wydłużone pyski o ostrych podbródkach, pełne połyskujących zębów, nogi wydawały się za krótkie lub zbyt długie, a skórę pokrywała zrogowaciała łuska. Jeden ze zmarłych, ułożony na brzuchu, z rozdartym na plecach odzieniem, ukazywał dwa obciążone błoną nierozwinięte wyrostki.

Zanim oszołomieni Cal i Albana zdążyli się odezwać, ciała zaczęły rozpadać się w pył. Powietrze, które wcześniej nie miało dostępu do skalnej groty, błyskawicznie dokonało dzieła zniszczenia.

Po chwili na ubitej ziemi pozostał tylko proch i kilka rozsypanych monet, które ktoś z umarłych miał w kieszeni.

– Chodźmy stąd – powiedział nienaturalnym głosem Calmin i chwycił żonę za ramię.

Nie opierała się. Wyszła niczym w transie, wpatrzona w to, co pozostało po Obdarowanych. Jeździec przygarnął ją do siebie, gładząc bezradnie po rozczochranych włosach. Zabrakło mu słów.

– Smocza krew... – szeptała Albana. – Oni zamieniali się w smoki. Ta trucizna... Nie wierzę w to, nie wierzę... Przecież jestem taka jak dawniej, prawda? Ja chyba, przecież... Kim... czym ja się stałam?

Nie znalazł odpowiedzi. Odgonił z myśli oblicze o rozdętych nozdrzach i pionowych gadzich żrenicach. Pogładził zakurzone włosy, otarł łzy. Wreszcie wypuścił ją z objęć i pociągnął.

– Chodźmy stąd – powtórzył.

Przemykali przez korytarz niczym duchy. Drzwi, których wcześniej nie dostrzegli, otworzyły się na skutek wstrząsu i skrzypiąc żałośnie, zapraszały do odwiedzin. Cal pchnął je silniej. W niewielkim pomieszczeniu musiał mieć swoją siedzibę płatnerz. Kowadła i młotki stały równo ustawione na ławie pod ścianą, a po podłodze poniewierały się fragmenty napierśników, połamane noże i miecze. Na ścianie wisiał tylko jeden pancierz. Cal oświetlił go pochodnią, a potem dotknął ostrożnie. Nie był wykonany z metalu ani ze skóry. Dziwny, chropowaty materiał przypominał kamień. Nie odbijał światła, a raczej zatrzymywał je w sobie, bo w izbie nagle pociemniało.

– To chyba zbroja ze smoczej łuski – powiedziała Albana, szczękając zębami ze zdenerwowania. – Załóż ją.

Calmin oddał jej pochodnię i drżącymi z niecierpliwości palcami rozpiął pętlice kaftana, a potem ostrożnie zdjął zbroję z haka. Była zimna w dotyku, ale kiedy ją włożył, poczuł, jak rozgrzewa się pod wpływem ciepła jego skóry. Przypasał miecz i wyprostował się dumnie. Albana nagle przypomniała sobie wyblakłe malunki z lońskiej gospody. Rycerz walczący ze smokiem.

Czy to właśnie jest twoim przeznaczeniem, Calminie Fen, pomyślała ze zdumieniem.

Pozostawiony na warcie Stevar początkowo w napięciu wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z dołu. Kiedy chwile mijały i nic się nie działo, czas zaczął dłużyć mu się niemiłosiernie. Był głodny, spragniony i znacznie lepiej czułby się w lesie, zajadając pieczone, niż siedząc w ruinach i pilnując okrągłej dziury.

– Wszystko przez nią – mamrotał do siebie. – Jakieś lichy ją przyniosło. Czarownica przeklęta.

Czuł, że od kiedy ta dziwna kobieta pojawiła się ponownie w życiu Calmina, nic już nie będzie takie jak kiedyś. Gdyby chociaż nie była taka ładna. Czarownica powinna być stara, brzydka i złośliwa. Czarownice palono na stosie, bo szkodziły ludziom, a nie ratowały życie swoim mężom i nie pomagały żołnierzom w ataku. Nie wrywały z rąk Keranów nieletnich królewiczów, tylko piły ich krew. Nie występowały przeciwko Najwyższym Kapłanom Królestwa, lecz ginęły z ich rąk. Albana czarownica zupełnie nie pasowała do opowieści, jakimi mnisi karmili ludzi, i to sprawiało, że Stevar czuł się niepewnie. A kiedy przypominał sobie, w jakim stanie zobaczył ją po raz pierwszy... Nie dziwił się przyjacielowi, że wpadł we wściekłość. Gdyby to jego kobietę tak sponiewierano... Zacisnął pięści.

Ale ona była czarownicą. Cal nie przeczył, że może być śmiertelnie niebezpieczna, zabiła

przecież Wedę. No, należało mu się. Stevar nigdy mu nie ufał. A to jej bajanie o Smoczym Pakcie. Król Forsyth układający się ze smokami. Też coś! I co Cal zamierza z nią zrobić? W lesie czekają żołnierze zastanawiający się pewnie, co ich zatrzymuje w tych przeklętych ruinach. Przecież ta czerwonołosa nie może wiecznie błąkać się z nimi. Obóz wojskowy to nie miejsce dla kobiet, a już na pewno nie takich kobiet.

Głuchy pomruk dochodzący z podziemi zaskoczył go i przeraził. Pochylił się nad otworem i wrzasnął:

– Cal, Trevor! Żyjecie?! Odezwijcie się! – I po chwili znowu: – Cal, odezwij się!!! Wyłaźcie stamtąd, słyszycie?!

Delikatne dotknięcie ręki na ramieniu sprawiło, że wzdrygnął się gwałtownie i omal nie wpadł głową wprost do okrągłego otworu. Obrócił się, wyciągając nóż. Stojący za nim Brian, Trevor i Dough ryknęli gromkim śmiechem.

– ŚmieJCie się – prychnął rozjuszony i podsunął im pięść pod nos. – A gdzie tamci?

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Zostali na dole. Mieli dołączyć do nas, ale widać zamarduzili. Znaleźliśmy inne wyjście. Prowadzi aż za mury.

– A ten grzmot? Co to było?

– Grzmot? – zdziwił się Dough. – Nic nie słyszałem, a wy? Pokręcili przecząco głowami.

– Niech to szlag! – zaklął Stevar. – Trevor, zostań, może wyjdą tędy. A wy pokażcie mi to drugie wyjście. Szybko, cholera, szybko!

Klucząc pomiędzy ruinami, pobiegli na wschód. Wyjście ukryte było na skarpie, która kiedyś tworzyła ścianę fosy. Zasłaniały je głazy odrzucone teraz częściowo przez żołnierzy.

Stevar odsapnął, wciągnął brzuch i przecisnął się przez wąską szczelinę. Za nim podążyli bracia. Nie uszli daleko, kiedy z mroku wyłoniły się dwie sylwetki.

Niedźwiedź nagle poczuł słabość i oparł się o ścianę. Albana i Calmin podeszli do niego.

– Co z tobą? – spytał zaniepokojony kapitan. – Nie powinieneś wchodzić do tego korytarza, okropny tu zaduch.

Troskliwie ujął go za ramię i zaczął ciągnąć do wyjścia. Stevar w mgnieniu oka odzyskał siły i wyrwał się Calminowi.

– Puszczaj. Coś ty znowu narobiła?! – wrzasnął, patrząc ze złością na Albanę. – Musiałaś zawałać to cholerne podziemie, żeby mnie tu ściągnąć?!

– Stevar, daj spokój, nic się nie stało – łagodził Cal. – Wyjdźmy stąd wreszcie. Dość już mam tych podziemnych pułapek.

Kiedy wydostali się na zewnątrz, oślepiły ich ostre promienie słońca. Albana wyszła ostatnia. Przysiadła na kamieniach, jakby nagle opuściły ją siły. Drżała.

Stevar unikał patrzenia na skuloną sylwetkę. Pociągnął Calmina i pomacał palcami zakurzoną zbroję.

– Co to?

– Smocza łuska – mruknął Jeździec, patrząc z niepokojem na kobietę.

– Czy tego szukała? Możemy wracać?

– Nie wiem, Stevar, nie wiem. To, co widziałem... Co mam zrobić? – spytał z udręką w głosie.

– Wracajmy do naszych ludzi. Pewnie się niecierpliwia – Niedźwiedź poklepał przyjaciela po ramieniu. – W wiosce pomyślimy, co dalej.

Jednak Cal pokręcił głową i zawrócił do Albany.

– Co teraz? – spytał. – Co zamierzasz?

– Muszę jechać dalej – powiedziała kobieta, nie podnosząc wzroku. Trzeba odszukać tego smoka.

– Po co? Bestia pewnie dawno zdechła, a nawet jeśli żyje – to jest niegroźna. Przez dwieście lat nic się nie stało.

– Smoki się nie poddały – zaprzeczyła. – Odleciały, bo Obdarowani zdolni do przemiany mogliby z łatwością je pokonać, ale nie zapomnieli. Czekali przez te wszystkie lata na odpowiedni czas, by dokonać zemsty. Ten, który pozostał da znak. Trzeba go zabić, nim wezwie pozostałe.

– Dlaczego właśnie teraz?

– Zebon rujnuje kraj. Znosi posterunki strażnicze, likwiduje armię. Ludzie nie ufają sobie wzajemnie...

– I właśnie ty chcesz pokonać bestię? Albana spojrzała dumnie.

– Nie ma w Imeskarii nikogo, kto by mi dorównał, Calminie Fen.

– Taka jesteś potężna, a dałaś się zaskoczyć paru bandytom – powiedział z nagłą złością. – Gdzie wtedy była twoja moc?

Kobieta skuliła ramiona.

– Byłam zmęczona, spieszyłam się... Teraz będę ostrożniejsza. Spojrzał na nią sceptycznie.

– A ci... Obdarowani? – Wymówił to słowo jak przekleństwo.

– Pomogą ci?

Albana splotła palce, opuściła wzrok.

– Nie potra mi pomocy – powiedziała chrapliwie.

Cał przez chwilę miał wrażenie, że czas się cofnął i przed nim siedzi samotna, zagubiona w obcym świecie dziewczyna. Nagle pojął, że mimo odnalezienia podobnych sobie, jego żona pozostała równie samotna jak kiedyś. Zanim zdążył wyciągnąć dłoń, pocieszyć, powiedzieć, że rozumie, Albana wstała i ruszyła w stronę porzuconych w trawie juków. Jeździec patrzył za nią, póki nie zniknęła wśród ruin, a potem dołączył do przyjaciół.

Mężczyźni czekali przy koniach. Osiodłane zwierzęta spokojnie skubały trawę. Zdobywczy równańczyk, na którym jeździł Cał, poczuł jego zapach i parsknął przyjaźnie. Calmin podszedł do niego i machinalnie pogładził po kształtnej szyi. Wplótł palce w długą grzywę.

– Wszystko gotowe, możemy ruszać – zameldował Stevar.

Cał potrząsnął głową. Jego długie włosy splotły się na moment z końską grzywą.

– Ja zostaję – powiedział cicho. – To, co widziałem... Wierzę Albanie. Pojadę z nią.

– Co?!

Wahanie zniknęło z jego głosu.

– Jadę z moją żoną. Wy wracajcie do oddziału – powiedział głośno i pewnie.

Stevar ryknął jak prawdziwy rozjuszony niedźwiedź.

– Coś ty powiedział? Chcesz jechać z tą wiedźmą gdzieś na koniec świata, w pogoni za jakąś mrzonką? Czyś ty stracił rozum? A co z nami? Co z żołnierzami? To się już nie liczy?

– Przykro mi...

– Przykro ci – wrzeszczał Stevar. – Niech cię zaraza zadusi! Czym ci zawróciła w głowie? Smokami, bohaterskimi opowieściami czy tylko podniosła kieckę?!

– Opanuj się Stevar! Mówisz o mojej żonie.

– W rzyci mam ciebie i twoją żonę. Myślisz, że się was boję? Rozłożyłbym cię jedną ręką, a i na takie jak ona są sposoby! – wrzeszczał.

Niewidoczna zza kamieni Albana przysłuchiwała się kłótni. Słowa Cala zaskoczyły ją, ale przyniosły również ulgę. Lepszego obrońcy nie mogła sobie wymarzyć, a mężczyzna, jakim stał się Calmin Fen, podobał się jej niezmiernie. Imponował jej kapitański stopień, sława, jaką był owiany, pewność siebie i uroda. Przeszył ją dreszcz podniecenia, powróciły marzenia, które snuła w górskiej dolinie. Nagle coś plasnęło, a pomiędzy głosy Jastrzębia i Stevara wmieszały się okrzyki pozostałych. Dziewczyna wyjrzała zza muru. Rozwścieczony Niedźwiedź wyrywał się trzymającym go braciom, Trevor rozcierał szczękę, a Cal podniósł ręce zaciśnięte w pięści. W jednym mgnieniu Albana przeniknęła myśli rozgniewanych mężczyzn.

Spod złości i żalu przebijał smutek. Trevor, Stevar i bracia byli samotnymi mężczyznami, którzy zżyli się ze sobą, zaprzyjaźnili. Darzyli Calmina szacunkiem i zaufaniem, a on ich właśnie chciał zawieść...

– Jedźcie z nami. W gromadzie będzie nam raźniej – powiedziała impulsywnie, wychodząc na plac.

– Jak to? – spytał oklapnięty nagle Niedźwiedź. – A oddział, żołnierze? Co z nimi?

– Poradzą sobie – mruknął Cal i opuścił ręce. – Wrócą do koszar albo do domów. To uczciwi ludzie i teraz mogą żyć spokojnie. Banda Krispa była ostatnia, a gdyby ktoś im jeszcze zagroził, to potrafią się bronić.

– Chcesz tak zwyczajnie... Przecie jesteśmy żołnierzami. To dezercja.. – Już nie, Stevar, nasze kontrakty wygasły. Poświęciłem żołniercepięć lat życia. Wystarczy. Obrzydło mi podrywanie gardeł i słuchanie jęków umierających. Jeśli wrócimy do Loenu, jaka przyszłość nas czeka? Myślałeś o tym?

Stevar pokręcił głową, niezdolny tak nagle zaakceptować końca znanego mu życia.

– A wy, co myślicie?

Trevor wzruszył ramionami. Brian i Dough spojrzeli po sobie.

– Sam nas wybrałeś do oddziału. Ty jesteś dowódcą i nie chcemy innego – odezwał się Brian.

– I tak nie mieliśmy zamiaru tam wracać – dodał Dough. – Zostaliśmy z tobą, bo lepsze to niż grzebanie w ziemi.

– Nie wrócę do Loenu pod rozkazy tej łysej pały – włączył się Trevor. – A ty będziesz głupi, jak nie pojedziesz z nami – dokończył, patrząc krzywo na Stevara.

– Wy wszyscy chyba jesteście stuknięci – westchnął Niedźwiedź.

– Naprawdę wierzycie, że tu, na tej ziemi, od dwustu lat żyje smok, knując zemstę?

– Po tym, co widziałem w podziemiach, jestem gotów uwierzyć we wszystko. W smoka, w zemstę, nawet w to, że ona lata na miotle – uśmiechnął się gorzko Cal.

– Pracuję nad tym – burknęła Albana, nagle urażona.

– Co dalej? – spytał Trevor, kiedy emocje opadły. – Trza by zawiadomić resztę, żeby wracali do domów.

– Co im powiesz? Że odjeżdżamy polować na smoki? – skrzywił się Dough.

– Musimy coś wymyślić – mruknął Cal. – Inaczej będą nas szukać, pojedą za nami.

– Tam został Lovell – wtrącił Niedźwiedź. – On cię widział, kobieto. Ani chybi ściągnie nam na kark mnichów.

Albana leżała na trawie opatulona derką. Całodzienny wysiłek mocno nadwątlił jej siły. Rany bolały, w głowie szumiało, a przedoczami ciągle miała zdeformowane ciała Obdarowanych. Rozważania mężczyzn pozwoliły jej oderwać się od makabrycznych obrazów.

– Jest sposób – powiedziała po chwili namysłu. – Popatrzcie.  
– Skóra mi cierpnie od twoich pomysłów – burknął Stevar, ale posłusznie spojrzął w jej stronę.

Na murawie pojawiły się miniaturowe figurki ludzi, czterech mężczyzn i kobieta. Walczyli ze sobą zaciekle, kobieta przeciwko mężczyznom. Ginęli jedni po drugim, aż na placu boju pozostało tylko dwoje. Kobieta o rudych włosach i mężczyzna w kapitańskim mundurze. Mężczyzna zadał śmiertelny cios. Kobieta nim upadła, wystrzeliła z palców wiązkę błękitnych błyskawic, spopielając przeciwnika.

– O w mordę... – wyrwało się Brianowi.  
– Piękną śmierć nam zgotowałaś. Padniemy w prawdziwie godnym pojedynku – wytknął jej Stevar.

– Czyżby śmierć zadana przez kobietę nie otwierała ci drogi do zbawienia, Niedźwiedziu? – odpyskowała Albana. – Zebon z pewnością najpierw by cię rozgrzeszył.

– Nie pojedą za nami. Uwierzą, jeśli Lovell potwierdzi, że była z nami czarownica – mruknął Dough.

– A ciała?

– Można by zawalić lochy. Nie odważą się tam wejść. Pomyślą, że jesteśmy pogrzebani pod gruzami.

– To dobry pomysł – uznał Cal. – Nikt nas nie będzie szukał. Kariera Jastrzębia skończy się raz na zawsze. Odpowiada mi to.

– Żywe trupy – sarknął Stevar. – Jak spotkamy kogo znajomego, umrze na serce albo poczęstuje nas stałą.

– Masz lepszy pomysł? – Nie.

– Więc zrobmy to, nim przyjadą nas szukać. Albano? Kobieta dźwignęła się z murawy, odrzuciła derkę.

– Trzeba wpieryw przyciągnąć ich uwagę. Cal, zostań, pomożesz mi. A wyjedźcie już.

– Spotkamy się w lesie, na zachód od Celebonu – dodał Jeździec.

Wszyscy wstali, otrzepali odzienia ze źdźbeł trawy. W ostrych promieniach zachodzącego słońca matowa, niepozorna zbroja Calmina zaśniła, otaczając mężczyznę niezwykle poświatą. Nagle wydał się wyższy, potężniejszy, groźny. Parę kroków za nim stała Albana. Rozpuszczone włosy połyskiwały ogniście niczym płomień. Patrzyła na męża.. Jej twarz była jedną maską, ale dłonie ścisnęła tak mocno, że zbieleły jej kostki, a w oczach miała niezwykle smutek.

Wojownik i czarownica razem, lecz rozdzieleni przez smoczą łuskę i wypalone nią znamię, myślała. Pociągnęła nosem, otarła twarz brudnymi dłońmi, pozostawiając na policzkach zielonkawe smugi.

Obserwujący ich Niedźwiedź potrząsnął głową, klepnął konia i ruszył z kopyta.

Calmin patrzył na malejące postacie swoich towarzyszy. Twarz miał spokojną. Albana nie spuszczała z niego wzroku. Palcami zdierała mech z kamienia, o który się opierała.

– Wyprowadź konie za mury, mogą się spłoszyć – powiedziała chropawym głosem, słysząc oddech Cala za swoimi plecami.

Kiedy wrócił, była już spokojna. Oddychała głęboko, miała przymknięte oczy.

– Pomyśl o kimś z ludzi, którzy na ciebie czekają w lesie. O kimś, kogo znasz najlepiej. Nie zrobię mu krzywdy – zastrzegła się szybko.

Cal posłusznie przymknął oczy. Myślał o Lovellu, przywoływał w pamięci jego trójkątną lisią twarz, niewysoką postać odzianą w spłowiały mundur, pospiesznie wypowiedane słowa.

Kiedy nic się nie stało, podniósł powieki i spojrzął na żonę. Albana patrzyła na niego w skupieniu, usta poruszały jej się bezgłośnie. Z ruchu warg można było wyczytać, że powtarza: skraj lasu, wyjdź na skraj lasu i patrz...

Potem na ciemnym już niebie zaślniły błyskawice, rozległy się grzmoty. Zrujnowane mury otoczyła niesamowita poświata. Jak zwidy z nocnych koszmarów pojawiali się na sterczących w niebo ruinach Trevor, Cal, Brian, Dough i wreszcie sama Albana. Powietrze huczało od wylądowań, iskrzyło od kuł ognia i błyskawic. Żołnierze padali jeden po drugim, aż wreszcie nikt nie pozostał, a kobieta zgięła się w przedśmiertnych drgawkach. Ziemia zatrzęsała się i wydała groźny, pierwotny pomruk. Wyrwane potężną siłą kamienie fruwały wokół, sypiąc piachem i darnią. Albana stała pośrodku tego chaosu, spokojna, nieporuszona. Grunt zaczął im usuwać się spod stóp, powietrze stało się rozedrgane i duszne.

Cal patrzył na to zafascynowany i jednocześnie przerażony. Odłamek skalny przeleciał ze świstem i ranił go w czoło. To już nie była iluzja. Otarł krew i krzyknął:

– Uciekajmy!

Albana całą swoją wściekłość i strach gromadzone od chwili, kiedy wyszła ze śpiączki, skupiła w moc. Nigdy dotąd nie próbowała czegoś takiego. Utrzymywanie w powietrzu kilku kamieni nie mogło równać się z tym, co rozpętała. Było tak, jakby toczyła pojedynek z samą ziemią, z otaczającym ją powietrzem. Przestraszyła się nagle, że nie zapanuje nad żywiołem, który wyzwoliła. Gdzieś na skraju świadomości usłyszała krzyk Calmina. To pozwoliło jej wrócić do rzeczywistości. Zignorowała wyciągniętą dłoń i biegiem ruszyła do koni.

Gnali na oślep, ścigani przez zamierający pomruk. Wystraszonych wierzchowców nie trzeba było przynaglać, spod rozpędzonych kopyt przyskała ziemia. Dopadli lasu i skryli się w mroku. Albana zsunęła się z konia bez sił. Drżała. Cal wyciągnął ręce, chciał jej pomóc, ale cofnęła się.

– Nie rusz mnie – powiedziała, umykając przed dotykem smoczey zbroi.

Urażony rozsiadł zwierzęta i usiadł pod drzewem z dala od niej. Albana na kolanach odszukała derkę, otuliła się nią i zasnęła skulona. Cal znalazł bukłak i wypił łyk mocnej siwuchy. Po raz pierwszy od wyjazdu z Loenu miał ochotę upić się do nieprzytomności.

Zbudzili się tuż przed świtem, drząc z chłodu. Posilili się i wsparci o pień drzewa czekali na wschód słońca. Potem ruszyli w las. Nie ujechali daleko, kiedy spotkali Trevora, który wyszedł im na spotkanie. Leśna polana pełna mchów, paproci i ukrytych pomiędzy nimi jagodowych krzaczków zachęcała do odpoczynku, ale konie czekały już osiodłane, a mężczyźni byli gotowi do wymarszu.

– Musimy ukryć się głębiej w lesie. Ktoś może się okazać za bardzo dociekliwy – wyjaśnił Calmin.

Jechali więc, kierując się na zachód, póki słońce nie stanęło w zenicie. Zatrzymali się na kolejnej polanie, spętali konie i rozłożyli na trawie.

– Trzeba ustalić, co dalej – powiedział sucho Cal. Zdjął swoją zbroję i siedział w samej koszuli z dala od Albany. – Wiesz, dokąd jechać?

Kobieta wyciągnęła z juków mapę. Była to pożółkła ze starości karta, na której grubą czarną kreską narysowano kontur linii brzegowej i gór. Granice prowincji były nie oznaczone, nieliczne miasta nie miały nazw i jedynie rzeki wydawały się być na swoim miejscu. Jeździec wzruszył ramionami, wyjął wojskową mapę Rhodesa i rozłożył na trawie obok tej starszej.

– Ta jest dokładniejsza. Jeśli wymażę z niej ruiny Celebonu, będzie też najbardziej aktualna – dodał z sarkazmem.



Albana westchnęła.

– Ten rysunek zrobiono jeszcze przed Smoczą Wojną. Tak kiedyś wyglądał nasz świat.

Głowy znów pochyliły się nad kolorowymi kartami papieru, tym razem z większym zainteresowaniem.

– Skąd to masz? – zainteresował się Trevor, który nie umiał czytać. Albana zarumieniała się.

– Z archiwów Ost... hm, tego miejsca, gdzie mieszkałam.

– Ukradłaś?

– Nno, nie całkiem – zająknęła się. – Kiedyś wyniosłam z biblioteki „Kroniki”, żeby móc je przeczytać w spokoju. To było zabronione. Ktoś wszedł, musiałam szybko schować księgę. Chyba wtedy ta kartka wyleciała ze środka. Znalazłam ją, kiedy pakowałam się przed wyjazdem.

– Nie widzę różnicy – burknął Cal, porównując rysunki.

– Popatrz tutaj.

Cztery głowy stuknęły się boleśnie, usiłując dojrzeć punkt, który wskazywał szczupły palec.

– To wyspa. Nie ma jej u was.

Mały archipelag trzech wysepek na mapie Cala był oznaczony ledwie widocznymi kropkami. Czwartej, największej wyspy, leżącej w sporym oddaleniu od tamtych, nie było.

– To wyśmienite schronienie dla smoka. Wyspa jest daleko od lądu, pewnie mało kto tam zagląda. Wystarczyło tylko wymazać to miejsce z atlasów, może dla pewności otoczyć jakaś magiczną barierą.

– Jesteś pewna, że to nie przeoczenie, błąd? Może zwyczajnie ktoś zapomniał postawić jeszcze jedną plamkę? Jesteś pewna, że to, że nie ma jej akurat na naszej mapie, to nie jest po prostu jakieś przypadkowe przeoczenie?

– Nie wiem, czy w całej Imeskarii istnieje dokładniejsza mapa niż ta, która była własnością Sajrona. Była ciągle uzupełniana, a ja nauczyłam się jej na pamięć, zanim pojęłam, co oznacza.. Tam też nie było tej wyspy. Jestem pewna.

– Więc to jest nasz cel. Wyspa Mgieł.

– Tak – powiedziała Albana. W jej głosie zabrzmiała pewność, której tak naprawdę wcale nie czuła.

– Więc ruszajmy – rzucił Cal i podszedł do koni.

– O nie – zaprotestował niespodziewanie Stevar. – Nigdzie nie jadę bez porządnego śniadania. Niedobrze mi się robi od sucharów i wędzonego mięsa.

– Racja – poparła go Albana. – Bez prawdziwego posiłku daleko nie zajedziemy. I warto by zrobić trochę zapasów. Moje przepadły.

Jeździec rzucił krótkie spojrzenie w jej stronę. Kobieta była blada, oczy miała podkrążone, a rude włosy opadały smętnie na czoło. Westchnął.

– Dobrze – powiedział. – Chodź, Stevar, zapolujemy. Razem zagłębili się w las.

– Masz do mnie żal, Niedźwiedziu? – zagadnął Calmin milczącego przyjaciela.

– Cóż takiego zobaczył w tych lochach? – spytał Stevar, unikając odpowiedzi.

Cal zatrzymał się i oparł na długim łuku.

– Koszmar jak z najgorszego snu – mruknął, patrząc w ziemię. – Ci czarownicy zamieniali się... Oni zmieniali się w smoki. Mieli szpony zamiast rąk, ogromne ślepia, łuski. Ich truchła rozpadły się na naszych oczach.

– I myślisz, że bajanie o Smoczym Pakcie to prawda?

– To może być prawda. Już sama myśl o tym wydaje się bluźnierstwem. Gdybym nie widział tych... ludzi, nigdy bym w to nie uwierzył. Nigdy.

Stear odwrócił się i zapatrzył w kępę drzew. Nie zauważył dwóch zajęcy przycupniętych na ich skraju. Poczul na ramieniu rękę przyjaciela.

– Masz do mnie żal – powtórzył Cal.

– Przyjaźnimy się od pięciu lat. Pięciu cholernych lat, a ja nawet nie wiedziałem, żeś jest żonaty. Dla niej gotów byłś przekreślić to wszystko... Po prostu odejść.

– To moja żona, Stevar.

– Ciągłe to powtarzasz. Przypominasz o tym mnie czy sobie?

– wyrzucił z siebie gniewnie Niedźwiedź.

– Nie mogę zostawić Albany samej. Nie po tym, co jej zrobili...

– Calmin zacisnął dłonie w pięści. – Myślisz, że to łatwe... że zapomniałem? Jesteś mi przyjacielem, bratem. Ile razy ratowałeś mi życie? Ile razy ja ratowałem je tobie? Zaproponowałbym ci, żebyś jechał z nami, ale bałem się, że odmówisz. Nie lubisz Albany, nie ufasz jej.

– A ty ufasz?

Cal zwiesił głowę.

– Nie wiem, co myśleć – szepnął. – Ona mnie przeraża. Zmieniła się, czuję, że coś ukrywa, nie mówi wszystkiego... Dobrze, że z nami jedziesz ty i braciszkanie. Może dzięki wam uda mi się zachować zdrowe zmysły.

Stear walnął go pięścią w plecy, aż zadudniło.

– Wreszcie gadasz rozumnie. Ty pilnuj jej, a my będziemy mieli oko na twoje plecy. Damy sobie radę.

– Zrób tak jeszcze raz, a złamię ci to wielkie łapsko – zagroził Jeździec.

– Prędeż gruszki wyrosną na wierzbie – parsknął Stevar i uchylił się przed kuksańcem, którego wymierzył mu Cal. Ich gwałtowne ruchy spłoszyły wreszcie zajęce. Cal i Stevar napięli łuki. Strzały przeszyły szare futerka. Zabrali je, włożyli do torby i ruszyli dalej.

– Powiedz, nie żal ci naszych ludzi, oddziału? – odezwał się Niedźwiedź, rozglądając po chaszczach.

– Trochę – przyznał Cal. – Ale to się skończyło, może i dobrze, że w taki sposób. Dostałem wiadomość z Mulacium. Jakiś dzieciak przyniósł ją do wsi, gdzie kwaterowaliśmy. Ktoś o mnie rozpytywał po gospodach. Morgan pisał, że to płatny zabójca.

Stear wciągnął ze świstem powietrze.

– No, no. Komuś nieźle dopiekła twoja sława.

– Razem z listem Morgana była oferta od gubernatora Tarkass. Proponował spory grosz za nasze usługi. Oczywiście w tajemnicy – mruknął Cal jakby bez związku. – Tylko jednej osobie w królestwie mogło nie spodobać się nasze działanie. Zebonowi.

– Przecie to on nas wysłał – zdziwił się Niedźwiedź.

– Pomyśl, Stevar. Kogo wybrał Zebon na dowódców tych trzech oddziałów, przypomnij sobie, jak wtedy wyglądałem, po nocy w lochach, po tym wieczornym pijaństwie? Jak wyglądali Umer i Weda? On wybrał najgorszych moczymordów, jakich wypatrzył. Wcale nie liczył na to, że pokonamy bandytów, chciał tylko uspokoić ludzi, zamydlić im oczy. Liczył, że wszyscy zginiemy. Idę o zakład, że odprawił dziękczynne modły, kiedy usłyszał o masakrze na gościńcu. Z jakiś powodów jest mu na rękę to, co się dzieje. A pamiętasz te plotki o handlu

złotem? Że Kościół trzyma na nim łapę? Wierzę w to. Skądś przecież muszą brać pieniądze na opłacenie tej bandy szpiegów, która kręci się po gościńcach i na dworach. Rhodes skarżył się kiedyś, że nie może sam pójść do wychodka, bo pod drzwiami czeka na niego klecha.

– Ale co on miałby za interes w utrzymywaniu przy życiu bandytów?

– Nie mam pojęcia. – Cal bezradnie rozłożył ręce. – Kto wie, jakimi drogami chadzają myśli tego obłąkańca. Teraz przynajmniej mamy wolną rękę. Ludzie rozpoviedzą o naszej śmierci, widzieli to przecież na własne oczy.

– Racja. Ale i tak szkoda – westchnął Stevar.

Wrócili do obozu pogodzeni, taszcząc na plecach upolowanego daniela i dwa zające.

Na polanie płonął ogień, podsycany przez Trevora. Albana drzemała pod drzewem. Stevar, poganiany przez burczenie pustego żołądka, szybko sprawił szaraki i nadział na patyk. Albana otworzyła oczy.

– Ładnie pachnie – wymruczała. Wstała, przeciągnęła się i zaczęła grzebać w sakwie. Wyciągniętymi suszonymi ziołami posypała skwierczące grzbiety. Niedźwiedź oblizał się łakomie, kiedy w powietrzu rozszedł się intensywny aromat czosnku i tymianku.

– Umiesz...

– Cicho – warknął Cal. – Ktoś jedzie.

Przycupnęli pośpiesznie w krzakach i pomiędzy paprociami. Zaszleściły gałęzie i na polanę wjechał koń. Jeździec na jego grzbiecie bardziej leżał niż siedział, kurczowo trzymając się grzywy. Z przeciwnej strony wybiegł zadyszany Brian.

– Byłem za daleko, kiedy go usłyszałem – usprawiedliwił się.

– To przecież Jarik – wysapał zdumiony Stevar. – Skąd on się tu wziął u licha?

Calmin przyskoczył do chłopaka i ściągnął go z konia. Ułożył ostrożnie na trawie i przytknął do ust kubek z wodą podsunięty przez Albanę.

– Całą noc jechałem – wymamrotał chłopak i przełknął chciwie parę łyków.

– Skąd, do pioruna, wiedziałeś, gdzie nas szukać, szczeniaku?

– Daj spokój – wtrąciła się Albana. – Przecie on ledwie żyje. Zje, odpocznie, to pogadacie.

– Racja. Prześpij się, chłopcze – poparł ją Cal i groźnie łypnął na Briana. – Z tobą jeszcze porozmawiam.

Czas mijał niespiesznie. Stevar pilnował, żeby mięso się nie spaliło, Albana zajęła się upolowanym danielem. Wieczorem, po gorącym posiłku, wszyscy siedli kołem wokół ognia. Calmin rozłożył mapę i przedstawił im swój plan wędrówki.

– Jesteśmy tu, na zachód od Celebonu. Pojedziemy przez Równiny, a potem głównym traktem do Bresanii.

– Chcesz jechać przez las Keranów? Oszalałeś? – zdziwił się Niedźwiedź – Za mało nas, żeby ryzykować taką podróż.

Albana aż się zakrzuszyła.

– Nie powinniśmy jechać tamtędy – wydusiła.

– Objazd przez Dardall jest trzy razy dłuższy. Nie staniemy na wybrzeżu przed początkiem zimy. Mamy tyle czasu?

– Nie.

– Więc pojedziemy starym traktem. W Bresanii pomyślimy, jak dostać się na wyspę.

– To czyste wariactwo – prychnął Stevar.

– Nie marudź, Stevar – włączył się Brian. – Poradziliśmy sobie z bandytami, damy radę i

Keranom.

Niedźwiedź już otworzył usta, żeby ciągnąć spór, ale napotkał spojrzenie Calmina i zacisnął zęby.

– Opowiedz o Smoczej Wojnie – poprosił Jarik, który dotąd siedział cicho jak myszka.

Albana spojrzała na niego z wdzięcznością i zaczęła snuć opowieść. Nie ubarwiała jej popisami iluzji, nie łagodziła opisów. Streszczała przebieg walk i opisywała rolę Obdarowanych, mówiła o początkach religii Boga o Wielu Obliczach i o Forsythcie, królu, który powiódł swój lud do zwycięstwa. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak gorzko brzmią jej słowa, ile było w nich żalu i gniewu. Mężczyźni słuchali w milczeniu, na nowo odkrywając historię, póki wszystkich nie zmorzył sen.

Obudzili się przed świtaniem, przełknęli parę kęsów i zabrali za pakowanie juków, kulbaczenie koni. Jarik sięgnął po rzeczy Calmina.

– Nie rusz! – krzyknęła ostro Albana.

Dłoń chłopca zatrzymała się tuż nad matowym napierśnikiem. Albana skoczyła ku niemu i odciągnęła na bok.

– Nie wolno ci dotykać smoczej łuski. Nigdy – nauczyła go drżącym ze zdenerwowania głosem.

Mężczyźni skupili się wokół nich, patrząc na przestraszonego Jarika i trzymającą go w uścisku kobietę.

– Dlaczego? – spytał ktoś obcesowo.

– Dla Obdarowanych to śmierć – powiedziała krótko. Jarik skulił się jak od uderzenia. Żołnierze milczeli.

Niebo ponad nimi poszarzało, ptaki świergotały w oczekiwaniu na wschód słońca. Z paproci spływały krople rosy, pomiędzy drzewami snuły się pasma mgły.

Chłopak wyrwał się nagle z uścisku Albany i runął do stóp swego kapitana.

– Panie – zaszlochał. – Prędzej bym zdechł, niż krzywdę wam jaką zrobił. Ale ja jestem syn czarownicy. Na stosie ją spalili i mnie patrzeć kazali. Żeby nie bandyci, co akurat naszli wioskę, i ja bym w ogniu zgorzał. Wybaczcie, panie...

Cal patrzył na drżącego chłopca i przypomniał sobie przerażone oczy i włosy pełne źdźbeł siana. Nieśmiały uśmiech, cichą obecność i usłużnie podsuwane przedmioty, o których tylko pomyślał. Wierność i oddanie. Spojrzał na zalane łzami policzki Jarika, podniósł go z ziemi i ucisnął mocno.

– Wszystko w porządku, chłopcze. Już dobrze – powiedział łagodnie.

Napięcie opadło. Stevar podrapał się po nieogolonym podbródku.

– Jakżeś nas znalazł? – spytał, nie wiedzieć czemu, patrząc na Albanę.

– Wezwałam go – burknęła kobieta, – Nie mógł tam przecie zostać. Ktoś by się wreszcie domyślił.

– Matkę dzieciakowi spalili, mnichy przeklęte – mamrotał pod nosem Trevor. – Ja bym ich...

– Chodź, mały – Dough szturchnął Jarika w bok. – Pomożesz mi przy koniach.

– Racja. Ruszajmy wreszcie – zgodził się Cal.

Szybko skończyli pakowanie juków i ruszyli na zachód. Calmin dołączył do jadącej z tyłu Albany.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie ufasz mi?

– A ty jedziesz ze mną, bo wierzysz moim słowom czy dlatego, że obowiązek nakazuje ci

chronić żonę? – spytała gorzko kobieta.

Nie czekając na odpowiedź, pogoniła konia i zniknęła pomiędzy drzewami. Jeździec skrzywił się ponuro i podążył za swoją miniaturową armią.

Młody akolita krzątał się po świątyni, sprząając po wieczornym nabożeństwie. Energicznie wymiatał kurz i błoto, czyścił oprawione w ołów kolorowe szybki, wyrzucał zwiędłe kwiaty, gasił świece. Poświęcał temu zajęciu ledwie nikłą część swojej uwagi. Tak naprawdę rozmyślał o słowie bożym głoszonym przez Najwyższego Kapłana Imeskarii. Lark całym swym młodym sercem podziwiał Zebona i marzył, że któregoś dnia i on osiągnie takie zespolenie z Bogiem. Chciał, kiedy już zostanie wyświęcony, wyruszyć pomiędzy lud i głosić prawdę z Księgi Objawień, uczyć, ścigać czarowników i palić ich w oczyszczającym ogniu dla chwały Boga o Wielu Obliczach.

Lark pochodził z prowincji Tarkass, z małej wioski, którą nawiedzili misjonarze. Ich słowa rozpały płomień wiary w piętnastoletnim sercu. Widząc jego zapał, mieszkańcy wsi złożyli się, by mógł wyjechać do Loenu i sposobić do stanu kapłańskiego. Żegnali Larka z dumą, ale i skrywaną ulgą, bo mnisi, zadowoleni ze zwerbowania chłopca, pozostawili ich swojemu sumieniu. Chłopak czuł dla pobratymców gorącą wdzięczność i wierzył, że któregoś dnia zrewanżuje się za ich dobroć. Na razie sprzątał i wysługiwał się starszym akolitom w zamian za możliwość przysłuchiwania się naukom i naśladowania ich zbożnych postępów. Z postępkami zresztą bywało różnie, ale słowa Księgi Objawień co dzień na nowo wzbudzały religijny zapał Larka. Najwięcej żaru i prawd wiary zawierały kazania Najwyższego Kapłana. Lark go podziwiał, szanował, wielbił.

Podłoga była zamieciona, zwiędłe kwiaty zastąpione świeżymi, świece pogaszone. Akolita przyklęknął przed posągami Boga o Wielu Obliczach i zatopił się w modłach. Modlił się żarliwie i gorąco, pogrążając w religijnej ekstazie. Nie zważał na chłód ani na zdrętwiałe od klęczenia nogi.

Z tego stanu wyrwało go dopiero trzaśnięcie drzwiami, które rozbrzmiało echem w pustej świątyni. Lark podskoczył ze strachu i zerwał się z klęczek. Drżącymi dłońmi zapalił jedną ze świec i rozejrzał po świątyni. W kątach czaił się mrok.

– Jest tu kto? – zawołał niepewnie.

W ciszy, która zapadła, usłyszał lekkie, przytłumione postukiwanie. Rozmasował zdrętwiałe nogi, zastanawiając się, co powinien zrobić. W końcu ciekawość wzięła górę nad lękiem i ruszył w stronę katakumb, skąd dobiegało stukanie. Wielkie, ciężkie drzwi nie były zamknięte na klucz. Uchylił je i wszedł do środka. Minał korytarz i znalazł się w sali grobowej, w której spoczywali królowie Imeskarii. Rozejrzał się dookoła. Wszystko wydawało się normalne, tak jak za dnia, kiedy i tu zmieniał kwiaty. Irytujące postukiwanie powtórzyło się. Dążąc za tym dźwiękiem, Lark przeszedł do krypty Pierwszych Kapłanów. Świeca, płonąca dotąd równym płomieniem, wychyliła się gwałtownie. Lark zdrętwiał. Skulił się przy nagrobkach, zamknął oczy i zaczął się modlić. Mechanicznie powtarzał słowa, jednocześnie czujnie nasłuchując. Bał się głębiej odetchnąć czy choćby otworzyć oczy. Znowu coś stuknęło i to poderwało Larka na równe nogi. Otworzył zaciśnięte powieki, spodziewając się ujrzeć stojące nad nim Bengh – Oblicze Śmierci, które wskazuje go swym sierpem, ale krypta była pusta.

Złapał oddech i zaczął się powoli cofać, kiedy płomień znów się wychylił i oświetlił ścianę na wprost oczu akolity, ukazując dziwny kształt, pod się jakim załamywała. Chłopiec przyglądał się temu chwilę, wreszcie postąpił parę kroków w stronę gładkiego muru. W

ścianie widać było szczelinę. Wsunął w nią rękę i poszerzył otwór. Hałas dobiegł go wyraźniej. Strach przyczaił się gdzieś na dnie świadomości. Górę wzięła ciekawość piętnastolatka spragnionego nowych wrażeń. Poszerzył szczelinę jeszcze bardziej i wśliznął się do środka. Znalazł się w ciasnym tunelu topornie wyciosanym w skale, na której stał zamek. Przejście było wąskie, ale szczupły Lark mieścił się w nim bez trudu. Nieregularny stukot dobiegał go coraz wyraźniej. Podążał korytarzem niemal bez tchu, zafascynowany tajemnicą, którą właśnie odkrywał. Dotarł do drzwi. Były uchylone, a przeciąg kołysał nimi i uderzał o framugę. W chwilach, gdy otwierały się szerzej, widać było odbłask światła. Choć serce waliło chłopcu głośno, a dłonie zwilgotniały – zgasił świecę i, najciszej jak umiał, wsunął się do środka.

Kiedy Najwyższy Kapłan wysłuchiwał wreszcie wszystkich próśb biedaków zgromadzonych w przedsionku świątyni, był rozdrażniony bardziej niż zwykle. Robił przecież dla nich wszystko, co mógł, poświęcał czas i energię, a oni wciąż zawracali mu głowę swoimi błahymi sprawami. Twarz Zebona nie wyrażała żadnych uczuć, ale oczy pałały wściekłością i odrazą. Odsunął się, by nikt z proszących nie mógł dotknąć nawet rąbka jego szaty, ale i tak czuł fetor brudu i nędzy.

Wreszcie akolici wypchnęli z przedsionka ostatniego proszącego. Zebon już miał wyjść, kiedy przez półotwarte drzwi dostrzegł spacerującego po dziedzińcu kapitana Arebusa. Cofnął się.

– Pójdę pomodlić się przy grobach Pierwszych Kapłanów, a wy czyńcie swe powinności – warknął i zniknął w świątyni.

Akolici skinęli łysymi głowami i wyszli.

Zebon przeszedł przez ciemną nawę, nie zauważając zatopionego w modlitwie Larka. Wszedł do katakumb.

Ciężkie drzwi wysliznęły mu się ze spoconych rak i zamknęły z głuchym łoskotem. W ciemnościach przemierzał podziemia, chcąc jak najszybciej znaleźć się w ukrytej komnacie, odgrodzić od nękających go miernot w rodzaju kapitana Arebusa, odpocząć.

Zapalił oliwną lampę, przywołując ciepły blask i tym samym łuczywem podpalił kadzidło. Pozwolił, by ogień strawił prawie połowę ziół, dopiero wtedy rozdmuchał dym. Usiadł na stołku, ustawiając kadzielnicę tak, by otoczył go wonny obłok. Przymknął oczy.

Miał zamiar przestudiować raporty z Równin, ocenić, czy jego plan zgięcia karku hardym Jeźdźcom przynosi spodziewane efekty, ale uznał, że to może poczekać. Wdychał dym, czując, jak zmęczenie powoli ustępuje, a ciało ogarnia lekkość. Ostatnio ciągle był znużony, dlatego co noc schodził do swego podziemnego sanktuarium, by szukać w nim odpoczynku, ukoić ból głowy, pozbyć się drżenia mięśni.

Znów rozdmuchał dym, poruszając kadzielnicą łagodnym, kolistym ruchem. Słyszał stukot niedomkniętych drzwi, ale nie chciało mu się ruszać z miejsca. Ogarnęło go już znajome ciepło, przymknął oczy. Powoli zaczął zanurzać się w ułudzie.

Najpierw pojawiły się zapachy. Lekko mdlący, słodkawy zapach krwi mieszał się z aromatem ziół. Potem ujrzał kolory. Czerwień płynącej wolnym strumyczkiem posoki, czerń rozszerzonych strachem źrenic, przezroczyistość potu na młodej skórze. I wreszcie słyszał dźwięki. Krzyki bólu mieszały się z jego własnymi zduszonymi jękami. Wizje zlały się w jedno, tworząc kompletny obraz.

Ogarnęło go podniecenie. Obliznął spieczone usta, rozluźnił szatę.

Podmuch powietrza rozwiął na chwilę chmurę dymu. Zebon na mgnienie wynurzył się z

narkotycznego otępienia.

W drzwiach stał młodzieniec ściskający w rękę dymiącą świecę. Jego oczy błyszczały podnieceniem zabarwionym strachem.

Zebon wstał powoli, nie mogąc oderwać wzroku od pucułowatych, chłopięcych policzków zarumienionych od emocji, od drżącej ręki trzymającej świecę.

Podszedł do akolity. W nozdrzach uwrażliwionych przez zioła poczuł zapach młodego ciała. Znów oblizał wargi.

Ocknął się z uczuciem całkowitego spełnienia. Nigdy jeszcze nie czuł się tak kompletnie wyzwolony, taki usatysfakcjonowany. Zwykle wizje pozostawiały uczucie niedosytu i lekką gorycz rozczarowania, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Dziś było inaczej.

Rozrzucił szeroko ramiona i odetchnął głęboko.

Ręce natrafiły na sztywne ciało leżące obok. Powoli odwrócił głowę i zatrzymał wzrok na nieruchomych źrenicach martwego Larka.

Zerwał się z posłania. Zadygotał. W głowie mu zawirowało, poczuł mdłości. Oparł się o ścianę, żeby nie upaść, potem, unikając patrzenia nałoki, dowlóknął się do krzesła i opadł na nie ciężko. Chwycił karafkę wypił prawie całą zawartość wprost z naczynia, nie bacząc, że większość płynu spływa mu po brodzie. Podniósł dłonie, by obetrzeć twarz i spojrzął na nie. Były czarne od zaskorupiałej krwi. Pośpiesznie wylał na nie resztkę wina, wytarł o szatę, starając się pozbyć lepkiej mazi. Dotyk szorstkiego materiału pomógł mu opanować drżenie. Odetchnął głęboko parę razy i zmusił się, by spojrzeć na trupa.

Lark leżał nagi, poraniony, z rękami związanymi na plecach niegdyś białym, a teraz czarnym od krwi sznurem habitu. Drugi sznur miał zaciśnięty na szyi. Na twarzy chłopca zastygł wyraz cierpienia i przerażenia.

Nocne wizje powróciły, budząc odrazę i satysfakcję jednocześnie. Obrazy przesuwwały mu się przed oczyma, ale Zebon nie potrafił uchwycić momentu, kiedy sny przerodziły się w rzeczywistość.

Poczuł kolejny dreszcz. Tym razem był to strach. Zmroził mu krew w żyłach i wędrował wzdłuż kręgosłupa razem ze strużką potu, aby umiejscowić się wreszcie w żołądku, zacisnąć na nim swoje szpony.

Poczuł gwałtowną potrzebę zapalenia kadzidła, ale zamiast tego zmusił się, by oddychać głęboko. Starał się wyciszyć umysł, tak jak kiedyś nauczył go Sajron. Myśl o starcu spowodowała, że wąskie, blade wargi kapłana rozciągnęły się w imitacji uśmiechu. Przewrotną radość sprawiła mu myśl o okolicznościach, w których zastosował te nauki.

Opanował się wreszcie. Znów myślał jasno i logicznie. Po chwili wiedział już, co powinien zrobić.

\*\*\*